

NORWESKA
MISTRZYNI
KRYMINAŁU

HOLT

ANNE



ÓSMIE PRZYKAZANIE

Prószyński i S-ka

ANNE HOLT

ÓSMIE PRZYKAZANIE

Przełożyła
Iwona Zimnicka

Prószyński i S-ka

Spis treści

Część I

[1](#) [2](#) [3](#) [4](#) [5](#) [6](#) [7](#) [8](#) [9](#) [10](#) [11](#) [12](#) [13](#) [14](#)
[15](#) [16](#) [17](#) [18](#) [19](#) [20](#) [21](#) [22](#) [23](#) [24](#) [25](#)
[26](#) [27](#) [28](#) [29](#) [30](#) [31](#) [32](#) [33](#) [34](#) [35](#)
[36](#) [37](#) [38](#) [39](#) [40](#) [41](#) [42](#) [43](#) [44](#)
[45](#) [46](#) [47](#) [48](#) [49](#) [50](#) [51](#) [52](#) [53](#)

Część II

[1](#) [2](#) [3](#) [4](#) [5](#) [6](#) [7](#) [8](#) [9](#) [10](#) [11](#) [12](#)
[13](#) [14](#) [15](#) [16](#) [17](#) [18](#) [19](#) [20](#) [21](#)
[22](#) [23](#) [24](#) [25](#) [26](#) [27](#) [28](#) [29](#)
[30](#) [31](#) [32](#) [33](#) [34](#) [35](#) [36](#)
[37](#) [38](#) [39](#) [40](#) [41](#)

Epilog

Dla Tine

Część I

1

Świadomość, że zostały mu jeszcze sekundy życia, kazała mu w końcu zamknąć oczy przed zetknięciem ze słoną wodą. Wprawdzie skacząc z wysokiego przęsła mostu, poczuł leciutki powiew lęku, ale gdy po szybowaniu w powietrzu dotknął powierzchni fiordu, nic go nie zabolalo. Prawdopodobnie złamał obie ręce. Dłonie ustawione pod dziwnym kątem jaśniały zszarzałą bielą. Wbrew własnej woli spróbował wykonać kilka ruchów pływackich. Nic z tego nie wyszło. W ostrym prądzie ramiona były bezużyteczne. Mimo to nie czuł bólu. Raczej przeciwnie: woda otoczyła go zdumiewającym ciepłem, głębia pociągnęła i ogarnęła go senność.

Anorak falował wokół ciała niczym przekłuty ciemny balon na tle jeszcze ciemniejszego morza. Głowa zakołysała się jak opuszczona boja i mężczyzna wreszcie przestał odpychać się nogami od wody.

Na sam koniec zarejestrował jeszcze, że pod wodą da się zaczerpnąć oddechu. Sprawilo mu to nawet przyjemność.

2

Kobieta na podłodze jeszcze niedawno była popielatą blondynką. Teraz nie dało się tego dostrzec. Głowa została oddzielona od ciała, a półdługie włosy splątały się ze strzępkami skóry z odciętej szyi. Poza tym tył czaszki został zmiążdżony. Martwe, szeroko otwarte oczy wpatrywały się w Hanne Wilhelmsen ze zdziwieniem, jakby policjantka była niespodziewanym gościem.

W kominku wciąż palił się ogień. Niskie płomienie lizały poczerniałą od sadzy tylną ściankę, dając jedynie słabe światło. Ponieważ wysiadł prąd, a nocny mrok przyciskał się do szyb jak ciekawski obserwator, Hanne miała ochotę dołożyć więcej drewna do ognia. Zamiast tego jednak włączyła latarkę Maglite. Poświeciła na zwłoki. Głowa nie tworzyła już wprawdzie jedności z ciałem, ale odległość między nimi była tak niewielka, że dekapitacji musiano dokonać, kiedy kobieta już leżała na podłodze.

– Szkoda tej skóry polarnego niedźwiedzia – mruknął sierżant Erik Henriksen.

Hanne omiotła światłem latarki pokój. Salon był duży, mniej więcej kwadratowy i wypełniony meblami. Prokurator okręgowy i jego żona najwyraźniej darzyli sympatią antyki. Mniej sympatii mieli natomiast dla umiaru. Hanne w półmroku dostrzegła ludowe, malowane w różę drewniane misy z regionu Telemark obok biało-niebieskiej chińskiej porcelany. Nad kominkiem wisiał muszkiet. Szesnasty wiek, oceniła komisarz i przyłapała się na tym, że ma ochotę dotknąć tej pięknej broni. Nad muszkietem ziały pustką dwa ozdobne zaczepy z kutego żelaza. Miecz samurajski musiał spoczywać właśnie tam. Teraz leżał na podłodze obok Doris Flo Halvorsrud, matki trojga dzieci, której nie było pisane dożycie czterdziestych piątych urodzin. Zabrakło jej nieco ponad trzy miesiące.

Hanne dalej przeszukiwała portfel, który wyłuskała ze stojącej w przedpokoju torebki. Oczy, wpatrujące się kiedyś w automat do zdjęć w Wydziale Komunikacji, zastygły w tym samym wyrazie zaskoczenia, co te w głowie leżącej przy kominku.

W plastikowej przegródce znajdowała się fotografia dzieci. Hanne wzdrygnęła się na widok trojga nastolatków śmiejących się do obiektywu z łodzi wiosłowej. Cała trójka w kapokach. Starszy chłopiec wymachiwał butelką piwa. Wszyscy byli podobni do siebie i do matki. Miłośnik piwa i jego siostra mieli takie same blond włosy jak Doris Flo Halvorsrud. Najmłodszy syn, ostrzyżony na zero, z pryszczami i aparatem na zębach, zrobił z dwóch chudych palców rogi nad głową siostry. Zdjęcie miało mocne letnie kolory. Pomarańczowe kapoki niestarannie narzucono na opalone ramiona, woda z mokrych czerwonych i niebieskich kąpielówek ściekała na zielone ławeczki łódki. Ta fotografia opowiadała o rodzeństwie, któremu rzadko było dane przeżywać takie chwile. O życiu, które prawie nigdy takie nie jest.

Hanne Wilhelmsen odłożyła zdjęcie z powrotem w to samo miejsce, myśląc, że odkąd tu przyjechali, nie widziała nikogo oprócz samego Halvorsruda. Roztargnionym gestem pogładziła starą bliznę nad brwią, zamknęła portfel i znów rozejrzała się po pokoju.

Półotwarta kuchnia z meblami z czereśniowego drewna najwyraźniej wychodziła na tyły domu. Miała duże okna od południowego wschodu, a w blasku światła miasta rozciągającego się pod wzgórzem Ekeberg Hanne zauważyła całkiem spory taras. Poniżej rozlewał się fiord Oslo, w którym odbijał się księżyc w pełni, ocierający się gdzieś o wzniesienia nad Bærum.

Prokurator okręgowy Sigurd Halvorsrud siedział na ludowym krześle wyrzeźbionym z jednego kawałka drewna i płakał z twarzą ukrytą w dłoniach. W obrączce wrośniętej w skórę palca prawej ręki odbijał się ogień. Jasnoniebieska sportowa koszula była zbryzgana krwią, podobnie jak rzadkie włosy. Szare wełniane spodnie w kant z wąskim mankietem

pokrywały ciemne plamy. Krew. Wszędzie krew.

– Nigdy nie zrozumieć, jak cztery litry krwi mogą wywołać taki efekt – mruknęła Hanne, odwracając się do Erika.

Rudowłosa nie odpowiedział. Cały czas tylko przetykał ślinę.

– Dropsy malinowe – podpowiedziała mu Hanne. – Myśl o czymś kwaśnym. O cytrynie. O czerwonych porzeczkach.

– Ja nic nie zrobiłem! – Halvorsrud teraz szlochał.

Odsunął ręce od twarzy i odchylił głowę. Ten potężny mężczyzna z trudem łapał powietrze, w końcu mocno się zakrztusił. Obok niego stała studentka szkoły policyjnej w kombinezonie. Z braku wiedzy o tym, jak powinna się zachować w miejscu, w którym doszło do zabójstwa, przybrała pozycję najbardziej przypominającą tę na baczność. Z wahaniem i bez widocznego rezultatu lekko poklepała prokuratora po plecach.

– To straszne, że nie zdołałem nic zrobić – załkał Halvorsrud, gdy wreszcie sam odzyskał oddech.

– Zdołał zrobić aż za dużo – stwierdził Erik Henriksen po cichu i wypluł okruchy tytoniu, obracając w palcach niezapalony papierosa.

Sierżant odwrócił się od kobiety, której odcięto głowę. Stanął przy panoramicznych oknach z rękami na plecach i lekko się kołysał. Hanne Wilhelmsen położyła mu rękę między łopatkami. Kolega drżał. Niemożliwe, by przemarzł. Mimo że prąd nie działał, w pokoju musiało być dwadzieścia kilka stopni. Wśród ścian zawisł nieprzyjemny zapach krwi i moczu. Gdyby nie technicy, którzy wreszcie pojawili się niewybaczalnie spóźnieni, Hanne nalegałaby, żeby tu przewietrzyć.

– Błąd, Henriksen – powiedziała tylko. – To błąd od razu wyciągać wnioski, kiedy jeszcze tak naprawdę nic nie wiesz.

– Nie wiem! – prychnął Erik, patrząc na nią z boku. – Spójrz tylko na niego, do cholery!

Hanne znów odwróciła się w stronę pokoju. Położyła przedramię na barku Erika i oparła brodę na ręce częściowo w poufałym, a częściowo

pogardliwym gościem. Było rzeczywiście nieznośnie gorąco. Pomieszczenie zostało teraz mocniej oświetlone, a technicy przeczesywali kolejne jego obszary, jeszcze nawet nie zbliżając się do zwłok.

– Wszyscy, którzy nie mają tu nic do roboty, niech wyjdą! – huknął najstarszy, kilkakrotnie wodząc światłem latarki po podłodze i w ten sposób wskazując drogę do przedpokoju. – Wilhelmsen, zabierz stąd wszystkich! Już!

Hanne nie miała nic przeciwko temu. Dość już widziała. Pozwoliła siedzieć prokuratorowi okręgowemu w tym samym miejscu, w którym go zastali – na ludowym krześle, za małym dla tak potężnego mężczyzny – gdyż nie miała innego wyjścia. Nie dało się z nim rozmawiać. Może był w stanie niepoczytalności. Młodziutkiej studentki z dyżuru kryminalnego zaś nie znała i nie wiedziała, czy dziewczyna potrafi sama zająć się Halvorsrudem, który być może całkiem niedawno obciął głowę własnej żonie. No a ona nie mogła opuścić zwłok przed przybyciem ekipy badającej miejsce zdarzenia. Erik Henriksen natomiast nie zgodził się zostawić jej samej z przerażającymi szczątkami Doris Flo Halvorsrud.

– Niech pan wstanie – powiedziała teraz do prokuratora, podając mu rękę. – Przejdziemy gdzie indziej. Może do sypialni.

Mężczyzna nie zareagował. W oczach miał pustkę, usta półotwarte, a ich kąciki mokre, jakby zaraz miał z wymiotować.

– Wilhelmsen – wychrypiął nagle. – Hanne Wilhelmsen.

– Zgadza się – uśmiechnęła się Hanne. – Chodźmy stąd, dobrze?

– Hanne – powtórzył Halvorsrud bez sensu, nie ruszając się z miejsca.

– Chodźmy.

– Ja nic nie zrobiłem. Nic. Rozumie pani?

Hanne nie odpowiedziała, tylko znów się uśmiechnęła i ujęła rękę, której nie chciał jej podać. Dopiero teraz odkryła, że również dłonie prokuratora są pokryte zakrzepłą krwią. Wcześniej w słabym świetle wzięła ślady pozostawione przez palce na jego twarzy za cienie albo wieczorny zarost.

Odruchowo go puściła.

– Halvorsrud! – powiedziała głośno, tym razem ostrzej. – Pójdzie pan ze mną, natychmiast!

Podniesienie głosu pomogło. Halvorsrud zadrżał i uniósł wzrok, jakby nagle powrócił do rzeczywistości, z której nic nie rozumiał. Zdrętwiały wstał z krzesła.

– Przeprowadź fotografa!

Dziewczyna w kombinezonie drgnęła, kiedy Hanne Wilhelmsen pierwszy raz zwróciła się bezpośrednio do niej.

– Fotografa? – powtórzyła ze zdziwieniem.

– Tak, fotografa. To taki facet z aparatem. Ten, który tam pstryka zdjęcia.

Studentka zawstydzona spuściła wzrok.

– O rany, no tak, fotografa. Dobrze.

Zamknięcie drzwi, które odgrodziły ich od pozbawionego głowy ciała, przyniosło ulgę. W przedpokoju było ciemno jak w grobie i chłodno. Hanne głęboko odetchnęła, szukając przycisku na latarce.

– Pokój dzienny – mruknął Halvorsrud. – Tam możemy wejść.

Wskazał pierwsze drzwi na lewo, zaraz przy głównych. Kiedy światło latarki Hanne padło na jego dłonie, zeszywniał.

– Nic nie zrobiłem. Mogłem... Ale nie kiwnąłem nawet palcem.

Hanne delikatnie dotknęła jego pleców. Halvorsrud poddał się temu leciutkiemu naciskowi i poprowadził policjantów wąskim korytarzem w stronę pokoju dziennego. Już sięgał do klamki, ale Erik Henriksen go uprzedził.

– Ja to załatwię – powiedział szybko, przeciskając się obok Halvorsruda. – Już. Niech pan stanie tam.

Fotograf, którego nadejścia nikt nie usłyszał, zatrzymał się w drzwiach. W milczeniu patrzył na Hanne Wilhelmsen przez grube szkła okularów.

– Nie ma pan nic przeciwko temu, żebyśmy zrobili panu kilka zdjęć? –

spytała, patrząc na prokuratora. – Jak pan aż nazbyt dobrze wie, w takich sprawach jak ta obowiązuje mnóstwo procedur. Lepiej, żebyśmy mieli je za sobą, zanim pojedziemy na komendę.

– Na komendę – powtórzył Halvorsrud jak echo. – Zdjęcia. Po co?

Hanne palcami przeczeswała włosy i poczuła zniecierpliwienie, które nie służyło ani jej, ani sprawie.

– Jest pan zbryzgany krwią. Oczywiście zatrzymamy pańskie ubranie, ale dobrze jest zrobić kilka zdjęć, kiedy ma pan je na sobie. Na wszelki wypadek. Potem będzie pan mógł się przebrać. Tak będzie lepiej, prawda?

W odpowiedzi usłyszała jedynie niewyraźne mamrotanie. Postanowiła uznać je za zgodę i skinęła na fotografa. Prokuratora natychmiast zalało niebieskobiałe światło lampy błyskowej. Fotograf wydawał Halvorsrudowi kolejne szybkie komendy, informujące, jak ma się ustawić. Prokurator się poddał. Wyciągał ręce przed siebie, obracał się, stawał pod ścianą. Prawdopodobnie stanąłby też na głowie, gdyby takie polecenie usłyszał.

– Już – oznajmił fotograf po trzech czy czterech minutach. – Dziękuję.

Zniknął równie cicho, jak się pojawił. Jedynie szum filmu przewijającego się w aparacie powiedział im, że wrócił do salonu i do odrażającego motywu zdjęć, przy którym miał pracować przez najbliższą godzinę.

– No to możemy iść – oświadczyła Hanne. – Ale najpierw poszukamy jakichś ubrań, w które będzie się pan mógł przebrać, kiedy już dojedziemy na miejsce. Pójdę razem z panem do sypialni. A tak w ogóle, to gdzie są pańskie dzieci?

– Ależ, pani komisarz – zaprotestował Sigurd Halvorsrud, a Hanne po raz pierwszy dostrzegła w jego oczach błysk czegoś przypominającego przytomność umysłu. – Przecież ja byłem przy tym, kiedy zabito moją żonę. Pani tego nie rozumie? Nic nie zrobiłem...

Osunął się na krzesło. Albo zapomniał o krwi, którą miał na rękach, albo wcale go to nie obchodziło. W każdym razie mocno potarł nasadę nosa,

a potem kilkakrotnie pogładził się po głowie, jak gdyby podejmował próżną próbę pocieszenia samego siebie.

– Był pan przy tym – powtórzyła Hanne Wilhelmsen, nie mając odwagi patrzeć na Erika Henriksena. – Dla porządku muszę przypomnieć, że nie ma pan obowiązku składania wyjaśnień bez...

Przerwał jej zupełnie inny człowiek niż ten płaczący niedawno owdowiały mężczyzna, który jeszcze kilka minut temu siedział jak przerośnięte dziecko na ludowym krześle przy szczątkach żony. Teraz odezwał się ten prokurator okręgowy Sigurd Halvorsrud, którego znała wcześniej. Przeobrażenie kazało jej zamknąć usta. Szare oczy Halvorsruda patrzyły zimno. Usta przestały być pozbawionym konturów otworem w twarzy, wargi napięły się na wyjątkowo równych zębach. Nozdrza lekko wibrowały, jakby zwietrzył prawdę, którą nagle uznał za stosowne podzielić się z innymi. W gwałtownym i ostrym poruszeniu głową, połączonym z wysunięciem podbródka, ujawniła się nawet lekka arogancja, ale trwało to tylko przez moment i Hanne przez chwilę myślała, że się pomyliła.

– Nie tylko byłem przy tym obecny – z uległością oświadczył Halvorsrud półgłosem, jakby po głębszym namyśle zdecydował się jednak wstrzymać powrót swojej dawnej osobowości do stosowniejszego momentu. – Mogę pani podać nazwisko mordercy. I adres, jeśli chodzi o ścisłość.

Okno zostawiono uchylone, chociaż był dopiero marzec, a wiosna wyglądała na bardzo spóźnioną. Do pokoju wpadł odór amoniaku, gdzieś w ogrodzie miauknął kot tak nagle, że wszyscy drgnęli przestraszeni. W blasku latarni przy furtce Hanne zobaczyła, że zaczął padać śnieg, lekki i rzadki. Studentka szkoły policyjnej skrzywiła się i poszła zamknąć okno.

– A więc pan zna tego... Czy to był mężczyzna?

Halvorsrud nie powinien nic mówić, a Hanne nie powinna go słuchać. Komisarz Hanne Wilhelmsen powinna jak najprędzej przewieźć prokuratora okręgowego Sigurda Halvorsruda na Grønlandsleiret 44. Ten człowiek musiał mieć adwokata. Powinien wziąć prysznic i włożyć czyste ubranie.

Przysługiwało mu prawo do opuszczenia domu, w którym leżała jego martwa i okaleczona żona.

– Mężczyzna. – Nie patrząc na nią, Halvorsrud kiwnął głową.

– Którego pan zna?

– Nie.

Wreszcie znów podniósł wzrok i uchwycił spojrzenie Hanne, rozpoczynając pojedynek, którego ona nie rozumiała. Nie pojmowała wyrazu oczu prokuratora i była zdezorientowana niespodziewanymi zmianami w jego zachowaniu. W jednej chwili całkowicie odjeżdżał, w następnej odzyskiwał swoją zwykłą arogancję.

– To absolutnie nie jest ktoś, kogo znam – oświadczył Sigurd Halvorsrud zaskakująco mocnym głosem.

Potem wstał i pozwolił, by Hanne poszła za nim na piętro, aby tam spakował niewielką torbę.

Sypialnia była duża, z podwójnymi drzwiami balkonowymi. Hanne odruchowo sięgnęła do wyłącznika przy drzwiach. O dziwo, zapaliło się sześć reflektorów na suficie. Sigurd Halvorsrud w ogóle nie zwrócił uwagi na ów dziwny fakt, że światło na piętrze willi działało. Wyciągnął dwie szuflady zielonej komody i stanął nad nimi zgarbiony, pozornie bez celu grzebiąc w slipach i podkoszulkach.

Na środku pomieszczenia królowało gigantyczne łóżce z baldachimem. Ścianka w nogach była bogato rzeźbiona, a snycerz nie szczędził złota. Prawdziwe morze poduszek i kołder przydawało pokojowi baśniowego charakteru, podkreślanego jeszcze przez trzy olejne obrazy przedstawiające motywy z baśni ludowych Asbjørnsena i Moego na przeciwległej do drzwi ścianie.

– Pomóc panu? – spytała Hanne Wilhelmsen.

Prokurator przestał już szukać czegoś, czego nie mógł znaleźć. Trzymał w ręku fotografię w srebrnej ramce, która stała razem z pięcioma czy sześcioma innymi portretami rodzinnymi na bejcowanej na zielono

komodzie. Hanne nie widziała nawet, czy Halvorsrud wciąż jeszcze oddycha.

Przeszła przez pokój i stanęła o dwa kroki od niego. Tak jak się spodziewała, na zdjęciu była jego żona. Siedziała na koniu, trzymając przed sobą na siodle małe dziecko, które wyglądało na wystraszone, bo wczepiło się w ramię matki obejmujące je ukosem niczym pas bezpieczeństwa przez bark i brzusek. Kobieta się uśmiechała. W przeciwieństwie do pozbawionego charakteru zdjęcia, które wcześniej patrzyło na Hanne Wilhelmsen z blad różowego prawa jazdy, ta fotografia pokazywała, że Doris Flo Halvorsrud była atrakcyjną kobietą. Twarz miała pogodną i otwartą, a mocny nos i szeroki podbródek mówiły raczej o sile przyciągania niż o braku kobiecości.

Sigurd Halvorsrud przyciskał do szkła w cyzelowanej ramce prawy kciuk tak, że palec aż pobiełał. Nagle szkło pękło z cichym trzaskiem, ale prokurator nie zareagował, nawet kiedy z głębokiej rany na palcu popłynęła krew.

– Nie znam człowieka, który zabił moją żonę – oświadczył. – Ale wiem, kim jest. Podam pani jego nazwisko.

Kobiety i dziecka na fotografii już prawie nie było widać wśród odłamków szkła i ciemnej krwi. Hanne Wilhelmsen sięgnęła po zdjęcie i wyjęła je z rąk prokuratora. Delikatnie odłożyła je na komodę obok srebrnej szczotki do włosów.

– Chodźmy, panie Halvorsrud.

Prokurator okręgowy wzruszył ramionami i poszedł za nią. Z rozciętego kciuka kapła krew.

3

Dziennikarz Evald Bromo zawsze świetnie się czuł w „Aftenposten”. To była dobra gazeta. W każdym razie do pracy. Na ogół unikało się w niej tabloidowego dziwkarstwa, płacili też nieźle. Niekiedy znajdował nawet czas, żeby się w coś zagłębić, starannie przygotować temat. Evald Bromo pracował w dziale gospodarki od jedenastu lat i zazwyczaj cieszył się, że wychodzi do redakcji.

Ale nie dzisiaj.

Żona postawiła przed nim na stole talerz z dwoma naleśnikami. W środku zostały posmarowane masłem, a na wierzchu polane kanadyjskim syropem klonowym. Wiedziała, że tak lubi. Evald jednak, zamiast żarłocznie rzucić się na śniadanie, ścisnął mocno w rękach sztucce i zaczął nierytmicznie uderzać nimi w blat nieświadom, co robi.

– Prawda?

Drgnął i upuścił widelec na podłogę.

Żona Evalda Bromo nazywała się Margaret Kleiven. Była chudą kobietą, jakby bezdietność, z którą nigdy nie zdołała się pogodzić, zżerała ją od środka. Skóra sprawiała wrażenie za dużej dla chudego ciała, przez co Margaret wyglądała na o dziesięć lat starszą od męża, swojego rówieśnika. Ponieważ nigdy nie poruszyli tematu adopcji, poświęciła życie jak najpilniejszemu wywiązywaniu się z obowiązków nauczycielki w liceum, a także traktowaniu męża jako substytutu dziecka.

Nachyliła się teraz nad Evaldem i poprawiła mu serwetkę zatkniętą w rozpięciu koszuli, a potem przykucnęła po widelec.

– Wiosna w tym roku wyraźnie się spóźnia – powtórzyła z lekką irytacją i ponagląjąco wskazując na naleśniki, dodała: – Jedz już. Masz mało czasu.

Evald Bromo wpatrywał się w talerz. Syrop się rozpląnął i zlał

z roztopionym masłem w tłustą breję wokół brzegu naleśników. Na ten widok zrobiło mu się niedobrze.

– Nie jestem dziś głodny – mruknął, odsuwając talerz.

– Źle się czujesz? – spytała żona z lękiem. – Może coś cię bierze? Tyloma chorobskami można się teraz zarazić. Może raczej powinieneś zostać w domu?

– Nie, skąd. Po prostu trochę źle spałem. Mogę coś zjeść w pracy. To znaczy, jeśli zgłodnieję.

Zmusił się do uśmiechu z zamkniętymi ustami. Spod pach spływał mu pot, chociaż przed chwilą wziął prysznic. Wstał gwałtownie.

– Ależ, mój drogi, musisz coś zjeść – oświadczyła żona zdecydowanie i położyła mu rękę na ramieniu, chcąc zmusić go, by znów usiadł.

– Wychodzę – warknął Evald Bromo, odsuwając się od tej wyraźnie niechcianej bliskości.

Wąska twarz Margaret Kleiven zmieniła się w same oczy; usta i nos zniknęły w przytłaczającym spojrzeniu olbrzymich szaroniebieskich tęczówek.

– Spokojnie – spróbował się uśmiechnąć. – Możliwe, że zajrzę na spotkanie w... na pewne spotkanie. Ale teraz trudno powiedzieć. Zadzwoń, dobrze?

Margaret Kleiven nie odpowiedziała. Kiedy Evald Bromo nachylił się nad nią, by z przyzwyczajenia pocałować ją na pożegnanie, odsunęła się gwałtownie. Wzruszył ramionami i mruknął coś, czego nie zrozumiała.

– Życzę ci zdrowia – powiedziała obrażonym tonem i całkiem się odwróciła.

Gdy wyszedł z domu, mimo wszystko stała i patrzyła przez okno, dopóki jego plecy nie zniknęły za dziko rosnącym żywopłotem sąsiadów. Potarła w palcach zasłony i gdzieś w głowie zakołatała jej daleka myśl, że przydałoby się im wiosenne pranie. Poza tym ze zdumieniem stwierdziła, że z upływem lat plecy męża stały się węższe.

Kiedy Evald Bromo poczuł, że żona już nie może go widzieć, przystanął. Wiosenne powietrze boleśnie zmroziło bolący ząb, gdy wciągnął je w płuca przez otwarte usta.

Jego świat czekała zagłada. Nastąpi pierwszego września. Najpierw miną wiosna i lato, a jesień ledwie się zacznie, zanim wszystko dobiegnie końca. Jeszcze przez pół roku Evald będzie czuł ból, wstyd i strach z powodu tego, co ma się stać.

Nadjechał autobus. Evald Bromo w drodze do wolnego miejsca przepchnął się przed jakąś starszą panią. Nigdy wcześniej tak nie robił.

4

Evald Bromo nie poszedł do pracy. Starym zwyczajem wysiadł na Akersgata, na przystanku między budynkiem rządowym a Ministerstwem Kultury. Nawet nie spojrział w kierunku „Aftenposten”, której redakcja mieściła się pięćdziesiąt metrów dalej. Stopy niemal same zaniósły go na Cmentarz Naszego Zbawiciela.

Nekropolia była cicha, tylko od czasu do czasu przebiegł przez nią jeden i drugi licealista spieszący na pierwszą lekcję w Szkole Katedralnej w Oslo. Mimo tabliczek surowo przypominających o obowiązku trzymania psów na smyczy między grobami węszył czworonóg puszczone luzem. Czarny i tłusty, nieprzerwanie merdał ogonem jak opętany, ciesząc się z każdego znaleziska. Właścicielem musiał być równie gruby mężczyzna w czarnym płaszczu, który oparty o latarnię czytał gazetę.

Evald Bromo zmarzł. Rozpiął suwak skórzanego kurtki i rozluźnił szalik. Nagle poczuł ogromny głód. Po zastanowieniu stwierdził też, że bardzo chce mu się pić. Usiadł na brudnej ławce przy jakimś nagrobku, na którym nie dało się już odczytać napisu, potem zdjął rękawiczki, ułożył je porządnie obok siebie i wczuwał się w to, jak bardzo mu zimno i jak bardzo dokuczają mu głód i pragnienie. Wyczarowywał przed sobą obrazy jedzenia. Wyobrażał sobie, jak lodowata woda zwilża mu usta po długim bieganiu, śledził drogę płynu z ust przez gardło. Potem zdjął kurtkę.

Teraz szczekał już zębami.

Pocztą elektroniczną dostał dwa listy. Jeden, bez podpisu, został wysłany z nic niemówiącego mu adresu: *twarz-pokerzysty@hotmail.com*. Drugi był podpisany: „Ktoś, kto nigdy nie zapomina”.

Czego nie zapomina?

Może dałoby się wyśledzić adres na hotmailu. Może istniały gdzieś takie

rejstry. Evald Bromo dobrze jednak wiedział, że policja miewa problemy z uzyskaniem od dostawców usług internetowych zezwoleń na sprawdzenie, skąd wysłano e-mail. Tym trudniej musiało być osobom prywatnym. Próbował zwrócić się o pomoc do kolegi, który o wiele lepiej znał się na komunikacji elektronicznej niż on, ale zabrakło mu odwagi. Kiedy poczuł żar zalewający mu policzki, poprosił o wskazówki do przeszukania archiwum, do którego nie umiał się dostać.

Najgorsze jednak było to, że e-maile prawdopodobnie zachowały się gdzieś w wielkim systemie komputerowym „Aftenposten”. Kiedy sygnał oznajmił ich nadejście, otworzył je, przeczytał dwa razy i skasował. Chciał się od nich uwolnić, musiały zniknąć. Dopiero po zniszczeniu tego drugiego, tego, który przyszedł wczoraj przed południem i już na poważnie wywołał w nim panikę, uświadomił sobie, że ślady po obydwu mogą gdzieś istnieć. Evald Bromo mgliście przypominał sobie pismo, które kilka miesięcy temu znalazł w swojej przegródce. Ponieważ chodziło o coś, na czym się nie znał, tylko na nie zerknął. Ale ostrzeżenie zapamiętał. Mówiło, że osoba odpowiedzialna za system komputerowy może z przyczyn technicznych być zmuszona do wejścia do prywatnej skrzynki pocztowej i że skasowane dokumenty mogą jeszcze przez jakiś czas pozostawać w systemie.

Evald Bromo był dobrym dziennikarzem. Miał czterdzieści sześć lat i praca jeszcze mu się nie znudziła. Wiódł ciche, spokojne życie w ograniczonym kręgu znajomych i wykazywał wzruszającą dla otoczenia troskę o swoją starą matkę. Z biegiem lat zdobył coś w rodzaju wykształcenia ekonomicznego – tu jakieś szkolenie organizowane przez Wyższą Szkołę Handlową, tam znów kurs korespondencyjny. Dość, by umieć zadawać rozsądne pytania. A więcej niż dość, by ujawniać słabości tam, gdzie istniały. Akurat tyle, ile powinien umieć dobry dziennikarz zajmujący się problematyką gospodarczą. Evald był równie staranny w pracy jak w budowaniu modeli statków, które z latami rozwinęło się w dość czasochłonne hobby.

Budowanie statków i pisanie polegało na tym samym. Na staranności. Rzetelności. Tak jak w statku musiało się zgadzać wszystko, aż po najdrobniejsze szczegóły, od kul armatnich po szwy żagli i rękawiczki figury dziobowej, tak również pisane przez niego artykuły musiały być poprawne. Krytyczne, niekiedy trochę skomplikowane, ale zawsze rzetelne. Wszyscy musieli dojść do głosu. Każdy dostawał to, co mu się należało.

Evald Bromo miał tylko jedną prawdziwą słabość.

Oczywiście w jego życiu nie brakowało i ciemniejszych stron. Jego ojciec zapił się, kiedy syn miał zaledwie sześć lat, i od tej pory od czasu do czasu nawiedzał go w snach. Ale matka zrobiła dla chłopca, ile mogła. Nawet teraz, kiedy leżała w kruchej skorupce ciała z głową, w której już dawno nastąpiło krótkie spięcie, Evald znajdował cichą radość w niemal codziennych wizytach w domu opieki. Natomiast małżeństwo z Margaret Kleiven nigdy nie stwarzało okazji do fajerwerków radości, ale ofiarowało spokój. Od czternastu lat mógł z jej strony liczyć na spokój, troskę i wikt.

Słabością Evalda Bromo były dziewczynki.

Nie pamiętał, kiedy to się zaczęło. Zawsze tak było. W pewnym sensie nigdy z nich nie wyrósł. Rozchichotane, żujące gumę dziewczynki z mysimi ogonkami, w podkolanówkach i krótkich spódniczkach krążyły wokół niego tamtej wiosny, kiedy skończył dwanaście lat i od ciotki dostał w prezencie pięćset koron. Z czasem tamte dziewczynki dorosły, ale Evald Bromo tego nie zauważył. Nigdy nie zapomniał, co jedna z nich za pięćdziesiąt brzęczących jednokoronówek z dziurką ofiarowała mu na tyłach sali gimnastycznej pod przysięgą o pełnej dyskrecji.

Jako młody mężczyzna pogrzebał swoje żądze w pracy i treningu. Biegał jak koń. Godzinę rano, zanim inni wstali, a często jeszcze dwie godziny wieczorem. Rozpoczęte studia prawnicze rozbiły się o skały po półtora semestru. Popołudnia w czytelnicy spędzane nad książkami, które go ani trochę nie interesowały, stały się nieznośne. Zostawiały zbyt dużo miejsca na myśli, do których nie chciał się przyznać. Biegał więc. Biegał jak

szaleniec, uciekając przed uniwersytetem i przed samym sobą. W wieku dwudziestu dwóch lat – w roku 1974 – dobiegł do pracy na zastępstwie w „Dagbladet”. A poza tym to jego bieganie stawało się modne.

W dwudzieste piąte urodziny został przestępcą.

Nigdy nie miał dziewczyny. Swoje jedyne doświadczenie seksualne z inną osobą kupił za pięćdziesiąt koronówek nawleczonych na sznurek. W wieku lat dwunastu i pół.

Kiedy lat miał dwa razy więcej, rozumiał już różnicę między dobrem a złem. Dziewczynka, która uciekła z domu i zebrała o pieniądze, gdy chwiejnym krokiem wracał z imprezy na mieście z osobami odbiedy dającymi się nazwać kolegami, nie mogła mieć więcej niż trzynaście lat. Dostała trzysta koron i paczkę papierosów. Evald Bromo w zamian otrzymał pięć minut intensywnej przyjemności i niekończące się noce pełne żalu i wyrzutów sumienia. Ale zaczął.

Zawsze płacił. Zawsze był szczodry i nigdy nie stosował przemocy. Czasami zdumiewało go, jak łatwo znaleźć te dzieci. Wałęsały się. Stanowiły nadwyżkę w mieście, które przymykało na nie oczy, dopóki nie organizowały się w gangi. A one tego nie robiły. Nie te. Były same. I chociaż się malowały, chcąc dodać sobie lat, Evald Bromo miał sokoli wzrok, jeśli chodziło o dostrzeżenie tego, co kryło się pod obcisłymi bluzeczkami w biustonoszach wypchanych watą. Potrafił określić wiek dziewczynki niemalże co do miesiąca, w jakim się urodziła. Przez sześć lat nielegalnie kupował seks. Potem poznał Margaret Kleiven.

Margaret Kleiven była cicha, szczupła i mała. Życzliwa. Była pierwszą kobietą, która kiedykolwiek okazała mu coś więcej niż koleżeńskie zainteresowanie. Pod względem seksualnym wymagała naprawdę niewiele. Pobrali się po trzech miesiącach znajomości, a podczas wkładania jej obrączki na palec Evald Bromo czuł głównie nadzieję i ulgę. Teraz ktoś będzie go kontrolował. Wszystko stanie się o wiele trudniejsze, a zarazem nareszcie prostsze.

Nigdy jej nie zdradził. Tak to odbierał. Kiedy w gazetce pornograficznej walającej się w pracy przypadkiem natknął się na pewien adres, pokusa okazała się silniejsza od niego. Układ wydawał się bezpieczny. I choć kosztowało to znacznie więcej niż łowienie bezpańskich psów na ulicy, w zamian mógł utrzymywać w czystości dom swój i Margaret. W miarę upływu lat pojawiły się też nowe adresy z innych obrzydliwych magazynów, a czasami jeszcze młodsze dziewczynki, ale on zawsze trzymał się wyznaczonej granicy dziesięciu lat. W tym momencie mówił stop. To, co robił, było złe. Strasznie złe. Ale stawało się jeszcze gorsze, kiedy dziewczynki były młodsze.

Nigdy nie zdradził żony.

Seks kupował raz w miesiącu.

Przede wszystkim był dziennikarzem i budował modele statków.

Evald Bromo miał czterdzieści sześć lat i po raz pierwszy w życiu urwał się z pracy. Poranne godziny szczytu na Ullevålsveien powoli mijały. Jakieś ptaszki uznały najwidoczniej, że wiosna już nadeszła. Pachniało mokrą ziemią i nieokreślonym zapachem miasta, a on siedział i marzył.

Pierwszego września redaktor naczelna „Aftenposten” otrzyma nadaną na pocztę kopertę. Przesyłka będzie zawierała nagranie wideo, a także pięć zdjęć Evalda Bromo i dziewczynki, której do confirmacji wciąż pozostawały trzy lata. W e-mailu nie było żadnych żądań, żadnych gróźb, żadnych rozwiązań w rodzaju: „Jeśli nie dasz mi, to...”. Jedynie fakt. Krótko i jasno. To się stanie. Pierwszego września.

Evald Bromo podniósł się zdrętwiały z zimna. Włożył kurtkę, zawiązał szalik.

Nic nie mógł zrobić. Mógł jedynie czekać. Zostało mu pół roku.

5

Komenda Okręgowa Policji zmieniła nazwę. W wyniku niekończącego się cyklu reorganizacji instytucja mieszcząca się w rozciągniętym szarym ponurym budynku na Grønlandsleiret 44 miała się teraz nazywać Okręgiem Policyjnym Oslo. Nikt właściwie nie rozumiał dlaczego. Po tym, jak urząd lensmanna^[1] niedawno włączono do policji i wszyscy dobroduszni szeryfowie z całego kraju zaczęli podlegać miejskim komendantom okręgowym z ukończonymi studiami prawniczymi i złotem na pagonach, w Norwegii nie było już komend policji.

Zmiana nazwy nie pozostawiła wyraźnych śladów. Okręg Policyjny Oslo sprawiał wrażenie równie niezadowolonego ze swojego otoczenia jak Komenda Okręgowa Policji. Po jego wschodniej stronie znajdowało się stare więzienie okręgowe, o którym dawno już zapomnieli i czas, i subwencje państwowe. Od zachodu dumnie zadzierał głowę kościół na Grønland, z uporem i cierpliwością czekający na wiernych w dzielnicy, której połowę mieszkańców stanowili muzułmanie, a drugą połowę ci, co nie przekroczyli progu domu Bożego od chrztu. Optymizm, cechujący tę okolicę, sprawił, że ceny tutejszych mieszkań podwoiły się w ciągu dwóch lat, ale nigdy nie dotarł na wzgórze, gdzie mieściła się siedziba Okręgu Policyjnego Oslo z przytuloną do niej Åkebergveien niczym kocia skórka na kręgosłupie.

– Komenda jest i pozostanie komendą – oświadczyła Hanne Wilhelmsen zdecydowanie, rzucając w kąt teczkę z aktami. – Od kiedy zaczęłam pracować w policji, to miejsce reorganizowano zylion razy. Zostaw to!

Trzepnęła mężczyznę, który pochylał się nad nią i już zdążył porwać cztery czekoladki bananowe z niebieskiej emaliowanej miseczki na biurku. Wziął sobie jeszcze trzy.

– Billy T.! – syknęła Hanne wściekła, uderzając go w opięty dzinsami tyłek, aż huknęło. – Powiedziałam: zostaw to! Poza tym zaczynasz się robić gruby. Naprawdę.

– To dodatek za dobre samopoczucie. – Billy T. z uśmiechem poklepał się po brzuchu, zanim usiadł na krześle dla gości. – Ostatnio pysznie jem.

– Co po prostu oznacza, że dostajesz jedzenie – powiedziała Hanne złośliwie – zamiast całego tego śmiecia, którym się żywiłeś, odkąd cię znam. A tak w ogóle to mam dużo roboty.

Znacząco popatrzyła na drzwi, którymi przyjaciel przed chwilą trzasnął z hukiem.

– Nie szkodzi – roześmiał się Billy T. i sięgnął po „Dagbladet” leżącą na półce pod przepełnioną popielniczką. – Zaczekam. Cholera, znów zaczęłaś palić!

– Ależ skąd – zaprotestowała Hanne. – To, że od czasu do czasu sobie zapalę, wcale nie oznacza, że palę.

– Od czasu do czasu to znaczy dwa razy w miesiącu – mruknął Billy T., który już zdążył zatopić się w artykule o wiosennych nowościach na rynku motocyklowym. – Czyli że te pety zbierałaś przez ostatni rok?

Hanne Wilhelmsen nie odpowiedziała.

Mężczyzna po drugiej stronie biurka, który czytał gazetę, dyskretnie dłubiąc w nosie, wydawał się jeszcze większy niż kiedykolwiek. Billy T. w osiemnastym roku życia osiągnął dwa metry i dwa centymetry wzrostu i zawsze był szczupły. Teraz dobiegał czterdziestki i w ciągu ostatnich sześciu miesięcy musiał przytyć dwadzieścia kilogramów. Wydawało się, że dodatkowa waga wywarła wpływ również na długość ciała. Nawet kiedy siedział, jego postać zdawała się nie mieć prawdziwego początku ani końca. Wypełniał pokój czymś, czego Hanne nie potrafiła do końca zrozumieć.

Zaczęła kartkować wystrzępiony podręcznik prawa karnego i udawała, że czyta, ukradkiem przyglądając się Billy’emu T. zza zasłony grzywki. Powinna iść do fryzjera. A Billy T. powinien schudnąć.

Hanne Wilhelmsen już dawno zarzuciła próby zrozumienia swojej relacji z Billym T. Był zdecydowanie jej najlepszym kolegą. Przez lata ich przyjaźń nabrała charakteru żyjącego w symbiozie starego małżeństwa, kłócącego się o drobiazgi i mówiącego do siebie pełnym złości tonem, który natychmiast zniknął, gdy tylko jedno zdawało sobie sprawę, że to drugie mówi poważnie. Hanne zastanawiała się, na ile tak naprawdę są sobie bliscy. W ostatnich miesiącach zaczęła nawet rozmyślać, czy w ogóle jest zdolna do bliskości z kimkolwiek, nie licząc przelotnych przebłyków.

Coś zaszło między nią a Billym T. w pewien późny czwartkowy wieczór pięć miesięcy temu. Teraz, zamykając oczy, widziała, jak zwałił się do jej mieszkania pijany jak maturzysta w maju. Cała klatka musiała słyszeć, kiedy uszczęśliwiony darł się, że bierze ślub z matką swojego piątego, nienarodzonego jeszcze synka. Ponieważ wcześniej nigdy nawet nie mieszkał z żadną z matek swoich czterech synów, było co czcić. Cecilie, życiowa partnerka Hanne od blisko dwudziestu lat, powitała Billy'ego T. mocną jak siekiera kawą, łagodnymi pouczeniami i szczerymi gratulacjami. Hanne natomiast zamilkła z powodu czegoś na kształt urazy i poczucia krzywdy, które do tej pory jej nie opuściły. Świadomość tego, co ją tak zabolowało, piekła dotkliwiej niż samo poczucie utraty czegoś, co jak sądziła, będzie miała tylko dla siebie już do końca życia.

– Myślałaś o swojej przemowie? – spytał nagle Billy T.

– O przemowie?

– Ślub. Przemowa. Zastanawiałaś się nad tym?

Do ślubu pozostało jeszcze ponad trzy miesiące. Hanne Wilhelmsen miała być świadkiem, ale nie wiedziała, czy starczy jej sił, by w ogóle się na nim pojawić.

– Popatrz na to – powiedziała, ignorując pytanie i rzucając na drugą stronę biurka spięty plik kartek z wklejonymi zdjęciami z polaroida. – Ale ostrzegam. Ostre sceny.

Billy T. opuścił „Dagbladet” na podłogę i otworzył teczkę. Twarz

wykrzywił mu grymas, jakiego Hanne sobie u niego nie przypominała. Billy T. się postarzał. Oczy mu się zapadły, a widoczne pod nimi zmarszczki od uśmiechu przy złej woli można było uznać nawet za ciemne worki. Ogolona czaszka już tak bardzo nie rzucała się w oczy, bo równie dobrze mógł po prostu wyłysieć. Nawet zęby, które odstłonił w obrzydzeniu na widok zdjęć, świadczyły o tym, że Billy’emu T. latem stuknie czterdziestka. Hanne przeniosła wzrok z jego twarzy na własne dłonie. Wysuszonej zimą skórze nie pomagał krem, którego używała trzy razy dziennie. Delikatne zmarszczki na grzbiecie ręki przypomniały jej, że jest od Billy’ego T. zaledwie o półtora roku młodsza.

– Jasna cholera! – zaklął Billy T. i zamknął teczkę. – Słyszałem o tym na porannej odprawie, ale to...

– Paskudne – westchnęła Hanne. – I mógł to zrobić sam.

– Raczej nie. – Billy T. potarł twarz. – Nikt mnie nie przekona, że prokurator okręgowy Halvorsrud wpadł w szal i rzucił się z samurajskim mieczem na żonę. Za diabła w to nie uwierzę.

– Szybka konkluzja.

Hanne Wilhelmsen z irytacją podrapała się w szyję. Billy T. był już ósmym policjantem, który w ciągu ostatnich sześciu godzin bez cienia znajomości sprawy zajął zdecydowane stanowisko w kwestii winy podejrzanego.

– Jasne, że mógł to zrobić – powiedziała bez przekonania. – To tak samo oczywiste jak to, że może mówić prawdę. Że ktoś rzeczywiście groził mu bronią, dlatego siedział kompletnie sparaliżowany w czasie, gdy jego żonę masakrował szaleniiec. *Who knows?*

Miała ochotę dodać jeszcze: „*And who cares?*”. Kolejny znak, że się od czegoś oddalała. Najgorsze, że nie wiedziała, dokąd zmierza. Albo dlaczego wszystko w jakiś niejasny, niemożliwy do zdefiniowania sposób zaczyna się zmieniać. Pojawiło się w niej coś, co sprawiało, że nie bardzo już miała siłę, a raczej że nie bardzo jej się chciało. Stała się bardziej

milcząca niż dawniej, bardziej uparta, właściwie wcale tego nie chcąc. Cecilie zaczęła jej się przyglądać w chwilach, kiedy sądziła, że Hanne tego nie widzi. Hanne nie miała siły nawet spytać, na co się tak gapi.

Ktoś mocno zapukał do drzwi. Cztery razy.

– Proszę! – ryknął Billy T. i uśmiechnął się szeroko, kiedy do ciasnego pokoju weszła policjantka w zaawansowanej ciąży. – Moja przyszła żona i przyszły syn! – Posadził sobie kobietę na kolanach. – Widziałaś kiedyś piękniejszy widok, Hanne?

Nie czekając na odpowiedź, potarł policzkiem brzuch policjantki i mamrocząc, zaczął niewyraźną rozmowę z dzieckiem w środku.

– To jest dziewczynka. – Kobieta w ciąży przekazała Hanne informację samym tylko ruchem warg. – Dziewczynka!

Hanne Wilhelmsen nie zdołała powstrzymać się od śmiechu.

– Dziewczynka, Billy T.? Nareszcie będziesz ojcem dziewczynki! Biedna mała!

– Ja robię tylko chłopców. A to, moje kochane przyjaciółki – Billy T. wskazał palcem na brzuch opięty sukienką – też jest mój syn. Piąty z kolei. Założę się.

– Co chciałaś?

Hanne usiłowała nie zwracać uwagi na Billy’ego T. Sierżant Tone-Marit Steen szczerze usiłowała się wyrwać. Ani jednej, ani drugiej się nie udało.

– Billy T.!

Wykrzywił się i spojrzał na Hanne spode łba.

– Strasznie się ostatnio zrobiłaś nieprzyjemna. Na okrągło cierpisz na PMS? Weź się w garść, kobieto!

Grymas zmienił się w uśmiech przeznaczony dla Tone-Marit, kiedy wreszcie Billy T. wstał do wyjścia.

– Czego on właściwie chciał? – spytała Hanne, demonstracyjnie rozkładając ręce.

– Nie mam pojęcia. – Tone-Marit usiadła ze stęknieniem, które

próbowała stłumić. – Ale mam coś dla ciebie. Ten facet, który miał podobno odciąć głowę żonie Halvorsruda...

– Stałe Salvesen – powiedziała Hanne szybko. – Co z nim?

– Ten, który według prokuratora miał...

– Wiem, o kim mówisz – przerwała jej Hanne natychmiast. – Czego się dowiedziałas?

– Nie żyje.

– Nie żyje???

Hanne wiedziała, że odkąd w nocy nakazała poszukiwanie, nikomu nie udało się dotrzeć do Stałego Salvesena. Jego dane miała na kartce przed sobą.

Wiek: 52 lata. Stan cywilny: rozwiedziony. Praca: na rencie. Jeden dorosły syn. Miejsce zamieszkania: Vogts gate 14. Dochód: 32 000 koron w roku 1997. Majątek: nie posiada. Żadnych bliskich osób oprócz syna. Który mieszka w USA.

Ubiegłej nocy o trzeciej dwa patrole pojechały szukać Stałego Salvesena na Torshov. Ponieważ nie zastano go w domu, a mieszkanie nie było zamknięte na klucz, policjanci pozwolili sobie na nieoficjalną wizytę. Bardzo przygnębiające miejsce, ale porządne. „Zaścielone łóżko. Salvesena ani śladu. Przeterminowane mleko w lodówce” – taki opis w telegraficznym stylu znajdował się w notatce służbowej spiętej razem z wydrukiem z komputerowego rejestru.

– Co masz na myśli, mówiąc, że on nie żyje? – spytała Hanne niepotrzebnie ostro. Uzyskane w nocy informacje, że Salvesena nie można nigdzie znaleźć, pozwoliły jej snuć nadzieje, że Sigurd Halvorsrud faktycznie mówił prawdę.

– Samobójstwo. Skoczył do morza w zeszły poniedziałek.

– Skoczył do morza?

Hanne Wilhelmsen była bliska śmiechu, ale nie mogła pojąć dlaczego.

– To było... Oj! – Tone-Marit złapała się za brzuch i wstrzymała oddech.

– To tylko skurcz – wysapała po chwili. – Jakiś spacerowicz widział mężczyznę, który rzucił się do wody z mostu Staure tuż przed jedenastą w poniedziałek wieczorem. Policja znalazła w pobliżu starą hondę Salvesena. Otwartą, z kluczykiem w stacyjce. Na desce rozdzielczej leżał list pożegnalny. Prosta historia. Cztery linijki o tym, że nie ma więcej sił i tak dalej, i tak dalej.

– A zwłoki?

– Jeszcze nie odnaleziono. Prąd w tym miejscu jest bardzo silny, więc to może potrwać. Salvesen mógł zginąć w wyniku upadku, to ponad dwadzieścia metrów.

Rozległo się wycie alarmu przeciwpożarowego.

– O nie! – krzyknęła Hanne. – Mam już cholernie dość tych fałszywych alarmów! Cholernie!

– Ostatnio masz cholernie dość wszystkiego – stwierdziła Tone-Marit spokojnie i wstała. – A poza tym możliwe przecież, że naprawdę się pali.

W drzwiach odwróciła się i popatrzyła na przełożoną. Przez chwilę wydawało się, że ma ochotę jeszcze coś dodać, ale tylko prawie niezauważalnie pokręciła głową i wyszła.

[1] Lensmann – szef okręgu policyjnego I szczebla na wsi, pełniący obowiązki szefa policji i pewne zadania administracyjne. (Wszystkie przypisy zamieszczone w książce pochodzą od tłumaczki).

6

– To nie wygląda dobrze – stwierdziła Hanne Wilhelmsen i dołąła kawy do kubka bez uszka stojącego przed prokuratorem okręgowym Sigurdem Halvorsrudem. – Sam pan to widzi, prawda?

Halvorsrud bardzo się postarał. Był wykąpany i ogolony. Zawiązał nawet krawat, mimo że obecnie rezydował w niewygodnej celi. Kiwnął głową bez słowa.

– Mój klient godzi się na tydzień aresztu. W tym czasie to nieporozumienie powinno zostać wyjaśnione.

Hanne Wilhelmsen uniosła brwi.

– Szczerze mówiąc, Karen...

Ledwie zauważalny błysk w oczach Karen Borg kazał Hanne wyprostować się na krześle.

– ...pani mecenas – poprawiła się. – Proszę się temu przyjrzeć.

Położyła przed adwokatką Halvorsruda wypisane ręcznie punkty. Potem palcem zaczęła wskazywać te, które zdaniem policji powinny wystarczyć do zatrzymania prokuratora w areszcie na znacznie dłużej niż tydzień.

– Był w miejscu zdarzenia, kiedy...

– Sam zadzwonił na policję.

– Mogłabym kontynuować bez przerywania?

– Przepraszam. Proszę mówić.

Hanne wyjęła papierosa. Halvorsrud podczas załatwiania formalności zdążył wypalić już trzy, a Hanne akurat w tej chwili nic a nic nie obchodziło, że Karen, odkąd została matką dwojga dzieci, zaczęła w kwestii palenia przejawiać pewien fanatyzm.

– Halvorsrud był obecny, kiedy doszło do zabójstwa. Jego odciski palców są wszędzie. Na mieczu, przy zwłokach, wszędzie...

– Ależ on mieszka...

– Pani mecenas – powiedziała Hanne ostentacyjnie i wstała.

Stała przy oknie w pokoju, który niedawno jej przydzielono. Czuła się, jakby nie należał do niej. Nie tu było jej miejsce. Nie przyniosła tu ani jednej rzeczy osobistej. Widok z okna też nie był jej. Drzewa tworzące aleję prowadzącą do dawnego głównego wejścia do więzienia wciąż nie miały liści. Żwirową alejką toczyła się piłka, chociaż nigdzie nie było widać żadnego dziecka.

– Proponuję – zaczęła od nowa i starym zwyczajem wypuściła kółko dymu pod sufit – aby państwo pozwolili mi dokończyć moje rozumowanie. Potem dopuszczę do głosu panią mecenas i nie będę przerywać. – Gwałtownie się odwróciła. – Dobrze?

– Dobrze – odpowiedziała Karen Borg, uśmiechając się przelotnie i na moment kładąc rękę na przedramieniu klienta. – Oczywiście.

– Oprócz tego, co przed chwilą powiedziałam, dochodzi jeszcze fakt, że prokurator Halvorsrud powołuje się na... martwe alibi, jeśli można to tak określić. Twierdzi, że to niejaki Ståle Salvesen zabił i poćwiartował jego żonę. Ale Ståle Salvesen nie żyje od poniedziałku.

– Co? – Prokurator gwałtownie wychylił się do przodu i łokciem uderzył w stół tak mocno, że aż echo poszło. – Ståle Salvesen nie umarł! Nie ma mowy! Był u mnie... Wczoraj wieczorem zabił moją żonę! Widziałem to na własne oczy, mogę...

Rozcierając bolącą rękę, spojrział na Karen Borg, jakby się spodziewał, że pani adwokat potwierdzi jego wersję. Pomoc jednak nie nadeszła. Karen Borg obracała na palcu pierścioneł z brylantem i tylko lekko przekrzywiła głowę, jakby niedosłyszała słów Hanne.

– Ståle Salvesen odebrał sobie życie w poniedziałek wieczorem. W każdym razie wszystko na to wskazuje. Naoczny świadek, jego samochód przy moście, z którego skoczył, list pożegnalny...

– Ale zwłok nie ma – stwierdziła Karen Borg z namysłem.

Hanne uniosła wzrok.

– Nie, na razie nie. Chociaż z pewnością się pojawią. Prędzej czy później.

– Może on nie umarł – zauważyła Karen.

– Oczywiście może tak być – przyznała Hanne spokojnie – ale na razie nie ma nawet cienia dowodu na to, by pani klient mówił prawdę. Innymi słowy... – Zgasiła papierosa, złoszcząc się, że to już szósty tego dnia. Nie zamierzała wracać do palenia, absolutnie. – Tydzień to za mało. Ale jeśli zaakceptujecie dwa, to będziemy pracować jak szaleni.

– W porządku – oświadczył Halvorsrud bez naradzania się z adwokatką.

– Rezygnuję z udziału w rozprawie przed sądem. Zgadzam się na dwa tygodnie.

– Z zakazem korespondencji i widzeń – dodała Hanne prędko.

Karen Borg kiwnęła głową.

– I jak najmniej prasy – uzupełniła. – Zauważyłam, że w gazetach jeszcze nic się nie pojawiło.

– *Dream on* – mruknęła Hanne. – Postaram się zdobyć dla pana materac, panie Halvorsrud. Jutro rano przeprowadzimy kolejne, znacznie bardziej szczegółowe przesłuchanie, jeśli nie macie nic przeciwko temu...

Karen Borg zaożyła włosy za ucho w geście, który miał wyrażać zgodę. Kiedy przywołany przez interkom funkcjonariusz wyprowadził Halvorsruda i zamknął drzwi, nie poruszyła się, żeby wstać.

– Dawno cię nie widziałam – powiedziała.

Hanne uśmiechnęła się przelotnie i zaczęła zapamiętywać na komputerze coś, czego w ogóle tam nie było.

– Za dużo pracy. I u mnie, i u Cecilie. A co u was? Jak dzieciaki?

– Dobrze. A ty?

– Może być.

– Håkon twierdzi, że coś cię dręczy.

– Håkon mówi wiele dziwnych rzeczy.

– I wiele mądrych. On mnóstwo widzi. Obie o tym wiemy, i ty, i ja.

Pół roku temu Håkon Sand nareszcie został prokuratorem prokuratury okręgowej. Mianowanie przyszło późno, później niż w wypadku innych policyjnych prawników. Awans był zasadą. Należało tylko wytrzymać kolejne lata, kolejne sprawy. Większość prokuratorów policji w ciągu dwóch, trzech lat znajdowała sobie lepiej płatną i mniej obciążającą pracę. Håkon Sand wytrzymał i z czasem dorobił się w prokuraturze czegoś w rodzaju szacunku, choć może nie podziwu. Niemalą rolę odegrała tu współpraca z Hanne Wilhelmsen i Billym T., którzy oboje głośno protestowali przeciwko utracie najbardziej życzliwego policjantom prawnika. Ale Håkon Sand już nie miał siły. Przez dziewięć lat nosił zielone teczki i wydeptywał ścieżki na linoleum w budynku przy Grønlandsleiret 44, nim w końcu mógł spakować do kartonu rodzinne zdjęcia z pięknym brązowym posążkiem bogini sprawiedliwości i przenieść się na C.J. Hambros plass 2B. W linii prostej była to przeprowadzka nie więcej niż o półtora kilometra, ale Hanne i Billy’emu T. kompletnie zniknął z oczu. Czasami dzwonił pogadać, jak dwa dni temu, gdy zaproponował lunch. Ale Hanne nie miała czasu. Nigdy nie miała czasu.

– Myślałam, że bronisz biedaków i zwykłych szarych ludzi – zauważyła Hanne cierpko. – Co cię skłoniło do przyjęcia sprawy jego nadętej wysokości Halvorsruda?

– To przyjaciel rodziny. Ściślej mówiąc, mojego brata. Poza tym sama powiedziałaś, że jego sytuacja jest bardzo kiepska. Co się właściwie z tobą dzieje, Hanne?

– Nic.

Naprawdę próbowała się uśmiechnąć. Podciągnęła kąciki ust i to samo próbowała zrobić z oczami, ale wypełniły się łzami. Popatrzyła na boki, trzymając je szeroko otwarte, i zrozumiała, że uśmiech zmienia się w grymas, który mówi coś, czego nie chciała powiedzieć. Czego nie mogła powiedzieć.

Karen nachyliła się nad biurkiem. Delikatnie dotknęła dłoni Hanne, ale ona przyciągnęła rękę do siebie, chociaż bardziej odruchowo niż w prawdziwym geście odrzucenia.

– Naprawdę nic – roześmiała się i łzy popłynęły po policzkach.

Karen Borg знаła Hanne Wilhelmsen od 1992 roku. Ich przyjaźń zaczęła się dramatycznie. Obie wplątały się w sprawę zabójstwa, która później okazała się politycznym skandalem niespotykanych rozmiarów. Karen omal nie przypłaciła tego życiem. Håkon Sand w ostatniej chwili uratował ją z płonącego domku letniskowego. Później zamieszkali razem i mieli dzieci, a Hanne i Cecilie stały się ich przyjaciółkami. Od tamtych wydarzeń minęło już siedem lat.

– Nigdy nie widziałam, żebyś płakała, Hanne.

– Bo ja właściwie wcale nie płaczę – zaprotestowała Hanne, ocierając łzy. – Jestem po prostu zmęczona. Śpiąca. Ciągle.

Znów zaczął padać śnieg. Duże rozbawione płatki umierały zaraz po zetknięciu z szybą i Hanne nie wiedziała już, czy to przez nie, czy przez łzy kontury drzew w parku zatarły się i zlały w niewyraźną szarość.

– Chciałabym, żeby już było lato – szepnęła. – Ciepło. Jak tylko zrobi się cieplej, będzie lepiej.

Karen Borg nie odpowiedziała. Była pewna, że Hanne Wilhelmsen nie pomoże nawet fala upałów. Mimo to nie mogła się powstrzymać przed spojrzeniem na zegarek. Przedszkole zamykali za trzy kwadransy. A Hanne wciąż się nie odzywała, tylko rytmicznie kołysała się na krześle, po cichu pstrykając palcami. Do twarzy miała przyklejony uśmiech, a łzy z oczu dalej płynęły.

– Do zobaczenia – powiedziała Karen, wstając. – Jutro o dziesiątej.

Ścisnęło ją w sercu, kiedy biegła galerią na czwartym piętrze w żółtej strefie. Nie miała jednak pojęcia, co zrobi na obiad.

7

Prąd zaniósł ziemskie szczątki Stålego Salvesena do ujścia fiordu. W miejscu, gdzie fiord spotykał się z morzem, powstawały wiry, które bawiły się ciałem tak długo, jak im się chciało, a kiedy się nim znudziły, wcisnęły je w dno.

Na głębokości trzydziestu dwóch metrów leżał stary, niemal pięćdziesięciostopowy kuter. Tkwił tu od pewnej burzliwej zimowej nocy 1952 roku i był ulubionym celem amatorów nurkowania. Nadbudówka zniknęła, solidny dębowy ster zabrał pewien młody chłopak w latach sześćdziesiątych. Wyposażenia też już nie było. Została jedynie skorupa łodzi ze sterówką bez szyb.

Ståle Salvesen nie miał już anoraka. Woda go rozebrała i kurtka kołysała się teraz leniwie na przybrzeżnych kamieniach dwa kilometry dalej na północ. Ale kalosze wciąż trzymały się nóg. Tkwiły mocno jak przyssane i kiedy prąd wciągnął prawą nogę Salvesena do sterówki, cholewka kalosza zaczepiła o hak, którego nikt nie zabrał. Kołysząc się w marcowo zimnej wodzie, Ståle Salvesen przypominał czteroramienną rozgwiazdę.

8

Czuła to po sobie już wtedy, kiedy szli alejką przez ogród – ona sama w butach na obcasach nieco zbyt wysokich na chodzenie po tak grubym żwirze, Billy T. w zniszczonej skórzanej kurtce, którą zapiął, przeklinając mokry śnieg.

– Coś tu jest – oświadczyła Hanne. – Wiem, że coś tu musi być.

– Czterech ludzi przeszukiwało dom przez trzy godziny – zaprotestował Billy T. – I nic. Zero. Najbardziej podejrzana rzecz, jaką znaleźliśmy, to zmywak, któremu według Karianne przydałaby się kąpiel w chlorze, i dwa numery „Cupido” pod łóżkiem chłopca.

– A gdzie one właściwie są?

– Kto?

– Dzieci. Gdzie one są i kto się nimi zajmuje?

– Aha, dzieci. Najstarszy jest na wycieczce szkolnej w Pradze. Dwoje młodszych na wakacjach na południu Europy z jakąś ciotką czy kimś takim. I dzięki Bogu za to. Dobrze, że nie było ich tu wczoraj wieczorem. Wszystko jest pod kontrolą. Pastorzy i psychologowie wyjechali na koszt państwa na wczasy i w jedno miejsce, i w drugie. Sądzymy, że dzieci wrócą do domu w weekend.

– Biedaki! – westchnęła Hanne, kucając przed kominkiem w salonie prokuratora okręgowego Halvorsruda. – Ty będziesz je przesłuchiwał. Masz takie świetne podejście do dzieci.

– Dzieci jak dzieci. To już nastolatki.

– Po prostu poszły dwa bezpieczniki.

Hanne podniosła się sztywno, czując, że prawa stopa jej zdrętwiała. Lekko kilka razy tupnęła nogą, patrząc na starszą posterunkową, której sobie nie przypominała.

– Same z siebie? To znaczy z przyczyn naturalnych? Przeciążenie?

– Trudno stwierdzić – odparła funkcjonariuszka z przejęciem, które irytowało Hanne. – Szafka z bezpiecznikami jest z rodzaju tych nowoczesnych. To takie bezpieczniki, których nie trzeba wymieniać, tylko się je podnosi i opuszcza. Ktoś oczywiście mógł celowo zaciemnić parter.

Miało się już ku wieczorowi i Hanne czuła, że osiąga punkt, w którym niemożliwe będzie zaśnięcie bez tabletek. Kiedyś potrafiła przetrwać trzy doby bez snu, jedynie z godzinną drzemką od czasu do czasu. Również to się zmieniło. Po nieprzespanej nocy takiej jak ta ostatnia organizm w połowie następnego dnia mówił „stop”. Stłumiła ziewnięcie.

– A jeśli chodzi o ten komputer w gabinecie – ciągnęła stojąca w drzwiach kobieta – to jest w nim coś... coś dziwnego. Można tak powiedzieć.

– Dziwnego? – Hanne spojrzała na policjantkę i powtórzyła: – Dziwnego? Aha. A co jest takiego dziwnego?

– Jest zupełnie czysty.

– To znaczy?

– No... znaczy... – Młoda kobieta się wiała. Rumieniec nie ustępował. Ale ona też nie zamierzała się poddać. – To chyba dziwne, że komputer, który wygląda na dość często używany, z brudną klawiaturą i odciskami palców na monitorze, nie zawiera nic. Kompletnie. Ani jednego pliku tekstowego. Twardy dysk jest zupełnie czysty, są na nim wyłącznie programy.

– To jest Karianne Holbeck. – Billy T. uznał nagle za stosowne przedstawić funkcjonariuszkę. – Właśnie do nas przeszła z Okręgu Policyjnego Bergen. A to komisarz Hanne Wilhelmsen. – Machnął ręką w powietrzu w kierunku Hanne.

– Mhm. – Karianne Holbeck się uśmiechnęła. – Wiem. Mam zabrać komputer i dokładniej go sprawdzić?

– Potrafisz to zrobić tak, żeby nic nie uszkodzić? – Hanne Wilhelmsen знаła się na komputerach akurat tyle, żeby umieć napisać i zapamiętać

dokument.

– To dla mnie żaden problem – zapewniła Karianne.

– W Bergen była odpowiedzialna za informatykę – szepnął Billy T. głośno, by mieć pewność, że Karianne go usłyszała. – Poza tym wypożyczono ją do Økokrim² dlatego, że zna te maszyny na wylot.

² Økokrim – specjalna jednostka policji do spraw gospodarczych i ekologicznych.

Hanne bez zainteresowania kiwnęła głową, ale uświadomiwszy sobie swoje zachowanie, posłała nowej koleżance uśmiech. Za późno. Karianne Holbeck już wyszła spakować komputer, który nosił wszelkie oznaki częstego użytkowania, chociaż nie zawierał niczego.

– Jeszcze wycieczka do piwnicy i się poddajemy.

– Dobrze – burknął Billy T. i powlókł się za Hanne korytarzem w stronę schodów.

W piwnicy pachniało proszkiem do prania i starymi oponami. Długi korytarz z czworgiem drzwi na jednej ścianie kończył się zadbaną pralnią. Stały tu pralka i suszarka, najdroższe modele Miele. Nawet rzeczy do prania leżące w stosach na blacie z brązowego laminatu zostały posortowane na białe, kolory i delikatne. Ściany i podłogę wyłożono kafelkami, a pomieszczenie sprawiało wrażenie zdumiewająco czystego.

– Tu chyba nic nie ma – stwierdził Billy T., drapiąc się w kroku. – Poza tym kark mi sztywnieje od stania tutaj.

Hanne udała, że go nie słyszy. Przeszła do sąsiedniego pomieszczenia. Po czystej, uporządkowanej pralni bałagan w tym miejscu jeszcze bardziej rzucał się w oczy. Prawdopodobnie pierwotnie służyło za warsztat dla hobbysty, na co wskazywać mógł stół z heblem i narzędzia na ścianie. Musiało jednak upłynąć sporo czasu od dnia, gdy ktoś ostatni raz robił tu coś sensownego. O krótszą ścianę oparto dwa rowery, a trzy zestawy zużytych opon samochodowych ułożone na brązowych kartonach utrudniały zobaczenie podłogi. W kącie stał zakurzony gąsior na wino, a wokół walały się stare ubrania i skrzynki z czymś, co wyglądało na wyczytane książki w wydaniu kieszonkowym, trójkołowy rowerek i podwozie dziecięcego

wózka z lat osiemdziesiątych.

– To miejsce nie wygląda mi na zbyt starannie przeszukane – stwierdziła Hanne, czubkiem buta trącając czarny plastikowy worek.

Siedem żuków rozbiegło się co sił w nogach w poszukiwaniu nowej kryjówki.

– Powiedziałem przecież, że piwnicą mają się zająć jeszcze raz – syknął Billy T. ze złością. – Przecież mamy do tego ludzi, Hanne. Komisarz nie musi grzebać w gnoju, do diabła!

– Nic takiego nie mówiłeś.

– Czego?

– Że piwnicę mają przeszukać jeszcze raz. Co to jest?

Nie czekając na odpowiedź, dała krok ponad trójkołowym rowerkiem, nachyliła się i dotknęła czegoś, czego Billy T. nie mógł dojrzeć.

– No i co my tu mamy? – powiedziała, prostując się. – Apteczkę. Bardzo starą apteczkę.

– Otwartą? – spytał Billy T. bez większego zainteresowania.

Kiedy Hanne Wilhelmsen palcami w gumowych rękawiczkach z największą łatwością otworzyła prosty zamek za pomocą scyzoryka, który podał jej Billy T., przekazała szafeczkę koledze, jakby to była szkatułka z biżuterią.

– Miej ten zaszczyt – powiedziała. – Otwórz.

Żadne z nich niczego się nie spodziewało. Wprawdzie Hanne miała wrażenie, że coś się objawi, jeśli tylko przeczesa wille rodziny Halvorsrudów z dostateczną starannością, to jednak zawartość łuszczącej się apteczki sprawiła, że i ona oniemiała na blisko pół minuty.

– O rany! – odezwał się w końcu Billy T.

– Rzeczywiście – przyznała Hanne.

Apteczka, wysoka mniej więcej na pół metra i szeroka na czterdzieści centymetrów, nie miała już półek. Zostały usunięte, aby pomieścić grube pliki banknotów owinięte w folię, a także coś, co wyglądało na piętnaście,

dwadzieścia dyskietek. Kiedy Billy T. delikatnie uniósł górne paczki z pieniędzmi, pod nimi ukazały się kolejne.

– Bardzo ciekawe, co nasz przyjaciel, który siedzi w oficynie, będzie miał o tym do powiedzenia. – Podsunął sobie plik banknotów pod nos, jakby chciał wywąchać odpowiedź.

– Billy T.! – W drzwiach ukazała się zdyszana Karianne. – Spójrz, pomyślałam, że dobrze będzie przejrzeć śmieci...

Hanne Wilhelmsen leciutko wysunęła dolną wargę i z uznaniem kiwnęła głową.

– I tam to znalazłam!

Mogło się wydawać, że Karianne Holbeck ma wątpliwości, komu powinna podać kartkę. Billy T. wybawił ją z kłopotu.

– To wniosek o separację – stwierdził i dalej czytał formularz poplamiony fusami kawy i czymś, co wyglądało na żółtko.

– Kto to podpisał? – Hanne rzuciła pytanie w stronę Karianne. – Od wczorajszego wieczoru rozmawiałam z Halvorsrudem cztery razy i ani słowem nie wspomniał o żadnych planach rozvodu w rodzinie.

– Doris Flo Halvorsrud. Wyłącznie ona. Rubryka, w której powinien znajdować się podpis małżonka, jest pusta. Ale najgorsza jest data. Albo najlepsza. Zależy, komu się kibicuje... – Karianne uśmiechnęła się zażenowana i znów się zaczerwieniła. – Doris podpisała ten dokument wczoraj. To musiała być jedna z ostatnich rzeczy, jakie zrobiła, zanim... zanim ktoś jej odciął głowę.

Hanne wyprostowała się i zauważyła, że Karianne Holbeck dobrze by zrobiło zrzucenie kilku kilogramów.

– Dużo rzeczy naraz – powiedziała. – Wydaje mi się, że musimy przyspieszyć jutrzejsze przesłuchanie Sigurda Halvorsruda. Muszę wiedzieć, co jest na tych dyskietkach. Natychmiast.

Było piątkowe popołudnie piątego dnia marca i dochodziło wpół do szóstej.

9

– Billy T. nalegał – wyjaśniła Hanne Wilhelmsen zaspianym głosem. – Stwierdził, że sam zajmie się tym przesłuchaniem. Jutro. Powiedział, że wszyscy potrzebują snu. Sigurd Halvorsrud też. I uparł się, że ja muszę mieć wolny dzień.

Zasnęła z nogami na stole. Obudził ją przewracający się kieliszek z czerwonym winem. Cecilie Vibe poszła po ścierkę.

– To rozsądne – przyznała w roztargnieniu, usiłując ograniczyć zniszczenia dwóch książek, które dopadła rosnąca czerwona plama. – Zdejmij nogi.

Hanne położyła się na kanapie i podciągnęła koc pod samą brodę.

– Nie pozwól mi tu zasnąć – wymamrotała.

Cecilie ponownie napełniła kieliszek, wyłączyła telewizor i przesunęła fotel tak, by mogła patrzeć na kobietę śpiącą na sofie. Wino jej nie smakowało. Jedzenie zresztą też. Od dawna. Hanne nawet nie zauważyła, że Cecilie w ciągu miesiąca schudła cztery kilo.

W jakimś momencie musiała o tym powiedzieć. Minęły już dwa dni. Lekarz, który przekazał jej wyniki, był dawnym kolegą ze studiów. Nigdy go nie lubiła. Równie trudno było nawiązać z nim kontakt wzrokowy teraz jak dawniej. Gwałtownie ciągnął się za płatek ucha i mamrotał coś do filiżanki z kawą. Cecilie utkwiała wzrok w jego prawym uchu, czując, że czas zrobił sobie niekończącą się rundę karną.

Kiedy wyszła ze szpitala, pogoda się nie zmieniła. Śnieg, który niespełna godzinę wcześniej wpadł na nią przez automatyczne drzwi Oddziału Onkologii, znów się na nią rzucił, kiedy wyszła. Ale już go nie czuła. Jej uwagę pochłonęła grudka starej gumy do żucia na mokrym asfalcie. Zmieniła się w kulę. W piłkę. W guz. Salowy przewożący puste łóżka

musiał w końcu na nią krzyknąć, żeby się przesunęła. Nie wiedziała, dokąd iść.

Cecilie Vibe miała w jelicie grubym złośliwego guza wielkości piłki tenisowej. Rachunek prawdopodobieństwa przemawiał za tym, że tkwił tam już od pewnego czasu. Na to, by stwierdzić, czy przedarł się przez ściankę jelita i zaatakował inne organy, było jeszcze za wcześnie. Być może tak, być może nie.

Odstawiła pusty kieliszek. Nalała do niego z butelki świeżej chłodnej wody mineralnej, która lekko zabarwiła się od resztek wina. Poruszała szkłem, przelewając wodę i próbując myśleć o tym, co będą robić latem.

Cecilie nie zadała ani jednego pytania lekarzowi z ognistoczerwonym płatkim ucha. Akurat tam i wtedy nie miała żadnych pytań. Później sprawdziła wszystkie bazy danych, do jakich miała dostęp we własnym gabinecie, a potem poszła do domu piechotą. Przeplakała całą drogę. Zamierzała o wszystkim powiedzieć Hanne dziś wieczorem. Bo Hanne o niczym nie wiedziała. Nawet tamtego ranka, sześć tygodni temu, kiedy Cecilie zauważyła krew w kale i po raz pierwszy poczuła lodowaty strach na myśl o tym, jak słaba i pozbawiona energii się czuła od dawna, Hanne pozostawała daleka i rozkojarzona. Lęk wywołany odkryciem na papierze toaletowym i pragnienie, żeby wszystko okazało się pomyłką, może przedwczesną miesiączką, kazały Cecilie spuścić wodę jak najszybciej, a potem z przesadną energią umyć zęby. Nie było o czym mówić. Wtedy. To z pewnością nic takiego. Jedynie mnóstwo niepotrzebnego strachu, którego Hanne nie zauważyła, chociaż otoczył Cecilie jak skorupa, kiedy stała w łazience naga i kompletnie niewidoczna dla partnerki. Wychodząc, nie powiedziała nawet cześć.

A jednak coś było.

Hanne wróciła do domu za piętnaście ósma, ale ledwie trzymała się na nogach. Wyjątkowo gadała jak najęta. Może po to, żeby nie zasnąć, zanim czegoś nie zje. Plotła o bezgłowych zwłokach, o mężczyźnie, który

skoczył z mostu do morza, i o prokuratorze, który powinien się przygotować na spędzenie kilku ładnych lat za kratkami. O dzieciach, których matkę zamordowano, a ojciec siedział w więzieniu. O Billym T., nieznośnie przejętym nadchodzącym ślubem. O nowym pokoju, do którego Hanne absolutnie nie mogła się przyzwyczaić, i o tłumiku do harleya, którego jeszcze nie przysłano. Nie było miejsca na opowieść o piłce tenisowej z groźnymi mackami tkwiącej gdzieś w brzuchu Cecilie. W ten krótki chłodny wiosenny wieczór w ogóle nie było miejsca dla Cecilie.

Hanne lekko pochrapywała. Nagle jęknęła, poruszyła się i obróciła twarzą do Cecilie. Prawa noga wylądowała na oparciu kanapy, a lewa ręka bezradnie opadła ku podłodze. Wyglądało to na bardzo niewygodną pozycję, więc Cecilie delikatnie ułożyła rękę wzdłuż ciała Hanne, a potem dołała sobie jeszcze wody.

Hanne miała za długą grzywkę, zakrywała jej oko. W jej brązowych włosach pojawił się cień siwizny. Cecilie zdumiała się, że wcześniej tego nie zauważyła. Rzęsy w tym oku, które było widoczne, leciuteńko drżały, świadcząc o tym, że Hanne coś się śni. W kąciку ust zebrała się ślina i na poduszce przy policzku powoli rozpościerała się coraz większa ciemna plama.

– Wydajesz się taka malutka – szepnęła Cecilie. – Tak bym chciała, żebyś jeszcze trochę mogła taka zostać.

Rozległ się dzwonek do drzwi. Cecilie drgnęła wystraszona, ale Hanne się nie poruszyła. Ze strachu, że dzwonek zabrzmi jeszcze raz, Cecilie pobiegła do drzwi i otworzyła je gwałtownym szarpnięciem.

– Billy T.! – zwołała. Dawno już nie przeżyła takiej radosnej chwili. Takiej prostej radości na czyjś widok. – Wejdz! – Zaraz jednak przyłożyła palec do ust. – Hanne zasnęła na kanapie. Możemy usiąść w kuchni.

Billy T. zajrzał do salonu.

– Nie – oświadczył zdecydowanie i przesunął niski stolik, żeby ułatwić sobie dostęp. A potem wziął Hanne na ręce, jakby była dzieckiem, które

zasnęło w połowie zakazanego kryminału.

Przyjemnie zaciążyła mu w objęciach. Lekki zapach wina bijący z jej ust mieszał się z perfumami użytymi do niej wcześniej i kazał mu bez namysłu pocałować ją w czoło. Cecilie otworzyła drzwi do sypialni, a Billy T. ułożył Hanne na łóżku. Nawet nie westchnęła.

– Nigdy nie przeżyłem czegoś takiego z dorosłą osobą. – Billy T. patrzył, jak Cecilie opatula Hanne kołdrą. – Tylko dzieci się nie budzą, kiedy się ich przenosi.

– Je przenosi – poprawiła go szeptem Cecilie i z uśmiechem dała znak, że wychodzą.

– Coś ją dręczy – stwierdził Billy T., nie ruszając się z miejsca. – Wiesz, o co chodzi?

Cecilie starała się unikać jego oczu. Były zbyt niebieskie, zbyt znajome i widziały za dużo. Chciała wyjść z sypialni, odejść od śpiącej Hanne, od dusznego zapachu pościeli i snu. Chciała już być w salonie, otworzyć nową butelkę wina, rozmawiać o filmach, których nie widzieli, o liście gości weselnych i o tym, jak będzie miało na imię jego nowe dziecko. Ale nie mogła się ruszyć. Kiedy w końcu uniosła głowę, zrobiła to, ponieważ Billy T. przyciągnął ją do siebie.

– Co się, na miłość boską, z wami dzieje? – szepnął, obejmując ją. – Jakiś kryzys czy co?

Billy T. został u Cecilie prawie do czwartej nad ranem. Kiedy wyszedł, Cecilie nie mogła sobie poradzić z wyrzutami sumienia, że Hanne nie była pierwszą osobą, która się dowiedziała. Jednocześnie czuła ulgę i coś, co mogło niemal przypominać optymizm, kiedy delikatnie rozbierała Hanne i wsuwała się do niej pod kołdrę.

– Chyba sprzedam harleya – mruknęła Hanne przez sen i przytuliła się do niej. – Najwyższa pora dorosnąć.

10

Prokurator okręgowy Sigurd Halvorsrud wyglądał zdumiewająco dobrze. Ubranie miał czyste, koszulę świeżo wyprasowaną. W czerwono-zielonym krawacie połyskiwał brylant oprawiony w białe złoto. Jedyne dość niestarannie ogolona szczeka mówiła cokolwiek o warunkach, w jakich obecnie żył. Cerę miał świeżą i zaskakująco smagłą jak na tę porę roku. Duszy delikatniejszej niż Billy T. mógł się jednak wydać odpychający, zważywszy, że jego żona została zamordowana zaledwie dwa dni temu, a on sam był oskarżony o to zabójstwo. Miał coś dziwnego w oczach. Były przekrwione i kompletnie pozbawione życia. Wprawdzie prokurator usiłował zachować coś w rodzaju dostojeństwa w pozycji, w jakiej siedział – prosto, ze słynnym już wysuniętym podbródkiem – ale zdradzało go zrozpaczone spojrzenie, które usiłował ukryć.

Billy T. przetaił palcami dwie filiżanki od środka i nalał do nich kawy z termosu z pompką.

– Czarna?

– Poproszę o trochę cukru.

Palce prokuratora pozostały spokojne, gdy brał dwie kostki cukru z kartonowego pudełka. Billy T. też wziął jedną, zanurzył ją w kawie i wsunął do ust.

– Adwokat Borg powinna zjawić się w każdej chwili – powiedział, głośno wysysając kawę z cukru. – Czekamy na nią czy po prostu zaczynamy?

– Możemy zacząć – odparł prokurator i lekko chrząknął. – Jeśli ona rzeczywiście niedługo przyjdzie.

– Ten Ståle Salvesen... – Billy T. siorbnął kawę, żeby splukać resztki cukru z języka. – Skąd pan go właściwie zna?

– Ale... – Halvorsrud popatrzył na niego zagubiony i odstawił głośno filiżankę. – Dowiedziałem się, że on nie żyje. Że... z tego, co mi przekazano, popełnił samobójstwo. Więc dlaczego pan pyta?

Billy T. poczęstował się jeszcze dwiema kostkami, umoczył je w kawie i położył na języku.

– Na razie nie ma zwłok – wyseplenił. – A ponadto, jak zrozumiałem z relacji Hanne Wilhelmsen, obstawał pan przy tym, że to on zabił pańską żonę. Tak pan twierdził. Właśnie dlatego pytam o Stålega Salvesena.

Halvorsrud potarł czołko przezświetlającą przez rzadkie szaroblond włosy. Wyglądał tak, jakby wątpił w sens upierania się przy twierdzeniu, że nieżyjący człowiek zabił jego żonę, podczas gdy on się temu przyglądał. Wydawało się, że wątpi prawie we wszystko.

– Nie rozumiem – powiedział, zasłaniając usta i tłumiąc beknięcie. – Przepraszam. Oczywiście wy mi nie wierzycie, ale ja wiem, że to Ståle Salvesen stał u mnie w salonie. Był tam... – Podniósł filiżankę do ust, przełknął dwa razy, uderzył się w mostek i jeszcze raz przeprosił. – Ståle Salvesen przebywał tam długo. Trudno określić, jak długo, bo w takich okolicznościach człowiek traci poczucie czasu. Tak przypuszczam. Przynajmniej ja straciłem. Ale nie mam wątpliwości, że to był on. On...

– Ale skąd pan to wiedział? – przerwał mu Billy T. – Skąd pan zna rencistę, który mieszka w komunalnym mieszkaniu na Torshov?

Do ciasnego pokoju weszła Karen Borg. Z zaskoczeniem popatrzyła na sierżanta.

– Billy T.! – powitała go szorstkim głosem. – Sądziłam, że komisarz Wilhelmsen...

– Śpi – uśmiechnął się Billy T. – Widzę, że ty też spałaś. Trudny poranek z dziećmi?

Karen Borg, zawstydzona, przyglądała włosy, usiłując jednocześnie zetrzeć grudkę pasty czekoladowej z beżowej spódnicy. Plama tylko się powiększyła. Karen przez chwilę się w nią wpatrywała, aż w końcu

westchnęła i usiadła na wolnym krześle, nie otwierając teczek z dokumentami.

– Gdzie jesteście? – spytała z wymuszonym uśmiechem.

– Próbuję się dowiedzieć, skąd prokurator okręgowy zna samotnego faceta z dochodem poniżej pięćdziesięciu tysięcy rocznie – ziewnął Billy T.

– I powiem ci, że to wcale nie jest łatwe. Chce pan coś na zgagę, panie Halvorsrud?

Z pudełka ze spinaczami wyciągnął dwie tabletki luzem.

– Dziękuję – mruknął prokurator i połknął je, popijając kawą.

Głośne dudnienie helikoptera lecącego na niskiej wysokości nad Oslo wdarło się do pokoju. Billy T. nachylił się do okna i zmrużył oczy od słońca. Pierwszy raz od kilku tygodni podjęło nieśmiałą próbę rozmrożenia norweskiej stolicy, ale nie potrwiała ona długo. Żółtą dziurę w niebie zaraz zasłoniła ciężka szara chmura, a maszyna odleciała na zachód.

– Stałe Salvesen odnosił kiedyś duże sukcesy jako biznesmen – powiedział Halvorsrud, patrząc na swoją adwokatkę. – W latach osiemdziesiątych. Był dyrektorem administracyjnym obiecującej spółki komputerowej Aurora Data. Można powiedzieć, że był typowym przedsiębiorcą pionierem. Nie miał żadnego wykształcenia, ale o programach komputerowych wiedział wszystko. Przez pewien czas nad Aurora Data wisiało nawet zagrożenie, że firmę wykupi Microsoft. Ponieważ posiadaczem większości udziałów był sam Salvesen, skończyło się na próbie. Chciał osobiście prowadzić firmę. Facet miał wizję, to trzeba mu przyznać. Firma wyprzedzała swój czas i stworzyła... – Podrapał się po dłoni i w końcu popatrzył na sierżanta. – Mało się na tym znam. Wtedy oczywiście wiedziałem, ale teraz już zbyt dokładnie nie pamiętam. W każdym razie miało to jakiś związek z Internetem. Przeglądarkę? Dobrze pamiętam? – Lekko wzruszył ramionami i zapatrzył się na rysę w drewnianym blacie. Palec wskazujący zaczął się przesuwac po nierówności. – Potem przyszedł kryzys finansowy końca lat osiemdziesiątych. Nowe

i do tej pory odnoszące sukcesy spółki padały jak kostki domina. Aurora Data jednak sobie poradziła. O dziwo.

– Dlaczego pan tak mówi? – spytał Billy T. – Twierdzi pan przecież, że to była solidna firma.

– Solidna nie jest dobrym określeniem. Interesująca, obiecująca, o dużym potencjale. Ale to wszystko absolutnie nie było w tamtych czasach żadnym zabezpieczeniem przed katastrofą. Aurora Data mimo to przetrwała, głównie dzięki jakiemś przełomowemu programowi. Z tego, co pamiętam, był to specjalny program przeznaczony dla redakcji wiadomości. Radiowych, telewizyjnych i prasowych. Potem spółka weszła na giełdę.

Billy T. uwielbiał pławić się w swoich słabościach. Ten olbrzym zwykle przechwalał się tym, czego nie umie i nie wie. I nigdy nie wahał się prosić o wyjaśnienie najbardziej oczywistych problemów. Kiedy dziennikarka Anne Grosvold uczyniła cnotę z prostoty i stała się królową telewizji, uwielbianą za mocno eksponowaną naiwność, Billy T. powiesił sobie na korkowej tablicy jej kolorowe zdjęcie. Uśmiechała się na nim, zażywna, rozkładając ręce, jakby w zachwycie błogosławiła Billy’emu T. i jego coraz śmielszym poczynaniom wynikającym z – jak sam twierdził – braku wiedzy. Tylko do jednego nigdy nie chciał się przyznać: że nie ma pojęcia o ekonomii. Billy T. miał bardzo niejasne wyobrażenie na temat wejścia na giełdę. Sięgnął po długopis z pozbawionej wieczka puszki po coli i zanotował to wyrażenie na różowej karteczce post-it.

– Aha – powiedział obojętnym tonem, przygryzając długopis. – I co?

– Wejście na giełdę wiąże się z wieloma rzeczami, między innymi z wnikliwą kontrolą. Można powiedzieć, że świat zewnętrzny skupia na takiej firmie większą uwagę.

Do tej pory Billy T. słuchał jedynie z letnim zainteresowaniem. Uważał Stålego Salvesena za płótno, które należało wybielić, chociaż po wykonaniu tej pracy zostanie najpewniej upchnięte gdzieś w kącie. Ståle Salvesen był żalonym człowiekiem żyjącym z zasiłku, w dodatku już martwym,

a Halvorsrud nie mówił prawdy. Ale teraz coś w Billym T. drgnęło. Salvesen miał swoją historię. Nie zawsze zajmował skromne dwupokojowe mieszkanie z czterema produktami spożywczymi w lodówce. Kiedyś żył jak król. Zaledwie dziesięć lat temu.

– Dziesięć lat to, cholera, nie tak długo – mruknął Billy T. w roztargnieniu.

– Słucham?

– Proszę mówić dalej.

– Poznałem Stålego Salvesena w roku 1990. To znaczy... – Halvorsrud wyjął paczkę barclayów i podsunął ją Billy’emu T., pytając o pozwolenie.

– Może pan palić – zgodził się policjant, nie zwracając uwagi na adwokat Borg.

– To znaczy nie poznałem go osobiście. Prawdę mówiąc, nigdy go nie spotkałem. Ale został oskarżony w paskudnej sprawie. *Insider trading*. I nie tylko.

Billy T. zapisał na różowej karteczce „ins. tra.” i wlał w siebie więcej kawy.

– Syn Salvesena, zapomniałem już, jak mu na imię, studiował w tamtym czasie ekonomię w Stanach – ciągnął prokurator. – Dokonał bardzo korzystnego i bardzo znaczącego zakupu akcji w spółce, w której jego ojciec był prezesem zarządu. Ale nie chodziło o Aurora Data – podkreślił. – O inną firmę. Tuż po wykupie, zaledwie po kilku dniach, okazało się, że ta spółka zawarła bardzo intratną umowę z ogromnym koncernem amerykańskim. Wartość jej akcji nagle się podwoiła. Wtedy wkroczyliśmy my.

– Økokrim – powiedział Billy T.

– Tak. Właśnie objąłem tam stanowisko.

Po raz pierwszy Billy T. dostrzegł cień uśmiechu na twarzy prokuratora. Halvorsrud szedł pod prąd. Po wielu latach przepracowanych jako uznany adwokat zajmujący się sprawami gospodarczymi, ekspert od prawa podatkowego, prawa spółek i zarabiania pieniędzy, przeszedł do instytucji

państwowej. Zrezygnował z zarobków wynoszących około pięciu milionów rocznie. Zabrał z kancelarii swoje wyjątkowe kompetencje i zaofiarował je Økokrim w zamian za wynagrodzenie, które musiało mu się wydawać warte tyle co guziki czy aniołki z glansowanego papieru. Nad biurkiem w jego pokoju wisiała mosiężna tabliczka – prezent od kolegów, których opuścił: „*It takes one to know one*”.

– Zaczęliśmy grzebać. I znaleźliśmy. Kiedy człowiek zaczyna się przyglądać komuś, kto w ciągu siedmiu lat z niczego dorobił się milionów, to właściwie pewne jest, że coś się znajdzie. Nieprawidłowości, łamanie prawa...

– Ile dostał?

– Dostał?

– No tak – zniecierpliwiał się Billy T. – Jaką karę?

Halvorsrud znów się uśmiechnął, niemal wyniośle.

– Nie złożyliśmy aktu oskarżenia.

Billy T. już chciał wypomnieć prokuratorowi, że najpierw złośliwie oskarżał nieżyjącego człowieka, a teraz przyznaje, że sprawa Salvesena nie była na tyle poważna, by trafiła do sądu. Ale ugryzł się w język. Sam więcej razy, niż mógł spamiętać, znajdował się w podobnej sytuacji. Wina oczywista, dowody słabe.

– Co wcale nie oznaczało, że był niewinny – dodał Halvorsrud, jakby Billy T. głośno myślał. – Zawsze będę uważał, że Ståle Salvesen powinien zostać skazany, ale...

– W porządku – przerwał mu Billy T. – Rozumiem. Znam to. Mimo wszystko nie ułożyło mu się dobrze, mam rację? Coś musiało się wydarzyć. W ciągu zaledwie dziesięciu lat... przesiąść się z giełdowej wyścigówki na rower...

– Nie mam zielonego pojęcia – oświadczył Halvorsrud cierpko. – Sprawa została umorzona ze względu na brak dowodów w dziewięćdziesiątym szóstym. Była wtedy... No cóż, niezbyt pilnie się nią

zajmowaliśmy przez ostatnie lata, jeśli mogę się tak wyrazić.

Billy T. nawet nie próbował ukryć przeciągłego ziewnięcia. Puścił jeszcze cichego bąka z nadzieją, że nikt nic nie poczuje, ale na wszelki wypadek uchylił okno.

Sprawy takie jak ta Salvesena były przykrą codziennością. Cholerne zamieszanie przez pół roku, policja obraca każdy kamyczek, bada każdy najmniejszy fakt, a potem historia z wolna zamiera. Akta trafiają na sam spód stosu teczek, a jedynymi nowościami, które się do nich dołącza, są ponaglenia zadziornego adwokata, coraz bardziej denerwującego się w imieniu klienta. W końcu akta znów wyciągano z bałaganu, ostemplowywano i opisywano kodem oznaczającym umorzenie. A potem przekazywano do archiwum.

– Kiedy przestaliście pracować nad tą sprawą? – spytał

Billy T.

– Nie pamiętam, niestety. Może w dziewięćdziesiątym pierwszym? Nie, nie pamiętam.

– W dziewięćdziesiątym pierwszym – powtórzył Billy T. – A umorzenie w dziewięćdziesiątym szóstym. Co Salvesen robił w tym czasie?

– Tak jak mówiłem, nie wiem.

– W jaki sposób pan go rozpoznał?

– Jak go rozpoznałem...

– Mówił pan, że nigdy go pan nie spotkał, a jednocześnie nie ma pan wątpliwości, że to on zabił pańską żonę. W jaki...

– Gazety – przerwał mu Halvorsrud z rezygnacją. – Ta sprawa była głośno komentowana. Poza tym widziałem również jego wcześniejsze zdjęcia. Powtarzałem już kilka razy, że ten człowiek odnosił sukcesy. Oczywiście teraz się postarzał, trochę... Może schudł? W każdym razie włosy mu się przerzedziły. Ale to był on.

– Mówił coś?

– Kiedy zabijał moją żonę? – Głos Halvorsruda na moment przeszedł

w falset.

Prokurator głośno przełknął ślinę i zajął do filiżanki z kawą. Była pusta. Billy T. nie ruszył się, żeby mu dolać.

– Nic nie mówił – ciągnął prokurator. – Ani słowa. W jednej chwili zgasło światło, w drugiej Salvesen stanął w drzwiach salonu, celując do nas obojga z broni. Z rewolweru. Albo... z pistoletu. Tak, to był pistolet.

Zadrzał. Karen Borg sięgnęła po termos.

– Może woli pan wodę? – spytała cicho.

Prokurator nieznacznie pokręcił głową, wyjął z paczki kolejnego papierosa. Gorączkowo ssał filtr, lewą stopą stukając o nogę od stołu w nerwowym rytmie.

– I co jeszcze?

– Zmusił mnie, żebym usiadł na krześle. Na tym ludowym krześle z pnia. Moja żona próbowała z nim rozmawiać, a ja... ja się chyba mało odzywałem. To było tak, jakby... Kiedy sięgnął po miecz, musiałem na chwilę stracić przytomność. Tak mi się wydaje. Nie pamiętam... Ja...

– Musimy się zagłębiać w aż takie szczegóły, Billy T.?

Karen Borg dalej usiłowała zdrapać czekoladę ze spódnicy, patrząc na zmianę to na sierżanta, to na prokuratora. Billy T. wyciągnął się, żeby zamknąć okno. Helikopter wrócił. Śmigła pokreśliły się krzywo tuż nad basenem portowym przy Bjørvika, po czym maszyna skręciła i z dużym przyspieszeniem ruszyła w stronę Grønlandsleiret 44. Rozległ się ogłuszający huk, ale dźwięk zaczął powoli zamierać, kiedy helikopter obrał wreszcie kurs na północ.

– Co pan myśli o budynku Opery, panie Halvorsrud? Powinien się mieścić w Bjørvika czy przy Dworcu Zachodnim?

Prokurator przeniósł wzrok na Billy'ego T. W jego martwym zszarzałym spojrzeniu błysnęło coś, co mogło przypominać wściekłość.

– Ale o co chodzi?

– Bo mnie właściwie wszystko jedno. Opera i tak jest najlepsza z płyty.

Niestety, musimy się zagłębiać w szczegóły. W każdy, najdrobniejszy nawet fakt, jaki przyjdzie panu do głowy. – Zwrócił się do Karen Borg: – Oszczędzaliśmy twojego klienta już przez półtorej doby. Najwyższa pora mocniej ruszyć w tej sprawie, nie sądzisz?

Sigurd Halvorsrud założył nogę na nogę i kiwnął głową.

– On wpadł w szal. Nie wiem, jak to opisać. Uderzył ją w głowę latarką. Potem...

– To była jego latarka?

– Słucham?

– Czy to była latarka Salvesena? Przyniósł ją ze sobą?

– Tak. Musiał ją przynieść. Nie mamy takiej latarki w domu. W każdym razie ja nic o tym nie wiem. Taka duża, czarna. – Prokurator rozsunął ręce na trzydzieści, czterdzieści centymetrów, żeby pokazać jej wymiary. – Żona upadła przed kominkiem. Widziałem, że tył jej głowy mocno krwawi. A potem Salvesen sięgnął po miecz. Zdjął miecz samurajski i...

Billy T. słuchał zafascynowany. Uparł się, by wziąć to przesłuchanie na siebie, żeby oszczędzić Hanne Wilhelmsen. Również dla niego poświęcenie soboty na niepłatną pracę w nadgodzinach nie stanowiło żadnej przyjemności. Poza tym w ten weekend miał chłopców i chociaż Tone-Marit wykazywała wobec synów Billy’ego T. cierpliwość graniczącą z głupotą, lepiej było nie prowokować losu. Ślub miał się odbyć dopiero za trzy miesiące, a wcześniej miało się urodzić kolejne dziecko. Sprawa jednak zaczynała go interesować, a może to raczej Sigurd Halvorsrud zaczął przykuwać jego uwagę. Zabójstwo – najbardziej makabryczna egzekucja, z jaką kiedykolwiek się zetknął – samo w sobie było interesujące. Ale Billy T. dostatecznie długo pracował w policji, by nie pozwolić sobie na uleganie niepotrzebnym fascynacjom. Zabójstwo to zabójstwo. Sprawa jak wszystkie inne. Trzeba ją rozwiązać i tyle.

Sigurd Halvorsrud natomiast był wyjątkowy. Billy T. przyłapał się na tym, że mu wierzy.

To absurdalne. Wszystko wskazywało na to, że Ståle Salvesen nie żyje. Ale do tej pory nie znaleziono jego zwłok. Niewykluczone, że wszystko zaaranżował. Równie dobrze mógł teraz siedzieć w jakimś barze w Meksyku i popijać Tequila Sunrise za pieniądze, które zdołał ukryć w czasach, gdy płacił się w luksusie, ale już czuł, że *good guys* zaczynają dyszeć mu w kark. Tyle że na razie całe mile dzieliły ich od zrozumienia, dlaczego, na miłość boską, Salvesen miałby pozbawić życia Doris Flo Halvorsrud.

Historia o Stålem Salvesenie wydawała się paradoksalnie i wręcz prowokująco wiarygodna. Prokurator przetykał ślinę i bladł, jąkał się i mylił. Nic nie pamiętał, a za chwilę przypominał sobie takie szczegóły jak to, że Salvesen miał pieprzyk albo brodawkę na prawym policzku tuż nad ustami. Dwukrotnie Billy T. zauważył, że ten zazwyczaj arogancki, pewny siebie mężczyzna jest bliski płaczu. Potrafił jednak wziąć się w garść, strzepnąć nieistniejący pyłek z kłapy marynarki, lekko odchrząknąć i ciągnąć swoją opowieść. Prokurator okręgowy Sigurd Halvorsrud zachowywał się jak człowiek, który mówi prawdę.

– Narobił pan sobie piekielnych kłopotów – podsumował w końcu Billy T. i spojrzał na zegarek. Była za dwadzieścia pierwsza. – To znaczy, że siedział pan przez ponad półtorej godziny, wpatrując się w ciało żony, zanim zadzwonił pan na policję? Przez półtorej godziny???

– Mniej więcej – odparł Halvorsrud cicho. – Oczywiście nie pamiętam tego dokładnie, ale tak obliczyłem. Później. Wtedy tego nie czułem.

– Ale dlaczego, u diabła, tak pan postąpił?

Billy T. rozłożył ręce, wywracając przy tym puszkę po coli pełną długopisów i ołówków. Rozsypały się po blacie jak bierki, na których nikt nie miał ochoty próbować swoich sił.

– Ja... szczerze mówiąc, nie wiem. Byłem w szoku. Tak sędzę. Myślałem o dzieciach. Myślałem o... o naszym życiu. O tym, jakie było. Jakie teraz będzie. Nie bardzo wiem. Nie czułem, że mija tyle czasu.

Billy T. rozumiał, na co Halvorsrud poświęcił półtorej godziny. Jeżeli

mówił prawdę. Której raczej nie mówił, sądząc po dowodach w sprawie.

– Nie mógł pan pojąć, że pan nie interweniował. – Billy T. sam usłyszał, jak ostro to zabrzmiało. – Wstydział się pan, że pozwolił innemu mężczyźnie zmalretować żonę, a sam nie kiwnął nawet palcem w jej obronie. Prawdopodobnie zastanawiał się pan, czy zdoła z tym dalej żyć. Nie potrafił pan sobie wyobrazić, jak pan powie o tym dzieciom. Na przykład. Mam rację?

Halvorsrud z trudem łąpał oddech. Patrzył Billy’emu T. w oczy, a jego spojrzenie wyrażało głęboki wstyd i nową nadzieję.

– Pan mi wierzy – stwierdził w końcu. – Mówi pan tak, jakby mi pan wierzył.

– To, czy ja panu wierzę, ma zerowe znaczenie. I pan świetnie o tym wie. – Billy T. potarł kark prawą ręką, a lewą z drugiej szuflady od góry wyjął teczkę. Rzucił ją na biurko, nie otwierając. – Pana historia jest interesująca – oświadczył krótko. – Ale jeszcze bardziej interesuje mnie wyjaśnienie, dlaczego w śmieciach u państwa w domu leżał wniosek o separację. Podpisany przez pańską żonę. Z datą czwartego marca. Czyli tego dnia, w którym zginęła. W tym dniu, kiedy ktoś ją zabił.

Po raz pierwszy twarz Halvorsruda pokryła się ciemną czerwienią. Spuścił wzrok na kolana i jak oszalały zaczął pocierać spodnie na udzie.

– Nie wiedziałem. Naprawdę nie wiedziałem, że ona... Nie sądziłem, że nasze ostatnie drobne problemy mogą być istotne dla tej sprawy.

– Istotne?! – ryknął Billy T., podrywając się z krzesła. – Istotne?! – wrzasnął jeszcze raz, nachylając się nad prokuratorem. – I to pan niby jest jednym z geniuszy prokuratury? Czy pan... czy pan jest idiotą?

Adwokat Borg błyskawicznie się podniosła i wysunęła rękę przed swojego klienta, jakby chciała powstrzymać Billy’ego T. przed fizycznym atakiem.

– Doprawdy, ani pan Halvorsrud, ani ja nie musimy się na to godzić! Albo się uspokoisz i usiądziesz, albo będę zalecać mojemu klientowi

milczenie.

– Nie musicie się godzić! – syknął Billy T. przez zaciśnięte zęby. – W tej teczce – uderzył palcami w okładkę – mam poszlaki wskazujące na to, że *something was really rotten in the house of Halvorsrud*, jak mawiał Szekspir. Z jednej rzeczy musi pan zdawać sobie sprawę... – Billy T. gwałtownie usiadł i obiema rękami mocno podrapał się po głowie, po czym skierował w stronę prokuratora grożący palec. – W tym budynku akurat w tej chwili ma pan tylko jednego przyjaciela. Na całym świecie ma pan tylko jednego przyjaciela. Mnie. Karen na przykład – teraz wskazała na prawniczkę – jest świetną adwokatką, to wspaniała dziewczyna, bardzo miła kobieta, ale ona nie jest w stanie pomóc panu posunąć się do przodu nawet o metr. Nawet o metr, rozumie pan? Ja natomiast mogę panu powiedzieć, że ta pana opowiadka o Salvesenie wydaje mi się na tyle niewiarygodna, że mam ochotę ją zgłębić. Z każdym dniem, który minie bez zwłok Salvesena, pana pozycja będzie się stawać coraz mocniejsza. Jeżeli pan będzie tego chciał. Jeśli będziemy współpracować. Jeśli będzie pan odpowiadał na moje pytania, a poza tym wykorzysta ten swój wielki mózg do zrozumienia, że powinien pan mówić również o tym, o co nie pytam. Jasne?

Zapadła cisza. Lekki szum komputera jeszcze ją pogłębił.

– Przepraszam – odezwał się w końcu Halvorsrud chyba po minucie. – Naprawdę przepraszam. Oczywiście, że powinienem był coś o tym powiedzieć, ale to mi się wydawało takie dalekie. Akurat w tej chwili. To prawda, że przeżywaliśmy trudny okres. Doris mówiła o separacji. Ale nie wiedziałem, że wypełniła wniosek. W czwartek, przed przyjściem Salvesena...

Facet przynajmniej zasługuje na podziw za tak konsekwentne trzymanie się swojej wersji, przemknęło przez głowę Billy'emu T.

– ...było nam tak miło. Wziąłem wolne w piątek, mieliśmy spędzić razem weekend. Sami. Dzieci wyjechały.

Kiedy wspomniał o dzieciach, przez twarz znów przebiegł mu grymas przypominający fizyczny ból. Jakieś napięcie mięśni wokół oczu, drgnienie pod kośćmi policzkowymi.

– Muszę trochę zapisać, zanim posuniemy się dalej – oświadczył Billy T.

Obrócił się z krzesłem do klawiatury. Mimo że posługiwał się jedynie trzema palcami, szło mu szybko. Stukanie kazało adwokat Borg i prokuratorowi Halvorsrudowi milczeć. Karen zamknęła oczy, przeczuwając, że przed nią jeszcze najgorsze. Hanne Wilhelmsen obiecała, że da jej wszystkie dokumenty po dzisiejszym spotkaniu, a Karen się na to zgodziła. W zasadzie udział w ważnym przesłuchaniu bez uprzedniego zapoznania się z jakimikolwiek dokumentami był rzeczą absolutnie niesłychaną, ale Karen wiedziała, że Hanne nigdy by jej nie oszukała. Przynajmniej celowo. Złe przeczucia Karen Borg wynikały stąd, że znała Billy’ego T. Wiedziała, co u niego oznaczają czerwone plamy z boku na szyi.

– Okej – powiedział Billy T. nagle, odwracając się z powrotem do Halvorsruda. – Nic pan nie wiedział o tym wniosku o separację. Czy wobec tego może mi pan wyjaśnić, dlaczego w starej apteczce u pana w piwnicy leżało sto tysięcy koron w zgrabnych paczkach?

Prokurator okręgowy nie zaczerwienił się, nie okazał żadnego zaskoczenia, żadnego wstydu. Szczęka mu nie opadła, nie rozłożył rąk. Patrzył tylko na Billy’ego T. pustym wzrokiem. Jego oczy wyglądały tak jak rano – czerwone i martwe.

– Halo! – Billy T. pomachał mu przed nimi palcami. – Jest pan tu? Co znaczą te pieniądze?

Halvorsrud zemdlał, cicho i spokojnie.

Najpierw zamknęły się oczy, jakby uznał, że pora na drzemkę. Potem usztywniony tors powoli przechylił się na bok. Zatrzymał się dopiero, gdy głowa uderzyła o ścianę przy oknie z głuchym odgłosem. Później, również bardzo powoli, opadła żuchwa i Halvorsrud zaczął przypominać pasażera

samolotu, któremu znudził się film. Oddech miał ledwie wyczuwalny.

– Cholera! – zaklął Billy T. – Umarł?

Karen Borg złapała Halvorsruda za klapy marynarki.

– Pomóż mi! – syknęła.

Wspólnymi siłami ułożyli prokuratora na podłodze, po czym Billy T. zadzwonił po karetkę i wezwał dwóch funkcjonariuszy, by towarzyszyli przesłuchiwanemu do szpitala.

– Macie więcej takich sensacji?

Plama na kremowej spódnicy Karen Borg jeszcze się powiększyła. Prawniczka usiłowała zasłaniać ją dłonią, ale w końcu zrezygnowała. Zrzuciła buty i zaczęła rozcierać stopy. Byli sami w pokoju Billy’ego T., który nie odpowiedział.

– Hanne obiecała mi dzisiaj dokumenty – ciągnęła Karen. – Myślę, że ta umowa wciąż obowiązuje.

Billy T. zdjął z emaliowanej półki na ścianie zestaw kopii akt, szybko przerzucił papiery i usunął z pliku dwie kartki związane spinaczem.

– To ci mogę dać – oświadczył i, znów ziewając, podał jej plik. –

Z resztą musimy się wstrzymać, dopóki jeszcze raz nie porozmawiam z twoim klientem. Te pieniądze wytrąciły go z równowagi...

Zamyślony wyjrzał przez okno. Zaczął padać deszcz. Duże ciężkie krople ścigały się, rysując smugi na brudnej szybie.

– Mogę do ciebie wpaść któregoś dnia? – spytał nagle Billy T. – Mam wam coś do powiedzenia. Tobie i Håkonowi.

– Oczywiście. Zdradzisz mi, o co chodzi? To coś poważnego?

Wymienili spojrzenia. Trwało to tak długo, że Karen w końcu skrzywiła się i spuściła wzrok na obolałą stopę.

– Tak sądzę – powiedział Billy T. cicho. – Wpadnę w poniedziałek wieczorem, dobrze? Chyba że ten budynek tymczasem spłonie.

– Będzie stał, nawet kiedy góry Dovre się zawałą – mruknęła Karen, wkładając but. – A nie chcesz przyjść dzisiaj? Jesteśmy w domu i nie mamy

żadnych planów na wieczór.

Billy T. się zastanowił.

– Nie – zdecydował wreszcie. – Widzimy się w poniedziałek. Koło ósmej.

11

Kiedy Eivind Torsvik miał trzynaście lat, obciął sobie uszy.

Nie miał wcale zamiaru umierać ani z upływu krwi, ani w wyniku infekcji. Dzień wcześniej wybrał się do apteki i za skradzione pieniądze kupił sterylne opatrunki i trzy rolki plastra. Obcięte uszy umieścił w pudełku z watą, a potem w zakrwawionych nausznikach stawił się w szkole, żeby pokazać nauczycielowi, co zrobił.

Właśnie to było potrzebne.

Pod wieloma względami już wtedy czuł, że jest za późno, ale jednocześnie wiedział, że mimo wszystko coś jeszcze zostało. Był trwale okaleczony, to prawda, lecz wciąż miał w sobie coś, co warto było zachować. Byle tylko się nim zajęto. Za uzyskanie pomocy zapłacił uszami.

Teraz miał dwadzieścia siedem lat i czuł, że ofiara nie była zbyt duża. Pewien kłopot sprawiało jedynie noszenie okularów – musiał kupować oprawki na tyle ścisłe, by trzymały się na miejscu. Poza tym ludzie dziwnie na niego patrzyli. Ale niewiele osób widywał. Latem wokół domku, w którym mieszkał, roiło się od ludzi, lecz stali goście spędzający urlop w okolicy przywykli już do bezuchego młodego człowieka, który zawsze się uśmiechał i bardzo rzadko odzywał. Szanowali jego granice, zarówno te wokół jego liczącej czterdzieści arów działki, jak i wokół niego samego.

Dni takie jak ten zaliczały się do przyjemnych.

Była sobota, szósty marca. Mżawka barwiła przedpołudnie na szaro, a wiatr malował na fiordzie białe kreski piany. Eivind Torsvik siedział do czwartej nad ranem, mimo to czuł się świeży i pełen energii. Wkrótce skończy swoją czwartą powieść.

Całe szczęście. Przed metą, zawsze mniej więcej o tej porze roku, pisanie pochłaniało go całkowicie. Niewiele czasu zostawało mu na jego

prawdziwe życiowe zadanie. Zaawansowany sprzęt komputerowy, który wypełnił pół salonu i wydawał z siebie zapach dusznego lokalu przemysłowego, został zredukowany do prostego edytora tekstu.

Eivind Torsvik szedł na bosaka po wystającym z morza głazie. Skała pod stopami była zimna i nierówna, a on czuł się silny. Kiedy wskoczył do morza, słona woda aż go zapiekła. Nie mogła mieć więcej niż siedem, osiem stopni. Z trudem łapiąc oddech, przepłynął dziesięć metrów, po czym zawrócił do brzegu z głową pod wodą, błyskawicznie poruszając rękami.

Najwyższa pora na drugie śniadanie. Potem skończy.

12

– Dlaczego to się stale powtarza? – Hanne Wilhelmsen uderzyła o stół „Dagbladet” i „VG”.

Erik Henriksen zakrztusił się jedzeniem i posłał na gazety grad nieprzeżutych okruchów.

– Co takiego? – spytał sierżant Karl Sommarøy i pociągnął wielki łyk z półlitrowej szklanki mleka.

– Dlaczego ci dziennikarze wiedzą więcej niż my? Dlaczego nikt nie zadzwonił i mnie nie obudził?

Żaden z kolegów nie czuł się powołany do odpowiedzi. Hanne usiadła na krześle przy końcu stołu w spartańsko umeblowanej salce konferencyjnej i z coraz większą złością zaczęła przewracać strony „VG”.

– Masz wąsy – odezwała się nagle, patrząc na Sommarøya, i palcem narysowała kreskę nad własną górną wargą. – To prawda, że Halvorsruda już wcześniej ukarano grzywną za przemoc?

– To było dokładnie trzydzieści lat temu – odparł Karl Sommarøy sztywno i wytarł usta. – Jako szesnastolatek dostał pięćdziesiąt koron grzywny za to, że szturchnął kolegę Siedemnastego Maja³. Pijany, głupi szesnastolatek, Hanne. To mu nie przeszkodziło nawet w dostaniu się na aplikację adwokacką. Ani w zrobieniu kariery w prokuraturze. Tamten incydent już dawno wymazano ze wszystkich archiwów. Wątpię, by miał jakiegokolwiek znaczenie dla tej sprawy.

³ W Norwegii Dzień Konstytucji.

– Pozwól, że ja o tym zdecyduję – syknęła Hanne ze złością. – Mam dość uzyskiwania z gazet nowych informacji w sprawie, którą prowadzę. Skąd ci redaktorzy wiedzą takie rzeczy? – Skrzywiona odrzuciła gazetę i wyciągnęła się po filiżankę z tacy stojącej na środku podłużnego stołu.

– Od ludzi – orzekł Erik Henriksen, który mógł już wreszcie oddychać normalnie. – Przeciętny Norweg jest gotów zdradzić każdą tajemnicę, jeśli tylko może liczyć, że dostanie za to dziesięć tysięcy nieopodatkowanych koron.

– Mam nowe informacje o dyskietkach – oznajmiła Karianne Holbeck z uśmiechem.

Hanne do tej pory nawet jej nie zauważyła.

– Tych z apteczki?

Karianne kiwnęła głową.

– I co to za informacje? – Hanne wyprostowała się i przysunęła krzesło bliżej stołu.

– Dyskietki zawierają dane na temat czterech spraw prowadzonych przez Økokrim. Dość poważnych z tego, co widzę. W każdym razie rozpoznałam trzy nazwiska. Wpływowi ludzie. Dziwne jest to, że na dyskietkach nie ma w zasadzie kopii akt. To raczej jakby streszczenia tych spraw. Wprawdzie szczegółowe, ale formą i treścią niezbyt przypominają raporty policyjne.

Powietrze w pozbawionej okien sali konferencyjnej było ciężkie, przesycone zapachem starych paczek z drugim śniadaniem. Hanne czuła nadciągający ból głowy. Rozmasowała skronie i przymknęła oczy.

– Potrafisz stwierdzić, kto je napisał?

– Na razie jeszcze nie. Oczywiście ciągle je badamy.

Hanne otworzyła oczy i popatrzyła na Erika, potem lekko się uśmiechnęła i zmierzwiła mu ogniście rude włosy. Kiedyś Erik kochał się w niej. Kręcił się wokół jej nóg jak szczeniak, uszczęśliwiony każdą najmniejszą oznaką poufałości. Kiedy w końcu zrozumiał beznadziejność tych zabiegów, ciągle przytyki pani komisarz do jego mniejszego doświadczenia i młodego wieku zaczęły go irytować.

– Pomóż jej, Erik – poleciła Hanne. – A poza tym... – Znów spojrzała na Karianne Holbeck.

W nowej koleżance było coś, co ją pociągało. Starsza posterunkowa

miała nie więcej niż dwadzieścia siedem, osiem lat, kobiece kształty i nieustannie w śmieszny sposób poruszała głową, by odrzucić pól długie jasne włosy za ramiona. Jej spojrzenie przypominało Hanne oczy psa, którego wyprowadzała w dzieciństwie: żółto-brązowe z zielonymi plamkami, jednocześnie bystre i spokojne, bezpośrednie, mimo to niezbyt łatwe do odczytania.

– Coś nowego w związku z tym komputerem?

– Tak – kiwnęła głową Karianne. – Twardy dysk okazał się nowy.

Z hałasem otworzyły się drzwi i do środka wpadł Billy T., wypełniając sobą pomieszczenie tak, że Karianne umilkła.

– Mów dalej – poprosiła Hanne, nie patrząc w kierunku Billy’ego T.

Usiadł zagniewany przy Karlu Sommarøyu i sięgnął po krzyczące wielkimi literami gazety.

– Twardy dysk został zwyczajnie wymieniony – wyjaśniła Karianne. –

Stało się to najprawdopodobniej bardzo niedawno. Sprawdziliśmy numer seryjny. Sam komputer jest stary, tak jak przypuszczaliśmy. Stary i zużyty. Ale wnętrzości...

– ...nowe – dokończyła Hanne w zamyśleniu i znów zamknęła oczy.

Od kiedy w pewien wieczór przed Bożym Narodzeniem w 1992 roku zaatakowano ją w komendzie pod drzwiami własnego pokoju, dokuczały jej stale nawracające bóle głowy. W ciągu ostatniego półrocza jeszcze się nasiliły.

– Wiemy, kto dysponował tym komputerem?

– Właściwie nie – stwierdziła Karianne, próbując jednocześnie zakręcić korek termosu, który wydawał piskliwe dźwięki. – Ale sądząc po miejscu, w jakim stał, przypuszczałabym, że ona. To znaczy Doris Flo Halvorsrud. Wokół komputera leżały kartki z notatkami o zakupach i o urządzeniu wnętrza. Poza tym samo stanowisko komputerowe było... Nie bardzo wiem, jak to określić. Kobiece? Rośliny doniczkowe i malutki miś przyklejony do obudowy, takie rzeczy. Ktoś powinien o to spytać Halvorsruda, może

również dzieci. Jutro

wracają.

– Jak poszło przesłuchanie?

Hanne Wilhelmsen założyła ręce na karku i popatrzyła na Billy’ego T. Zwilżył palce śliną i dalej gniewnie przewracał strony „VG”.

– Zemdłał.

– Co?

– Zemdłał. W samym środku przesłuchania. Ledwie go spytałem o te pieniądze w piwnicy, stracił przytomność. Po prostu się osunął, cicho i spokojnie.

– Spisałeś to przesłuchanie?

– Tak, ale nie jest podpisane. Halvorsrud jest w Szpitalu Ullevål. Mówią, że to nic poważnego. Wraca do nas już jutro.

– Chyba że ktoś w białym fartuchu stwierdzi, że tutejsze powietrze mu nie służy. – Erik Henriksen wsunął papierosa za ucho i ciągnął: – A jeśli tak, to będzie jak zawsze. Zwykły szary łobuz musi wytrzymać w zapychałym areszcie całe tygodnie, a jak zwiniemy kogoś w drogim garniturze, to już trzygodzinny pobyt u nas jest uznawany za szkodliwy dla zdrowia.

– Pójdziemy na spacer? – spytał nagle Billy T., patrząc na Hanne.

– Na spacer? – powtórzyła z niedowierzaniem. – Teraz?

– Tak. Ty i ja. Na spacer. Na taki roboczy spacer. Po drodze możemy rozmawiać o śledztwie. Przydałoby mi się trochę świeżego powietrza.

Podniósł się tak gwałtownie, że o mało przy tym nie przewrócił krzesła, i ruszył do drzwi, jakby sprawa już była przesądzona.

– Chodź! – nakazał, lekko klepiąc Hanne po ramieniu.

Wykręciła się i nie ruszała się z miejsca.

– Skontaktuj się z Økokrim, Karianne. Przyjrzyj się śledztwom z tych dyskietek i dowiedz się – podniosła ręce i zaczęła liczyć na palcach – czy śledztwo trwa, czy wniesiono oskarżenie, czy może sprawy zostały umorzone i... – urwała gwałtownie – ...kto ewentualnie o tym zdecydował –

dokończyła powoli. – Jeżeli Halvorsrud, to poproś, żeby któryś z innych prokuratorów z okręgowej się temu przyjrzał. Niech sprawdzą, czy umorzenie było uzasadnione. A ty, Karl... – Spojrzała na sierżanta Sommarøya.

Zawsze z trudem przychodziło jej patrzeć mu w oczy. Jej wzrok z reguły biegł w dół jego twarzy, jakby fascynowało ją to, że prawie nie miał podbródka. Kiedy go zobaczyła pierwszy raz, pomyślała, że to wynik jakiegoś tragicznego w skutkach wypadku. Karl był wysoki, atletycznie zbudowany, miał gęste kręcone włosy, oczy duże i zielone z krótkimi męskimi rzęsami. Garbek na dużym nosie przydawałby całej jego postaci wręcz autorytarnego wyrazu, gdyby nie to, że twarz kończyła się niemal dokładnie pod maleńkimi wąskimi ustami. Trochę tak, jakby Bóg spletał Karlowi Sommarøyowi przykrego psikusa i obdarzył go podbródkiem czteroletniego dziecka.

– Ty zbierzesz wszystkie zeznania świadków, jakie uzyskaliśmy do tej pory. Zrobisz streszczenia i zostawisz je u mnie na biurku przed dziewiątą jutro rano. Razem z kopiami wszystkich protokołów z przesłuchań.

– To przecież blisko dwadzieścia protokołów – poskarżył się Karl i zabębnił o stół lewą ręką. – I w żadnym nie ma niczego, co miałoby jakieś większe znaczenie.

– Wobec tego nie powinno ci to sprawić kłopotu. Jutro o dziewiątej. – Hanne Wilhelmsen wstała. – A ja idę na krótki spacer – oświadczyła, uśmiechając się tak szeroko, że ci, którzy wciąż niezbyt dobrze ją znali, popatrzyli na nią ze zdziwieniem. W drzwiach jeszcze się gwałtownie odwróciła i kiwnęła głową Karianne. – Rozumiesz, o czym myślę w związku z tymi dyskietkami?

– Mnie samej to przyszło do głowy – westchnęła ciężko młodsza policjantka. – Jeżeli mamy rację, to Halvorsrud wpadł w bagno po uszy.

– Albo i głębiej. Stawiam tysiaka na to, że zostanie skazany – mruknął Erik Henriksen.

Nikt nie przyjął zakładu.

Evald Bromo nigdy nie używał Internetu do tych spraw. Wiedział, ile tam tego jest, ale po prostu nigdy się nie ośmielił.

Siedział i apatycznie gapił się w bezsensowny wzór wygaszacza ekranu. Sześcian dzielił się na kule, które rosły, zmieniały się w kwiat, a ten, więdnąc, przeobrażał się w czterokolorowy trójkąt. I tak w kółko. Wolnym ruchem zdjął okulary, wyczyścił je starannie brzegiem koszuli i nasadził z powrotem. Trójkąt zmienił się w sześcian. Sześcian w kule, które rosły...

– Rozbudowa Åsgardu – powiedział do siebie półgłosem i zacisnął rękę na myszce.

Wygaszacz ekranu zniknął, a przed jego oczami pojawiła się pusta strona. Ta sama od dwóch godzin.

Prawdopodobnie Statoil stała w obliczu katastrofalnej dziury budżetowej w chyba najbardziej prestiżowym projekcie tej państwowej spółki z niemal trzydziestoletnią historią. Gigantyczne inwestycje na polu naftowym Åsgard – nowe odwierty na szelfie w okolicach Haltenbanken, gazociąg do Kårstø w regionie Rogaland, rozbudowa zakładu przetwarzania oraz gazociąg Europipe II – miały według planu kosztować około dwudziestu pięciu miliardów. Z informacji, które ktoś podrzucił Evaldowi Bromo, wynikało, że według nowych szacunków kwota ta mogła się zwiększyć o dziesięć, a nawet piętnaście miliardów. Jeśli to prawda, trudno będzie przewidzieć, kto za dwa miesiące zostanie na polu walki. Raczej nie szef koncernu. I raczej nie zarząd.

Evald Bromo nie był w stanie napisać ani słowa. Myślał o wszystkim, co znajdowało się w pobliżu, zaledwie na wciśnięcie kilku klawiszy. Napięcie całego ciała sprawiło, że kolana stukały o siebie coraz mocniej, dopóki ból nie kazał mu przestać.

Evald Bromo wiedział, co oznacza napięcie. Wiedział, co musi zrobić, ale tego nie chciał. Nie tym razem. Dwa e-maile, które pojawiły się w jego życiu, odebrały mu wszelkie możliwości. Surfowanie po sieci mogłoby pomóc. Przynajmniej na krótki czas.

Ale nie mógł. Ślady elektroniczne zostawały wszędzie.

Evald Bromo postanowił pobiec do domu. Może wieczorem też pobiega. Wstał, zrzucił marynarkę, koszulę i spodnie, włożył żółto-czarny dres Adidasa. Sznurując buty, już się pocił. Dłonie miał mokre i czuł bijący od siebie nieprzyjemny zapach, jeszcze zanim znalazł się za drzwiami.

Wyleciało mu z głowy, że powinien powiedzieć redaktorowi dyżurnemu, że nie skończy artykułu. Kiedy sobie o tym przypomniał po pięciu kilometrach sprintu, na chwilę się zatrzymał, po czym znów zaczął całą siłę wkładać w odbicia.

Evaldowi Bromo nie chciało się nawet zadzwonić.

Ostre powietrze kąsało w policzki. Hanne Wilhelmsen się zatrzymała. Odchyliła głowę i przymknęła oczy, czując, jak wilgoć z ziemi przenika przez cienkie podeszwy butów i pełnie po łydkach niczym chłodna pieszczota. Oddychała głęboko przez nos, uświadamiając sobie, że pierwszy raz od dawna nie czuje potrzeby zapalenia papierosa. Drzewa wzdłuż leśnej drogi stały po zimowemu szare i pesymistyczne, ale tu i ówdzie przez warstwę gnijących liści przebijały się żółte główki podbiałów. Hanne trochę zmarzła, ale czuła się dobrze.

– Świetny pomysł – przyznała, wsuwając rękę pod ramię Billy’ego T. – Rzeczywiście potrzebowałam tego.

Billy T. opowiedział jej o przesłuchaniu, o Halvorsrudzie uparcie trzymającym się swojej wersji ze Stålem Salvesenem, o tym, że sam mu wierzył, chociaż wcale nie chciał, o swojej rosnącej fascynacji sprawą, która początkowo wydawała mu się po prostu wstrętą.

– Jeżeli Halvorsrud nie kłamie – zaczął spekulować – to widzę tylko dwie możliwości. Albo naprawdę się myli i wydaje mu się, że mordercą był Salvesen, chociaż w rzeczywistości był to ktoś inny, tylko bardzo do niego podobny.

Hanne z niechęcią zmarszczyła nos.

– Zgadzam się – powiedział Billy T. prędko. – To brzmi nieprawdopodobnie. Zwłaszcza że zabójca przebywał tam długo, a Halvorsrud upiera się, że to był on. Innym rozwiązaniem jest oczywiście to, że Salvesen wcale nie umarł.

– Możliwe – zgodziła się Hanne. – Zaaranżował samobójstwo w poniedziałek i ukrył się, żeby zabić w czwartek, a potem uciekł na koniec świata.

Wymienili powątpiewające spojrzenia.

– Czytałem o takich rzeczach. – Billy T. westchnął głośno. – To znaczy raczej oglądałem na filmach. Ale, szczerze mówiąc, nigdy nie słyszałem o podobnej sprawie w rzeczywistości.

– Co nie oznacza, że coś takiego nie mogło się zdarzyć – stwierdziła Hanne. – On też mógł oglądać takie filmy.

Zeszli z drogi przez las na ścieżkę, która już po kilku metrach kończyła się miejscem biwakowym przy Skarselva. Ciężka od deszczu, gęsta woda w rzece płynęła w stronę Maridalsvannet. Nad brzegiem jeziora unosiła się chmura chłodnej wilgoci. Nie ścierając zimowego brudu z poszarzałej od słońca i deszczu drewnianej ławki, Hanne i Billy T. usiedli twarzami w stronę wody.

– Z tego zapachu powinni zrobić perfumy – powiedziała Hanne z uśmiechem, węsząc w powietrzu. – Musimy znaleźć motyw. Ewentualny.

– Ewentualny – powtórzył Billy T. – Gdybyśmy tak tylko, dla zabawy... Gdybyśmy przez moment wyobrazili sobie, że Halvorsrud mówi prawdę. Dlaczego, do cholery, Salvesen miałby zabijać jego żonę? Przecież oni się nawet nie znali!

– Nie. Ale Stałego Salvesena zrujnowało to śledztwo, o którym opowiadałeś. To z początku lat dziewięćdziesiątych. Wszczął je i prowadził Halvorsrud.

– No dobrze. – Billy T. lekko obrócił się w stronę Hanne. – Najwyraźniej kiedy Økokrim ścigał Salvesena, w jego życiu dokonał się jakiś dramatyczny zwrot. Może rzeczywiście tak było. Ale dlaczego miałby działać teraz? Skoro facet ma w sobie tyle nienawiści do Halvorsruda, że zabija jego żonę, dlaczego dusił tę nienawiść w sobie przez siedem czy osiem lat?

Hanne nie odpowiedziała. Historia z Salvesenem nie trzymała się kupy, a ona zawsze wyznawała jedną zasadę: prawdą jest to, co jest proste. To, co oczywiste, jest słuszne. Przestępstwa są na ogół wynikiem działania impulsywnego, rzadko bywają wyrafinowane i prawie nigdy nie dochodzi

do nich w efekcie skomplikowanego spisku. Oczywiście zdarzały się również wyjątki od tych reguł. Sama rozwiązała wcale niemałą liczbę spraw właśnie dzięki temu, iż wiedziała, że każda reguła ma swoje odstępstwa.

– Zaaranżować własne samobójstwo – złamała gałązkę z niedużej brzoźki i włożyła ją do ust, poczuła gorycz; sok kleił się do warg – nie mając innego motywu niż ten, że przed laty toczyło się przeciwko niemu śledztwo. I nawet o nic go nie oskarżono.

Hanne splunęła, wyrzuciła gałązkę i zeszła nad samą wodę. Szum rzeki wciskał bębni do środka. Roześmiała się, nie wiedząc dlaczego.

– Zaraz usłyszysz inną teorię! – zawołała do Billy’ego T. – A może Halvorsrud sprzedawał informacje uzyskane przez Økokrim ludziom, przeciwko którym toczyło się śledztwo?

Brzeg był śliski. Hanne, z trudem utrzymując równowagę, przechodziła z kamienia na kamień. Nagle noga jej się omsknęła. Lodowata woda sięgnęła jej aż do kolana, nim zawstydzona zdołała wydostać się na brzeg.

– Może żona to odkryła – ciągnęła, gwałtownie wymachując moką nogą. – Może nawet opisała to na swoim komputerze. A ponieważ chciała mieć za męża bohatera, a nie bandytę, zażądała rozwodu. Chyba musimy biec do samochodu, bo jeszcze dostanę od tego zapalenia płuc.

Zaczęli się ścigać. Potrącali się i przepychali, próbując sobie nawzajem podstawić nogi, ale jednocześnie jak najszybciej dotrzeć do auta.

– Ale Halvorsrud nie chciał się rozwieść – wysapała Hanne, unosząc rękę w geście zwycięstwa. – Doris stała się zagrożeniem, i to poważnym. Więc ją zabił, wymyślając przy tym historię tak fantastyczną, że ktoś powinien w nią uwierzyć. I właśnie tej wersji postanawia się trzymać bez względu na wszystko – *come hell or high water*.

– No dobrze, ale... – Billy T. próbował się wcisnąć do ciasnego służbowego auta – dlaczego raczej nie zaaranżował wypadku? Zderzenia samochodów albo pożaru w domu. Wybrał za to samurajski miecz, Hanne! Przecież to regularne ścięcie!

Samochód, zanosząc się kaszlem, ruszył w dół Maridalsveien. Mimo sobotniego popołudnia w tym jednym z najbardziej popularnych rejonów wycieczkowych wokół Oslo ruch był raczej nieduży. Na zakręcie przy ruinach średniowiecznego kościoła silnik zgasł.

– Przeklęty zasrany grat! – Billy T. walnął ręką w kierownicę.

Hanne się roześmiała.

– Ten samochód jest jak dzieciak, ja go znam. Początkowo pełen zapału, ale jak go nogi zabolą, to odmawia dalszej współpracy. Może trzeba go będzie zanieść do domu?

Zanosila się śmiechem, kiedy Billy T. w przyływie wściekłości zaczepił o coś, co uniemożliwiło mu wydostanie się z ciasnego siedzenia kierowcy.

– Dzwon na komendę! – warknął. – A jeśli trzeba, to zadzwon po tych cholernych strażaków. Niech mnie stąd wyciągną.

Hanne wysiadła z samochodu. Mocniej owinęła się kurtką i ruszyła w stronę Maridalsvannet, szukając w kieszeni komórki. Dwie minuty później uzyskała potwierdzenie, że pomoc już jedzie.

Lód jeszcze nie puścił. Rozpościerał się na zbiorniku wody pitnej dla Oslo niczym brudnoszara błona. Hanne zatrzymała się na widok dorosłego łosia pijącego wodę, która zebrała się na powierzchni lodowej pokrywy. Po chwili wielkie zwierzę prawdopodobnie ją zwietrzyło, bo czujnie uniosło łeb, biegiem puściło się w stronę zagajnika i zniknęło. Hanne Wilhelmsen poczuła nagle niewytłumaczalną pewność. Stałe Salvesen nie żył. Oczywiście nie mogła tego wiedzieć, ale i tak wiedziała.

– Weź się w garść – skarciła się ze złością.

W końcu otrząsnęła się z tej myśli i zawróciła, żeby pomóc Billy’emu T., który na dobre utknął w starej fieście i przeklinał tak, że słyhać go było chyba w całej dolinie.

Ostatnia kropka była zawsze stawiana podczas niewielkiej ceremonii. Rano Eivind Torsvik otworzył butelkę Vigne de L'Enfant Jésus. Czerwone wino oddychało od dziesięciu godzin. Teraz podniósł kieliszek do światła padającego z monitora i zakręcił nim w powietrzu. Napawał się satysfakcją, że wkrótce po raz ostatni dotknie klawisza z kropką.

Nigdy nie był dobrym uczniem. Do podstawówki ledwie zajrzał. Kiedy w wieku trzynastu lat obciął sobie uszy i życie wreszcie stało się trochę znośniejsze, szybko się przekonał, że brakuje mu podstawowej wiedzy. Później w zasadzie z niej zrezygnował. Radził sobie i bez niej.

Eivind Torsvik niewiele wiedział o historii parlamentaryzmu. Słyszał oczywiście o amerykańskiej wojnie domowej i rewolucji październikowej, ale miał zaledwie niejasne wyobrażenia o tym, kiedy do tych wydarzeń doszło i o co zasadniczo w nich chodziło. W kwestii literatury pięknej poprzestał na trzech książkach: *Mobym Dicku*, *Głodzie* oraz *Drømmen og hjulet* Jensa Bjørneboe. Przeczytał je wszystkie podczas pierwszych tygodni pobytu w więzieniu i potem nie mógł spać. Później czytał je jeszcze trzykrotnie. Brak snu skończył się tygodniem w szpitalu. Kiedy postanowił pisać, podjął jednocześnie decyzję, że już nigdy więcej nie przeczyta niczego, co stworzyli inni. To go jedynie zaburzało.

Gdy w związku z badaniami sądowo-psychiatrycznymi sprawdzono mu IQ, zdumiał wszystkich oprócz siebie poziomem inteligencji znacznie przewyższającym średnią. Eivind Torsvik wykorzystywał swój bystry umysł na pisanie książek, które każdy, kto tylko je otworzył, doczytywał do końca jednym tchem. Poza tym dobrze znał angielski, którego nauczył się, oglądając amerykańskie filmy klasy B na wideo w tym czasie, kiedy wszystkie inne dzieci były w szkole. Ponieważ rzadko czytywał gazety,

wydawnictwo po ukazaniu się pierwszej jego książki przysłało mu recenzje pocztą. Pierwszy raz w życiu Eivind Torsvik czuł się naprawdę usatysfakcjonowany. Nie dlatego, że pochlebiały mu panegiryki, czemu zresztą by nie zaprzeczył, ale dlatego że poczuł się dostrzeżony, zrozumiany. Debiutancka powieść była cegłą liczącą ponad siedemset stron i opowiadała o szczęśliwej dziwce rządzącej ciemnymi zaułkami Amsterdamu. Noga Eivinda Torsvika nigdy nie powstała w tym mieście. Kiedy rok później dowiedział się, że książka odniosła wielki sukces również w Holandii, posłał życzliwą myśl strażnikowi z Więzienia Ullersmo, który postawił mu na biurku w celi ledwie dyszący komputer i powiedział: „Masz, Eivind. To jest twój bilet do świata”.

Eivind Torsvik rzadko wspominał okres, który spędził w więzieniu, chociaż nie odczuł go szczególnie boleśnie. W ciągu tych czterech lat, które musiał odsiedzieć za zabójstwo popełnione w dniu jego osiemnastych urodzin, nauczył się wszystkiego, czego potrzebował, by dobrze żyć. Oprócz pisania zgłębił tajniki informatyki. Strażnicy nigdy nie utrudniali mu życia. Odnosili się do niego z szacunkiem, a niekiedy nawet z czymś na kształt dobroci. A ponieważ siedział za zabójstwo, nawet więźniowie zostawiali go w spokoju, za bardzo nie mieszając się w jego sprawy. Po dwóch miesiącach nikt nie komentował nawet braku uszu. Nazywali go za to Aniołkiem. I chociaż przezwisko pierwotnie wymyślono po to, by zadrwić z jasnych kędziorów i nieschodzącego mu z twarzy niezgłębionego uśmiechu, Eivind nigdy nie czuł się nim urażony. „Aniołek” brzmiało dobrze.

Teraz po raz pierwszy od dawna pomyślał o celi, w której spędził cztery lata – dlatego że miał postawić kropkę.

Zamknął oczy, żeby ocenić, co czuje. Pierwszy raz radości z ukończenia pracy nad rękopisem zaznał na pięć dni przed wyjściem na wolność. Ponieważ w więzieniu nie miał dostępu do czerwonego wina, z dużym wyprzedzeniem kupił butelkę szampana bezalkoholowego. Strażnik uśmiechnął się, słysząc jego prośbę, ale zadbał o piękny kieliszek. Kiedy

Eivind Torsvik wznosił toast za siebie i swoją pierwszą powieść, czuł łaskotanie bąbelków na podniebieniu. Było to uczucie najbliższe przyjemności seksualnej, jakiej kiedykolwiek doznał.

Wypił łyk wina. W domku było przytulnie, ciepło, prawie gorąco. Eivind Torsvik siedział w koszulce i dżinsach. W momencie, kiedy przełykał wino, dotknął klawisza z kropką.

Choć może nie cieszył się wprost na kolejne cztery miesiące, to odczuwał głębokie zadowolenie na myśl, że wreszcie zajmie się czymś innym.

16

Hanne Wilhelmsen nie chciała spać. Mrugała, gwałtownie kręciła głową i starała się, jak mogła, żeby tylko nie zasnąć.

Kiedy wróciła do domu, na stole znów czekała kolacja. Cecilie zapaliła świece i nastawiła piękną muzykę, która wypełniła salon czymś, co domagało się uwagi. I po raz enty w ciągu wieczoru, tygodnia, a może miesiąca Hanne ogarnęło coś na kształt irytacji. Prawdopodobnie były to wyrzuty sumienia. Uchwyciła się ich. Uczepiła się przeświadczenia, że nie jest w porządku, licząc na to, że pomoże jej ono utrzymać oczy otwarte.

– Poddaję się – oświadczyła w końcu. – Przepraszam, Cecilie, ale po prostu muszę iść spać. Padam ze zmęczenia...

Muzyka się skończyła. Cisza wydała się tak gwałtowna, iż Hanne przez chwilę pomyślała, że może zdoła wytrzymać jeszcze pół godziny. Dla świętego spokoju. Dla Cecilie.

– Pójdę się położyć – powiedziała cicho. – Dziękuję za kolację, była pyszna.

Cecilie Vibe milczała. Siedziała z uniesionym widelcem, od którego właśnie odrywał się nieduży kawałek zębacza. Wpatrywała się w rybne mięso, aż w końcu wpadło w sos cytrynowy, bardzo nieapetycznie krzepnący na talerzu. Kiedy usłyszała, że Hanne zamyka za sobą drzwi sypialni, nie miała siły, żeby choćby zapłakać.

Całą noc przesiedziała, czytając książkę.

Nadeszła niedziela, siódmy marca. Do mieszkania zakradła się szarość świtu. Cecilie w końcu zasnęła tam, gdzie siedziała. Kiedy Hanne wstała około ósmej, nakryła partnerkę kocem, nie budząc jej, i wyszła bez śniadania.

Preben Halvorsrud był za młody, żeby pojąć własne zagubienie i rozpacz. Z jego twarzy wyzierały złość i zaprzeczenie. Pryszczki wokół nosa się zaogniły, a rzęsy, długie i podkreścone jak u dziewczyny, splątały się od śluzu i łez. Otwarte usta zdawały się odpychać i miały wilgotne kąciaki, których chłopak nie miał odwagi osuszyć językiem. Ledwie zerknął na Billy'ego T., kiedy sierżant po niego przyjechał. Później też nie wymienili ani jednego spojrzenia.

– Dobrze, że możecie mieszkać u ciotki.

Billy T. powoli się poddawał. Nie cierpiał przesłuchiwać dzieci. Komenda nie była miejscem dla nich, a Billy T. wszystkich poniżej dwudziestego roku życia uważał za dzieci. Sam jako dziewiętnastolatek rozbił zabrany bez pytania samochód. Jego wdzięczność dla ojca kolegi, który za karę kazał młodocianym przestępcom pomalować dom, nie miała sobie równych. Organa sprawiedliwości nigdy nie dowiedziały się o tej sprawie. Kiedy trzy lata później Billy T. starał się o przyjęcie do szkoły policyjnej, mógł rzucić na stół wymagane zaświadczenie o czystej kartotece. Tamten incydent nauczył go dwóch rzeczy: po pierwsze, że głupota młodych ludzi nie zna granic, a po drugie, że większość przewinień da się wybaczyć.

Preben Halvorsrud miał dziewiętnaście lat i nigdy nie ukradł nawet butelki oranżady. Nie zrobił nic złego, mimo to siedział w nieprzyjemnym pokoju w budynku policji i ogryzał palce do krwi, bo paznokci do ogryzania już nie miał. Wiercił się na krześle, szeroko rozsuwając nogi i nie rozumiejąc, że to bardziej dziecinne niż męskie.

– Kiedy będę mógł się zobaczyć z ojcem? – spytał, zwracając się do własnego uda.

– Trudno powiedzieć – stwierdził Billy T. – Myślę, że kiedy uda nam się

wysunąć trochę bardziej głowę nad powierzchnię wody i zobaczyć, co się tak naprawdę stało.

Powiedziawszy to, uświadomił sobie bezsens swojej odpowiedzi. Chłopakowi nic to nie mówiło. Preben Halvorsrud chciał się zobaczyć z ojcem. Teraz. Jak najszybciej.

– Niedługo – poprawił się Billy T. – Jak tylko się da.

Skończyły mu się pytania. Wcześniej usiłował delikatnie wysondować, co chłopak wie o relacjach rodziców, ale Preben odpowiadał głównie monosylabami. Z niechęcią i jakby trochę obrażony wykazywał jednak troskę o rodzeństwo. Martwił się zwłaszcza o szesnastoletnią siostrę.

– Kiedy pogrzeb? – spytał nagle, patrząc w okno.

Billy T. nie odpowiedział. Nie wiedział. Minęły zaledwie trzy dni, odkąd na matce Prebena Halvorsruda dokonano egzekucji poprzez ścięcie. Do tej pory Billy T. i reszta z jedenaściorga śledczych pracujących przy tej sprawie koncentrowała się na zbieraniu nitek do tkaniny, która w końcu być może wyjawí, kto zamordował Doris Flo Halvorsrud. Ale rzeczywiście, pogrzeb musiał się odbyć. W chwilowym przypływie skłonności do absurdu Billy T. wyobraził sobie dwie trumny: jedną dużą na ciało, drugą mniejszą, zgrabniejszą, na głowę. Z trudem powstrzymał się od bardzo niestosownego w tym momencie uśmiechu.

– Ojciec będzie mógł pójść?

Chłopak patrzył na niego przez chwilę. Był jak skóra zdarta z matki mimo za dużego, charakterystycznego dla późnego okresu dojrzewania nosa i cery, przez którą musiał mieć poważne kłopoty z dziewczynami.

– Czy będzie mógł stąd wyjść? Nie, jakiś czas posiedzi. Tak jak ci mówiłem...

– Nie chodziło mi o to, czy będzie mógł wyjść stąd. Rozumiem, że to niemożliwe. Chodziło mi o to, czy będzie mógł pójść na pogrzeb. Na pogrzeb mojej matki. Będzie mógł?

Billy T. potarł twarz i długo wciągał powietrze przez nos.

– Nie jestem tego pewien, Preben. Postaram się zrobić, co w mojej mocy.

– Byłoby lepiej przynajmniej dla mojej siostry. Ona to taka... córeczka tatusia.

– A dla ciebie? – spytał Billy T. – Co z tobą?

Chłopak wzruszył ramionami.

– No...

– Myślisz, że to ważne dla twojego ojca? Być na pogrzebie?

Grymasu, który pojawił się na twarzy Prebena Halvorsruda, nie dało się odczytać. Może chłopak był po prostu zmęczony.

– Mhm. – Lekko kiwnął głową.

– Dlaczego?

– Przecież oni się kochali!

Pierwszy raz przez niedostępność i nadąsanie przebił się gniew. Dziewiętnastolatek wyprostował się na krześle i oderwał rękę od ust.

– Rodzice byli małżeństwem przez ponad dwadzieścia lat. Rozumiem, że nie wszystko zawsze jest takie cholernie proste. Chyba u nikogo tak nie jest. U pana na przykład. – Brudny, lekko zakrwawiony palec wskazał na Billy'ego T. – Pan jest żonaty?

– Nie – odparł Billy T. – Ale latem się żenię.

– Ma pan dzieci?

– Czwórkę. Niedługo będzie piątka.

– O rany! – zawołał Preben Halvorsrud, opuszczając rękę. – Z tą samą kobietą?

– Nie. Ale nie o mnie teraz rozmawiamy. – Billy T. niepotrzebnie głośno trzasnął szufladą biurka.

– Właśnie, że tak – powiedział Preben. – O panu. Jeśli pana dzieci mają różne matki, to pan wie, o czym mówię. Nie zawsze wszystko jest takie cholernie proste. Pan sobie z tym nie poradził! Nie potrafił pan wytrzymać z jedną osobą przez cały czas. Gdyby matka pańskich dzieci umarła, myśli

pan, że nie chciałby pójść na jej pogrzeb?

Głos mu się załamał i przeszedł w falset, jakby chłopak miał dopiero piętnaście lat. Prawdę mówiąc, właściwie tak wyglądał. Łzy przelewały mu się z oczu. Cienka tarcza obojętności zaczynała pękać. Billy T. westchnął głośno i wstał. Przekonanie, że jest dupkiem, prawie go sparaliżowało, kiedy wznosił się nad Prebenem jak wieża. Chłopak aż się skurczył.

– A więc mieli problemy.

Preben ledwie kiwnął głową.

– Jakie?

Chłopak głośno pociągnął nosem i wierzchem dłoni prędko otarł twarz. W końcu uniósł podbródek i popatrzył Billy’emu T. prosto w oczy. Na rzęsach, lekko błyszcząc w szarości dnia, wisiały łzy grożące tym, że w każdej chwili spadną.

– A co człowiek właściwie wie o swoich rodzicach? – powiedział cicho.

– O takich rzeczach?

Billy T. zadrżał. Bez zastanowienia pogładził Prebena po włosach. Chłopak zeszywniał pod tym dotykiem, ale się nie odsunął.

– Masz rację – przyznał Billy T. – Rzeczywiście mało wiemy. Odwiozę cię teraz do domu, to znaczy do ciotki. Ale zanim wyjdziemy, chciałbym spytać... – Otworzył szufladę i wyjął dużą czarną latarkę zapakowaną w plastikową torebkę. – Poznajesz ją? Może jest twoja?

Preben wyciągnął po nią rękę, ale w pół drogi zrezygnował.

– To latarka Mariusa. W każdym razie on ma taką samą.

– Dobrze – uśmiechnął się Billy T. i schował latarkę. – No to idziemy.

Kiedy w drodze do samochodu poczuli na twarzy drobny deszcz, Preben Halvorsrud się zatrzymał.

– Musi pan rozmawiać też z Theą i Mariusem?

Billy T. lekko wzruszył ramionami. Przez chwilę się zastanawiał, a potem poklepał młodego człowieka po ramieniu. Preben był chudszy, niż wskazywało na to workowate ubranie.

– Nie – odparł w końcu. – Obiecuję, że nie będziemy dręczyć twojego rodzeństwa.

– To dobrze – powiedział Preben. – Thea powinna mieć spokój.

Z uśmiechem – pierwszym, jaki Billy T. u niego zauważył – dziesiętnastolatek wyglądał na pięć lat młodszego. Tłuste, modnie obcięte włosy opadały mu na czoło. Billy T. miał nadzieję, że nie złożył obietnicy, której nie będzie mógł dotrzymać.

Hans Christian Mykland z Okręgu Policyjnego Oslo zajmował stanowisko komendanta dokładnie od dwóch lat, dwóch miesięcy, dwóch tygodni i dwóch dni. Cztery dwójki były rano po oczach z drzwiczek lodówki. Zostały starannie wyrysowane flamastrem na kartce formatu A4 przyklepionej za pomocą dwóch magnesów – świnki w przebraniu klauna i miniatarki praskiego zegara astronomicznego. Komendant Mykland wyraźnie się zirytował, ale kartkę zostawił. Nigdy nie zdradził swoim pracodawcom z Ministerstwa Sprawiedliwości szczegółów umowy, jaką zawarł z rodziną, kiedy ubiegał się o stanowisko szefa całej policji w Oslo.

Trzy lata. Maksymalnie.

Synowie, wówczas dwunasto- i piętnastoletni, całym sercem poparli matkę, a młodszy przygotował nawet coś w rodzaju kontraktu, który ojciec musiał podpisać, zanim mógł przyjąć stanowisko. Mykland usłuchał chłopca, ponieważ przez moment przypominał mu najstarszego syna, Simena, który miał zaledwie dwadzieścia lat, kiedy odebrał sobie życie. W domku letniskowym zadał sobie jedenaście brutalnych ran starym zardzewiałym nożem. Lekarz odwrócił głowę, kiedy Mykland spytał, jak długo Simen umierał.

Czwartego kwietnia 1997 roku, wkrótce po tym, jak Hans Christian Mykland otrzymał mianowanie na komendanta okręgowego policji, ówczesną premier Birgitte Volter znaleziono martwą w swoim gabinecie z kulą w głowie. Sprawa wzbudziła zainteresowanie w całym zachodnim świecie, a Hans Christian Mykland potwierdził rodzinie to, co podejrzewała przez cały czas: że praca na tym stanowisku nie jest ograniczona od dziewiątej do szesnastej.

Lubił to, co robił. Co prawda czasami czuł się jak Syzyf, bo

przestępczość w Oslo nie chciała zmaleć. Policja wciąż otrzymywała większe środki, ale i tak ich nie wystarczało. Okręgi zreorganizowano i mimo że funkcjonariusze działali efektywniej, przestępczość przypominała złośliwy guz, którego rozwój można było jedynie opóźnić, lecz nigdy tak naprawdę powstrzymać.

Hans Christian Mykland zyskiwał popularność, chociaż jego początki w nowym miejscu pracy były dość niepewne. Przejście ze stanowiska zajmującego się konkretnymi sprawami naczelnika Biura Kryminalnego do znacznie ogólniejszej i bardziej zorientowanej na kontakty ze światem zewnętrznym roli komendanta okręgowego policji nie było proste. Powoli jednak wszystko zaczęło się układać. Teraz na co dzień nie tylko zauważał oznaki respektu ze strony pracowników, lecz także widział, że zaczynają doceniać go jako człowieka i szefa. Dziękował za to Bogu co wieczór przed zaśnięciem.

Zmiana funkcji przyniosła mu większą satysfakcję, niż o tym marzył. Uwielbiał kontakt z opinią publiczną, czuł się lubiany przez podwładnych, panował nad nałożonymi na niego obowiązkami i nie miał najmniejszej ochoty ich porzucać. Ale zostało mu jeszcze niespełna dziesięć miesięcy. Obietnica była obietnicą, chociaż złożona pod presją.

Gdyby Hanne Wilhelmsen wiedziała, jak wyglądał poranek jej szefa, być może zrozumiałaby jego zły humor. Nie mogła jednak pojąć, skąd się biorą ten krzywy uśmiezek i krótkie warkliwe odpowiedzi.

– Dlaczego, na miłość boską, ta sprawa nie została załatwiona w piątek?
– Mykland z irytacją podrapał się w sinoczarny zarost, patrząc na swoją komisarz.

– Po prostu nie mieliśmy możliwości zebrać... – zaczęła Hanne Wilhelmsen.

– No a w sobotę? Przecież załatwiamy mnóstwo aresztowań w soboty, jeśli jest taka konieczność! – Komendant pokręcił głową i nagle się uśmiechnął. – Przepraszam, Hanne – powiedział już zupełnie innym tonem.

– Miałem kiepski poranek. Rodzina niezbyt wysoko sobie ceni to, że pracuję w niedzielę. Ale – podrapał się w kark i roztargnionym gestem pociągnął za sztywny kołnierzyk mundurowej koszuli – trzy i pół doby bez postanowienia sądu...?

Pozwolił, żeby te słowa zawisły w powietrzu. Hanne Wilhelmsen dobrze wiedziała, że prokurator policji, który stawi się na jutrzejszym posiedzeniu w sądzie, może się spodziewać ostrej reprimendy. Sąd musiał pobłogosławić osadzenie Sigurda Halvorsruda w areszcie. Według podręcznika powinno to nastąpić w ciągu dwudziestu czterech godzin od zatrzymania. Po pierwsze jednak, minęło zbyt dużo czasu. Po drugie, dokumenty wyraźnie powiedzą, że prokurator okręgowy Halvorsrud już w piątek wyraził zgodę na dwa tygodnie aresztu, a policja mogła już wtedy wystąpić z wnioskiem o aresztowanie.

Ale Hanne Wilhelmsen miała nadzieję na więcej niż dwa tygodnie. Nienawidziła pracować ograniczona tak krótkimi terminami. Zazwyczaj prowadziło to do niepotrzebnego stresu, a stres psuł robotę. Ludzie działali pobieżnie i cierpiało na tym śledztwo. I chociaż Hanne do pewnego stopnia potrafiła zrozumieć nieustanne marudzenie obrońców o tym, że policji powinno się narzucać krótkie terminy, by zwiększyć skuteczność jej pracy, a obniżyć średnią długość aresztowania, to nigdy nie uważała się za właściwą adresatkę takich zarzutów. Gdy kierowała śledztwem, zawsze dbała o to, by czas aresztowania podejrzanego wykorzystywano na to, na co powinien być wykorzystany.

– Musimy wytrzymać tę krytykę – stwierdziła, poruszając głową na boki.
– Przynajmniej sąd go nie wypuści. Na to mamy więcej niż potrzeba.

Komendant przekrzywił głowę i dalej się w nią wpatrywał. U nasady nosa ukazała mu się zmarszczka. Sięgnął po cynowy nożyk do papieru i zaczął się bawić chłodnym ostrzem.

– Gdybym cię lepiej znał, zaprosiłbym cię na kolację – oświadczył nieoczekiwanie, a Hanne nie bardzo wiedziała, gdzie ma podziąć wzrok. –

Ale się powstrzymam. A jak ty to czujesz?

– Jak ja to czuję? No... byłoby miło.

Komendant głośno się roześmiał.

– Nie miałem na myśli kolacji, tylko sprawę. Co o tym myślisz? Czy on to zrobił?

Hanne poczuła ukłucie w skroni. Próbowwała ukryć, że z zawstydzenia oddech jej przyspieszył, i zaczęła relację, z którą tu przysłała:

– Nad sprawą pracuje nas jedenaścioro. Plus oczywiście technicy. Na razie przesłuchania sąsiadów i inne podobne czynności do niczego nas nie doprowadziły. Wszyscy są wstrząśnięci, zaskoczeni i tak dalej. Nikt nie ma pojęcia, kto mógłby mieć interes w śmierci pani Halvorsrud. Rozmowy z okolicznymi mieszkańcami nie przyniosły nam niczego. Nikt nic nie widział, nikt nic nie słyszał. W sumie mamy dwadzieścia sześć protokołów z przesłuchań, a wśród nich jeden bardzo krótki, najstarszego syna Halvorsrudów. Z niego też raczej nic szczególnego nie wyniknęło. Oprócz tego, że chłopak chyba zauważył, że między rodzicami nie wszystko układało się tak różowo.

Urwała. Cecilie. Hanne zapomniała zadzwonić. Zerknęła na zegarek i zaklęła w duchu.

– Ale i tak mamy całkiem sporo. Odciski palców męża na broni i oprócz niego żadnych innych, nawet lepkich dzieciennych paluszków. A nikt mi nie wmówi, że ten miecz latami wisiał na ścianie i dzieci się do niego nie zbliżały.

– Co może oznaczać, że został wytarty, zanim Halvorsrud go dotknął – wtrącił komendant i dał znak, że Hanne ma kontynuować.

– Oczywiście. Ale to tylko spekulacje. Jego odciski palców znaleziono też na latarce, której, jak się wydaje, użyto do zadania ofierze obezwładniającego ciosu. Jego, niczyje inne. Halvorsrud upiera się, że w ogóle nie widział tej latarki, a już z całą pewnością jej nie dotykał. Patolodzy twierdzą wstępnie, że kobieta została zabita między dziesiątą

a jedenastą wieczorem, a prokurator zadzwonił dopiero za dziesięć dwunasta. Czyli prawie o północy. – Zaczęła przerzucać papiery, które trzymała na kolanach, bardziej ze zdenerwowania niż z konieczności znalezienia czegoś. – Halvorsrud przesiedział więc przy martwej żonie godzinę do dwóch, zanim w końcu wezwał policję. Ubranie miał zbryzgane krwią. A jakby tego wszystkiego jeszcze nie było dość – zamknęła zieloną okładkę i pchnęła ją po stole do komendanta – w piwnicy jego domu znaleźliśmy sto tysięcy koron w używanych banknotach. Razem z dyskietkami zawierającymi omówienie spraw, przy których pracował w Økokrim. Absolutnie zaprzecza, by cokolwiek o tym wiedział.

– Ale – przerwał jej komendant, sięgając po dokumenty, które mu podsunęła – wczoraj poinformowano mnie, że przesłuchanie Halvorsruda nie zostało zakończone. Podobno zemdłał i trafił do szpitala.

– Na krótko – powiedziała Hanne cierpko. – Dzisiaj jest już zdrów jak ryba. I uparty jak osioł. Zgodziliśmy się na pozostawienie go w szpitalu jeszcze przez dobę, ale odmówił. Chciał wrócić na dołek „jak wszyscy inni”, tak się wyraził. Dziś po południu kilka godzin go przesłuchiwałam.

Wstała i zaczęła z podziwem oglądać imponujący widok, który roztaczał się z siódmego piętra budynku policji. Ołowiane niebo ciążyło już ku wieczorowi. Szaroczarne chmury gnały na południe. Zapowiadała się zimna noc. Na wschodzie widać było masywne, pozbawione konturów wzgórze Ekeberg. Fiord Oslo wydawał się biały. Zmęczony duński prom ciężko torował sobie drogę ku swemu stałemu miejscu przy Vippetangen.

– Kiedyś kochałam to miasto.

Hanne nie wiedziała, czy powiedziała to na głos, czy tylko pomyślała. Kiedyś czuła, że Oslo to jej dom. Co prawda przeprowadziła się do stolicy, mając dziewiętnaście lat, ale to właśnie wtedy zaczęło się życie. Dzieciństwo stanowiło na pół zatarte wspomnienie czegoś, co właściwie nie było nawet nieprzyjemne, ale absolutnie bez znaczenia. Życie Hanne Wilhelmsen zaczęło się dopiero razem z Cecilie i małym mieszkanikiem

na Jens Bjelkes gate. Po dwóch latach wyprowadziły się z trzydziestu metrów kwadratowych z ubikacją na korytarzu i paskudnym odorem zdechłych szczurów tkwiącym w ścianach. Potem były trzy inne mieszkania. Za każdym razem większe i ładniejsze, tak jak powinno być.

Poczuła ssanie w żołądku. Zateśkniła za Jens Bjelkes gate. Za początkiem. Za tym, jak było kiedyś. Teraz mieszkam tutaj, pomyślała Hanne i nagle zrozumiała, że budynek policji na Grønlandsleiret 44 to jedyne miejsce, w którym naprawdę czuła się u siebie.

– Jak on to wszystko przyjmuje?

Usłyszawszy głos komendanta, odwróciła się z powrotem do niego.

– Dość dziwnie – odparła krótko.

Usiadła i poprosiła o kawę. Komendant sam wyszedł do sekretariatu, po czym wrócił z dwiema białymi filiżankami i popielniczką. Hanne wzięła filiżankę, ale po popielniczkę nie sięgnęła, chociaż w kieszeni miała małą paczkę papierosów, dziesiątkę.

– Do dzisiaj humor miał zmienny, raz w górę, raz w dół. W jednej chwili daleki od rzeczywistości, niemal w stanie szoku, zaraz potem sprężony i gotowy do działania. Zmiany następowały tak szybko, że... że w nie wierzyłam. Ale dzisiaj... – Jej palce bawiły się zarysem paczki papierosów wypychającej prawą kieszeń. W końcu skapitulowała. – Dzisiaj można odnieść wrażenie, że zdecydował się zająć własną sprawą. Naprawdę.

Rozsmakowywała się w dymie papierosowym, zastanawiając się nagle, dlaczego komendant jest w mundurze w niedzielę, i to u siebie w gabinecie. Po namyśle jednak stwierdziła, że nigdy nie widziała go w cywilu.

– Dzisiaj jest dokładnie taki, jakiego go zawsze widzieliśmy. Porządny, wymagający, natarczywy. Bardzo arogancki. W zasadzie też logiczny. Dlaczego miałby siedzieć przy zwłokach, dotykać miecza, zbryzgany krwią żony, gdyby naprawdę ją zabił? I tak dalej. A ponadto: dlaczego nie zaaranżowałby raczej wypadku, gdyby rzeczywiście chciał się jej pozbyć? W ogóle zadawał wszystkie te pytania, jakie zdolny przedstawiciel

prokuratury powinien postawić w takiej sprawie. Nie mówiąc już o obrońcy. W kwestii pieniędzy i dyskietek uparcie twierdził, że nie ma o nich pojęcia. Przykuwał mnie przy tym wzrokiem. Ani razu nie mrugnął. Pozwolił sobie nawet na twierdzenie, że nie wchodził do tej zabałaganionej komórki co najmniej od dwóch lat.

– A odciski palców na pieniądzach?

Krzesło komendanta wymagało nasmarowania. Jego monotonnym kołyszącym się ruchom towarzyszył suchy zgrzyt.

– Jeszcze nie wiemy. Wyniki będą dziś wieczorem albo jutro.

– A co z dziećmi? Spytaliście chłopca o te pieniądze?

– Chyba nie. Postanowiliśmy, że będziemy trzymać tę kartę jak najbliżej piersi. Na szczęście gazety się o tym nie dowiedziały.

– Na razie.

Komendant zaczął czyścić paznokcie nożykiem do listów. Dłonie miał wielkie, jakby bardziej przywykłe do pracy fizycznej niż przekładania papierów i długich zebrań.

– Dzisiaj jakby narodził się na nowo – podkreśliła Hanne, gasząc wypalonego do połowy papierosa. – Albo jakby odzyskał swoje dawne ja. Nawet na chwilę nie ustąpił. W piątek wydawało się, że sam ma wątpliwości co do tej historii o Stålem Salvesenie. Przez jakiś czas myślałam, że kłamał i zrozumiał, że to już koniec, kiedy się dowiedział, że Salvesen według wszelkiego prawdopodobieństwa nie żyje. Ale dzisiaj...

– Stuprocentowa pewność – mruknął Mykland.

– Właśnie.

– A ty?

– Bardzo... – Hanne się zawahała. Pogładziła palcami bliznę na czole i wbiła wzrok w popielniczkę. Z niedopałka wciąż lekko się dymiło. Krzywiąc się, dogasiła papierosa. – Bardzo mało pewności.

Komendant odłożył nożyk i splótł dłonie na brzuchu. Zgrzyty krzesła przybrały na sile.

– Pamiętasz tę sprawę chłopca z domu dziecka? – spytała Hanne cicho. – Byłeś wtedy chyba naczelnikiem Biura Kryminalnego. To było w dziewięćdziesiątym trzecim?

– Czwartym – odparł komendant.

Morderstwo kierowniczkii domu dziecka zrobiło na nim duże wrażenie. Może dlatego, że kulminacją tej historii było śmiertelne potrącenie przez radiowóz dwunastolatka, który uciekł z tej placówki. Kierowca się załamał. Po trzech miesiącach złożył wymówienie. Nerwy.

– Nigdy nie miałam pewności w tej sprawie – oświadczyła Hanne.

– Maren... Kvalseid? Kvalvik? Przyznała się.

– Kalsvik. Maren Kalsvik. Tak, przyznała się. I dostała czternaście lat. Długo nie dawało mi to spokoju. Ciągłe mnie dręczy. Wcale nie jestem pewna, czy naprawdę zabiła.

– Nie traćmy sił na zamartwianie się takimi rzeczami, Hanne – powiedział komendant zmęczonym głosem. – Ona się przyznała i z tego, co mi wiadomo, nigdy się z tego nie wycofała. I tak mamy w norweskich więzieniach dość ludzi obstających przy swojej niewinności. A kilku z nich nawet udało się udowodnić, że mają rację. – Potarł nasadę nosa, zdradzając tym lekką irytację, i wypił łyk kawy.

– No a premier Volter? – W postawie Hanne Wilhelmsen pojawiła się pewna natarczywość. Nie zwracała uwagi na powątpiewającą minę komendanta. – Gdyby jej mąż nie przyszedł do nas z tymi starymi listami, doprowadzilibyśmy do skazania tego szczeniaka neonazisty za zabójstwo.

– Czego ty chcesz? – spytał Mykland.

– Czego chcę? – Hanne rozłożyła ręce z rezygnacją i żalem. – Właściwie niczego. Mam tylko wrażenie, że coraz trudniej mi pogodzić się z tym, że możemy się mylić. Że niewinne osoby zostają skazane, bo za szybko podejmujemy decyzje. Że my... a przynajmniej niektórzy z nas dają się osłepić poszlakom i przymykają oczy na to, że od czasu do czasu dziwaczne zbiegi okoliczności naprawdę się zdarzają. Czasami zbiegi okoliczności

naprawdę bywają przypadkowe.

– Zaczynasz się starzeć, Hanne. – Uśmiechnął się teraz życzliwie, niemal po koleżeńsku. – Minął ci młodzińczy zapach. To dobrze. Twoja zdolność do refleksji urosła. To również dobrze. Dzięki temu jesteś jeszcze lepszą policjantką. Jeśli to w ogóle możliwe. – Minę miał teraz taką, jakby z nią wręcz flirtował. – Jesteś najlepszą policjantką, jaką mamy, Hanne. Nie pozwól się teraz rozmiękczyć. Od roztrząsania takich wątpliwości mamy obrońców.

– Wątpliwości – powtórzyła powoli. – Tak to nazywamy?

Zapadła cisza. Ustał nawet denerwujący zgrzyt nienaoliwionego krzesła.

– Chodzi o to, że ja mu wierzę. Mam poczucie, że Halvorsrud mówi prawdę.

Komendant kiwnął głową. Policzki miał teraz jeszcze ciemniejsze, jakby broda urosła mu przez ten czas, kiedy tu siedzieli. Ktoś zapukał do drzwi. Mykland warknął w odpowiedzi. Do gabinetu zajrzał Karl Sommarøy.

– Myślę, że cię to zainteresuje – powiedział, uśmiechając się szeroko swoimi dziecięcymi ustami.

Hanne Wilhelmsen wzięła podaną przez niego kartkę. Przebiegła wzrokiem krótki tekst. Potem uniosła głowę, chwilę patrzyła komendantowi w oczy i w końcu powiedziała:

– Halvorsrud zostawił odciski palców na torebce z pieniędzmi.

Wstała i wróciła do swojego pokoju, żeby przygotować dokumenty na jutrzejsze posiedzenie sądu w sprawie tymczasowego aresztowania.

– W każdym razie prokurator Skar może teraz optymistyczniej patrzeć na jutrzejszy dzień – powiedziała cierpko do Karla, zanim zamknęła drzwi.

Była niedziela, siódma wieczorem, a Hanne wiedziała, że raczej nie dotrze do domu przed jedenastą. Właściwie telefonowanie do Cecilie nie miało sensu. Na pewno i tak nie spodziewała się jej przed nocą. Prawdopodobnie.

Hanne zapaliła siódmego tego dnia papierosa i poczuła się paskudnie.

19

– Cholerna suka!

Porośnięte algami kamienie były śliskie. Mewy rzucone podmuchami wiatru w różne strony zanosily się złośliwym śmiechem. Chłopak wypluł snus i rękawem kurtki otarł z ust czarną ślinę.

Nie mógł uwierzyć, kiedy Terese zadzwoniła dzień po tamtej imprezie. Wprawdzie chętnie się z nim obściskowała, ale przecież oprócz niego nikogo innego nie było. No ale potem zadzwoniła. Dzień później. Nic z tego nie mógł pojąć. Teraz też nie pojmował. Od dawna był na nią gotów. Wszyscy byli gotowi. Padło na niego. Przez trzy tygodnie pozwalała mu wierzyć, że świat ma różowy kolor. Ale on miał dopiero siedemnaście lat, brakowało mu pieniędzy i nie jeździł autem.

Wczoraj Terese siedziała w samochodzie Andersa Skoga, w nowym volkswagenie garbusie.

– Jeśli uda mi się przeskoczyć na tamten kamień i nie upadnę na głowę, ona zrozumie, że ten ciotowaty trener to kretyn!

Krzyknął to pod wiatr, a łzy zmieszały się ze słonymi bryzgami, tworząc na twarzy lepka maskę.

Upadł i mocno się uderzył. Przez krótką chwilę wydawało mu się, że to coś czerwonego, co widać wśród wodorostów kołyszących się w wodzie między głazami a lądem, to krew z rozciętej łydki. W końcu jednak zrozumiał, co to jest.

– Sam jesteś kretynem – mruknął do siebie i wyciągnął ciężki od wody anorak.

W kieszeni na piersi coś było. Suwak nie pozwolił się tak łatwo otworzyć, ale mocowanie się z nim skierowało przynajmniej jego myśli na coś innego.

– Cholera... Ponad tysiąc trzysta koron!

Banknoty były przemoczone, ale całe i prawdziwe, z tego, co widział. Pod prawie zupełnie rozmytym zdjęciem w prawie jazdy widniało nazwisko Ståle Salvesen.

Przy takiej pogodzie nie było tu żywego ducha. Tylko on. Dwa banknoty pięciusetkoronowe, trzy setki i pięćdziesiątka trafiły prosto do kieszeni. Chłopak położył się na brzuchu i wepchnął anorak głęboko do jamy, na której wydrążenie morska woda potrzebowała tysięcy lat. Docisnął go trzema dużymi kamieniami. Prawo jazdy schował z powrotem do portfela. Spojrzał na podartą nogawkę spodni pobrudzoną krwią i zielonymi algami, wyprostował się, wziął rozmach i cisnął portfel tego Stålego daleko w morze.

– *Fuck you, Terese!* – wrzasnął, skacząc ze szkieru na stały ląd.

20

– Mocno jej się dostało – powiedział Billy T., nakładając sobie lasagne.
– Ale jeszcze gorzej by było, gdybyś robiła trudności. W każdym razie facet jest aresztowany na trzy tygodnie. Gdyby nie był prokuratorem okręgowym, dostalibyśmy osiem. Zgodzisz się ze mną?

Podał żaroodporne naczynie Karen Borg.

– Ona jest niezła – stwierdziła Karen spokojnie. – Całkiem nowa?

– U nas jest już od trzech miesięcy. Miła dziewczyna, Annmari Skar. Zaczęła od szkoły policyjnej, ale na boku studiowała prawo. Z tego się rodzą dobrzy prokuratorzy.

Tone-Marit Steen pokręciła głową i złapała się za brzuch, kiedy Karen zaproponowała jej jedzenie. Twarz wykrzywił jej grymas.

– Kiedy właściwie masz termin?

Håkon Sand dołożył drewna do kominka z piaskowca i cicho zaklął, kiedy sparzył się żarem.

– Za tydzień – jęknęła Tone-Marit, a jej twarz nagle zrobiła się czerwona i mokra. – Ale wydaje mi się, że ona się urodzi wcześniej.

– On! – zaprotestował natychmiast Billy T. i sos pomidorowy prysnął na biały obrus. – O cholera, przepraszam! Chłopiec się urodzi, kiedy będzie na to gotowy. Nawet przez moment nie wierzę w te ich terminy.

– Ojej! – westchnęła Tone-Marit.

Między jej nogami szybko powiększała się kałuża. Czerwona ciężowa sukienka pociemniała od wilgoci.

– Ups! – powiedziała Karen.

– Lekarza! – wrzasnął Billy T. – Szpital! Håkon!

– A co ja mam zrobić?! – krzyknął Håkon, który w jednej ręce trzymał polano, a w drugiej pogrzebacz. Na dość wyraźnie wystającym już brzuchu

miał zielony fartuch z napisem „Kucharz”, ułożonym z dzieciennych, wyciętych z filcu literek. Na głowie sterczała mu staroświecka czapka kucharska, w której wyglądał jak pulchny świecznik.

– Ona się rodzi! – jęknęła Tone-Marit.

– On. Niech zaczeka, do cholery! – rozdarł się Billy T. i wybiegł na korytarz po kurtkę i kluczyki do samochodu.

– Ona się rodzi, Karen.

Tone-Marit ułożyła się na podłodze, rozsunęła nogi i pozwoliła, żeby Karen zdjęła jej rajstopy i majtki.

– O cholera! – zaklął Håkon.

– Niech to szlag! – pisnął Billy T.

– Trzeba nagotować wody – przypomniał sobie Håkon.

– Po co? – jęknął Billy T.

– Przynieście jakieś płótno – poprosiła Karen. – I rzeczywiście nastawcie wodę. Tylko nie za dużo, żeby się tak długo nie gotowała. Włóżcie do tej wody nożyce do drobiu.

– Nożyce do drobiu – wymamrotał Håkon ucieszony, że nareszcie coś zrozumiał. Kuchnia była jego domeną. – I płótno.

– Dzwon do szpitala, Billy T.!

Karen Borg podniosła się z podłogi i popchnęła wielkoluda, który stał bezradnie i pobrzękiwał kluczykami od samochodu.

– Powiedz, żeby natychmiast przysłali karetkę. Jeszcze mogą zdążyć.

– Nie! – syknęła Tone-Marit przez zaciśnięte zęby. – Nie słyszycie? Ona już wychodzi. Już!

– Przecież masz już czworo dzieci – warknął Håkon do Billy’ego T., który wyraźnie pobladł. – Weź się w garść!

Nikt z nich nie wiedział, że Billy T. nie uczestniczył w narodzinach żadnego ze swoich synów. O najmłodszym, Trulsie, dowiedział się, dopiero kiedy chłopczyk miał trzy miesiące. Był – podobnie jak jego trzej starsi bracia, Nicolay, Alexander i Peter – owocem przelotnego romansu,

zakończonego na długo przed upływem dziewięciu miesięcy. Billy'ego T. po prostu nikt nie informował o porodach, dopóki szczęśliwie się nie zakończyły. Dla niego noworodek oznaczał pachnące, świeżo wykąpane maleństwo w białym kaftaniku, owinięte flanelowym kocym.

– Główka już wychodzi – zauważył cicho, czując, jak krew z powrotem zaczyna mu dopływać do mózgu.

– Siadaj tutaj! – nakazała zirytowana Karen i sama poszła zadzwonić.

Billy T. uklęknął przy Tone-Marit i wziął ją za rękę.

– To dziewczynka, Billy T. – wydyszała. – Powiedz, że nic nie szkodzi, że to dziewczynka.

Nachylił się i przyłożył usta do jej ucha.

– Całe życie chciałem mieć dziewczynkę – szepnął. – Tylko nikomu o tym nie mów, bo to do mnie nie pasuje.

Tone-Marit próbowała się uśmiechnąć, ale przeszkodził jej w tym gwałtowny skurcz. Główka dziecka była już na zewnątrz. Billy T. przesunął się tak, by móc delikatnie podłożyć pod nią rękę. Håkon też się przybliżył. Nie wypuszczał z rąk pogrzebacza i polana.

– Chcesz zabić tego dzieciaka? – spytał Billy T. ze złością. – Odłóż to wreszcie i idź gotuj te nożyce!

– Postarają się być jak najszybciej – przekazała Karen, która przyniosła poduszkę i dwa duże białe prześcieradła. – Nastawiłam wodę. Masz. –

Wsunęła poduszkę pod głowę Tone-Marit i pomogła jej się wygodniej ułożyć.

– Jasny gwint! – zaklął nagle Håkon.

W drzwiach stał jego pięcioletni synek.

– Billit – powiedział z radością. – Możesz mnie jeszcze raz położyć spać?

– Chodź do mnie, młody człowieku. – Håkon próbował zasłonić chłopcu widok na podłogę przy kominku. – Tatuś będzie musiał ci wystarczyć.

– Pozwól mu podejść – uśmiechnął się Billy T. i zanim któreś

z rodziców zdążyło zareagować, Hans Wilhelm już klęczał i szeroko otwartymi oczami patrzył na dziecko, które w połowie już się wydostało.

– To moja córeczka – oznajmił Billy T. – To dziecko moje i Tone-Marit.

Dziecko się urodziło. Billy T. został ojcem dużej zdrowej dziewczynki. Tone-Marit śmiała się i płakała jednocześnie, próbując odszukać buzię noworodka, który został owinięty w wielkie prześcieradło, a pępowinę miał zaciśniętą gumką do weków. Karen siedziała z Hansem Wilhelmem na kolanach. Chłopiec ssał kciuk i koniecznie chciał dotknąć maleńkiej dziewczynki. Håkon ze zdumieniem popatrzył na to, co trzymał w rękach, i wreszcie to odłożył.

Ponieważ nikt oprócz matki nie widział, jak Billy T. płacze, olbrzym spokojnie przeprosił i zamknął się w łazience. Został tam, dopóki personel karetki nie zadzwonił do drzwi.

21

Była dziewiąta wieczorem w poniedziałek, mieszkanie czyste i posprzątane. Ponieważ posiedzeniem sądu w sprawie tymczasowego aresztowania zajął się Billy T. razem z młodszą prokuratorką Annmari Skar, Hanne Wilhelmsen wyszła z pracy już około drugiej. Na stole w ceramicznym wazonie stały kwiaty, a w piecyku zapadał się quiche serowy.

Cecilie jeszcze nie wróciła do domu. Hanne trochę się tym martwiła, ale odpędziła złe myśli. Jeśli jakieś doświadczenie w laboratorium nie wyszło, coś mogło się przeciągnąć. Cecilie miała nadzieję, że jesienią skończy pisać pracę doktorską, Hanne wiedziała więc, że partnerka może wracać późno. W zasadzie bardzo jej to odpowiadało.

Nagle Cecilie stanęła przed nią. Hanne musiała się zdrzemnąć podczas programu „Redakcja 21”. Cecilie stała w płaszczu na środku pokoju, blada, ze ściągniętą twarzą.

– Jestem chora – powiedziała.

– Chora? – Hanne powoli wstawała. – No to chodź, połóż się. – Wskazała ręką na kanapę. – Ale może najpierw coś zjesz?

– Jestem naprawdę chora, Hanne. Ciężko chora.

Hanne Wilhelmsen zamrugła, próbując przełknąć lęk, od którego zaparło jej dech.

– Ciężko chora – powtórzyła zachrypniętym głosem. – Jak ciężko?

– Rak. Mam raka. W środę będę operowana. Jutro. To znaczy pojutrze. W środę.

Wciąż się nie ruszała, nie próbując nawet zdjąć grubego zimowego płaszcza ani usiąść. Hanne chciała do niej podejść, objąć ją, powiedzieć, że to tylko jakiś żart. Nikt nie jest chory, połóż się, zaraz przyniosę ci coś

do zjedzenia. Ale musiała stać nieruchomo, zupełnie nieruchomo, żeby nie upaść.

– Gdzie będzie ta operacja? – spytała szeptem.

– W Szpitalu Ullevål.

– W którym miejscu ciała? Głowa? Brzuch?

– Nie chciałaś mnie słuchać.

W głosie Cecilie nie zabrzmiał nawet cień wyrzutu. Stwierdziła po prostu prawdę. Obie wiedziały, że tak było. Od dawna.

– Przepraszam.

Zabrzmiało to bezsensownie i Hanne chciała połknąć to słowo z powrotem, ale zamiast tego zaczęła je powtarzać, wciąż poruszając wyłącznie wargami.

– Przepraszam, Cecilie, przepraszam.

W końcu podniosła ręce do twarzy i wybuchnęła płaczem tak obcym, że obie się przeraziły. Trzęsła się przy tym i po chwili osunęła się na kolana.

Cecilie dalej stała i patrzyła na Hanne. Chciała dotknąć tej błagającej postaci. Spróbowała nawet unieść rękę. Hanne była tak blisko, że mogłaby pogłodzić ją po głowie, w geście błogosławieństwa. Ale ręka okazała się za ciężka. Cecilie odwróciła się więc, poszła do przedpokoju, zdjęła płaszcz i rzuciła go na podłogę.

– Cecilie – usłyszała szloch Hanne.

Odpowiedź była niemożliwa. Przynajmniej teraz. A może już nigdy. Cecilie z przyzwyczajenia zajrzała do kuchni, wyłączyła piekarnik, a potem położyła się do łóżka. Kiedy Hanne przyszła do niej w nocy, przesunęła się tak daleko na swój brzeg, że o mało nie spadła na podłogę. Żeby tylko się do mnie przytuliła, pomyślała. Żeby tylko się do mnie przytuliła.

Powoli zaczynało się rozjaśniać. Hanne Wilhelmsen i Cecilie Vibe przez całą noc słuchały swoich oddechów. Ale nawet się nie dotknęły.

Zmęczenie owinęło się wokół jej głowy jak drut kolczasty i boleśnie kłuło, a Hanne Wilhelmsen czuła się tak, jakby już nigdy nie miała zasnąć. Dotknęła skroni i musiała się zachwiać, bo Karl Sommarøy rzucił się, żeby ją podtrzymać.

– Hej – powiedział. – Źle się czujesz?

– To tylko zmęczenie. – Uśmiechnęła się lekko i uniosła rękę, żeby uspokoić kolegę. – Trochę mi się zakręciło w głowie. Już minęło.

Mieszkanie przypominało skorupę otaczającą życie, które już prawie nie istniało. Kanapa była beżowa i stara, ale nie zniszczona. Niski stolik pusty. Jedynie cieniutka warstewka kurzu świadczyła o tym, że również tutaj płynął czas. Ściany nagie, białe. Żadnych obrazów, żadnych półek na książki. Nigdzie nie było choćby starej gazety. Nawet szum miasta dobiegający zza zamkniętych okien wydawał się daleki i nierzeczywisty, jakby ktoś zastosował niezbyt udany efekt dźwiękowy.

– Mnie się wydaje, że cała ta historia ze Stålem Salvesenem to jakaś piekielna bzdura – mruknął Karl Sommarøy. Stał na środku pokoju w gumowych rękawiczkach i nie miał pojęcia, co robić. – Przecież wiemy, że Halvorsrud tyle nakłamał: o separacji, o tej paczce z pieniędzmi... I o tym na pewno też. W dodatku facet nie żyje. Przypuszczalnie.

Hanne nie odpowiedziała. Weszła do sypialni.

Ståle Salvesen najwyraźniej nie liczył na częste wizyty kobiet. Łóżko miało zaledwie siedemdziesiąt centymetrów szerokości. Pościel wydawała się czysta. Kiedy Hanne uniosła kołdrę, ukazała się starannie złożona granatowa piżama. Nie było żadnej nocnej szafki, żadnych książek czy tygodników. Ståle Salvesen nie miał nawet budzika. Ale może też w ostatnich latach nie miał po co rano wstawać.

Ściany były żółte, z lekkim odcieniem pomarańcza. Również tu nic na nich nie wisiało. Hanne otworzyła po kolei trzy szuflady w komodzie. W górnej leżały cztery pary zwiniętych skarpetek, samych czarnych, druga była pusta, trzecią po brzegi wypełniały slipy i białe podkoszulki.

– Są jakieś inne szuflady w tym domu? – spytała półgłosem.

– Tylko w kuchni – odpowiedział Sommarøy z dużego pokoju. – W dwóch są sztuce i przybory kuchenne, reszta pusta.

– Ile masz w domu szuflad? – mruknęła Hanne zamyślona.

– Co? – Sommarøy oparł się o futrynę.

– Szuflady – powtórzyła Hanne. – Ile masz ich w domu?

– No... pięć w sypialni. Sześć w regale w salonie. Jeszcze kilka w kredensie, który żona dostała w spadku. Ile dokładnie, nie pamiętam. No i dzieciaki mają mnóstwo. Aha, i jeszcze dwie w łazience. Więcej już chyba nie.

– A ile z nich jest pustych?

– Pustych? Żadna! – roześmiał się Sommarøy.

Jego śmiech świetnie pasował do maleńkiej zuchwy. Był wysoki i przenikliwy jak u dziecka, które udaje, że coś je rozśmieszyło, ale nie do końca zrozumiało żart.

– Żona okropnie narzeka – dodał.

– No właśnie.

Hanne otworzyła dwudrzwiową szafę w sypialni. Z jednej strony miała półki, z drugiej drążek na wieszaki. Na półkach leżało trochę starannie złożonych ubrań, które lekko pachniały tytoniem. Hanne odsunęła nawet dwa garnitury, żeby sprawdzić, czy coś się za nimi nie skrywa. Nic nie znalazła.

– Nie widzisz, co to jest? – spytała, lekko odsuwając Sommarøya, żeby wrócić do przedpokoju, gdzie z sufitu zwisała pojedyncza naga żarówka, rzucając niebieskobiałe światło na pojedynczy zimowy płaszcz wiszący na haczyku przy drzwiach wejściowych.

– Co to jest? To mieszkanie, w którym chyba niezbyt przyjemnie się mieszkało...

– Czegoś tu brakuje.

Teraz stanęła w kuchni. Szafki pochodziły z lat pięćdziesiątych i miały ukośnie zamontowane przesuwane drzwiczki oraz półki wyłożone zatłuszczonym papierem przymocowanym staroświeckimi pineskami. Blaty zniszczone, pełne śladów i nacięć. Ale czuć było słaby zapach płynu do naczyń, nawet zmywak wiszący na baterii lśnił bielą i pachniał chlorem. Hanne otwierała kolejne szuflady.

– Czego ty właściwie szukasz?

Tak jak wszyscy z wydziału Karl Sommarøy przywykł już do tego, że Hanne Wilhelmsen o wiele aktywniej uczestniczy w śledztwie niż inni komisarze. Chodziły plotki, że zawarła nawet umowę z komendantem. Podobno groziła, że odejdzie, gdy w dolnych szeregach protestowano przeciwko jej sposobom działania. Karl Sommarøy należał do tych, którzy nie mieli nic przeciwko metodom pracy Hanne, ale zauważył, że ostatnio stawała się coraz dziwniejsza, a czasami wręcz irytująco małomówna.

– Szukam tego, czego tu nie ma – odparła, nachylając się nad pustą szufladą. – Spójrz!

Prawym palcem wskazującym omiotła zaokrąglone brzegi wkładki do szuflady. Kiedy podsunęła palec Karlowi, zobaczył na koniuszku jakieś drobinki i paprochy.

– No i co? – spytał, marszcząc brwi.

– Coś tutaj było. To mieszkanie jest zbyt puste na to, żeby było prawdziwe. Stałe Salvesen mieszkał tu ponad trzy lata.

– Niezdolny do pracy lump – mruknął Sommarøy.

– Mylisz się. Upadła gwiazda. Człowiek ewidentnie obdarzony inteligencją, a w dodatku wolą działania, która zaprowadziła go wysoko. Przez cztery lata nie żył w próżni, musiał mieć jakieś zainteresowania. Cokolwiek. Coś, co pomaga zabić czas. Problem polega na tym, że zadał

sobie trud i usunął absolutnie wszystkie ślady swojego życia. To mieszkanie jest w zasadzie jak nędzny hotel. Kompletnie pozbawione charakteru.

– Ale – zaprotestował Sommarøy – to dość normalne, że ludzie, którzy mają skłonności samobójcze, sprzątaję po sobie. To znaczy najpierw, zanim...

– Sprzątaję, no właśnie. A to miejsce jest jak wyjęte z autoklawu.

Karl Sommarøy otworzył usta.

– Wysterylizowane – wyjaśniła Hanne.

– W lodówce coś zostało – mruknął Sommarøy z lekką złością.

Hanne Wilhelmsen otworzyła chłodziarkę. Buchnął z niej smród starego jedzenia. Zmarszczyła nos.

– Dlaczego tego nie usunięto? – spytała zirytowana.

– A kto miałby to zrobić? – odparował Karl.

Hanne lekko się uśmiechnęła.

– W każdym razie nie ty. Ale zabierzemy to stąd. I masz rację, dziwne, że nie opróżnił lodówki, zanim się wybrał na tamten świat.

Przez chwilę wpatrywała się w karton z mlekiem, spleśniały ser bez opakowania, dawno przeterminowany jogurt, zwiędłą sałatę i dwa pomidory, z których zaczynało już kapać. Nagle przez jej twarz przebiegł skurcz, którego Karl Sommarøy nie rozumiał.

– Oczywiście – powiedziała cicho.

– Co jest oczywiste?

– Nic, nie jestem pewna. Zajrzyjmy do łazienki.

W malusieńkiej łazience w zasadzie można było siedzieć na sedesie, brać prysznic i jednocześnie myć zęby. Linoleum odlepiło się przy odpływie i nawet ostra woń salmiaku nie była w stanie zniwelować zapachu pleśni bijącego od betonu pod wykładziną. Umywalka była pęknięta. Szafka przy lustrze wisiała na wpół do dwunastej, oczywiście pusta. Tylko zużyta szczoteczka do zębów w szklance świadczyła o tym, że ktoś tu naprawdę mieszkał.

– Chodźmy stąd – powiedziała w końcu Hanne.

Telefon stał w przedpokoju na niedużym rozchwianym stoliku. Hanne podniosła słuchawkę, wcisnęła guzik „repeat” i przyłożyła ją do ucha.

– Witamy w informacji telefonicznej – usłyszała po trzech dzwonkach.

Odłożyła słuchawkę, nie wdając się w rozmowę.

– Informacja telefoniczna – przekazała cicho. – Ostatni telefon wykonał do informacji. Sprawdź, czy tę rozmowę da się prześledzić. Czy można się dowiedzieć, o co pytał. O jaki numer mu chodziło.

– O numer, pod który nie zadzwonił – rzucił Karl Sommarøy zniecierpliwiony.

– W każdym razie nie stąd – powiedziała Hanne.

Zauważyła cienki plik papierów, które spadły na podłogę w chwili, gdy podnosiła słuchawkę. Musiały tkwić wcisnięte między stół a ścianę. Nachyliła się po nie. Okazało się, że to kilka rachunków spiętych dużym spinaczem. Wyjęła z kieszeni plastikową torebkę i schowała do niej wszystkie papiery.

Przy telefonie leżał nieduży czysty bloczek do notowania, na nim ukośnie długopis, jakby specjalnie ułożony w ten sposób. Hanne zdjęła długopis i zabrała bloczek do pokoju. Podniosła pierwszą kartkę pod światło. Po spojrzeniu na nią pod odpowiednim kątem na papierze ukazał się słaby odcisk. Coś zostało napisane na kartce, którą wyrwano.

– 01.09.99 – przeczytała powoli. – Pierwszy września dziewięćdziesiąt dziewięć?

– Pierwszy września – powtórzył zainteresowany Karl Sommarøy. – Co się, u diabła, wtedy stanie?

– Chciałabym wiedzieć – odparła Hanne. – No, idziemy.

Złożyła kartkę równiutko, wsunęła ją do nowej plastikowej torebki i całość schowała do kieszeni. Ból głowy stawał się coraz dokuczliwszy, ale nie czuła się już tak strasznie zmęczona.

23

– Dziewczynka! – Billy T. trzasnął drzwiami i zanim Hanne zdążyła unieść wzrok, już porwał ją z krzesła. – Śliczna czarnowłosa dziewczynka, podobna do mnie jak dwie krople wody!

Zmrużył oczy i głośno pocałował Hanne, zanim posadził ją z powrotem. Wyciągnął z kieszeni dwa wielkie cygara i podał jej jedno.

– Urodziła się u Karen i Håkona! – krzyknął, mocno ssąc, żeby cygaro dobrze się rozpałiło. – Byłem akuszerką, Hanne! To było... – Kiedy dym wydobył mu się z ust, cmoknął zadowolony. – Cholera, to moje najpiękniejsze przeżycie. W całym życiu! Ale... – Popatrzył na Hanne.

– Gratuluję – odezwała się obojętnym tonem. – Świetnie. Świetnie, że to dziewczynka.

– Co się, na miłość boską, z tobą dzieje? – Gwałtownymi ruchami zgasił cygaro i nachylił się nad nią. – Czy ty...? – Zaraz znów się wyprostował. – Rozmawiałaś z Cecilie – powiedział powoli.

– Rozmawiam z Cecilie codziennie – odparła Hanne opryskliwie. – Jak się czuje Tone-Marit?

– Jeszcze nic nie jest przesądzone, Hanne.

– Nie jest przesądzone? Czy ona się źle czuje?

– Ja nie mówię o Tone-Marit. Mam na myśli Cecilie. Raka.

Hanne obracała cygaro w palcach.

– A więc wiedziałeś – powiedziała ostro. – Znakomicie. Naprawdę świetnie, że ty i Cecilie macie swoje tajemnice. Bardzo miło. Ale może niektórymi tajemnicami mógłbyś się zacząć dzielić ze mną? Na przykład mógłbyś zacząć informować mnie, gdzie jesteś. Powinieneś tu być już od pięciu godzin.

Cygaro pękło. Hanne wzięła po jednej części do każdej ręki i ścisnęła.

Tytoń sucho zachrząścił.

– Hanne Wilhelmsen! – Billy T. przewrócił oczami i spróbował złapać ją za rękę.

Demonstracyjnie przyciągnęła ją do siebie. Drobiniki tytoniu rozsypały się dookoła.

– Hanne! – krzyknął, próbując pochwycić jej spojrzenie. – Chcę z tobą o tym porozmawiać. Bardzo cię proszę.

Gdyby popatrzyła mu w oczy, zobaczyłaby w nich coś, czego jeszcze nigdy nie widziała – rozpacz granicząca z wściekłością. Oczy mu poszarzały, usta otworzyły się z rezygnacją, jakby nie wiedział, czy ma mówić, czy milczeć.

– Bardzo cię proszę – powtórzył.

Hanne otrzepała rękę.

– Rozumiem, że miałeś powody, żeby się spóźnić. Nie myśl już o tym. Chciałabym teraz, żebyś... – Podała mu kartkę i wyjrzała przez okno. – Chcę zestawienia wszystkich bestialskich zbrodni popełnionych w ciągu ostatnich dziesięciu lat. W całej Norwegii. Mam na myśli okaleczenia, obcięte kończyny... takie rzeczy. Chcę znać szczegóły, sprawców, motywy, rozwój sprawy i tak dalej. ASAP. Co znaczy „natychmiast”.

Na kilka sekund zapadła kompletna cisza. Potem Billy T. poderwał się i walnął obiema pięściami w stół. Popielniczka podskoczyła i upadła na podłogę.

– Stłukła się – zauważyła Hanne cierpko. – Mam nadzieję, że mi odkupisz.

Billy T. uniósł się na całą swoją wysokość. Wokół skrzydełek nosa rysowały się białe półksiężyce. Na policzkach miał czerwone plamy, a oczy wypełniły mu się łzami.

– Jesteś żalosna – wypluł z siebie. – Niech mnie diabli, jesteś żalosna, Hanne Wilhelmsen!

– Akurat w tej chwili nie zamierzam tracić czasu na dyskusje o tym, co

o mnie myślisz – powiedziała, odgarniając włosy z czoła. – Interesują mnie przede wszystkim odcięte głowy. Jeśli coś takiego było. Możesz się nawet cofnąć jeszcze dalej w czasie. Poza tym poproś Karla, żeby przyjrzał się bliżej Stålemu Salvesenowi. Chcę wiedzieć o tym facecie wszystko. I chodzi mi o coś więcej niż to, co zdołaliście sklecić tutaj – pstryknęła w dwie kartki zawierające skąpe informacje z Biura Ewidencji Ludności – w tym żalonym pisemku. I jeszcze jedno... – Popatrzyła mu w oczy. Billy T. drżał z gniewu, a ona poczuła ukłucie zadowolenia, kiedy zauważyła, że łzy zaraz popłyną mu po twarzy. – Proponuję, żebyśmy od tej chwili zachowywali nasze życie prywatne dla siebie. Przynajmniej w godzinach pracy. – Uśmiechnęła się lekko i ruchem dłoni dała mu znać, że może odejść. – *Dismissed* – dodała, kiedy wciąż się nie ruszał.

– Cholera, tobie potrzeba psychiatry! – syknął w końcu Billy T. i się odwrócił.

– Miło, że masz córeczkę. Naprawdę. Pozdrów ode mnie Tone-Marit i przekaz jej, co powiedziałam.

Huk po trzaśnięciu drzwiami jeszcze długo dźwięczał jej w uszach.

Było wtorkowe popołudnie, dziewiąty marca, a Hanne Wilhelmsen w duchu złożyła sobie przysięgę: rozwiąże tajemnicę zabójstwa żony prokuratora okręgowego Sigurda Halvorsruda w ciągu trzech tygodni. Maksymalnie czterech.

Dziewczynka była tania i chętna. Wszystko poszło szybko. Evald Bromo stał na brzegu pomostu i intensywnie wpatrywał się w czarną wodę.

Zabrakło mu odwagi. Pragnienie okazało się zbyt silne. Margaret powiedział, że wyjeżdża na seminarium. Przez całą dobę włóczył się po ulicach i chociaż tak długo próbował uniknąć pigalaka, w końcu tam trafił. Później były nabrzeża. Na wschodzie rysowała się już wąska smuga światła, a Evaldowi zaczęły się mylić dni. Odwrócił się i uniósł wzrok. Ratusz zdawał się na niego walić. Ciemnoszare kontury na tle czarnego bezgwieздnego nieba. Chciał to zrobić tyłem. Próbował zdobyć się na odwagę, która pozwoliłaby mu wykonać tych kilka koniecznych kroków do tyłu poza brzeg pomostu, w głąb fiordu.

Nie zdołał się przemóc.

Do pierwszego września pozostało jeszcze pięć miesięcy i dwadzieścia dwa dni, a on nawet nie potrafił trzymać się z daleka od dziewczynek.

Zastanawiała się, dlaczego szpital zawsze pachnie szpitalem. Może działa tu takie samo prawo co ze śmieciami – bez względu na to, co się wrzuca do worka, mięso czy warzywa, pieluchy czy rybę, stary ser czy puste kartony po mleku, po kilku godzinach śmieci zawsze cuchną tak samo.

Hanne Wilhelmsen zgłosiła w pracy, że jest chora. Odkładając słuchawkę po przekazaniu informacji Beate z sekretariatu, przełknęła coś, co przypominało wstyd. Ani słowem nie wspomniała o Cecilie.

Cecilie protestowała. Hanne nie musiała tu tkwić, przecież i tak nic nie mogła zrobić. Zmarnowany czas. Wczoraj wieczorem Hanne siedziała przy niej na łóżku. Pielęgniarka usiłowała ją powstrzymać przed wejściem do pokoju, w którym Cecilie niemal zlewała się w jedno z białą pościelą.

– Tylko bądź tutaj, kiedy się obudzę – poprosiła i lekko musnęła palcami dłoń Hanne. – To będzie dopiero późnym popołudniem. Przyjdź wtedy, dobrze?

Mimo to uśmiechnęła się, kiedy Hanne pojawiła się o siódmej rano. Na twarzy ukazała jej się jakaś zapomniana radość. Jedno oko trochę mocniej się przymknęło niż drugie, bo uśmiech był odrobinę krzywy.

– Przyszłaś. – Tylko tyle zdążyła powiedzieć, bo zaraz zabrał ją salowy, żeby przygotować do operacji. – Jednak przyszłaś.

Hanne Wilhelmsen zamknęła oczy, chcąc odciąć się od chaosu myśli, od którego już była wycieńczona, mimo że dopiero dochodziła dziesiąta. Przez pół godziny usiłowała czytać kryminał, ale był mało realistyczny i nudny. Potem starała się skupić na zabójstwie Doris Flo Halvorsrud, lecz potrafiła jedynie wyobrazić sobie bezgłową kobietę otoczoną wielką ciemnością.

Mimo niewygodnej pozycji musiała się zdrzemnąć, bo nagle drgnęła

przestraszona.

– A więc tutaj siedzisz.

Komendant Hans Christian Mykland był ubrany we flanelową koszulę w czerwoną kratę i niebieskie spodnie z przesytytym kantem, pochodzące chyba jeszcze z lat siedemdziesiątych. Na udzie, w miejscu, w którym materiał się napiął, kiedy Mykland usiadł na sąsiednim krześle, widać było wyraźne kłębuszki zmechacenia. Ledwie go poznała.

– Nie zawsze noszę mundur – uśmiechnął się. – Doszedłem do wniosku, że idąc tu, muszę się przebrać.

Hanne bez słowa patrzyła na jego buty – brązowe, kupione chyba razem ze spodniami. Poczula, że kręci jej się w głowie. Nie mogła pojąć, skąd się dowiedział, gdzie będzie.

– Jak sądzą, kiedy to się skończy? – spytał Mykland, rozglądając się po korytarzu. – Jest tu gdzieś w pobliżu jakiś automat z kawą?

Hanne wciąż milczała. Komendant położył jej rękę na udzie. Hanne Wilhelmsen, która miała wrodzoną niechęć do bycia dotykana przez obcych jej ludzi, aż nieznacznie pokręciła głową, zdziwiona poczuciem bezpieczeństwa, jakie kryło się w tej ręce. Biło z niej takie ciepło, że miała ochotę znów zasnąć.

– Proszę. – Mykland zaproponował jej pastylkę na gardło. – Najchętniej byś pewnie zapaliła, ale to musi ci wystarczyć. Mówili, kiedy skończą?

– Około drugiej – mruknęła Hanne, pocierając twarz. Wciąż nie rozumiała, dlaczego komendant jest tutaj. – Tak mniej więcej, jeżeli wszystko pójdzie zgodnie z planem.

– A jak ty się czujesz?

Cofnął rękę i obrócił się na krześle, żeby złapać z nią kontakt wzrokowy. Nie zgodziła się na to, zakryła twarz rękami.

– Dobrze – odparła. Zabrzmiało to, jakby mówiła przez tłumik.

Komendant roześmiał się cicho, ale śmiech i tak odbił się echem od betonowych ścian.

– Czy ty kiedykolwiek powiedziałaś, że nie czujesz się dobrze? – spytał.
– Na przykład: „Nie, w zasadzie czuję się okropnie”.

Hanne nie odpowiedziała, ale przynajmniej opuściła ręce i zmusiła się do czegoś w rodzaju uśmiechu. Przez długą chwilę milczeli.

– Mój syn umarł – oświadczył nagle Hans Christian Mykland. – Najstarszy. Zabił się cztery lata temu. Myślałem, że sam umrę. Naprawdę, dosłownie. Nie spałem, nie jadłem... Kiedy myślę o tych miesiącach po śmierci Simena, to wydaje mi się, że nawet niewiele czułem. Większość czasu spędzałem na skupianiu się...

Znów się roześmiał, a Hanne wreszcie na niego popatrzyła.

– Skupiałem się na swojej skórze.

– Na skórze? – zdziwiła się Hanne, lekko kaszłąc.

– Tak, na skórze. Usiłowałem wyczuć granice tego, co jest mną. Uchwycić to. Dość mnie to fascynowało. Potrafiłem przeleżeć całą noc, starając się wyczuć skórę kawałeczek po kawałeczku, centymetr po centymetrze. Sądzę, że miałem jakąś potrzebę...

Hanne zadrżała, komendant urwał.

– Dziwne, że to mówisz – mruknęła. – Wiem, co masz na myśli.

Salowy zaparkował łóżko tuż przed nimi. Wśród całej bieli spała staruszka. Do chudej ręki z wyraźnymi grubymi żyłami przymocowano taśmą wenflon. Z przezroczystej butelki kapał roztwór soli bezpośrednio do ręki kobiety. Kiedy łóżko się zatrzymało, ledwie uchyliła oczu. Hanne wydało się, że dostrzega u staruszki uśmiech przeznaczony wyłącznie dla niej.

Była taka piękna. Hanne nie mogła przestać na nią patrzeć. Staruszka miała lśniące białe włosy odgarnięte ze szczupłej twarzy i mocno zarysowane kości policzkowe. W króciusińskim, trudnym do uchwycenia momencie, kiedy się uśmiechnęła, a przynajmniej uniosła powieki, Hanne zauważyła, że jeszcze nigdy nie widziała równie jasnych niebieskich oczu. Skóra napinająca się na kościach wydawała się tak miękka, że Hanne miała

ochotę pogłodzić kobietę po policzku. W końcu to zrobiła.

Staruszka znów otworzyła oczy, tym razem naprawdę. Potem uniosła wolną rękę i delikatnie nakryła nią dłoń Hanne. Wrócił salowy.

– No to jedziemy – powiedział, głównie do siebie.

Hanne dalej stała, obserwując łóżko, aż zniknęło za rogiem dwadzieścia metrów dalej.

– Skąd wiedziałeś, że tu jestem? – spytała półgłosem. – Dlaczego tu przyszedłeś?

– Usiądź – poprosił Mykland.

Hanne nie posłuchała.

– Usiądź – powtórzył, tym razem ostrzej.

Był jej zwierzchnikiem. Usiadła więc, wciąż na niego nie patrząc.

– Możesz wziąć urlop opiekuńczy – oświadczył. – Tak długi, jak zechcesz. Ty... – urwał.

Hanne dokończyła za niego:

– ...zasługujesz na to. Ja na to zasługuję. Zdajesz sobie sprawę, jak mam dosyć słuchania, że na coś zasłużyłam? Zasługuję na to, żeby wziąć wolne? Czy to nie jest piękna wymówka, bo tak naprawdę to wy zasługujecie na to, żeby się mnie pozbyć?

– Popadasz w paranoję, Hanne. Nie możesz po prostu pogodzić się z tym, że jesteś uważana za dobrą w tym, co robisz, i już? I że ludzie w komendzie...

– W okręgu – poprawiła go kwaśno.

– ...uważają za słuszne wzięcie kilku dni wolnego w takiej sytuacji?

Hanne nabrała powietrza, jakby chciała coś powiedzieć. Wstrzymała jednak oddech i pokręciła głową.

– Masz ogromny problem z komunikowaniem się – stwierdził komendant spokojnie. – Wiedz, że spośród ludzi z pracy jesteś pierwszą osobą, której powiedziałem o śmierci syna. I nie mam od ciebie żadnego odzewu. Ja sobie z tym poradzę. Ale czy ty potrafisz?

– Przepraszam – mruknęła Hanne. – Naprawdę przepraszam. Po prostu wolałabym, żeby zostawiono mnie w spokoju.

– Nie.

Znów położył rękę na jej udzie. Teraz poczuła jedynie obrzydzenie i zesztywniała.

– Wcale tego nie chcesz – ciągnął Mykland. – Bardzo byś chciała, żeby ktoś z tobą porozmawiał. Żeby cię wysłuchał. Skłonił do mówienia. Właśnie tego teraz próbuję, ale nie bardzo mi się udaje.

Zapach szpitala nagle stał się przytłaczający. Ciało Hanne Wilhelmsen jeszcze bardziej się napięło. Zabolały mięśnie uda, które naprężyła z całej siły, żeby Mykland zabrał rękę. Poczowała wzbierające mdłości i z trudem przełknęła ślinę.

– Chcę pracować – oświadczyła przez zaciśnięte zęby. – Chcę jedynie mieć spokój i wykonywać swoją pracę. Mam... – Gwałtownie się poderwała, stanęła twarzą do komendanta i wyliczając na palcach, syczała: – Zabójstwo z użyciem noża, bójkę w barze, napaści o podłożu rasistowskim i jeszcze sprawę kobiety z obciętą głową, z której kompletnie nic nie rozumiem. Czy ty w ogóle masz pojęcie, ile jest roboty w wydziale? Czy ty w ogóle masz jakieś pojęcie o mnie i o tym, co akurat w tej chwili jest najlepsze dla Hanne Wilhelmsen? – Wypowiadając swoje nazwisko, uderzyła się palcem w mostek tak, że aż ją zabolało. – Nie. Nie masz pojęcia. Ja natomiast wiem, że jedyne, co mogę zrobić w takiej sytuacji, to zająć się pracą. Wykonywać ją, nie rozumiesz?

Echo poniosło się wśród ścian. Dwaj Pakistańczycy siedzący dziesięć metrów dalej w głębi korytarza z zaciekawieniem odwrócili głowy w ich stronę. Przechodzący pielęgniarz zwolnił z taką miną, jakby zamierzał się zatrzymać i spytać, czy w czymś nie pomóc. Ale widząc spojrzenie Hanne Wilhelmsen, szybko spuścił wzrok i znów przyspieszył.

– Wierzysz w Boga, Hanne?

– Ha! – Uderzyła się ironicznie w czoło. – To dlatego tu przyszedłeś.

Taka mała wyprawa misyjna do Szpitala Ullevål, żeby ocalić zatraconą duszę Hanne Wilhelmsen. Nie, nie wierzę w Boga. I pozwól, że zacytuję kogoś słynniejszego ode mnie: „On we mnie też nieszczególnie wierzy”.

Z braku możliwości zajęcia się czymś innym ruszyła przed siebie. Komendant podniósł się powoli i poszedł za nią.

– Mylisz się – powiedział półgłosem za jej plecami. – Po prostu byłem ciekaw.

Hanne przyspieszyła, ale nie bardzo wiedziała, dokąd idzie. Kiedy dotarła do końca korytarza, zawróciła i próbowała iść z powrotem. Komendant ją zatrzymał.

– Nie będę cię dłużej dręczyć. Przyszedłem tylko porozmawiać. Pokazać ci, że się przejmuję. Uznałem, być może błędnie – uśmiechnął się z lekkim zażenowaniem – że trochę wiem, jak się czujesz. Ale ty mnie nie znasz. Próbowałem to naprawić. Nie wiem, ile to warte, ale chcę, żebyś wiedziała, że jestem gotów cię wysłuchać, jeśli zmienisz zdanie. A przynajmniej powinnaś porozmawiać z Billym T.

Hanne podjęła kolejną próbę wyminięcia go, ale i ta się nie udała.

– On cię kocha tak, jak można kochać człowieka niebędącego rodziną – ciągnął Mykland. – Powinnaś to dostrzec. I docenić. Może nawet wykorzystać. Pójdę już.

Ledwie musnął dłonią jej ramię, kiedy ją przepuszczał. Długo za nią patrzył.

– Billy T. – mruknęła Hanne z pogardą i wściekle zaczęła szukać w torebce marnej powieści kryminalnej.

Kiedy podniosła głowę, komendanta nie było. Do Pakistańczyków dołączyło dziecko. Wspinało się na puste łóżka stojące pod przeciwległą ścianą. Hanne Wilhelmsen nie bardzo potrafiła nazwać uczucie, które ogarnęło ją, kiedy odkryła, że komendant rzeczywiście za nią nie poszedł. Najbardziej przypominało rozczarowanie.

Redaktor naczelna „Aftenposten” zaliczała się do tych, którzy z bezwarunkowo otwartymi ramionami przyjmowali kolejne zdobycze technologii. Już w 1984 roku sprawiła sobie pierwszy przenośny komputer marki Toshiba. Był raczej „transportowalny” niż przenośny i kosztował ponad sześćdziesiąt tysięcy koron. Gdy tylko pojawiło się coś o nazwie Internet, od razu się podłączyła. Zrobiła to na tyle wcześnie, że prawie nie miała do kogo wysyłać e-maili.

Teraz dostawała ponad sto elektronicznych wiadomości w ciągu dnia. Wielokrotnie usiłowała nakłonić osoby, z którymi kontaktowała się tą drogą, a przede wszystkim pracowników, do oznaczania ważności poczty. Flaga czy wykrzyknik, wszystko jedno, ale praca byłaby o wiele łatwiejsza, gdyby zachowywano choć trochę większą dyscyplinę w podkreślaniu znaczenia treści listu.

Tego dnia niemal w roztargnieniu przeglądała e-maile, które przysły przed południem. Właśnie odkryła oczko w lewej pończosze. Zwykle miała kilka rezerwowych par w trzeciej od góry szufladzie biurka, ale tym razem szuflada okazała się pusta. Machinalnie obciągnęła więc tylko spódnicę i dalej przeglądała listę wiadomości, w zasadzie ledwie przebiegając wzrokiem ich tematy.

Ale jeden e-mail kazał jej się zatrzymać. W temacie wpisano: „Przejmij się”. Wiadomość była krótka:

Powinna pani sprawdzić, co dolega dziennikarzowi Evaldowi Bromo. Ostatnio jest niezwykle wyprowadzony z równowagi. Jako redaktor naczelna powinna pani spytać, czy ma jakieś kłopoty.

Naczelną przeczytała wiadomość dwa razy. W końcu wzruszyła ramionami, zamknęła skrzynkę i spojrzała na zegarek. Już była dziesięć

minut spóźniona na spotkanie.

Wychodząc z gabinetu, obróciła się, żeby sprawdzić rajstopy. Lakier do paznokci nie zatrzymał oczka. Szeroki jaśniejszy pasek dochodził już do czarnych butów na wysokich obcasach. Z trudem powstrzymała siarczyste przekleństwo.

Z tego, co wiedziała, Evaldowi Bromo nic nie dolegało.

– Ikea – powiedział Billy T. drwiąco, rozglądając się po pokoju. – Zupełnie coś innego niż na Aker Brygge.

Ostrożnie usiadł na krześle dla gości, jakby nie był pewien, czy mebel wytrzyma jego wagę. Potem z kieszeni obszernej kurtki wyciągnął plastikową półlitrową butelkę coli.

– Ale za to przytulnie.

Siorbnął colę i podsunął butelkę Karen Borg.

– Napijesz się?

– Nie, dziękuję.

Wychyliła się na bok na swoim szerokim krześle i wypila łyk herbaty. Od kiedy podziękowała za pracę w cieszącej się świetną renomą kancelarii specjalizującej się w sprawach gospodarczych – z modnym adresem i meblami z Expo-Nova – żeby otworzyć własną i prowadzić ją bez niczyjej pomocy, nie licząc sekretarki z agencji Manpower, nie tykała kawy. Była w tym pewna symbolika. Na Aker Brygge piło się cappuccino. Tutaj, w jasnym pokoju z kwiatkami w doniczkach i wiejskim sklepem na liście klientów obowiązywała herbata.

– Bardzo mi smutno z powodu Cecilie – powiedziała powoli, kręcąc głową. – To naprawdę straszne. Szkoda, że wcześniej o tym nie wiedziałam.

– I tak w niczym byś nie pomogła. – Billy T. ziewnął. – Z Hanne nie daje się rozmawiać. Sama zresztą dowiedziała się dopiero w poniedziałek. Rozmawiałem wczoraj z Cecilie przez telefon. Operują ją – wyciągnął srebrny kieszonkowy zegarek i mrużąc oczy, przyjrzał się wskazówkom – akurat teraz.

Zapadła cisza. Billy T. poczuł delikatny zapach wanilii i nachylił się nad filiżanką, którą Karen Borg trzymała w obu rękach. Potem lekko się

uśmiechnął i spojrzał w okno. Pojawił się w nim zawieszony w koszu mężczyzna, który brudną ścierką zaczął przecierać szybę. Wesoło pomachał Billy'emu T.

ściągnął kolejną z wiadra, w którym wodę należało zmienić już trzy piętra temu.

– Na ile to właściwie groźne? – spytała wreszcie Karen, odstawiając filiżankę.

– Z tego, co rozumiem, okaże się dzisiaj. Ale nie dzwoń do Hanne. Powinno się ją zamknąć w klatce. Zrobiła się śmiertelnie niebezpieczna dla otoczenia. Odgryzłaby ci ucho.

Człowiek od mycia szyb skończył i wesoło się pożegnał, wciągany na kolejne piętro. Jego praca nie była warta wysiłku – na szybie zostały smugi brudu przypominające kraty.

– Torba na bułeczki – powiedział Billy T. nagle, kładąc na biurku Karen Borg teczkę z kopiami akt w różowej okładce.

– Co?

– Te pieniądze były opakowane w torbę po bułeczkach od Piekarza Hansena. Pięć odcisków. Dwa niezidentyfikowane. Trzy pozostałe należą do Halvorsruda. Trochę głupio z jego strony, że zaprzecza jakiegokolwiek wiedzy o tych pieniądzach.

– To, że trzymał w rękach torebkę po bułeczkach, absolutnie niczego nie dowodzi – oświadczyła Karen Borg cierpko. – Znaleźliście jakieś odciski na banknotach?

– Tak. Mnóstwo. Żadnego nie udało się zidentyfikować. To były same używane banknoty, więc w zasadzie nic w tym dziwnego. – Knykciami mocno potarł czaszkę. W świetle wpadającym przez okno drobinki złuszczonej skóry utworzyły aureolę wokół jego głowy. – Nie płacą mi za doradzanie twojemu klientowi – stwierdził, znów sięgając po colę. – Ale czy to nie byłby dobry pomysł, żeby złożył chociaż odrobinę bardziej

wiarygodne wyjaśnienia? Wszystko, absolutnie wszystko wskazuje na to, że naprawdę zabił żonę. Nie mógłby powiedzieć czegoś o nagłej chorobie umysłowej? Że odbiło mu, kiedy wyznała, że chce się rozwieść, albo coś takiego? Dostałby dziesięć lat, wyszedłby mniej więcej po sześciu. Może jeszcze zdążyłby zatańczyć na weselu córki.

– On tego nie zrobił – stwierdziła Karen Borg, jeszcze raz podziękowawszy za ciepłą colę. – Po prostu. Uważa, że było tak, jak mówi. A ja muszę to przyjąć. Jest zresztą jedna rzecz... Nie wiem, czy o niej pomyśleliście.

Billy T. szeroko otworzył oczy w wyrazie oburzenia, jakby już sama sugestia, że cokolwiek w tej sprawie nie zostało starannie ocenione i przeanalizowane przez policję, była nie na miejscu.

– Powiedzmy, że Ståle Salvesen odebrał sobie życie w zeszły poniedziałek. Załóżmy, że Halvorsrud naprawdę się pomylił. Uznał... wciąż uważa, że Ståle Salvesen jest mordercą, choć tak naprawdę był to ktoś inny. Ktoś podobny. Albo przez dziwny brzemienny w skutki zbieg okoliczności, albo dlatego...

– Albo dlatego, że morderca chciał być podobny do Salvesena – dokończył Billy T., opróżniając butelkę. – Oczywiście, że wzięliśmy to pod uwagę. Wciąż tego nie wykluczamy. *But why?*

– Znów ten angielski! Za dużo czasu spędzasz z Hanne – stwierdziła Karen cierpko. – Poza tym to wy macie znaleźć motyw. Mnie to na szczęście omija.

– A co z tymi dzieciakami? – spytał Billy T. – Niezbyt przyjemne było przesłuchiwanie chłopaka, którego matka właśnie umarła, a ojciec posiedzi za kratami Bóg wie jak długo.

– Chłopcy sobie poradzą – odparła Karen, marszcząc brwi, jakby coś ją dręczyło. – Gorzej z Theą. Mój brat, który jest starym przyjacielem rodziny, mówi, że nie daje się jej uspokoić. Trochę dziwne, że większym szokiem dla niej okazało się zamknięcie ojca w areszcie niż zabójstwo matki. Przestała

jeść, nie chce chodzić do szkoły. W zasadzie się nie odzywa. Tylko płacze i chce do ojca. Domaga się jego powrotu do domu. O matce prawie nie mówi.

– Trudno przewidzieć reakcje ludzi w takich sytuacjach – ziewnął Billy T. – Zwłaszcza dzieciaków. Muszę już iść. Dopilnuję dokładania dokumentów do tej teczki.

Już naciskał klawisz, kiedy Karen nagle odezwała się półgłosem i jakby do siebie:

– Może Håkon...

Billy T. odwrócił się i długo na nią patrzył.

– No tak – powiedział w końcu. – Może rzeczywiście Håkon zdoła porozmawiać z Hanne. Ja w każdym razie nie potrafię.

– Co my właściwie w niej widzimy? – spytała Karen Borg wciąż nie wiadomo kogo. – Dlaczego tak kochamy Hanne? Przecież jest dziwna, zamknięta w sobie i często się złości. Mimo to wszyscy skoczylibyśmy za nią w ogień. Dlaczego?

Billy T. pogładził klawisz.

– Ponieważ nie zawsze jest taka. Może my... Kiedy się nagle otwiera... Nie wiem. Wiem tylko, że jest moją najlepszą przyjaciółką.

– Ty ją podziwiasz. Bezgranicznie. Tak jak my wszyscy. Za to, że jest taka świetna w tym, co robi. I za ten jej intelekt. Ale... dlaczego jesteśmy tak cholernie wrażliwi na jej punkcie? Dlaczego...

– Ja ją kocham. Ty też. Nie wszystko na świecie ma swoje wytłumaczenie.

Jego głos zabrzmiał nagle odpychająco i nieprzyjemnie jak echo głosu samej Hanne. Podniósł dwa palce do czoła i wyszedł.

Było za pięć wpół do pierwszej w środę, dziesiątego marca 1999 roku. Karianne Holbeck miała już za sobą siedmiogodzinny dzień pracy i usiłowała rozmasować sobie kark. Kiedy zgięła rękę, poczuła, że musiała jeszcze przytyć. Czuła to również po dzinsach, w których nie mogła już siedzieć bez rozpinania górnego guzika. Złościło ją to bezgranicznie. Czwartego stycznia z optymizmem i determinacją kupiła półroczny karnet do siłowni SATS. Do tej pory udało jej się pójść raz.

Telefon znów zadzwonił.

– Słucham, Holbeck – warknęła do słuchawki.

– Dzień dobry. Nazywam się...

Starsza posterunkowa Karianne Holbeck w ogóle nie rozumiała nazwiska. Zorientowała się jedynie, że ma do czynienia z cudzoziemcem.

– Słucham, o co chodzi? – spytała bez cienia zainteresowania, szukając broszury reklamowej siłowni, żeby sprawdzić, jak długo jest czynna wieczorem.

– Dzwonię w sprawie tego adwokata – powiedział głos. – Tego, o którym piszą w gazecie. Nazywa się Halvorsrud.

– Halvorsrud – mruknęła Karianne, patrząc na zegarek. – To nie adwokat, tylko prokurator.

– Ja jestem z Turcji, pani rozumie? – ciągnął mężczyzna niezrażony. – Ja mam sklep warzywowy na Grünerløkka.

SATS okazało się czynne do ósmej. Przynajmniej pozostawała nadzieja na wieczorny trening.

– Pani widzi – nalegał głos w telefonie – w zeszłym roku mnie dali na policję. Głupie, ale powiedzieli, że nie zapłaciłem dobrze podatku. I że rachunki są źle. No i zadzwonił do mnie Halvorsrud, powiedział, że mi

pomoże. Chciał się spotkać wieczorem. Chciał mówić, ile będzie kosztowało, żeby... żeby uporządkować. Ja nie bardzo zrozumiałem. Moja żona, to ona powiedziała nie.

Zainteresowanie Karianne dramatycznie wzrosło. Rozpaczliwie szukała długopisu, żadnego nie znajdując.

– Powiedział, że to on dzwoni? Przedstawił się jako Sigurd Halvorsrud?

– Tak, powiedział, że tak. Nie powiedział, kim jest, adwokatem czy kim, ale zapisałem nazwisko na kartce. Kartkę mam.

Karianne chrząknęła i ze złością zaczęła wyciągać kolejne szuflady, szukając czegoś do pisania. Bez powodzenia.

– Nie wiem, czy to coś dla policji, ale pomyślałem, że...

– Może pan do nas przyjść? – przerwała mu Karianne. – Chętnie z panem porozmawiam. – Spojrzała na zegar z Kaczorem Donaldem, który groził, że w każdej chwili może spaść z biurka. – O drugiej?

– Nie, nie, ja jestem teraz bardzo, bardzo *busy*. W poniedziałek mogę przyjść. W poniedziałek. Na przykład o dziesiątej. Mogę przyjść i spytać o...

– Holbeck – powiedziała Karianne wyjątkowo wyraźnie, jakby rozmawiała z głuchym. – Ka-ri-an-ne Hol-beck. Ale proszę chwilę poczekać...

Położyła słuchawkę na biurku i pobiegła po długopis do sekretariatu.

– Halo? – wysapała zdyszana do słuchawki, kiedy wróciła. – Jest pan tam?

Nie było go. Dochodził jedynie denerwujący, monotony sygnał zajętego numeru. Karianne rozpaczliwie popukała w widełki. W niczym to nie pomogło.

– Przeklęty cudzoziemiec! – syknęła, rzucając słuchawkę. Po czym złapała się za usta z nadzieją, że nikt jej nie usłyszał przez otwarte drzwi.

Teraz mogła jedynie liczyć na to, że mężczyzna rzeczywiście zgłosi się w poniedziałek, co wcale nie było pewne. Karianne już dawno się przekonała, że cudzoziemcom nie można ufać. Wcale nie była rasistką.

Uważała, że wszyscy ludzie mają taką samą wartość. Problem polegał jedynie na tym, że Turkom, Irańczykom, Pakistańczykom i Afrykaninom z północy, Wietnamczykom i Latynosom nie można było ufać. Poniedziałek czy wtorek, o pierwszej czy o piątej, im było wszystko jedno. Nie wiadomo, czy facet w ogóle zechce się skontaktować.

Karianne nie mogła sobie nawet przypomnieć, jaki sklep ten człowiek prowadził. Wydawało jej się, że mówił o Grünerløkka, ale pewności nie miała. Wiedziała tylko, że jest Turkiem. Tak jakby to mogło w czymś pomóc.

– Tak to jest, kiedy się zaczyna pracę o wpół do szóstej – mruknęła ze złością, rozumiejąc, że popełniła głupstwo, i to z rodzaju tych większych.

Eivind Torsvik uświadomił sobie nagle, że od dwóch tygodni nie używał głosu. Prawie zapomniał już, jak brzmi. Położył się na kanapie i usiłował w skupieniu przypomnieć sobie, jaką ma barwę. Wiedział, że jego głos brzmi młodzieńczo. Że jest czysty i melodyjny, z jakimś obcym tonem, który błędnie mógł wskazywać na to, że nie jest Norwegiem. Kiedyś nauczyciel w podstawówce zaskoczył go w sali gimnastycznej, do której Eivind się włamał, żeby tam przenocować. Chcąc dodać sobie otuchy, śpiewał stare piosenki The Eagles. Nauczyciel był wniebowzięty i Eivind podejrzewał, że musiał długo podsłuchiwać, nim w końcu wyszedł z cienia. Stwierdził, że Eivind jest bardzo muzykalny. Chyba po prostu chciał okazać mu życzliwość, ale on i tak poderwał się i uciekł. Kiedy wracał myślą do tego zdarzenia, nie mógł sobie przypomnieć, gdzie się wtedy podział. Od tamtej pory już nigdy nic nie zaśpiewał.

Przyjemnie było tak leżeć. Znajdował się w osobliwym stanie między snem a jawą. Oczywiście mógł po prostu powiedzieć cokolwiek, ale to było za łatwe. Kropki tańczące pod powiekami powoli zbierały się w czerwoną kulę. Już wiedział. Oświadczył głośno i wyraźnie:

– Teraz się wszystko poskłada. Niedługo będziemy ich mieli.

Głos brzmiał dokładnie tak, jak go zapamiętał. Czysty i nieco dziecinny. Pasujący do przezwiska, które nadano mu w więzieniu.

– Jestem Aniołem – dodał Eivind Torsvik i zasnął.

30

– O rany! – zdumiał się Håkon Sand. – Ty tutaj?

Przyłapał się na tym, że patrzy na zegarek. Zbliżała się północ. Nie mógł pojąć, co komendant okręgowy policji Hans Christian Mykland robi pod niskim blokiem z cegły na Lille Tøyen, gdzie mieszkały Hanne i Cecilie. Tym bardziej o tej porze.

– Świetnie wyglądasz – rzucił komendant, po koleżeńsku klepiąc Sanda po ramieniu. – Nieźle o ciebie dbają na Hambros plass.

Håkon w odpowiedzi mruknął coś niewyraźnie. Naprawdę nie rozumiał, dlaczego komendant tu jest. Podrapał się w ucho.

– Pomyślałem, że odwiedzę naszą wspólną przyjaciółkę – wyjaśnił Mykland, ruchem głowy wskazując okno na trzecim piętrze. – Po prostu jestem ciekaw, co słychać.

Jowialność nagle zniknęła. W bladym świetle ulicznej latarni Håkon Sand dostrzegł na twarzy komendanta troskę, której też nie rozumiał. Mykland wydawał się teraz starszy. Może przez szarozółty półmrok albo z powodu zniszczonej jasnobrązowej parki, w której wyglądał jak podstarzały bohater serialu komediowego.

– Wy się znacie? – wyrwało się Håkonowi. – To znaczy znacie się z Hanne prywatnie?

Komendant uśmiechnął się i ledwie dostrzegalnie pokręcił głową.

– Takie stwierdzenie byłoby przesadą. Po prostu się martwię. Nie jest jej łatwo, ale – rozłożył ręce i uśmiechnął się szeroko – skoro ty tu jesteś, to znaczy, że Hanne jest w dobrych rękach. Ja już sobie pójdę. Dobranoc.

Håkon wymamrotał coś na pożegnanie, a potem patrzył, jak komendant truchtem pokonuje dwadzieścia czy trzydzieści metrów dzielące go od starego cytrynowożółtego saaba. Samochód głośno zaprotestował, ale po

dwóch ostrych strzałach z gaźnika niechętnie zaczął sunąć pod górkę, zostawiając za sobą ogon czarnego dymu. Håkon ciężko westchnął i nacisnął guzik domofonu.

Nikt nie odpowiedział.

Zadzwoił jeszcze raz na tyle długo, by stwierdzić, że zachowuje się niegrzecznie. Zwolnił przycisk, zrobił trzy kroki w tył i popatrzył w kuchenne okno na trzecim piętrze. Za zaciągniętymi zasłonami paliła się lampa stojąca. Poza tym w całym bloku było ciemno; oprócz tego, że ktoś najwyraźniej zapomniał zgasić światło w piwnicy. Z prostokątnego okienka padał na jego stopy zimny niebieski blask.

Była w domu. Håkon nie miał co do tego żadnych wątpliwości. Wcześniej dzwonił do szpitala. Jakaś miła pielęgniarka potwierdziła, że Hanne Wilhelmsen zostawiła śpiącą Cecilie Vibe koło jedenastej.

– Za diabła się na to nie zgodzę, Hanne!

Ze złością wcisnął dzwonek, tym razem przekraczając wszelkie granice dobrego wychowania. Trzymał palec na przycisku przez, jak mu się wydawało, wieczność. Akurat miał się poddać, kiedy usłyszał brzęczyk domofonu. Szarpnął drzwiami. Były otwarte.

Nie pojmował własnego lęku. Serce nie waliło mu tak od czasu, kiedy pierwszy raz występował w Sądzie Najwyższym. Gdy otworzył dłonie, zobaczył pot błyszczący na linii życia.

Hanne Wilhelmsen był starą dobrą przyjaciółką. Nie rozumiał, dlaczego jest bliski szaleństwa ze strachu, kiedy zbliżał się do drzwi z mosięzną tabliczką z inicjałami „HW & CV”.

Nie było lepiej, kiedy otworzyła. Twarz miała nie do poznania zapłakaną. Oczy jak dwie kreski wśród opuchlizny, a dolna warga drżała tak, że Håkon nie był w stanie oderwać od niej wzroku. Patrzył na kropelkę śliny drżącą w zagłębieniu na jej środku. W końcu kropla spłynęła na podbródek. Policzki Hanne były zaognione, a cała jej postać jakby się skurczyła. Ręce bezwładnie zwieszały się wzdłuż ud, ramiona zupełnie zniknęły w za dużej

bluzie.

Nie potrafił nic powiedzieć, tylko tak jak stał, usiadł na schodach, na lodowatym betonowym stopniu. Potarł dłonie, nie mogąc dłużej patrzeć na Hanne.

– Wejdz – odezwała się w końcu głosem, jakiego nigdy nie słyszał.

Podniósł się ciężko, z trudem łapiąc oddech, i stanął w przedpokoju, nie zdejmując kurtki, nawet kiedy Hanne zniknęła w salonie.

W mieszkaniu pachniało Cecilie. Powietrze przenikał aromat perfum *Boss Woman*. Håkon kilka razy pociągnął nosem. Zapach był natrętny i dziwił, dopóki Håkon nie zauważył prawie pustej butelki na stoliku w przedpokoju. Z wahaniem przeszedł do salonu. Tam zapach perfum był jeszcze mocniejszy.

– Wylałaś całą butelkę – powiedział i przygryzł wargę.

Hanne nie odpowiedziała. Siedziała wyprostowana na krześle. Otwarte dłonie ułożyła na kolanach, jakby czekała na prezent. Wpatrywała się w coś tak intensywnie, że Håkon też tam spojrział. Ale to była pusta biała ściana.

Wreszcie ściągnął ciężką kurtkę i rzucił ją na podłogę. Potem wolno przeszedł i usiadł na kanapie. Mimochodem sięgnął do talerza z owocami po pomarańczę i zaczął ją przekładać z ręki do ręki.

– I jak poszło? – odważył się w końcu spytać.

– *Game over* – oświadczyła Hanne pustym głosem. – Przerzuty do wątroby. Nic się nie da zrobić.

Pomarańcza pękła. Ciepły sok spłynął po dłoniach Håkona, plamiąc spodnie na udach. Odłożył z maltretowany owoc. Bezradnie zawiesił lepkie dłonie w powietrzu nad kolanami i rozplakał się.

Hanne wreszcie poruszyła oczami. Popatrzyła na niego. Kiedy się wyprostował, żeby złapać oddech, odwrócił twarz w jej stronę.

– Musisz iść – powiedziała. – Chcę, żebyś sobie poszedł.

Håkon spróbował demonstracyjnie się roześmiać. Zaszlochał. Ciekło mu z nosa i z ust.

– Płacę – wymamrotał, rękawem wycierając twarz. – Płacę nad Cecilie. Ale przede wszystkim płacę nad tobą. Musisz przeżywać coś straszniejszego, niż jestem w stanie sobie wyobrazić. Zrobiła się z ciebie idiotka, Hanne, i nie pojmuję...

Dalszy ciąg zagłuszył atak kaszlu.

– Wracaj do domu, do swojej rodziny – nakazała Hanne, odgarniając włosy z czoła sztywnym, powolnym ruchem. – Późno już.

Przez chwilę patrzył na nią z niedowierzaniem. Potem zdecydowanie wstał. Kolanem zawadził o brzeg stołu i głośno zaklął.

– Akurat! – krzyknął cienkim głosem. – Na pewno pójdę zaraz do domu. A ty tylko tu siedź! Siedź i nie chciej ze mną rozmawiać. Możesz sobie robić, co chcesz, do jasnej cholery, ale ja stąd nie wyjdę. Zostaję!

Nie wiedząc, jak dalej postąpić, zaczął podciągać rękawy swetra i zaraz je opuszczać. Szlochał jak przerośnięte dziecko, a do oczu dostał mu się piekący sok z pomarańczy, kiedy próbował powstrzymać dłońmi łzy.

– Do jasnej cholery, Hanne! Co się z tobą stało?

Później miał kłopoty z wyjaśnieniem tego, co się wydarzyło. W ogóle tego nie rozumiał. Wszystko nastąpiło tak niespodziewanie, że za każdym razem, kiedy usiłował zrelacjonować, jak Hanne się właściwie zachowała, miał z tym problemy. To wszystko było tak nielogiczne, tak nieoczekiwane i tak nie w stylu Hanne Wilhelmsen, że uznał, iż mu się przyśniło. Dopiero kiedy dotykał obolałego mostka, docierało do niego, że naprawdę go zaatakowała.

Wstała z krzesła, podeszła do niego i wymierzyła mu siarczysty policzek. Potem dłonią zaciśniętą w pięść uderzyła go w pierś i zaraz osunęła się na kolana, bijąc go po nogach, a w końcu wcisnęła głowę w kolana i ręce złożyła na karku.

– Hanne – szepnął, kucając przy niej. – Hanne. Pomogę ci trochę.

Bezwolnie pozwoliła mu się podnieść. Nie protestowała, kiedy ją objął. Jej głowa opadła mu na ramię. Poczł intensywny zapach Cecilie i nagle

zrozumiał, że wylała flakon na siebie.

Nie wiedział, jak długo tak stali. Nie mógł zrobić nic innego, tylko ją trzymać. Powoli zaczęła mu coraz bardziej ciążyć i w końcu pojął, że zwyczajnie zasnęła. Delikatnie przesunął rękę, objął ją w pasie. Jak lunatyczka pozwoliła zaprowadzić się do sypialni. Położyła się na brzuchu w ubraniu. Håkon stał, słuchając jej oddechu, i próbował oddychać w tym samym rytmie. Potem położył się obok, otulił ich oboje kołdrą i zamknął oczy.

– Boję się siebie.

Håkon Sand gwałtownie się obudził. Przeszył go lęk, zanim uświadomił sobie, gdzie jest. Hanne leżała ciągle w tej samej pozycji – na brzuchu, z rękami wzdłuż boków, z odwróconą twarzą. Kołdra spadła na podłogę.

– Czuję się jak w pułapce tego, co kiedyś było mną. Wszystkiego, co zrobiłam. Wszystkiego, czego żałuję.

Håkon cicho kaszlnął. Obrócił się na lewy bok i oparł głowę na lewej ręce. Prawą położył Hanne na krzyżu i zaczął delikatnie zataczać nią koła.

– Mam takie wrażenie, jakbym chciała uciec przed samą sobą. Jakbym próbowała uciec... – westchnęła, z trudem łapiąc oddech – ...uciec przed własnym cieniem. A to się nie da. Chciałabym zatrzeć wszystko i zacząć od nowa. Ale teraz jest już za późno. Od wielu lat za późno.

Pociągnęła nosem i obróciła się na bok plecami do niego. Może nie chciała, żeby jej dotykał. Wciąż nic nie mówił. W pokoju było duszno, powietrze wydawało się gęste, a w szparze pod drzwiami widać było wirujące w świetle drobinki kurzu. Gdzieś z daleka dobiegł warkot przyspieszającego motocykla, ale potem znów zrobiło się cicho i Håkonowi opadły powieki. Nagle Hanne podjęła:

– Kiedy jestem sama, myślę wyłącznie o wszystkim, co się rozpadło. O przyjaźni, miłości, życiu. O wszystkim.

– Ale... – zaczął Håkon niepewnie.

– Nic nie mów – powiedziała cicho. – Nic nie mów, dobrze? Po prostu tu

bądź.

Zwinęła się w kłębek, a on nie mógł się powstrzymać, żeby nie gładzić jej po włosach.

– Masz rację – szepnęła. – Jestem idiotką. Taką, która wszystko niszczy. Jedyne, co w życiu potrafię, to być policjantką. To się na pewno bardzo teraz przyda. Bardzo. Cecilie się ucieszy.

Ostrożnie przechylił się nad nią i podniósł kołdrę z podłogi. Potem mocno się przytulił do skulonego ciała. Czuł kręgosłup Hanne na brzuchu i zdumiał się, jak bardzo schudła. Przygarnął ją do siebie i szeptał jej we włosy słowa, które nie miały sensu. Nakryła dłonią jego dłoń i dopiero, gdy ją puściła, zrozumiał, że znów zasnęła. Prawie nie wyczuwał jej oddechu.

Przez blisko pół godziny leżała, gapiąc się w sufit. Liczyła sekundy, chcąc wiedzieć, jak długo potrafi nie mrugnąć. Odruchy wygrywały z wolą za każdym razem, zawsze. Ostrożnie obróciła się w łóżku. Håkonowi cienka grzywka przykleiła się do spoconego czoła. Spał ciężko i było mu niewygodnie w pełnym ubraniu. Zrolowaną kołdrę miał przerzuconą przez biodra, Hanne zauważyła też, że nie zdjął nawet adidasów. Chrapał z otwartymi ustami. Prawdopodobnie to ją obudziło. Nic wtedy nie pamiętała. Pierwsza sekunda przytomności była taka, jak we wszystkie inne poranki – pusta, ani dobra, ani zła. Zaraz jednak zwałił się na nią wczorajszy dzień i zaczęła ciężiej oddychać. Zrozpaczona usiłowała utrzymać oczy otwarte w nieskończoność i to także jej się nie udało.

Spojrzała na zegarek. Wpół do siódmej.

Nie chciała się kąpać, jakby nieprzyjemny zapach nerwowego potu i zwietrzałych perfum, które nie należały do niej, ale wbijały się głęboko w serce przy każdym oddechu, był odpowiednią karą, a przynajmniej jej początkiem.

Zawahała się przez chwilę, nim zdecydowała, że nie będzie pisać żadnej kartki. Zostawiła tylko zapasowe klucze w widocznym miejscu na stoliku w przedpokoju. W ubraniu, w którym chodziła od doby i w którym nawet spała, pobiegła na Grønlandsleiret 44. Zajęło jej to zaledwie kwadrans.

Budynek policji stał niewzruszony, szary, wygięty w łuk. Kiedy przeciągnęła kartę wstępu przez czytnik, zmuszając do otwarcia metalowe drzwi w wejściu dla personelu od zachodniej strony, miała wrażenie, jakby wczołgiwała się na pokład kruchej szalupy ratunkowej. Przeszła korytarzami i w gigantycznym holu, który rozciągał się na siedem pięter w górę, przystanęła na środku, zamiast skierować się od razu do windy. W wielkiej

otwartej przestrzeni nie było ludzi, z wyjątkiem starszego ciemnoskórego mężczyzny w żółto-niebieskim dresie, który mył podłogę za kontuarami w południowo-wschodnim narożniku budynku. Skinął głową i posłał Hanne uśmiech, ale nie dostał nic w zamian.

W siedzibie policji dzień jeszcze na dobre się nie rozpoczął. Gdzieś na piętrach trzasnęły jakieś drzwi, a z dyżuru kryminalnego przy głównym wejściu dobiegały przez kuloodporne ściany ze szkła zduszone krzyki. Ale tutaj wciąż panowały cisza i spokój, które Hanne zwykle uwielbiała.

Nie czuła się nawet śpiąca. Zmęczona, owszem, odrętwiała, ale głowę miała jasną, przytomną i zimną.

Na jej biurku leżały cztery pliki dokumentów starannie ułożone obok siebie, naprzemiennie zielone i różowe okładki. Ustawiła kawę w kubku z Muminkiem na samym skraju biurka i zapaliła papierosa. Po pierwszym hańcie dymu mocno zakręciło się jej w głowie. W jakiś sposób było to nawet przyjemne. Jak znieczulające odurzenie.

Na początek wybrała najgrubszą teczkę.

Karianne Holbeck zebrała najważniejsze zeznania świadków w jeden plik. Na wierzchu leżało zestawienie, z którego wynikało, kto został przesłuchany i co najogólniej mówił. Hanne Wilhelmsen powoli przedzierała się przez kolejne kartki. Zatrzymała się przy przesłuchaniu numer trzy.

Świadek Sigrid Riis uważa się za najlepszą przyjaciółkę zmarłej. Znały się od czternastego roku życia i były nawzajem świadkami na swoich ślubach.

To zdanie przypomniało Hanne, że tylko trzy miesiące zostały do ślubu Billy'ego T., na którym sama miała być świadkiem. Ile ten fakt mówił o głębi ich przyjaźni, nie umiała stwierdzić. Zgasiła papierosa. Uświadomiła sobie, że Cecilie wkrótce się obudzi po nocy na lekach. Dotknęła kciukiem i palcem wskazującym kącików ust i oblizawszy wargi, czytała dalej.

Świadek twierdzi, że zmarła Doris Flo Halvorsrud była osobą otwartą i wesołą. Świadek nie potrafi sobie wyobrazić, by ktoś chciał ją skrzywdzić.

Świadek jest zdania, że ofiara miała normalną liczbę przyjaciół i stosunkowo duży krąg znajomych, szczególnie ze względu na charakter pracy jej męża. Ofiara potrafiła okazać temperament i czasami bywała uparta podczas dyskusji, ale zawsze miała w zanadrzu jakiś zabawny komentarz, który ratował sytuację, jeżeli ktoś poczuł się urażony zbyt ostrą oceną.

Świadek twierdzi, że ofiara sprawiała na ogół wrażenie zadowolonej ze swojego małżeństwa. Ostatnio – mniej więcej przez ostatnie pół roku – ofiara i świadek nie kontaktowały się ze sobą równie często jak wcześniej. Wynikało to głównie z faktu, że świadek przez pięć miesięcy mieszkała w Kopenhadze z powodu zaangażowania się w działalność mieszczącej się tam szkoły steinerowskiej. Kiedy się spotykały, świadek odnosiła wrażenie, że w małżeństwie „nie układa się najlepiej”. Ofiara między innymi raz spytała świadka, jak radzi sobie finansowo po rozwodzie (świadek rozwiodła się półtora roku temu). Ten temat nie został starannie omówiony i świadek nie bardzo sobie przypomina, o czym mówiły później. Kiedy indziej ofiara nagle się rozzłościła i nazwała męża hipokrytą. Zdarzyło się to podczas obiadu, który świadek i ofiara jadły razem dwa miesiące temu, w reakcji na pozytywną opinię świadka o wywiadzie z podejrzanym Halvorsrudem. Wówczas świadek nie przykładała dużej wagi do tego wybuchu.

Świadek twierdzi, że zmarła była dobrą matką. Zawsze miała czas dla dzieci i z ich powodu w dużej mierze zrezygnowała z życia zawodowego. Szczególnie dobre stosunki łączyły ofiarę z synami, Mariusem i Prebenem. Córka Thea „zawsze była córeczką tatusia”. Świadek twierdzi, że w ich bliskich stosunkach nie było niczego dziwnego, ponieważ często się zdarza, że zdolne dziewczynki są w szczególny sposób związane z ojcami.

Hanne podniosła głowę nad papierów, wypła łyk kawy i pomyślała o własnym ojcu. Ledwie zdołała odtworzyć w myślach jego rysy. Miała dwójkę znacznie starszego rodzeństwa, z którym nigdy nie pozostawała w bliskich kontaktach. Czuła się wyobcowana od dnia, kiedy była dostatecznie duża, żeby zacząć myśleć samodzielnie. Ale prawdopodobnie

również wcześniej. Kiedy miała osiem lat, poświęciła całą wiosnę na zbudowanie domku na drzewie rosnącym na samym końcu dużego jabłoniowego sadu. Deski wyszukiwała na okolicznych placach budowy. Sąsiad, ponadsiedemdziesięcioletni robotnik, który co sobota smażył sobie słoninę, dawał jej gwoździe i od czasu do czasu służył pomocną dłonią. Domek był wspianały. Miał prawdziwe okna wymontowane ze starego autobusu. Hanne ułożyła na podłodze dywaniki z gałganków, a na ścianie zawiesiła zdjęcie króla Olafa. Poczucie posiadania czegoś, co należy tylko do niej, a czego reszcie rodziny nawet nie chciało się oglądać, poskutkowało pierwszą refleksją na temat tego, że najsilniejsza jest wtedy, kiedy jest sama. Później w zasadzie wymeldowała się z przykurzonego profesorskiego domu, w którym rodzice nie godzili się na zainstalowanie telewizora, „bo przecież jest tyle świetnych książek, Hanne”.

Świadek jest wstrząśnięta brutalnym zabójstwem przyjaciółki, ale nie potrafi sobie wyobrazić, że mógł to zrobić podejrzany. Doświadczenia świadka wskazują, że na ogół był troskliwym mężem i ojcem, chociaż oczywiście „miewał swoje humory”, w które świadek nie uznaje za stosowne się zagłębiać. Świadek nie posiada innych informacji oprócz tych zamieszczonych tutaj, które mogłyby mieć znaczenie dla sprawy.

Protokół z przesłuchania został podpisany na wszystkich kartkach i na dole na ostatniej stronie, tak jak nakazywały przepisy.

– Przeciętne życie – powiedziała Hanne półgłosem, odkładając dokumenty. – Dobry mąż, miłe dzieci, od czasu do czasu jakaś kłótnia...

Kawa zaczynała stygnąć, więc dopiła ją jednym łykiem. Na języku został posmak goryczy. Czuła, jak kwaśny płyn spływa do żołądka, który, sądząc po tępych bólu za mostkiem, domagał się lepszego śniadania niż papieros i czarna kawa.

Hanne już powinna być w szpitalu. Powinna stąd wyjść. Zaraz.

Plik przygotowany przez Karla Sommarøya również był porządnym i przejrzystym. Na okładce napisano flamastrem „Ståle Salvesen” pochyłym,

typowym dla leworęcznych charakterem pisma. Na samym wierzchu leżały poprzednie dokumenty, wydruki z urzędu poborcy podatkowego i Biura Ewidencji Ludności. Informacje podatkowe sięgały dziesięciu lat wstecz i wykazywały, że Salvesen jeszcze w roku 1990 miał ponad osiem milionów koron osobistego dochodu. Dalej był nieciekawym spisem jego obecnych mebli i ruchomości. Następnie wydruki z archiwum mediów, artykuły z czasów, kiedy los przestawał mu sprzyjać. Hanne przejrzała je, nie znajdując nic ponad to, co już wiedziała. Rzuciło jej się w oczy, że nagłówki były poważniejsze, większe i o wiele bardziej dramatyczne, niż mogłoby o tym świadczyć późniejsze umorzenie.

– *What else is new* – westchnęła.

Jej uwagę zwróciła fotografia z roku 1989. Stałe Salvesen nie był zbyt przystojny, ale zdjęcie ukazywało mężczyznę o mocnym spojrzeniu i ładnym, nieco krzywym uśmiechu. Oczy patrzyły wprost na fotografa. Hanne aż zadrżała, bo tak żywa wydała jej się ta twarz. Salvesen miał rzadkie, zaczesane do tyłu włosy i wysokie czoło, a w szerokim podbródku dało się dostrzec dołek. Zdjęcie kończyło się na wysokości piersi, lecz mimo to sugerowało dyskretny drogi ubiór. Marynarka była ciemna, a nawet na czarno-białej fotografii z gazety dało się zauważyć, że koszula jest kredowobiała. Ożywiaił ją pasiasty krawat.

Dalej była notatka służbowa:

Jeśli chodzi o finansową przeszłość Stałego Salvesena, to odwołuję się do załączonych wycinków z gazet i wydruków z urzędu podatkowego. Oczywiście jest, że miał w ręku duże pieniądze, ale później, kiedy z uwagi na śledztwo przeciwko niemu musiał opuścić Aurora Data, odnotował wielkie straty. Przypuszczam, że trzeba by było włożyć wiele pracy w ustalenie, gdzie faktycznie podziały się te pieniądze. Wstrzymuję się z tym w oczekiwaniu na konkretne polecenie. Faktem jest, że obecnie Salvesen nie posiada nic o szczególnej wartości. Mieszkanie jest wynajęte, samochód – honda civic z 1984 roku – nie jest pewnie warta nawet opłaty

za złomowanie.

W ostatnich latach Salvesen najwyraźniej wycofał się z życia. Z żoną rozwiódł się w 1994 po trwającej rok separacji. Na razie nie udało się jeszcze z nią porozmawiać. Wiosną 1995 roku wyemigrowała do Australii, ale badania przeprowadzone przez ambasadę norweską w Canberze wskazują, że być może już tam nie przebywa. Zamierzam kontynuować próby jej odnalezienia. Mogła zmienić nazwisko, kilka rzeczy wskazuje również na to, że otrzymała obywatelstwo australijskie. Syn, Frede Parr (przyjął nazwisko swojej amerykańskiej żony!!!), mieszka w Houston w Teksasie i tam pracuje jako informatyk w spółce naftowej. Rozmawiałem z nim przez telefon w poniedziałek 8 marca 1999 o godzinie 17.30 czasu norweskiego. Sprawiał wrażenie zirytowanego zakłóceniem spokoju i zaskakująco mało przejętego ewentualnym samobójstwem ojca. Twierdził, że nie rozmawiał z nim od bardzo dawna, sugerował rok 1993, ale nie potrafił tego ściśle określić. Od dwóch lat nie miał też kontaktu z matką. Tutaj miał większą pewność co do czasu, ponieważ to on dzwonił do niej 23 marca 1997, by przekazać wiadomość o narodzinach swojego drugiego syna. W tym czasie pani Salvesen mieszkała w Alice w Australii. Frede Parr zgubił jej numer telefonu i nie ma pojęcia, czy matka wciąż nosi nazwisko Salvesen.

Na moje pytanie, czy to prawdopodobne, by ojciec popełnił samobójstwo, odparł bardzo bezpośrednio: „Dziwne, że nie zrobił tego już wiele lat temu. Był przegranym człowiekiem”.

Z dalszych ustaleń wynika, że Salvesen nie miał żadnego kręgu znajomych z jednym wyjątkiem (omówionym poniżej). Żaden z sąsiadów z tego samego piętra nie znał go, mimo że sprowadził się do tego mieszkania w grudniu 1995 roku. W opiece społecznej powiedziano mi, że prawie się nie odzywał, kiedy przychodził tam kilka razy w związku z zasiłkiem. W jego sprawie opracowano coś w rodzaju diagnozy socjalnej, z której wynika, że w zasadzie zawsze był sam. Nie miał żadnego hobby, o którym ktokolwiek by wiedział, nic też nie wskazuje na nadużywanie alkoholu czy innych środków

odurzających.

W kamienicy na Vogts gate jest dozorca, Ole Monrad Karlsen. Ma ponad siedemdziesiąt lat, ale ciągle pracuje, ponieważ nikt nie miał serca, by go wyrzucić z mieszkania służbowego. Dwóch sąsiadów podaje, że kilkakrotnie widzieli, jak Salvesen wchodził do niego albo od niego wychodził. Rozmawiałem z Karlsenem we wtorek 9 marca 1999 o godzinie 18.00.

Dozorca Karlsen był bardzo nieprzyjazny, wręcz wściekły. Zatrzasnął drzwi, kiedy powiedziałem, że jestem z policji, i dopiero po trwających dziesięć minut negocjacjach zgodził się na krótką rozmowę. Nic z niej nie wynikło. Mimo to powiedziałbym, iż są powody, by sądzić, że Karlsen i Salvesen byli kimś w rodzaju przyjaciół. Na tyle, na ile mogłem ocenić, Karlsenowi do oczu napłynęły łzy i zadrżały kąciki ust, kiedy poinformowałem go, że Salvesen najprawdopodobniej nie żyje. Przestał się też w ogóle odzywać, chociaż wcześniej przez kilka minut nieustająco mi złorzeczył.

Hanne odchyliła się na krześle i zamknęła oczy. Coś tutaj było. Istniał jakiś wzór, a może jakaś nitka. Cieniutka i trudna do dostrzeżenia. Odgłosy za drzwiami nasiliły się, bo dochodziła już dziewiąta, i zakłóciły jej tok myślenia. Straciła wątek.

– Australia – szepnęła. – Teksas. Vogts gate. Córeczka tatusia. Prokurator okręgowy hipokryta.

Ból głowy pojawił się nagle i gwałtownie. Hanne sięgnęła dłońmi do skroni. Szum w uszach się wzmógł.

– Ullevål! – jęknęła.

Ktoś zapukał do drzwi. Hanne nie odpowiedziała. Pukanie się powtórzyło. Kiedy drzwi w końcu i tak się otworzyły, Hanne była już w kurtce.

– Nie mam czasu – oznajmiła starszej posterunkowej Karianne Holbeck i wyminęła ją w drzwiach. – Wrócę za dwie, trzy godziny.

– Zaczekaj! – poprosiła Karianne. – Mam coś...

Hanne nie słuchała. Już biegła do windy. Został po niej tylko nieprzyjemny zapach potu i zwietrzałych perfum. Karianne zmarszczyła nos. Przecież Hanne Wilhelmsen zawsze tak ładnie pachniała.

Dozorca Ole Monrad Karlsen był wzburzony. Nigdy nie darzył policji sympatią. Nie lubił żadnych władz. Od piętnastego roku życia pływał po morzu, a kiedy w roku 1947, w wieku dwudziestu trzech lat, wrócił do Norwegii, został wezwany do odbycia zasadniczej służby wojskowej. Jego zdaniem ktoś musiał się pomylić, przecież jego statek storpedowano i w czterdziestym trzecim, i w styczniu czterdziestego piątego, uważał więc, że już dawno wypełnił należne obowiązki wobec ojczyzny. Władze wojskowe były jednak innego zdania. Ole Monrad Karlsen musiał się stawić w wojsku, przez co przepadła mu świetna praca, którą armator załatwił mu na lądzie.

Policjant powiedział, że Ståle najpewniej nie żyje. I choć do Olego z trudem to docierało, dostrzegał logikę w tym wszystkim. Tyle kawałków układanki wpadło na swoje miejsce. Siedział teraz przy kuchennym stole i popijał mocną jak diabli czarną kawę z kropelką *eau de vie*. Wytarł łzę i w duchu pomodlił się za Stålego Salvesena, jedyne przyjaciela, jakiego miał.

Ståle był dobrym człowiekiem. Ståle go słuchał. Ståle prosił, żeby Ole Monrad Karlsen opowiadał o wojnie. A on przecież nigdy o tym nie mówił, nawet Klarze, z którą ożenił się w roku 1952, a która w pewien zimowy poranek w 1979 już nie dała się obudzić. Bóg nie pobłogosławił ich dziećmi, ale Klara zapewniła mu pełne zadowolenia życie, którego nie można było zniszczyć próżnym gadaniem o katastrofach doświadczonych tyle lat temu.

Wojna jednak zakradła się w jego umysł, jakby siły niezbędne do trzymywania jej na dystans zaczynały się kończyć. Coraz częściej budziły go w nocy potworne sny o wodzie, o lodowatym morzu i tonących z głośnym krzykiem kolegach.

Ståle słuał. Ståle od czasu do czasu podsuwał mu butelkå wdki. Nie, ųeby Karlsen pił, ale kropelkå do kawy nigdy nie pogardził. Stålemu ųycie zniszczyły władze, tak jak Karlsenowi zabrały świetnå pracå na lądzie tylko dlatego, ųe ci przekłåci biurokraci nie potrafili zrozumieć, czym jest pływanie po morzu podczas wojny.

Karlsen był zadowolony, ųe nie wpuścił tego policjanta do mieszkania. Policja nie ma tu czego szukać. Ole Monrad Karlsen przez całe ųycie nie zrobił nic niezgodnego z prawem i sam decydował o sobie i tym, co do niego naleųało. Za jakiś czas zejdzie do piwnicy sprawdzić, czy wszystko w porządku. Przynajmniej tyle był winien swojemu przyjacielowi Stålemu Salvesenowi.

Szorstkim grzbietem dłoni wytarł jeszcze jednå łzå i wlał do filiųanki sporå porcjå wdki.

– Pokj z tobå – szepnåł, wznosząc filiųankå w stronå pustego krzesła po drugiej stronie stołu. – Mam nadzieję, ųe dobrze ci tam, gdzie teraz jesteś. Tak, tak.

Ćpun włókł się przez Akersgata. Kolana miał zniszczone piętnastoletnim wachaniem kleju i szedł chwiejnie, ciągnąc nogi za sobą. Evald Bromo poczuł smród toluenu, jeszcze zanim dostrzegł mężczyznę, i odwrócił twarz w nagłym przyływie mdłości.

– Daj dychę! – wybełkotał narkoman i wyciągnął chudą brudną rękę. – Tylko dychę!

Evald Bromo nie miał ochoty się zatrzymywać. Z doświadczenia jednak wiedział, że najlepszym sposobem na pozbycie się faceta jest zapłacenie. Zwolnił i sięgnął do prawej kieszeni po drobne. Znalazł dwudziestokoronówkę, popatrzył na nią przez chwilę, nim w końcu lekko pokręcił głową i wręczył ją cuchnącemu mężczyźnie. Datek był najwidoczniej niespodzianką, bo facetowi moneta wypadła z ręki. Stanął i zaczął niezdecydowanie kołysać się z boku na bok, jakby nie bardzo mógł pojąć, gdzie się podziała.

Evald Bromo ze złością nachylił się, żeby mu pomóc. Może wyglądało to tak, jakby mimo wszystko pożałował tak wielkodusznego daru i postanowił go odebrać. W każdym razie narkoman nabrał rozpędu i zderzyli się głowami. Evald Bromo upadł. Narkoman zaczął jójczyć i przeproszać, uparł się, że za wszelką cenę pomoże mu stanąć na nogi. Ale Bromo nie chciał żadnej pomocy. Skończyło się na tym, że szarpali się na leżąco pod głównym wejściem do „Aftenposten”.

Naczelna wyłoniła się zza rogu przy Aptece pod Koroną i nieprzepisowo przeszła na drugą stronę ulicy, wymijając trzy samochody czekające na zielone światło. Minąwszy wejście do redakcji „Dagbladet”, zauważyła, że na chodniku leży Evald Bromo, a na nim najbardziej dokuczliwy z okolicznych żebraków. Natychmiast nabrała przekonania, że dziennikarz

został napadnięty. Wściekła użyła na plecach narkomana parasola jako broni siecznej, po czym wpadła do redakcji własnej gazety, kazała natychmiast wezwać policję i zaraz znów wybiegła.

Evald Bromo był już sam. Stał oparty o kolumnę i otrzepywał ubranie z brudu i żwiru. Mruknął coś niezrozumiałego, czego jednak nie można było uznać za nic innego niż odmowa, kiedy naczelna upierała się, że zaprowadzi go do lekarza.

– To nie był napad – wyjaśnił wreszcie. – Tylko nieszczęśliwy zbieg okoliczności. Nic mi się nie stało. Ale dziękuję za troskę.

Szefowa spojrzała na niego podejrzliwie i na moment przypomniała sobie o tamtym dziwnym e-mailu.

– Wszystko w porządku, Evald?

Dotknęła dziennikarza, a on jak zakłęty wpatrywał się w długie pomalowane na czerwono paznokcie, które częściowo zniknęły w grubym tweedzie rękawa marynarki. Chciał się wyrwać, ale przełknąwszy ślinę, zmusił się do uśmiechu.

– Wszystko okej, naprawdę.

– A tak poza tym? Nic złego ostatnio się nie dzieje?

– Nie – odparł i sam usłyszał, jak oschle to zabrzmiało. – Czuję się naprawdę świetnie.

– No to dobrze. – Uśmiechnęła się podniesiona na duchu. – Musimy przecież robić gazetę. Na razie.

Zniknęła w budynku, wysoka i prosta. Zadowolenie grzało w pierś jak elektryczna poduszka. Dobre samopoczucie pracowników było dla niej kwestią honoru. Nikt jej nie zarzuci, że nie zrobiła dla Evalda Bromo tego, co do niej należało. Nie sprawdziła nawet, czy wszedł za nią do wielkiego budynku redakcji. No ale też i po drodze do windy spotkała ministra finansów.

Było już prawie wpół do piątej, kiedy Hanne Wilhelmsen wróciła ze szpitala. Spędziła kwadrans przed lustrem w toalecie, żeby jej twarz jako tako się prezentowała, a zaczerwienione oczy mogły zostać wzięte za oznakę ostrego wiosennego przeziębienia. Nałożyła trochę fluidu na policzki, by zatuszować najbardziej rzucające się w oczy plamy, i przejechała tłustą czerwoną szminką po wargach. Włosy naprawdę powinna już niedługo obciąć. Nie wiedziała tylko, kiedy znajdzie na to czas i siły.

– To były długie dwie, trzy godziny – stwierdziła Karianne Holbeck trochę z wyrzutem, a trochę z ciekawością, mierząc Hanne wzrokiem.

Dziewięciu śledczych wraz z szefem wydziału Janem Sørliem na końcu wysypało się z ciasnej sali konferencyjnej. Ciągnął się za nimi nieprzyjemny zapach ludzi przebywających w zamknięciu, który uderzył Hanne jak ściana, kiedy szła po coca-cole do lodówki.

– Przepraszam – mruknęła Hanne do szefa, gdy się mijali. – Nagła konieczność, bardziej prywatnego charakteru.

Sørlie nie odezwał się, ale posłał jej spojrzenie mówiące, że Billy T., a może ten cholerny natrętny komendant rozpuścił jęzor. Z oczu Sørliego biło bezradne współczucie. Hanne spuściła wzrok i bez powodu zamknęła za sobą drzwi. Natychmiast otworzył je Billy T.

– Mam cię!

Uśmiechnął się lekko i usiadł na krześle przy końcu stołu. Hanne poświęciła całą wieczność na odszukanie butelki, którą wstawiła do lodówki trzy dni temu. W końcu nie dało się dłużej szukać tego, co już dawno znalazła.

– Przekazać ci podsumowanie? – spytał Billy T., kiedy Hanne wreszcie się wyprostowała i zamknęła lodówkę. – Powoli zaczyna się rysować jakiś

obraz. – Palcem naszkicował niewidzialny wzór na blacie, jakby mówił dosłownie. – Możemy też porozmawiać – ciągnął cicho. – Albo mogę cię uściskać.

Położył dłonie płasko przed sobą i przyglądał się ich grzbietom, przygryzając dolną wargę. Ponieważ Hanne wciąż się nie odzywała, tylko stała niezgrabnie z butelką w ręku i wzrokiem utkwionym gdzieś ponad pół metra nad głową Billy’ego T., zaproponował:

– Moglibyśmy na przykład znów wybrać się na spacer. Tutejsze powietrze musi być śmiertelnie groźne dla zębów. Wydaje się wręcz żrące. – Próbował się uśmiechnąć.

– Rzeczywiście miło by było się przejść – odparła Hanne zaskakująco szybko. – Miałabym ochotę przyjrzeć się bliżej mostowi Staure. Ile zajmie nam dojazd?

– Nie wiem. – Billy T. już wstał. – Ale ja mam mnóstwo czasu. Może pół godziny? Chodź.

Wyciągnął rękę, kiedy obchodziła stół i go mijala, ale Hanne jej nie ujęła. Za drzwiami czekała Karianne Holbeck.

– Jest coś, co muszę...

– To musi poczekać – przerwała jej Hanne. – Nie możemy porozmawiać o tym jutro?

– Nie. Boję się, że zrobiłam głupstwo i...

Hanne spojrzała na zegarek, westchnęła głęboko i poczuła, że cuchnie jeszcze bardziej. Zawstydzona, przyciskając mocno ręce do boków, dała znak Karianne, żeby poszła za nią.

– Umawiamy się za pół godziny – rzuciła Billy’emu T.

Mimo że temperatura na zewnątrz spadła do siedmiu stopni, Hanne w swoim pokoju otworzyła okno na oścież. Potem poczęstowała Karianne Holbeck czekoladką bananową z emaliowanej miseczki, którą dostała od Cecilie w prezencie na dwudzieste urodziny.

– O co chodzi? – spytała, maksymalnie odchylając się na krześle.

Karianne opowiedziała jej o rozmowie z mężczyzną, którego nazwiska nie знаła i który, jak sądziła, jest Turkiem i być może prowadzi sklep na Grünerløkka. Zawstydzona spuściła wzrok, gdy podsumowywała być może katastrofalny błąd: mężczyzna mógł mieć informacje o skorumpowaniu Halvorsruda, ale Karianne Holbeck nie zapisała jego nazwiska i adresu. Niestety. Bardzo jej przykro.

Hanne Wilhelmsen przez dłuższą chwilę nic nie mówiła. W pokoju zrobiło się bardzo zimno, niechętnie więc zamknęła okno i z powrotem usiadła. zaproponowała jeszcze jedną czekoladkę. Karianne wzięła, ale zaczęła przekładać ją w palcach, aż czekolada się roztopiła i młoda funkcjonariuszka z zażenowaniem musiała je oblizać.

– Należy ci się chwała za to, że się przyznałaś – zaczęła Hanne monotonnym, obcym głosem, jakby zmuszała się do wygłoszenia wyuczonego zdania. – Ten błąd prawdopodobnie nie ma znaczenia. On przecież przyjdzie w poniedziałek. Jesteś pewna, że zrozumiał twoje nazwisko?

– Najzupełniej – odparła Karianne z ulgą. – Ale Bóg jeden wie, czy on przyjdzie. Nie wydawał się zbyt wiarygodny.

– Tak? – Hanne ledwie dostrzegalnie uniosła brew. – Co przez to rozumiesz? Można usłyszeć, że ktoś nie jest wiarygodny?

– No... – Karianne poruszyła się na krześle.

Hanne zwróciła uwagę, że dziewczyna ma szczególny sposób odrzucania włosów za ramię. Był to pociągająco kobiecy gest i jednocześnie kojarzył się z młodzieńczym uciekaniem od odpowiedzialności.

– Nie bardzo wiem – ciągnęła Karianne. – Moje doświadczenie mówi, że dla ludzi z tych rejonów umowa jest czym innym niż dla nas. Konkretna godzina nie znaczy dla nich tego samego co dla nas.

Hanne Wilhelmsen przestało obchodzić to, że cuchnie jak bezdomna. Splotła palce na karku, wystawiając łokcie jak skrzydła, i obserwowała koleżankę spod długiej grzywki. W końcu wysunęła usta, lekko cmoknęła

i spytała:

– A kim jesteśmy my?

– Słucham?

– Kim jesteśmy my? My, którzy rozumiemy zasady związane z konkretną godziną?

– No...

– I co to są „te rejony”? Turcja, Azja Mniejsza, Trzeci Świat?

– Nie o to mi chodziło. – Karianne zaczęła rozcierać czerwoną plamę na policzku, która niebezpiecznie szybko rosła. – Miałam na myśli tylko to... Dalszego ciągu nie było. Hanne czekała.

– Głupio powiedziałam. – Karianne odrzuciła włosy. – Przepraszam. Nie miałam na myśli nic złego.

Hanne zdjęła dłonie z karku i nachyliła się. Sięgnęła po długopis i na zaproszeniu na zebranie związków zawodowych zaczęła rysować okręgi i trapezy. Nie spieszyła się. Okręgi były duże i małe, a po wpisaniu w nie trapezów tworzyły się wycinki, które starannie wypełniała czerwonym i niebieskim flamastrem.

– I jak tak nie sędzę – odezwała się nagle, a Karianne dosłownie podskoczyła na krześle. – Wcale nie uważam, żebyś miała coś złego na myśli, kiedy tak mówisz. Sędzę jednak, że... – zabębniła flamastrami o podkładkę do pisania – powinnaś się zastanowić nad swoimi uprzedzeniami. Zauważyłaś tego mężczyznę, który co rano sprząta hol na dole? Tego, który zawsze jest w dresie w szwedzkich barwach?

Karianne lekko pokręciła głową, a jej rumieniec rozlał się pasem przechodzącym przez grzbiet nosa. Przypominała teraz bezradnego szopa pracza.

– Aha. Powinnaś któregoś dnia poświęcić na to czas. Przyjdź wcześniej i z nim pogadaj. Pochodzi z Erytrei. Jest weterynarzem. Po norwesku też mówi wcale nie najgorzej. Ale po czterech latach w etiopskim więzieniu z nerwami nie wszystko u niego w porządku.

– Przecież powiedziałam, że przepraszam. – Karianne teraz już prawie się rozzłościła.

– Wierzmy, że nasz przyjaciel z Grünerløkka przyjdzie. Chyba chciałabym sama z nim porozmawiać. Zadzwoił na zwykłą centralę telefoniczną czy na operacyjną?

– Słucham?

– Na sto dwanaście. – Hanne potarła oczy, zapomniawszy o świeżo umalowanych rzęsach. – Jeśli dzwonił na numer alarmowy, to rozmowa jest nagrana. Jeśli nie, pozostaje nam wierzyć, że on wie, czym jest umowa. Sprawdź to, dobrze? I daj mi znać, kiedy się zjawi.

Karianne kiwnęła głową i wstała.

– Weź jeszcze jedną czekoladkę.

Hanne podsunęła jej miseczkę, ale Karianne nawet nie podziękowała. Trzasnęła tylko drzwiami za sobą, bardzo mocno i zupełnie niepotrzebnie.

Pojechali prywatnym samochodem Hanne Wilhelmsen. Siedmioletnie bmw było białe, ale jeden błotnik miało czerwony. Cecilie miała stłuczkę zeszłej jesieni, cztery dni po tym, jak Hanne zrezygnowała z autocasco.

– Czy możemy tylko ustalić, że nie będziemy rozmawiać o Cecilie? – spytała Hanne cicho i ustawiła wycieraczki na najwolniejszy bieg. – Miło by było, gdybyś zaakceptował, że ja nie chcę... Przynajmniej na razie. Możesz ją sam odwiedzić. Bardzo by się ucieszyła.

Billy T. mocował się z siedzeniem, usiłując przesunąć je do tyłu. Uchwyt przy brzegu fotela stawiał opór. Nagle zobaczył, że trzyma go w rękę.

– O cholera! *Shit...* – Przeniósł wzrok z uchwytu na Hanne i z powrotem.

Ona tylko zerknęła na zniszczenie, lekko wzruszyła ramionami i wskazała kciukiem tylne siedzenie. Billy T. rzucił metalowy pręt przez ramię i zapiął pas.

Było już późne popołudnie. Słabe dzienne światło chłonał mokry od deszczu asfalt. Droga się zwężyła, latarnie zostały w tyle. Hanne zwolniła, gdy na jednym z zakrętów poczuła lekki poślizg.

Jechali w milczeniu. Billy T. obserwował niebieskoszary krajobraz. Pola były już zaorane na wiosnę. Ostry zapach nawozu kręcił w nosie i przywiódł mu na myśl synków. W tym roku planował spędzić z nimi wakacje na wsi. Chłopcy, Billy T.,

Tone-Marit i ich małeńka córeczka – wszyscy wybierali się do zagrody kuzyna Billy'ego T. w zachodniej Norwegii. Na dwa tygodnie. Dopiero po podjęciu decyzji i ustaleniu wszystkiego Billy T. uświadomił sobie, że rodzinne wakacje z czwórką rozbrykanych pasierbów nie są być może spełnieniem marzeń Tone-Marit o romantycznej podróży poślubnej. Ale ona tylko się uśmiechnęła, kiedy pełen wyrzutów sumienia spytał, czy nie

wolałaby jechać gdzie indziej. Oświadczyła, że się cieszy. Uwierzył jej.

Myśl o nowo narodzonym dziecku przywołała na jego twarz uśmiech.

Drogę przeciął im lis. Hanne gwałtownie wcisnęła hamulec, ale puściła go akurat w porę, by nie stracić kontroli nad samochodem. Jeszcze zwolniła. Z prędkością pięćdziesięciu kilometrów na godzinę pokonali zakręt, za którym krajobraz ukształtowany ręką człowieka nagle otwierał się na morze. Most Staure pięknie spinał stały ląd z półwyspem, którego brzeg rozpoczynał się osiemset metrów dalej, po drugiej stronie fiordu.

Zaparkowali na wysypanym żwirem placyku minutę marszu od przyczółka mostu. Hanne szybko przejrzała papiery, które wcisnęła między siedzenie a środkową konsolę. To w tym miejscu znaleziono starą hondę Stålego Salvesena. Teraz placyk był pusty. Wiatr przewrócił kosz na śmieci. Borsuk, a może tylko wałęsający się pies rozwłóczył śmieci i Hanne nawet w świeżym zapachu słonej morskiej wody wyczuwała odór zgnilizny.

– Dziwne, że nikt tego nie sprzątnie – powiedziała zamyślona, zamykając auto.

– Trzydzieści pięć minut! – wrzasnął Billy T., który poszedł przodem. Jego głos niemal zginął w hałasie morza, wałącego o wielkie kamienie na brzegu.

– Co?! – odkrzyknęła Hanne.

– Dojazd z komendy zajął nam trzydzieści pięć minut – wyjaśnił Billy T., kiedy go dogoniła. – Wspaniale, że takie miejsce jest tak blisko Oslo.

Most Staure był bardzo wąski. Dwa samochody osobowe mogły się minąć swobodnie, ale gdy jednym z nich był tir, musiało być ciasno. Po południowej stronie – tej od morza – biegł oddzielony od jezdni i przypominający korytarz pas dla pieszych. Prawdopodobnie wytyczono go później. Hanne lekkim truchtem zaczęła biec po moście. Wznosił się dość stromo, więc po paruset metrach zatrzymała się zdyszana. Billy T. szedł za nią niedbałym krokiem.

– Czego szukamy? – spytał, opierając się chęci odgarnięcia jej włosów z twarzy.

Tu, nad fiordem, mocno wiało. Czuł też, że most lekko drży.

– Niczego i wszystkiego – odpowiedziała Hanne i znów ruszyła przed siebie.

Znaleźli się na środku konstrukcji. Billy T. nie czuł się tu najlepiej.

– O rany! – mruknął, ledwie odważając się wyjrzeć przez balustradę. – Musiałoby mi być cholernie źle, żebym chciał stąd skoczyć...

Hanne lekko kiwnęła głową. Wychyliła się jak najdalej. Woda wyglądała stąd jak szarobiałe ruchome smugi w czarnej nicości w dole. Gdyby wcześniej nie wiedziała, że dzieli ją od niej dwadzieścia metrów, nie potrafiłaby oszacować wysokości. Nie było z czym jej porównać. Nic nie umożliwiałoby realnej oceny odległości.

– Przytrzymaj mnie – poprosiła i przelazła przez balustradę.

– Oszalałaś, dziewczyno!

Billy T. złapał ją za ramiona i usiłował wciągnąć z powrotem na most.

– Au! – krzyknęła Hanne. – Boli! To niebezpieczne! Przytrzymaj mnie za barki, tylko nie tak mocno!

Billy T. niechętnie rozluźnił uścisk i ponownie chwycił ją za obszerne ramiona bosmanki. Czuł pulsowanie w uszach i trudno mu było oddychać. Hanne wisiała za balustradą i szukała czegoś nogami, ale czego, nie widział.

– Co ty, do cholery, chcesz zrobić? – syknął, czując, jak adrenalina strzeliła mu w żyły, kiedy przez moment wydawało mu się już, że ją puszcza.

– Chcę... – jęknęła Hanne i nachyliła się tak nisko, że musiał ją puścić, żeby nie spowodować katastrofy. – Chcę się przekonać, czy nie da się jakoś inaczej wrócić na ląd...

Jej głos się urwał. Hanne zniknęła. Lęk wysokości Billy'ego T. zagłuszył jeszcze większy strach, że Hanne wpadła do morza. Nigdzie nie było jej widać. Zrozpaczony wychylił się przez balustradę i na próżno usiłował

dostrzec coś innego niż szarą pianę na grzbietach fal daleko, daleko w dole.

– Hanne! Hanne! – wołał ją raz po raz, rozpaczliwie szukając we wszystkich kieszeniach komórki. – Do diabła! – Komórka została w samochodzie.

– Da się – usłyszał nagle.

Głowa pojawiła się nad balustradą. Hanne położyła dłonie na żelaznym gzymsie i przerzuciła ciało na drugą stronę. Uśmiechnęła się i popatrzyła Billy’emu T. prosto w oczy.

– Da się – powtórzyła. – Konstrukcja pod mostem jest taka, że można przejść na drugą stronę balustrady i wywołać wrażenie, że się skacze do wody, a korytarzem, który biegnie pod spodem, dojść aż na ląd. Wydaje mi się, że to dość trudne, ale wcale nie niemożliwe.

– *Bitch!* – syknął Billy T.

– Przecież powiedziałam, że zamierzam... – zaczęła Hanne.

– Dobrze wiesz, że nie lubię wysokości! – krzyknął i przecisnął się obok niej.

Jego potężne plecy kołysały się przed nią całą drogę z powrotem na brzeg. Nie odezwał się ani słowem i nie pozwolił jej iść obok siebie nawet na krótkim odcinku od mostu do samochodu. Za każdym razem, gdy próbowała się z nim zrównać, przyspieszał kroku. Ale to ona miała kluczyki.

– Przepraszam – powiedziała, kładąc mu rękę na ramieniu, kiedy stanął jak obrażony dzieciak, czekając, aż otworzy.

Szczerłość w jej głosie najwyraźniej zrobiła wrażenie. Uśmiechnął się i lekko wzruszył ramionami.

– Wystraszyłaś mnie – wyjaśnił krótko i zupełnie niepotrzebnie.

– Przepraszam – powtórzyła, przekrzywiając głowę. – Obiecałeś mi podsumowanie. A może byśmy...

Rozejrzała się. Przestało padać i chociaż w powietrzu czuło się wilgoć, a morze się pieniło, ten krajobraz miał w sobie jakąś świeżość, która ją pociągała. Po zawietrznej stronie mostu, na północ od przyczółku, który

właśnie opuścili, widać było piaszczystą plażę zamkniętą lasem.

– A może byśmy... – Hanne zawahała się, ale zaraz podjęła: – Myślisz, że moglibyśmy rozpalić ognisko i... trochę tu zostać?

– Nie da się. Za mokro. Nie znajdziemy suchego drewna.

Billy T. wzdrygnął się i ujął klamkę. Hanne obeszała samochód i otworzyła bagażnik. Kiedy go zatrzasnęła, trzymała w ręku pięciolitrowy kanister z benzyną.

– Proszę – powiedziała, wyciągając przed siebie pojemnik. – Teraz możemy zapalić, co tylko będziemy chcieli.

Przyjaciół skrzywił się z niechęcią, ale posłusznie poszedł za nią w stronę plaży. Tam stanął z rękami głęboko w kieszeniach i patrzył, jak Hanne kręci się po brzegu. Co chwila się pochylała, podnosząc to złamaną gałąź, to jakiś kawałek drewna wyrzucony przez morze. Znaleźiska ułożyła w zagłębieniu otoczonym sporymi kamieniami. Miejsce to najwyraźniej już wcześniej wykorzystywano w tym celu. W końcu połała drewno kilkoma litrami benzyny.

– Chcesz, żeby wszystko wyleciało w powietrze?

Billy T. zrobił krok w tył. Ogień buchnął, kiedy Hanne rzuciła cztery zapalniczki między kawałki drewna. Kwaśny czarny dym wystrzelił pod niskie chmury. Zawadził też o twarz Hanne tak, że zaczęła kaszleć, aż łzy popłynęły jej z oczu.

– Całkiem nieźle – mruknęła półgłosem i zrobiła Billy’emu T. miejsce na kłodzie leżącej zaledwie o dwa metry od buzującego ognia.

W zatoczce nie wiało tak jak na parkingu. Mimo to jakiś boczny podmuch odganiał dym od dwójki policjantów.

– No to mów – powiedziała Hanne, wycierając twarz z sadzy.

– Najważniejsze są chyba dyskietki. Te, które leżały w apteczce w piwnicy. Okazało się przecież, że zawierają informacje o umorzonych sprawach.

– Umorzonych przez samego Halvorsruda? – spytała Hanne

z przejęciem.

– Tak.

– Zostały sprawdzone dokładniej?

– Mniej więcej. – Billy T. przesunął tyłek, żeby usiąść wygodniej. –

Dwie z tych spraw to całkiem oczywiste umorzenia. Z powodu braku dowodów. Co oczywiście nie oznacza, że ci dranie...

– ...są niewinni – dopowiedziała Hanne.

– No właśnie – potwierdził Billy T. – Ale same sprawy wyglądają na właściwie załatwione. Natomiast dwie pozostałe...

– ...budzą więcej wątpliwości – dokończyła Hanne.

Billy T. kiwnął głową.

– Poprosiliśmy chłopaków z Økokrim, żeby się im przyjrzeni. A tak naprawdę zajęła się tym dziewczyna. Po pierwsze, w obu wypadkach nie zgadza się z umorzeniem. To jednak nie jest aż tak dziwne. Sami przecież wiemy, jak to bywa. Istotne jest to, że Halvorsrud w jednej z tych spraw nieźle się pokłócił ze współpracownikami. Wykorzystał cały swój autorytet, żeby...

– ...ją umorzyć – wtrąciła Hanne.

– To jest właściwie dość irytujące – powiedział Billy T. ze złością, wrzucając gałązkę w płomień.

– Słucham?

– To, że wyjmujesz mi słowa z ust.

– Przepraszam.

Hanne wstała, żeby dolać benzyny do ognia. Billy T. ją powstrzymał. Zabrał jej kanister i postawił go za kłodą, na której siedzieli.

– Dzisiaj rzeczywiście masz samobójczy nastrój. Jak często ostatnio mówisz „przepraszam”?

I tak za rzadko, pomyślała Hanne, nie odpowiadając.

– Erik Henriksen rozmawiał z czterema byłymi podejrzanymi w tych sprawach z dyskietek. Wszyscy jak jeden mąż wypierają się, by w ogóle

mieli cokolwiek wspólnego z Halvorsrudem. Staramy się sprawdzić ich wszystkich, szukamy dużych sum wypłacanych z konta, z których nie umiemy się porządnie wytłumaczyć, i tak dalej. Oczywiście badamy też finanse rodziny Halvorsrudów. Na razie nie ma o czym mówić, ale szukamy dalej. No i jest jeszcze ta historia z tym niby-Turkiem Karianne. To akurat nie wygląda najlepiej dla Halvorsruda.

– Taki bystry prawnik miałby być na tyle głupi, żeby się przedstawić, telefonując z propozycją korupcyjną?

– Punkt dla ciebie – przyznał Billy T. – I to spory punkt.

Wiatr nagle zmienił kierunek i dym zapiekł ich w oczy. Billy T. wstał i próbował go przegonić, Hanne śmiała się i kasłała, a wiatr wkrótce znów się odwrócił.

– Komputer rzeczywiście należał do żony. – Billy T. z powrotem usiadł. – Tyle przynajmniej jest jasne. Poprosiłem ciotkę, żeby wypytała dzieci. Żadne nie potrafiło wyjaśnić, dlaczego na twardym dysku nic nie ma. Dzieciaki twierdzą, że matka stale coś na nim pisała.

– Dlaczego sam nie spytałeś?

– W pewnym sensie obiecałem najstarszemu, że nie będę męczył jego rodzeństwa. Thea podobno całkowicie się załamała. Biedna dziewczyna. A latarka należała do Mariusa, ciotka sprawdziła i to. Chłopiec twierdzi, że zginęła mu jakiś czas temu. Poznał ją po rysie na pokrywie baterii.

Ognisko się dopalało. Kiedy Hanne dorzuciła jeszcze świeży kawałek drewna znalezionej na plaży, ostatnie płomienie zasyczały ze złością i utonęły w dymie.

– Zastanawiałam się nad drzwiami – powiedziała, zabijając ręce. – W jaki sposób ten rzekomy Ståle Salvesen czy też ktoś, kto się za niego przebrał, w ogóle dostał się do domu Halvorsrudów. Z tego, co wiem, nie było żadnych śladów włamania. A jednocześnie Sigurd Halvorsrud zaklina się, że drzwi zawsze były zamykane wieczorem.

– I w tej kwestii też cholernie głupio postępuje – mruknął Billy T. –

Wszystko o wiele bardziej by się zgadzało, gdyby twierdził, że drzwi były otwarte.

– Oni mają dzieci – powiedziała Hanne. – Idziemy?

– Co z tego, że mają dzieci?

Billy T. nie ruszył się z miejsca, tylko patrzył na Hanne, która zaczęła podskakiwać na coraz bardziej nieprzyjemnym wietrze.

– Dzieci bezustannie gubią klucze. Chodź.

Nie czekając, ruszyła biegiem w stronę samochodu.

– Właściwie nie rozumiem, dlaczego zwlekamy – stwierdził Billy T., ciężko padając na zniszczone siedzenie pasażera. – Przecież sprawa wygląda na zupełnie oczywistą. Rzadko się zdarza, żebyśmy mieli aż tak silne poszlaki. Halvorsrud jest winny, to jasne.

– No to dlaczego się wahamy? – spytała Hanne cicho. Siedziała z rękami na kolanach i w roztargnieniu bawiła się kluczykami do samochodu. – Dlaczego tak się przejmujemy tym Stålem Salvesenem?

– Ty – poprawił ją Billy T. – To ty się przejmujesz Stålem Salvesenem. Muszę przyznać, że ja też przez pewien czas wątpiłem w winę Halvorsruda, ale teraz skłaniam się ku...

– To wszystko wygląda zbyt prosto – przerwała mu Hanne i włożyła kluczyk do stacyjki. – Nie widzisz? Sprawa jest absurdalna, ale jednocześnie oczywista. To niewyobrażalne, żeby Halvorsrud odrąbał żonie głowę, lecz wszystko wskazuje na to, że jednak to zrobił. Nie widzisz, jaki obraz się rysuje?

Billy T. walczył z pasem bezpieczeństwa i nie odpowiedział.

– Montaż – szepnęła Hanne Wilhelmsen. – Idealny montaż.

– Albo po prostu popełnione w cholernie niezdarny sposób zabójstwo, które ma wyglądać jak montaż – powiedział Billy T. cierpko i zaczął szukać w radiu programu NRK P2.

– Dopóki na własne oczy nie zobaczę ciała Stålego Salvesena, to nie wykluczę, że Halvorsrud mówi prawdę.

Po raz ostatni spojrzała na most Staure, po czym wycofała się z parkingu i ruszyła w powrotną drogę. Dwadzieścia minut jechali bez słowa. Kiedy minęli kościół w Høvik na drodze E18, Hanne wreszcie się odezwała:

– Coś jest w mieszkaniu Stålego Salvesena. Widziałam tam coś, co nie daje mi spokoju, tylko za skarby świata nie mogę sobie przypomnieć, co to było. – Podrapała się w nos i mrużąc oczy, spojrzała na wskaźnik paliwa. Benzyny powinno wystarczyć do samego domu.

– Jeśli to coś ważnego, to na pewno ci się przypomni. Teraz masz przecież inne rzeczy na głowie.

Billy T. uśmiechnął się i popatrzył na Hanne. Miał ochotę położyć jej rękę na udzie, jak na pewno zrobiłby w innych okolicznościach. Gdyby wszystko było jak dawniej.

Ale nic już nie było jak dawniej. Co prawda podczas tej wycieczki Hanne zachowywała się trochę tak jak kiedyś, fizycznie nawet kilkakrotnie się do niego zbliżyła, a w jej tonie pojawiło się coś z dawnej poufałości, od której był tak uzależniony i której utraty tak się bał. A jednak coś się zmieniło. Hanne zawsze była skoncentrowana, zawsze bardzo przejęta sprawami, które prowadziła, zawsze gotowa do refleksji, do wysłuchania opinii innych, ale teraz jej przejęcie sprawą graniczyło z fanatyzmem. To, co zrobiła na moście Staure, było niezwykle ryzykowne i zupełnie niepotrzebne. Mogli sprawdzić jej teorię bez konieczności narażania życia. Poza tym zauważył, że zaczęła mówić wolniej niż kiedyś i raczej do siebie niż do innych.

– Właśnie tu wszyscy popełniacie błąd – odezwała się nagle Hanne, gdy wjechali na węzeł drogowy przy Bjørvika.

– Co?

Billy T. już zdążył zapomnieć, co powiedział kilka minut wcześniej.

– Wam się wydaje, że ja mam inne rzeczy na głowie. Ale ja myślę wyłącznie o tej sprawie. W ogóle nie dopuszczam do siebie niczego innego. Przynajmniej w pracy. Pozdrów serdecznie Tone-Marit.

Zatrzymała się przed głównym wejściem do budynku policji. Billy T. zwlekał z opuszczeniem auta. W końcu rozpiął pas i otworzył drzwiczki.

– Jeszcze tylko jedno, Hanne – powiedział powoli. – Okropnie cuchniesz. Jedź do domu i weź prysznic. Naprawdę śmierdzisz.

Kiedy trzasnął drzwiczkami, z przedniej szyby o mało nie spadł identyfikator do rejestracji płatnych przejazdów, a Hanne już do końca wieczoru szumiało w uszach.

Był dwunasty marca, piątkowe popołudnie. Ciężka pokrywa chmur rozpościerająca się nad stolicą Szwecji przesłaniała widoczność. Lars Erik Larsson wyciągnął ze zniszczonej aktówki plastikową torebkę. Wygładził ją najlepiej, jak umiał, i rozłożył na ławce. Dziś w Skansenie było niewiele osób. Larsson właśnie minął nową Niedźwiedzią Górę, nie widząc nawet cienia niedźwiedzia. Może wciąż spały snem zimowym.

Właściwie zamierzał wybrać się jeszcze dalej w głąb wyspy Djurgården, tego ślicznego sztokholmskiego parku, może aż na zachodni kraniec, do Plommonbacken, skąd mógł wrócić do centrum autobusem, gdyby nie miał już siły, ale w powietrzu czuło się deszcz. Kiedy minął Nordiska Museet, szaroczarne chmury nad Södermalm kazały mu zmienić decyzję. Zapłacił więc sześćdziesiąt koron za wstęp i zrobił sobie długą rundę wokół Skansenu.

Zadowolony usiadł i wyciągnął starannie zapakowaną kanapkę z serem i papryką. Kawa w termosie była gorąca, para przyjemnie owiewała twarz. W zamyśleniu popatrzył na zatokę Djurgårdsbrunnviken. Ledwie widział stąd wieżę telewizyjną Kaknäs. Jej szczyt z trudem podtrzymywał chmury.

Lars Erik Larsson był zadowolonym człowiekiem. Co prawda żył spokojnie i nie miał żadnej kobiety, odkąd żona opuściła go w 1985 roku, ale wkrótce kończył sześćdziesiąt pięć lat, a praca i dwójka wnuków dostarczały mu dostatecznie dużo zajęć. Po odejściu na emeryturę, które miało nastąpić już niedługo, zamierzał przeprowadzić się do niewielkiej zagrody w Östhammar, hodować kwiaty w ogrodzie i od czasu do czasu przyjmować u siebie starych dobrych przyjaciół.

Spokojnie zjadł do końca. Przeszkodziła mu w tym jedynie amerykańska – jeśli całkiem się nie mylił – wyjątkowo gadatliwa para z trójką

dorastających dzieci. Zjadł, wytarł usta przyniesioną serwetką, a potem wyjął dzisiejsze wydanie „Expressen”.

Lars Erik Larsson pracował w banku SE w dzielnicy Gamla Stan. Po szczeblach kariery przestał się wspinać już dwadzieścia lat temu, ale za bardzo tego nie żałował. Nie miał innych ambicji oprócz należytego wykonywania obowiązków i otrzymywania za to zasłużonego wynagrodzenia. Mieszkał w zwyczajnym dwupokojowym mieszkaniu w dzielnicy Södermalm. Zagrodę położoną sto czterdzieści kilometrów na północ od Sztokholmu i pięć minut spacerem od morza otrzymał w spadku. Jego samochód miał dziesięć lat i był w pełni spłacony. Lars Erik Larsson nie potrzebował niczego więcej. Poza tym w pracy widział mnóstwo pojawiających się i znikających pieniędzy, miał więc świadomość, jak łatwo finansowe szczęście zamienia się w tragedię, i dlatego nigdy nie pragnął bogactwa.

Spojrzeniem przebiegł stroną gazety. Jakiejś Norweżce obcięto głowę. Być może zrobił to jej mąż. Artykuł mówił o prokuratorze, który zamordował żonę samurajskim mieczem. Typowe dla „Expressen”. Po co, na miłość boską, pisać o takiej sprawie? Wydarzyła się w Norwegii i nie mogła zainteresować nikogo spoza granic tego kraju. Zapewne uwagę tabloidu przyciągnęło niecodzienne narzędzie zbrodni.

Sigurd Halvorsrud.

Lars Erik Larsson podniósł głowę znad gazety. Nad Östermalm zaczęło padać. Larsson powoli spakował swoje rzeczy.

Sigurd Halvorsrud.

Nagle sobie przypomniał. To musiało być już kilka miesięcy temu, ale zdarzenie było tak wyjątkowe, że wciąż miał je w pamięci. Do banku przyszedł mężczyzna, który w walizce przyniósł dwieście tysięcy koron szwedzkich w gotówce. Otworzył konto na nazwisko Sigurd Halvorsrud i wpłacił na nie wszystkie te pieniądze. Mówił po norwesku.

Dwieście tysięcy koron w gotówce należało do rzadkości nawet

w dzisiejszych czasach. A może zwłaszcza w dzisiejszych. Przecież teraz pieniądze były głównie na monitorze komputera.

Larsson ruszył w stronę kolejki linowej. Spojrzał na zegarek.

Może powinien gdzieś to zgłosić. Ale gdzie? W redakcji „Expressen”? Nie ma mowy. Na policję?

Pomyślał o tym, że Lena, dziewięcioletnia wnuczka, przyjeżdża do niego na cały weekend. Z pewnością miło spędzą czas. Jutro wybierali się do opery. Tak się cieszył, że dziewczynka zaczęła się interesować prawdziwą muzyką.

Lepiej nie wywoływać żadnego zamieszania. Wrzucił gazetę do kosza na śmieci i mimo groźnych deszczowych chmur postanowił wrócić do domu piechotą. Zajmie mu to pewnie z godzinę, no ale przecież miał parasol.

Szpital właściwie nigdy nie zasypiał. Chociaż zażywna pielęgniarka już dawno zrobiła nocny obchód i pogaszono wszystkie niepotrzebne światła, stare budynki Ullevål wciąż były pełne odległych dźwięków i ruchów, wyczuwalnych nawet w sali, w której Hanne Wilhelmsen siedziała w milczeniu na krześle i próbowała czytać.

Cecilie cicho jęknęła przez sen, usiłując się obrócić. Hanne delikatnie dotknęła jej ramienia, by ją powstrzymać przed zmianą pozycji.

Biuściasta pielęgniarka znów stanęła w drzwiach. Hanne drgnęła przestraszona, bo nie słyszała, żeby ktoś szedł.

– Na pewno nie przywieźć pani łóżka? – spytała szeptem kobieta. – Musi się pani trochę przespać.

Hanne pokręciła głową.

Pielęgniarka podeszła aż do jej krzesła i ostrożnie położyła jej rękę na ramieniu.

– Może być wiele takich długich nocy. Naprawdę uważam, że powinna pani złapać choć trochę snu. Łóżko to żaden problem.

Hanne wciąż się nie odzywała, tylko jeszcze raz lekko pokręciła głową.

– Wzięła pani zwolnienie? – spytała pielęgniarka szeptem. – Doktor Flåbakk na pewno je pani da na okres przejściowy.

Hanne roześmiała się cicho, z rezygnacją.

– Nie mogę wziąć zwolnienia – odparła, starając się nie ziewać. – Mam urwanie głowy w pracy.

– A gdzie pani pracuje? – spytała życzliwie kobieta ściszone głosem, nie zdejmując ręki z ramienia Hanne. – Nie, proszę mi pozwolić zgadnąć. – Przechyliła głowę na bok, uważnie się jej przyglądając. – Prawniczka – oświadczyła w końcu. – Na pewno jest pani adwokatką albo kimś w tym

rodzaju.

Hanne uśmiechnęła się i potarła palcem oko.

– Bardzo blisko. Pracuję w policji. Jestem komisarzem.

– To takie ciekawe!

Wydawało się, że pielęgniarka mówi szczerze. Lekko poklepała Hanne po ramieniu, sprawdziła rurki i statyw z kroplówką, a potem cicho podeszła do drzwi.

– Proszę dać znać, jeśli zmieni pani zdanie w kwestii tego łóżka – szepnęła. – Wystarczy pociągnąć za ten sznurek, a ja zaraz przyjdę.

Dobranoc.

– Dobranoc – mruknęła Hanne.

Słuchała kroków na korytarzu, przybliżających się i oddalających. Ktoś prawie biegł, ktoś inny człapał, jakby nigdzie się nie spieszył. Od czasu do czasu dochodziło stłumione wołanie salowych, a zza okna dobiegło dalekie echo syreny policyjnej.

– Hanne – szepnęła Cecilie, próbując poruszyć głowę.

– Jestem tutaj. – Hanne się nachyliła. – Tu.

– Tak się cieszę.

Hanne ujęła jej szczupłą dłoń, starając się nie poruszyć wenflonu.

– Jak się czujesz?

– Nieźle – jęknęła Cecilie. – Pomożesz mi się trochę podnieść? Chciałabym usiąść.

Hanne przez chwilę się zawahała i bezradnie popatrzyła na sznurek z dzwonkiem alarmowym, który sprowadziłby tu tę miłą pielęgniarkę. Sama bała się dotknąć czegokolwiek oprócz ręki Cecilie.

– Pomóż mi – poprosiła Cecilie i zaczęła się wysilać, żeby unieść głowę.

Hanne wzięła dwie zapasowe poduszki leżące w nogach łóżka i zdołała je wepchnąć pod plecy Cecilie. Potem zapaliła lampkę na nocnej szafce i odwróciła ją do szarej ściany, żeby trochę stłumić ostre światło.

– A jak ty się czujesz? – spytała Cecilie, patrząc na nią.

Hanne nie była pewna, czy dostrzega w jej oczach coś zupełnie nowego, czy też są to resztki czegoś, co kiedyś w nich było.

– Bardzo źle – powiedziała.

– Widzę. Chodź tutaj.

– Przecież jestem, Cecilie.

– Chodź tutaj, bliżej.

Hanne wstała razem z krzesłem i przesunęła się o kilka cali. Cecilie odrobinę uniosła rękę.

– Jeszcze bliżej. Chcę cię widzieć naprawdę.

Ich twarze dzieliło teraz zaledwie trzydzieści centymetrów. Hanne czuła niezdrowy oddech Cecilie. Dotknęła dłonią jej policzka.

– Co my teraz zrobimy? – spytała szeptem.

– O tym właściwie ty musisz zdecydować – odparła Cecilie ledwie słyszalnie.

– Nie rozumiem.

Hanne powoli przesunęła kciukiem po jej policzku, a potem powtórzyła ten gest kilka razy. Zdziwiła ją miękkość skóry, miękkość i lekka wilgoć, jakby wyszły na spacer we mgle.

– Ty musisz podjąć decyzję – powtórzyła Cecilie i lekko chrząknęła. – Ty musisz zdecydować. Jeśli mam przejść przez to sama, muszę to wiedzieć teraz.

Hanne przełknęła ślinę. Potem jeszcze raz.

– Oczywiście, że nie będziesz sama.

Tak bardzo chciała dodać coś więcej. Chciała wyznać, że jest jej przykro. Opowiedzieć o własnym żalu nad wszystkim, co nie było takie, jak powinno być, nad myślą, że na wszystko już za późno i że być może nigdy nie była skłonna zapłacić ceny za to, czego bardziej niż cegokolwiek innego w życiu pragnęła. Tak bardzo chciała położyć się obok Cecilie, przytulić ją tak, jak kiedyś się tuliły. Chciała gładzić jej chore ciało i obiecywać, że od tej chwili wszystko będzie inaczej. Nie tak jak dawniej,

jak dawno temu, tylko o wiele lepiej. Słuszniej. Prawdziwiej. Że to wszystko będzie prawdą. Zamknęła jednak usta. W świetle lampki dostrzegła na twarzy Cecilie cień uśmiechu.

– Nigdy nie umiałaś mówić, Hanne. Wydaje mi się, że właśnie to jest najtrudniejsze. Często zupełnie nie wiadomo, co myślisz. – Zaśmiała się cicho i ochryple.

– Wiem – powiedziała Hanne. – Przepraszam.

– Tak często to powtarzasz.

– Wiem. Prze...

Teraz uśmiechnęły się obie.

– W każdym razie chcę być z tobą – oświadczyła Hanne, nachylając się nad nią jeszcze niżej. – Chcę być przy tobie przez całe... – Delikatnie dotknęła policzkiem policzka Cecilie. Koniuszek ucha partnerki połaskotał ją wargi. – Tu nie chodzi o ciebie. Nigdy nie chodziło o ciebie. – Z twarzą ukrytą we włosach Cecilie ciągnęła: – To ja się zawsze nie sprawdzałam. Nie zasłużyłam na ciebie. Powinnaś sobie znaleźć kogoś silniejszego. Kogoś, kto by miał odwagę wybrać cię w pełni.

– Ale przecież ty to zrobiłaś.

Cecilie próbowała ją odsunąć, żeby móc spojrzeć jej w oczy. Hanne nie chciała pokazywać twarzy.

– Nie – szepnęła w szyję Cecilie. – Zawsze jechałam na dwóch koniach. Albo na trzech. A nawet na czterech, kiedy tak mi odpowiadało. Te konie do siebie nie pasowały. Tak bardzo się starałam tego bronić. Ale ostatnio...

– Udusisz mnie – jęknęła Cecilie. – Nie mogę oddychać.

Hanne powoli uniosła głowę. Potem wstała z krzesła i podeszła do okna. Mgła zgęstniała. Prawie nie widać już było parkingu, na którym stało samotne bmw z jednym czerwonym błotnikiem.

– Zawsze opierałam się na założeniu, że jestem dobra w tym, co robię. –

Ułożyła rękę na czole, po czym kciukiem i palcem wskazującym zaczęła masować oczy. – Ale ostatnio... w ostatnich miesiącach zaczęłam wątpić.

– W nas – powiedziała Cecilie, bardziej konstatując fakt, niż pytając.

– Nie. – Hanne gwałtownie się odwróciła i rozłożyła ręce. – Nie w nas. Nigdy w nas. W siebie! – Uderzyła się w pierś i stłumiła okrzyk. – Wątpię w siebie – szepnęła głośno. – Ja... zaczęłam się tak bardzo bać, że zrobię coś złego. Patrzę wstecz i zanurzam się we wszystkie te sytuacje, w których zawiodłam. Na wszystkich płaszczyznach. Kiedy zawiodłam przyjaciół, ciebie, wszystkich. Właściwie zawodziłam cały czas. – Zacerpnęła głęboko powietrza i znów odwróciła się do okna. W szybie zobaczyła własne odbicie. Kiedy znów zaczęła mówić, patrzyła w oczy sobie samej. – Zaczęłam się bać nawet moich starych spraw. Może przyczyniłam się do wyrządzenia komuś krzywdy? Nocą leżę i... W nocy się boję... Boję się wręcz, że ktoś pozwie mnie do sądu. Do tego już doszło. Tak jakby wszyscy, których wsadziłam do więzienia, sprzysięgli się... Staram się unikać ludzi, których zraniłam, a nawet... nawet takich, na których los nie miałam wpływu. Czuję się tak, jakbym... No cóż. Potrafię już patrzeć w przyszłość jedynie przez pryzmat nowych spraw. Stale nowych spraw.

– Dzięki temu nie musisz ustosunkowywać się do ludzi.

– Tak, być może. Albo...

– I do mnie.

Hanne gwałtownie usiadła. Krzesło zazgrzytało o wypastowane linoleum. Ujęła dłoń Cecilie w obie ręce.

– Ale czy ty nie rozumiesz, że ja nie chcę, żeby tak było? Przecież nigdy nie było nikogo oprócz ciebie. Nigdy. Chodzi tylko o to, że kiedy cię widzę, to jednocześnie widzę własne... własne tchórzostwo.

Cecilie próbowała dosięgnąć lampki. Było za ciemno. Miała wrażenie, że Hanne, siedząc tu, w jednej chwili się postarzała. Cienie sprawiły, że jej rysy się wyostrzyły, a oczy zapadły.

– Nie ruszaj tej lampki – poprosiła Hanne cicho. – Bardzo cię proszę.

– To był też mój wybór – stwierdziła Cecilie.

– Co?

– Ty. Mogłam być twardsza. Mogłam protestować przeciwko tym dwóm liniom telefonicznym w domu. Przeciwko inicjałom na drzwiach. Przeciwko temu, że nigdy nie chciałaś mnie zabierać na imprezy w pracy. Mogłam coś powiedzieć.

– I mówiłaś.

Hanne uśmiechnęła się lekko i potarła krzyż.

– Chcesz poduszkę? – spytała Cecilie.

– Protestowałam cały czas.

– Ale nie na serio. Pewnie i ja się bałam.

– Ty się nigdy nie bałaś.

Hanne wyprostowała się i głęboko westchnęła. Niepełna butelka wody mineralnej na nocnej szafce o mało się nie przewróciła, gdy spróbowała przesunąć krzesło.

– Zawsze się bałam, Hanne. Zawsze się bałam, że cię stracę. Że będę stawiać za duże wymagania i ze mnie zrezygnujesz.

Otworzyły się drzwi i do pokoju wjechało łóżko.

– Pójdzie pani teraz spać, czy pani tego chce, czy nie – oświadczyła pielęgniarka, ukazując się zaraz za nim. – Nie może pani siedzieć całą noc. Te krzesła są do niczego.

Szybkimi sprawnymi ruchami ustawiła nowe łóżko obok łóżka Cecilie. Hanne zakłopotana niezgrabnie stanęła przy oknie.

– Dobrze się czujesz?

Pielęgniarka pogładziła Cecilie po głowie i jeszcze raz sprawdziła, czy kroplówka jest właściwie ustawiona. Wyszła, nie czekając na odpowiedź i cicho nucąc pod nosem.

– Połóż się. – Cecilie wskazała na świeżo pościelone łóżko.

Hanne na próbę przysiadła na brzeżku. Zdjęła tylko buty i ostrożnie ułożyła się na kołdrze. Chciałabym wiedzieć, ile jeszcze ci zostało, pomyślała. Tak bardzo bym chciała wiedzieć, ile mamy czasu, zanim umrzesz.

Ale głośno tego nie powiedziała i wiedziała, że nigdy nie będzie miała odwagi o to spytać.

Palce Eivinda Torsvika biegały po klawiaturze jak wściekłe. W ciągu pół godziny wysłały pięć e-maili pod różne adresy, wszystkie zagraniczne.

Oni tego nie rozumieli. Nie znali się na tym dość dobrze. Nie byli równie sprawni jak on i brakowało im cierpliwości. Ale on był od nich w pełni uzależniony. Tylko dzięki współpracy przekraczającej granice państw mogli mieć nadzieję na posuwanie się naprzód. Na zwycięstwo. Bo to było walka. Wojna.

„Czekajcie”, napisał. „To już niedługo, ale musimy czekać. Czekajcie na bliższe rozkazy”.

Bóg jeden wie, czy go usłuchają.

Thea Flo Halvorsrud miała dopiero szesnaście lat. A ponieważ od tygodnia nic nie jadła, była naprawdę w złym stanie. Od czasu do czasu wypijała łyk wody ze szklanki stojącej na nocnym stoliku, którą stale napełniano. Jedzenia przynoszonego jej cztery razy w ciągu doby nie chciała tknąć. Siostra jej zmarłej matki, ciotka Vera, była na skraju załamania nerwowego. Dwukrotnie usiłowała załatwić siostrzenicy pomoc lekarską. Za pierwszym razem poradzono jej przyjazd na pogotowie psychiatryczne. Ponieważ jednak dziewczynka odmawiała wstania z łóżka, rada ta była niewiele warta. Za drugim razem – kiedy poruszyła niebo i ziemię, a w końcu oświadczyła, że nie rozłączy się, jeśli nie obiecują jej pomocy – zjawił się młody lekarz z przyszczami i wąskimi nerwowymi dłońmi. Thea nie poświęciła mu nawet spojrzenia, nie mówiąc już o sensownej rozmowie. Lekarz w końcu przepraszająco rozłożył ręce i zaczął mówić o przymusowym leczeniu.

To nie wchodziło w grę.

Ciotka Vera zadzwoniła po Karen Borg.

– Naprawdę już nie wiem, co robić – oświadczyła, prowadząc panią mecenas do pokoju gościnnego, w którym szesnastolatka leżała w lakierowanym na biało szerokim pojedynczym łóżku pośród morza różowych poduszek.

– Myślę, że najlepiej będzie, jeśli spróbuję porozmawiać z nią sama – powiedziała Karen Borg cicho, gestem dając znak, by wzburzona, chociaż pełna dobrej woli kobieta wyszła z pokoju.

Ciotka Vera wytarła oczy i wycofała się tyłem.

Pokój był duży, jasny i różowy. Pudroworóżowa komoda stała na tle różowej tapety w drobne kwiatki. Nawet w oknie wisały jasnoróżowe

zazdrostki. Na parapecie siedziało pięć jaskraworóżowych pluszaków – trzy króliki, miś i coś, co miało chyba być hipopotamem. Wszystkie ślepo patrzyły na pokój. Karen Borg posłała w duchu podziękowanie Håkonowi, który namówił ją do pomalowania pokoju córeczki na niebiesko i zielono.

– Cześć – zaczęła spokojnie i usiadła na krześle przy łóżku. – Nazywam się Karen Borg i jestem adwokatką twojego ojca.

Informacja ta nie wywarła większego wrażenia. Dziewczynka skuliła się w pozycji płodu i naciągnęła kołdrę na głowę.

– Przynoszę ci pozdrowienia od ojca. Rozmawiałam z nim dzisiaj. Bardzo się o ciebie martwi.

Lekki ruch pod kołdrą mógł świadczyć o tym, że Thea przynajmniej ją słyszała.

– Czy mogę w ogóle coś dla ciebie zrobić, Theo?

Odpowiedzi nie było. Dziewczynka leżała teraz nieruchomo, jakby na dodatek przestała oddychać.

– Thea! Thea, śpisz? Słyszysz, co mówię?

Dziewczynka nagle gwałtownie się obróciła. Spod kołdry wyłoniła się głowa z jasnymi tłustymi włosami sterczącymi na wszystkie strony.

– Skoro jest pani adwokatką taty, to powinna pani wyciągnąć go z więzienia, zamiast mnie dręczyć!

Opadła z powrotem na plecy i znów zakopała się w kołdrę i poduszki.

Karen Borg z trudem zapanowała nad uśmiechem. Dostrzegając wyraźne podobieństwo między tą podrośniętą dziewczynką a swoją niespełna dwuletnią córeczką. Różnica była jednak aż nadto oczywista. Liv z reguły po pięciu minutach znów się uśmiechała. Szesnastoletnia Thea od tygodnia prowadziła strajk głodowy. Było to wysoce niepokojące i zaczynało stawać się groźne.

– Jeśli poświęcisz trochę czasu na rozmowę ze mną, to być może łatwiej mi będzie wykonać moją pracę – powiedziała Karen z nadzieją, że nie obiecuje zbyt dużo.

Do pokoju przedostał się lekki zapach kakao. Ciotka Thei wspominała, że regularnie usiłuje podrażnić apetyt siostrzenicy, stawiając aromatyczne potrawy przy szparze pod drzwiami. Karen Borg jednak nie miała przesadnie dużej wiary w to, że córka kobiety, której obcięto głowę, da się skusić czekoladą i bitą śmietaną.

– Wolałabyś, żebym sobie poszła? – spytała z rezygnacją i poruszyła się, jakby chciała wstać.

Coś jednak sprawiło, że się zawahała. W lekkim powiewie z uchylonego okna zafalowała zasłonka, a najmniejszy z królików machnął uszami w przeciagu. Ruchy pod kołdrą znów stały się spokojniejsze. W końcu dziewczynka niechętnie usiadła oparta plecami o zagłówek. Miała buzię dziecka, ale jej oczy zapadły się tak głęboko, że równie dobrze mogła uchodzić za o dziesięć lat starszą, niż była w rzeczywistości. Wąskie wargi drżały, a palce cały czas mięły róg poszwy.

– Pani wierzy tacie – powiedziała cicho. – Ponieważ pani jest jego obrońcą, to wierzy pani, że on jest niewinny.

Karen Borg szybko doszła do wniosku, że nie jest to odpowiedni moment na wykład z etyki adwokackiej.

– Tak – odparła krótko. – Wierzę mu.

Dziewczynka lekko się uśmiechnęła.

– A ciocia Vera nie wierzy.

Karen wydało się, że zza drzwi dobiegł jakiś odgłos. Po krótkim namyśle zdecydowała, że pozwoli podsłuchującej osobie zostać.

– Być może, ale ona nie zna twojego ojca tak dobrze jak ty, a bardzo wiele rzeczy wskazuje, że naprawdę to zrobił. Nie możesz o tym zapominać.

Thea mruknęła coś pod nosem.

– Twój ojciec musi się pogodzić z pozostaniem w areszcie jeszcze przez dość długi czas. Nie możesz zrezygnować z jedzenia do czasu, kiedy zostanie zwolniony, bo umrzesz z głodu.

– No to umrę – oświadczyła Thea twardo. – Nie tknę niczego, dopóki

tata nie wyjdzie i nie będziemy mogli wreszcie wrócić do domu.

– Jesteś teraz trochę dziecinna.

– Bo ja jestem dzieckiem! Według Konwencji o prawach dziecka będę dzieckiem do ukończenia osiemnastego roku życia. Jeszcze prawie przez dwa lata.

Karen Borg lekko się roześmiała.

– Problem polega na tym, że jeśli nie będziesz jadła, to w ogóle nie dorośniesz.

Dziewczynka nie odpowiedziała. Dalej mięła w palcach brzeg kołdry. Jakaś nitka puściła i Thea wzięła ją do ust.

– Mówiłam ci już, że ojciec się o ciebie bardzo martwi. Po tym wszystkim, po tym, co się stało z twoją matką i...

– Niech pani nie mówi o mamie!

Twarz Thei wykrzywiła się w grymasie, który trudno było odczytać.

Karen Borg nie wiedziała, co sama uznałaby za najgorsze. Czy to, że matka została zamordowana, czy to, że o zabójstwo podejrzewany jest ojciec. Prawdopodobnie nie byłaby w stanie pojąć ani jednego, ani drugiego. A już na pewno nie w wieku szesnastu lat. Wygładziła spódnice, przeczesła włosy i doszła do wniosku, że właściwie nie wie, dlaczego tu siedzi. Dziewczynka potrzebowała profesjonalnej pomocy, a nie rady prawniczki.

– Ojciec w każdym razie przyjdzie na pogrzeb w poniedziałek – oznajmiła po chwili.

Dziewczynka znów trochę się uspokoiła.

– Będziesz mogła się z nim zobaczyć. Dobrze by było, żebyś przez weekend coś jadła, bo tylko wtedy będziesz w stanie chodzić.

– Mamo! – jęknęła Thea cienkim głosem. – Tato, tatusiu!

Cicho położyła się na plecy i znów naciągnęła kołdrę na głowę. Puch i bawełna trochę przytłumiły płacz, ale mimo wszystko niósł się tak daleko, że ciotka Vera otworzyła drzwi i bezradnie stanęła na środku pokoju, załamując ręce.

– Co my zrobimy? – spytała zrozpaczona. – Co my, na miłość boską, zrobimy?

– Musimy wezwać lekarza do Thei – odparła Karen Borg zdecydowanie.
– I to jeszcze dzisiaj.

Kiedy się odwróciła, żeby wyjść, zobaczyła, że Preben Halvorsrud opiera się o futrynę. Patrzył gdzieś daleko, za okno. Małeńki królik bezszelestnie spadł na podłogę. Z oczu młodego człowieka nie dawało się nic wyczytać, ale było w nich coś, co przyprawiło Karen Borg o dreszcz. Zapragnęła znaleźć się jak najdalej stąd.

– Od tygodnia to powtarzam – odezwał się Preben beznamiętnym tonem.
– Thea musi mieć pomoc. Poza tym potrzebuje taty. Ma pani zamiar sprowadzić go wkrótce do domu, żeby Thea nie musiała dłużej mieszkać w tym różowym torcie?

Teraz przeszył ją wzrokiem. Karen Borg miała wrażenie, że patrzy w oczy starca.

– Zobaczmy – powiedziała, z całych sił starając się unikać jego spojrzenia.

Głowa wydawała się pusta i lekka.

Hanne Wilhelmsen próbowała trzymać się jednej myśli naraz. W oczach jej migotało, jakby miała halucynacje. Wszystko się mieszało i kolory przechodziły jeden w drugi. Nalała sobie kawy z termosu z pompką i jednym haustem wypła prawie całą filiżankę.

Był sobotni wieczór. Ponieważ została w szpitalu do południa, nie sądziła, by udało jej się wyjść z komendy przed północą. Tej nocy zamierzała spać w domu.

W szufladzie biurka znalazła nieduży szklany słoiczek z plastikową pokrywką. Mleczko pszczele z Chin. Kapsułki miały mieć cudownie pobudzający efekt. Przeczytała etykietkę: „Na reumatyzm, spadek wagi, wypadanie włosów, zapalenie płuc, obniżoną odporność, przygnębienie”. W każdym razie przygnębienie pasowało. Wysypała brunatne kapsułki na dłoń i przez kilka sekund im się przyglądała. W końcu położyła trzy na języku i połknęła z ostatnim łykiem kawy. Zapiekły w przełyku.

Z niechęcią popatrzyła na leżące przed nią trzy stosy dokumentów. Jeden dotyczył sprawy Halvorsruda. I wcale nie był najgorszy. Przez cały tydzień starała się być na bieżąco i czuła pewną satysfakcję na myśl, że prawdopodobnie znała tę sprawę lepiej niż ktokolwiek inny. Tak naprawdę irytowały ją dwa sąsiednie pliki – inne sprawy. Napady. Bójki w barze. Tydzień temu świat wcale się nie zatrzymał.

– Ene, due... – zachichotała, stukając palcem kolejno w grube pliki.

Zatrzymała się jednak nad sprawą Halvorsruda. Litery nakreślone przez Billy’ego T. na okładce były kompletnie nieczytelne. Otworzyła różową teczkę. Na szczęście sprawozdanie zostało napisane na maszynie.

Zrobiłem tak, jak powiedziałaś, i wyszukałem wyjątkowo wynaturzone

zabójstwa. Na szczęście nie było ich wiele. Kilka spraw będziesz pamiętać, między innymi tę, w której któreś z Håverstadów, ojciec albo córka, wbiło nóż w jądra Catona Iversena. To się chyba kwalifikuje jako wynaturzenie...

Najgorsza ze wszystkich była jednak sprawa zabójstwa geja w parku Frogner sprzed kilku lat. Przypuszczam, że na dokładniejszym opisie Ci nie zależy, ale na wszelki wypadek dołączyłem raport. Chodzi o to, że zabójca odebrał sobie życie w więzieniu. I to definitywnie. I jeśli nie zmartwychwstał, to nie on ściął głowę pani Halvorsrud.

Dołączyłem też krótki opis czterech innych spraw. Najciekawsza jest ta z 1990 roku. Osiemnastolatek (wszystko wydarzyło się dokładnie w dniu jego osiemnastych urodzin) uprowadził swojego przybranego ojca. Maltretował go (między innymi obciął mu brodawki piersiowe i penis). Mężczyzna nie zmarł od razu w wyniku odniesionych obrażeń i prawdopodobnie jeszcze żył, kiedy obcięto mu jądra. Wykrwawił się na śmierć. Zabójca, Eivind Torsvik, był przez niego latami molestowany seksualnie. Kiedy wreszcie zdołał zgłosić to odpowiednim władzom (odbyło się to w sposób bardzo drastyczny, chłopiec obciął sobie uszy i zaniósł je do szkoły, by pokazać nauczycielowi!!!), sądy zmitrężyły mnóstwo czasu na rozpatrzenie sprawy (typowe!). Mężczyznę skazano na półtora roku więzienia, wyszedł po niespełna roku. Eivind Torsvik najwyraźniej nie był zadowolony z kary wymierzonej swojemu oprawcy. Kiedy już go uśmiercił, sam zgłosił się na policję i przyznał do winy. Dziwny chłopak, dobrze go pamiętam. Bystry, życzliwy (oczywiście nie wobec przybranego ojca), krótko mówiąc, młody człowiek, do którego od razu czuje się sympatię. Podczas procesu powiedział, że z dokonaniem zabójstwa wstrzymywał się do osiemnastych urodzin, ponieważ chciał ponieść karę jak dorosły. Później znakomicie sobie poradził jako pisarz. Może nawet czytałaś którąś z jego powieści. „Czerwone latarnie w Amsterdamie” odniosły wielki sukces i u nas, i za granicą.

No cóż, Eivind Torsvik i dwaj inni sprawcy z załączonego wykazu są

na wolności. Wydaje mi się jednak, że jesteś na złym tropie. Wszystkie te zabójstwa mają w sobie takie czy inne podłoże seksualne: molestowanie, prowokacja, homofobia, gwałt.

Naprawdę sądzisz, że Doris Halvorsrud mogła popełnić przestępstwo na tle seksualnym??? Nie wierzę... Jeśli będziesz nalegać, rozszerzę poszukiwania na całą Skandynawię. W Szwecji mieli kilka bestialskich mordów, między innymi tamtą słynną sprawę zabójstwa prostytutki i poćwiartowania jej zwłok. Moim zdaniem to zmarnowany czas, ale Ty się na pewno nie poddasz!

Życzę Ci możliwie udanego weekendu. Widzimy się w poniedziałek. Albo wcześniej, jeśli chcesz. Tone-Marit wychodzi dzisiaj ze szpitala z malutką. Ale na dwie godziny zawsze mogę się urwać. Zadzwoń.

Ktoś zapukał do drzwi.

– Proszę – mruknęła Hanne.

Pukanie rozległo się jeszcze raz.

– Proszę wejść!

Drzwi otworzył student szkoły policyjnej. Hanne Wilhelmsen widziała go już wcześniej, ale nie pamiętała, jak się nazywa.

– Słucham.

– Przynoszę pozdrowienia z aresztu – zaczął.

– Dziękuję. Proszę serdecznie pozdrowić tam wszystkich ode mnie.

– Chodzi o Halvorsruda.

– Aha – powiedziała Hanne. – A co?

– Koniecznie chce z tobą rozmawiać. Nie wiedziałem, że tu jesteś, więc zostawiłem wiadomość na sekretarce u ciebie w domu. Możesz więc to zignorować, jeśli...

– Czego on chce?

Młody mężczyzna wyglądał na bezradnego, jakby nie był pewien, czy warto jej zawracać głowę późnym wieczorem w sobotę.

– Podobno chce się przyznać. – Przekrzywił głowę i pociągnął się

za ucho. – Chce rozmawiać z tobą i twierdzi, że to pilne. Mówi... – Ucho robiło się coraz czerwiejsze. – Dziwne, ale chce się przyznać. A ja myślałam, że on się wszystkiego wypiera, tak przynajmniej słyszałam. – Chłopak uśmiechnął się zawstydzony i już chciał wyjść.

– Dzwoniłeś do jego adwokatki? – spytała Hanne ostro.

Student stanął jak wryty.

– Nie. A powinienem?

– Tak. I zrób to teraz. Karen Borg. Holmenveien dwanaście. Zadzwoń do niej do domu.

Poczuła się nagle dziwnie przytomna. Krew rozgrzała policzki i do aresztu prawie biegła.

Halvorsrud nie mógł się przyznać. Wyprawa na most Staure umocniła wiarę Hanne Wilhelmsen w jego niewinność. Oczywiście nie potrafiła wyjaśnić, dlaczego tak uważa: może ze względu na konstrukcję mostu, a może było to zwykłe przeczucie, przekonanie, które uderzyło ją tam, na otwartym terenie, daleko od wszystkiego, co wisiało nad nią tu, w mieście. Nie wiedziała. Ale tym mocniej to czuła: Halvorsrud nie może się przyznać.

Jeden raz Hanne Wilhelmsen pozwoliła, by ktoś został skazany za zabójstwo, którego prawdopodobnie nie dokonał. Maren Kalsvik dostała czternaście lat. Ponieważ się przyznała. Ponieważ mogła zabić swoją szefową. Ponieważ najprostszym rozwiązaniem dla wszystkich – dla policji, mediów i dla sądu – było zamknięcie jej w więzieniu. Hanne usiłowała zatopić swoje wątpliwości w szczegółowym przyznaniu się do winy, które nie zostało cofnięte. Nigdy jednak nie zdołała zagłuszyć w sobie poczucia, że zawiodła.

Zabójstwo kierowniczkii domu dziecka Agnes Vestavik z 1994 roku było zbyt straszne, by mogło pozostać nierozwiązane. Maren Kalsvik gotowa była za nie odpokutować. Być może w imieniu ich wszystkich.

To nie mogło się powtórzyć.

Evald Bromo już się położył. Nie było jeszcze jedenastej, sobota wieczór. Podczas gdy Margaret oglądała telewizję, przebiegł szesnaście kilometrów. Kiedy wrócił do domu, zaproponowała kanapki z krewetkami i zimne piwo. Niewiele się odzywała, szykując jedzenie. W ostatnim tygodniu stała się jeszcze bardziej milcząca. Evald Bromo wypił piwo, ale krewetek nie ruszył. Margaret nawet go nie zachęcała.

Celowo zostawił drzwi do łazienki uchylone. Światło wciąż się tam paliło. Sypialnię spowijał miękki mrok, a z ulicy dochodziły hałasy grupy młodzieży, która nie znalazła dla siebie żadnej imprezy. Zamknął oczy, usiłując wychwycić odgłosy telewizora. Może Margaret go wyłączyła? Równie dobrze mogła wyjść. Nie lubił, kiedy spacerowała tak późno. Jeszcze nie minęły dwa tygodnie, odkąd w parku przy placu zabaw zgwałcono blisko pięćdziesięcioletnią kobietę.

Musi zmienić adres e-mail. Do szaleństwa doprowadzały go codzienne meldunki o tym, ile dni jeszcze zostało do pierwszego września. Nie chciał tego dłużej znosić. Problem polegał na znalezieniu wiarygodnego powodu do zmiany. Wszystkie adresy dziennikarzy „Aftenposten” były logiczne. Jego brzmiał: *evald.bromo@aftenposten.no*. Oczywiście mógł się poskarżyć na niechciane e-maile, ale jednocześnie ryzykowałby, że informatyk zechce je zobaczyć.

Nie miał prawie w ogóle siły do pracy. A ponieważ zawsze był rzetelnym dziennikarzem, mógł jeszcze przez pewien czas jechać na wymówkach i usprawiedliwieniach. Ale nie za długo. Przestał już czytać te e-maile. Wystarczała mu świadomość ich istnienia przed skasowaniem.

Mógł zrezygnować z pracy. Wtedy jego adres zostanie usunięty.

Mógł się zgłosić do „Dagens Næringsliv”. Zeszłoroczna oferta tej gazety

na pewno była wciąż aktualna.

Ale przecież pierwszy września nadejdzie i tam.

Evald usłyszał trzaśnięcie drzwi.

Kiedy Margaret kilka minut później weszła na palcach do sypialni, udał, że śpi. Leżał obrócony plecami do żony aż do czwartej nad ranem. Dopiero wtedy zapadł w stan przypominający utratę przytomności. Trzy godziny później obudził się, z trudem łapiąc oddech. Kołdra lepiła się do ciała. Nie pamiętał, co mu się śniło.

Karen Borg machnęła w powietrzu prawym palcem wskazującym. Był dramatycznie oklejony trzema niebieskimi plasterkami z uśmiechniętą buzią Myszki Miki.

– Zacięłam się nożem do chleba – wyjaśniła przepraszająco, nie ujmując wyciągniętej ręki Sigurda Halvorsruda.

Prokurator okręgowy siedział w pokoju Hanne Wilhelmsen już niemal od pół godziny. Strażnicy nie kryli niezadowolenia, kiedy Hanne oświadczyła, że zabiera go do siebie, zamiast skorzystać z któregoś z pokoiów adwokackich w areszcie.

Halvorsrud i pani komisarz nie zamienili prawie ani słowa.

– O co chodzi? – spytała zdyszana adwokat Borg, zajmując wolne krzesło. – Muszę przyznać, że to dość dziwna pora na wezwanie.

Bez krztyny dyskrecji spojrzała na czarno-złoty zegarek marki Rado. Wskazywał za dwadzieścia dwunastą.

– Halvorsrud chciał rozmawiać ze mną – powiedziała Hanne Wilhelmsen spokojnie i powoli. – Uznałam, że w takiej sytuacji nie mogę spełnić jego prośby bez twojej obecności.

Przeniosła wzrok z adwokatki na jej klienta.

Sigurd Halvorsrud w ciągu ostatnich czternastu dni przeszedł widoczną zmianę. Bardzo schudł. Wciąż nie chciał zrezygnować z garnituru, koszuli i krawata, lecz chociaż jego celem najwyraźniej było zachowanie jakiejś formy godności, to ubiór ten raczej mu ją odbierał. Marynarka żałośnie wisała na ramionach, a poza tym zaczynała być brudna. Kiedy stał, spodnie groziły, że zaraz opadną. Zmarszczki wokół oczu się pogłębiły, spojrzenie uciekało na boki. Poza tym wokół ust pojawił się blady obrażony rys – oznaka bezradnej złości, która sprawiała, że Halvorsrud wydawał się

jeszcze bardziej godny pożałowania.

– Chcę rozważyć możliwość przyznania się do winy – oświadczył spokojnie. Chrząknął i powtórzył z większym przekonaniem: – Przyznam się pod warunkiem, że policja rozpatrzy możliwość zastosowania środków zastępczych do aresztowania.

Nie patrzył na żadną z nich. Hanne przelotnie zerknęła na Karen. Adwokatka wydawała się zdezorientowana. Uświadomiwszy sobie, że siedzi z otwartymi ustami, dość głośno je zamknęła.

– Może powinniście porozmawiać na osobności – zaproponowała Hanne, wstając. – Ja mogę na chwilę wyjść.

– Nie – zaprotestował natychmiast prokurator. – Bardzo proszę, niech pani zostanie.

Hanne dalej stała.

– To nie może być żadne potajemne spotkanie, panie Halvorsrud, pan dobrze o tym wie. Muszę napisać przynajmniej notatkę służbową. Wie pan również, że nie mam pełnomocnictwa do żadnych negocjacji. W Norwegii takich rzeczy się nie robi, a już na pewno w takiej sprawie. Poza tym pan już tyle powiedział, że i tak będą problemy z niewykorzystaniem tego przeciwko panu. Nie pogarszajmy jeszcze całej sytuacji.

Halvorsrud wreszcie nawiązał z nią kontakt wzrokowy. Przez moment jego oczy przypominały oczy Cecilie. Jakby wiedział, że wszystko już się skończyło. Że nikt nic nie może zrobić. A przynajmniej nie Hanne Wilhelmsen.

– A przynajmniej nie ja – szepnęła Hanne.

– Słucham? – spytał Halvorsrud.

– Nie, nic. – Pokręciła głową i podeszła do drzwi.

– Bardzo proszę – powiedział Halvorsrud cienkim głosem. – Bardzo proszę nie wychodzić.

Zatrzymała się i spojrzała na Karen Borg. Adwokatka wzruszyła ramionami. Wciąż wyglądała na zdezorientowaną.

– Może mogłybyśmy zamienić dwa słowa na korytarzu? – zaproponowała w końcu, patrząc na Hanne.

Hanne kiwnęła głową.

Stały pod żółtymi drzwiami. Hanne z ręką na klamce.

– Co to, na miłość boską, wszystko znaczy? – spytała Karen szeptem.

– On chce wyjść.

– Tyle to i ja rozumiem – odparła Karen lekko poirytowana. – Co wyście, u diabła, zrobili z tym facetem?

– Nie zrobiliśmy absolutnie nic. Nic poza przetrzymywaniem go w zamknięciu przez dwa tygodnie. – Hanne przetarła oczy i dodała cierpko: – To zwykle wywiera wpływ na ludzi. Trochę też i o to chodzi.

Dwaj umundurowani policjanci zbliżyli się do żółtej strefy. Karen i Hanne umilkły, kiedy je mijali. Jeden uniósł rękę w przelotnym geście pozdrowienia. Kiedy już nie mogli ich słyszeć, Karen Borg szepnęła:

– Rozmawiałam z nim dziś przed południem. Jest zrozpaczony stanem córki. Dziewczyna nie chce jeść, nie może spać. Zorganizowałam jej już pomoc lekarską, ale wiesz, jak trudno załatwić przymusowe leczenie.

– Całe szczęście – mruknęła Hanne ledwie słyszalnie.

– Powinnaś ją zobaczyć, Hanne.

– Ale jej nie widziałam. Całe szczęście – powtórzyła.

Popatrzyły na siebie. Karen przyglądała się Hanne tak badawczo, że ta po kilku sekundach odwróciła głowę.

– Poza tym obawiam się, że on sam zaczyna być poważnie chory – stwierdziła Karen. – Nie, żeby się skarżył, ale to po nim widać. Obie wiemy, że pobyt w areszcie może być bardzo ciężkim doświadczeniem. Ale, szczerze mówiąc, widziałas kogoś, kto by do tego stopnia się tym przejął?

Hanne puściła klamkę i przyłożyła obie dłonie do twarzy. Potarła ją mocno, głośno wciągając powietrze przez nos. Kiedy opuściła ręce, policzki miała czerwone.

– Kilka osób mogłabym wymienić – odparła kwaśno.

– Ale rozumiesz chyba, że to przyznanie się... – Karen Borg wręcz wypluła to słowo, bo Hanne poczuła na twarzy delikatne kropelki – to przecież jedna wielka bzdura!

– Być może. – Hanne zamruwała. – Być może.

Karen Borg ruszyła przed siebie korytarzem. Po czterech krokach zawróciła.

– Nie możemy mu na to pozwolić – oświadczyła zrozpaczona i rozłożyła ręce. – Obie dobrze wiemy, jak trudno później wybrnąć z tego, kiedy ktoś już raz się przyzna.

– No cóż – Hanne patrzyła na stopy Karen – ale znane są i takie przypadki. Przecież my, policjanci, jesteśmy tacy okropni, że ludzie potrafią wybrnąć ze wszystkiego. Przecież my niemal stosujemy tortury, wymuszając nieprawdziwe przyznania się do winy. A przynajmniej tak to wygląda w waszych adwokackich ustach. – Uśmiechnęła się krzywo i skrzyżowała ręce na piersi.

– Byłam dziś po południu u Cecilie – powiedziała Karen.

– Ściągnęłam cię tutaj właśnie dlatego, że dostrzegam wszystkie twoje argumenty. Mnie też nie chodzi o to, żeby jeszcze pogorszyć sytuację Halvorsruda.

– Miło było znów ją zobaczyć. Miło i bardzo przykro. To takie dziwne. – Karen dotknęła przedramienia Hanne. – Dobrze, że między wami lepiej się układa – dodała cicho. – Dobrze dla Cecilie.

– Na twoim miejscu namówiłabym go, żeby tego nie robił. – Hanne prawie niezauważalnie cofnęła się o krok i ciągnęła: – Zobaczę, co da się zrobić z notatką służbową. Trochę ją podkoloruję. Mogę napisać, że poczuł się bardzo przygnębiony i po prostu chciał porozmawiać, sama wiesz.

Karen Borg cofnęła rękę.

– A jak będzie w poniedziałek? – spytała z wyraźną rezygnacją. – Mam na myśli pogrzeb.

– Zobaczę, co da się zrobić.

Hanne odsunęła się jeszcze dalej i zdmuchnęła włosy z oczu.

– Byłe tylko to nie była powtórka z tamtej sprawy Rasoola – poprosiła Karen. – Zapomnijcie o kajdankach i uzbrojonych funkcjonariuszach, dobrze? To tak strasznie wygląda na pogrzebach.

Hanne dała znak, że chce wrócić do pokoju, ale Karen zatrzymała ją gestem. Hanne w skupieniu zapatrzyła się na Myszkę Miki na plastrach i lekko się uśmiechnęła.

– Czy ty w ogóle sypiasz? – spytała Karen.

– Gdybym to ja była obrońcą Halvorsruda – zaczęła Hanne, konspiracyjnie zerkając przez ramię – wystąpiłabym o ponowne rozpatrzenie kwestii tymczasowego aresztowania. Zażądałabym zmiany postanowienia. On się domaga jakiegoś środka zastępczego za areszt. Złóż taki wniosek. Niech to będzie obowiązek meldowania się na policji nawet ze dwa razy w ciągu dnia. Spróbuj. *Bail the guy out!*

– *Bail?* Masz na myśli kaucję?

– Tak. Przecież w Norwegii taka możliwość istnieje. To, że nie jest wykorzystywana, nie znaczy, że jest zabroniona. Sprawdź paragraf sto osiemdziesiąt osiem. Jego córka jest bardzo chora, facet ma przyjaciół w systemie, wygląda strasznie. Sama tak powiedziałaś. Pokaż, że masz jaja, i próbuj!

– Facet chce... Przyjaciele w systemie...

Karen powoli pokręciła głową. Zagroziła teraz Hanne drzwi, rozstawiając nogi na tyle szeroko, na ile pozwalała jej obcisła spódnica.

– Co się z tobą dzieje? – Z niedowierzaniem zmarszczyła czoło.

– Posłuchaj mnie – powiedziała Hanne cicho, ale z przejęciem, przysuwając twarz tuż do twarzy Karen. – Jeśli chodzi o uzasadnione powody podejrzeń, to mamy Halvorsruda w garści, ale, prawdę mówiąc, jeśli chodzi o niebezpieczeństwo zatarcia dowodów, to ono właściwie już nie istnieje. Przeczesałabym jego dom, przesłuchalibyśmy mnóstwo świadków. Zatrzymaliśmy wszystkie interesujące nas rzeczy i u rodziny, i w biurze,

a nawet więcej, szczerze mówiąc. A zagrożenie popełnieniem ponownego przestępstwa? – Postukała się palcem w skroń. – Na pewno nie! Ta dziewczynka ma umrzeć bez tatusia?

Karen Borg nie odpowiedziała. Badawczo przyglądała się oczom Hanne. Pojawiło się w nich coś nowego. Były bardziej ciemnoniebieskie, niż to zapamiętała. Czarny wyraźny rant wokół tęczówki wydawał się szerszy, a źrenice tak rozszerzone, że Karen przez moment dostrzegła w nich własne odbicie.

– Ale co z paragrafem sto siedemdziesiąt dwa? – spytała szeptem, próbując odsunąć Hanne od drzwi. – Nie chcę, żeby nas usłyszał.

– Aresztowanie z powodu wyjątkowo poważnego przestępstwa?

Karen kiwnęła głową. Hanne demonstracyjnie westchnęła, nie chcąc się ruszyć z miejsca.

– Masz pojęcie, ile przeciętnie trwa pobyt w areszcie?

– Sześćdziesiąt kilka dni.

Teraz Karen położyła na ramionach Hanne obie dłonie i odpychała ją, dopóki policjantki od drzwi do pokoju nie dzieliły dwa metry.

– Sześćdziesiąt siedem – doprecyzowała Hanne. – Do tego już doszło. Ludzie w Norwegii siedzą za kratami sześćdziesiąt siedem dni bez wyroku. Średnio. Do czego to podobne? – Znów obejrzała się przez ramię. – Jedź na zastosowaniu zbyt ostrego środka zapobiegawczego. Wykorzystaj dziewczynkę. Próbuj. Nie bądź takim cholernym tchórzem!

Karen nie zdołała jej dłużej powstrzymać. Hanne przecisnęła się obok niej i otworzyła drzwi do pokoju. Sigurd Halvorsrud wciąż siedział w tej samej pozycji – prosto, z rękami na kolanach. Ledwie uniósł głowę i zaraz znów wrócił do przyglądania się czemuś za ciemną szybą.

– Jest pani gotowa omówić tę sprawę? – spytał.

– Nie – odparła Hanne. – Jestem gotowa pozwolić panu na poważną rozmowę z panią mecenas. Sama mam zamiar iść do domu i położyć się spać. – Nachyliła się nad interkomem i poprosiła o przysłanie z aresztu

dwóch strażników. – Możecie tu sobie siedzieć w spokoju – zwróciła się do Halvorsruda. – A my porozmawiamy jutro, jeśli wtedy będzie panu jeszcze coś leżało na sercu. Zgoda?

– Pani mnie traktuje jak dziecko – powiedział cicho, wciąż na nią nie patrząc.

– Nie – zaprzeczyła Hanne i pstryknęła palcami.

Halvorsrud drgnął i wreszcie na nią spojrzął.

– Traktuję pana tak, jak mam obowiązek – wyjaśniła. – Próbuję dociec prawdy w tej sprawie. Moja praca nie polega na zmuszaniu pana do przyznania się do winy. Moim zadaniem jest uzyskanie przyznania się do winy pod warunkiem, że jest ono prawdziwe.

– Pani mi wierzy! – Prawie zabrakło mu tchu. – Pani rozumie, że jestem niewinny!

– Wcale tak nie powiedziałam. – Hanne próbowała zapanować nad twardością we własnym głosie. – Wcale tak nie powiedziałam.

W drzwiach stanęli dwaj umundurowani mężczyźni. Jeden wydmuchał wielki balon z gumy do żucia. Hanne postanowiła nie zwracać na to uwagi.

– Proszę pozwolić mecenas Borg na rozmowę z klientem tutaj tak długo, jak będzie chciała. Możecie zaczekać na zewnątrz. Ty zresztą powinnaś się postarać jak najszybciej wrócić do domu, do rodziny. – Te ostatnie słowa skierowała do Karen.

– Mama przyjechała z wizytą – odparła Karen swobodnie. – Zajęła się dziećmi. A Håkon... Håkon wyszedł. – Uśmiechnęła się przelotnie, nie wiadomo dlaczego.

Hanne przeciągle ziewnęła.

– No to na razie – rzuciła, wciągając skórzaną kurtkę z frędzlami i indiańskimi koralikami na karczku. – Po prostu zadzwoń do mnie jutro, jak coś będziesz do mnie miała. Komórkę mam włączoną.

Zamknąwszy drzwi za sobą, nie zdołała się już dłużej powstrzymać.

– Guma do żucia cholernie nie pasuje do munduru – pouczyła ostro

strażnika. – Po prostu nie pasuje.

Młody chłopak natychmiast przełknął różową grudę.

Drzwi nie były zamknięte na klucz.

Przede wszystkim światelko alarmu zgasło, a to oznaczało, że otwarty jest dodatkowy zamek zabezpieczający. Zajrzawszy w szparę między drzwiami a futryną, stwierdziła, że yale też nie jest zamknięty.

To nie mogła być Cecilie. Lekarz powiedział, że wróci do domu najwcześniej w połowie przyszłego tygodnia. Hanne Wilhelmsen w napięciu wpatrywała się w drzwi i czuła, że puls jej rośnie, jakby spodziewała się, że ktoś nagle wyjdzie z mieszkania.

Oczy zatrzymały się na wizytówce: „HW & CV”.

Rzadko zastanawiała się nad tym, jak bardzo może to ranić. Kiedy kupiła tę mosiężną tabliczkę, nic niemówiące inicjały wydawały jej się dobrym pomysłem. Przecież nie musiały głośno reklamować faktu, że tu mieszkają dwie dziewczyny. Kobiety, które można zgwałcić. Cecilie wysłuchiwała policyjnych argumentów Hanne i cicho zauważyła, że „Wilhelmsen & Vibe” też nie ujawniłoby za dużo. Hanne, trochę zła, przykręciła wizytówkę i później już nigdy nie wracały do tej sprawy.

Teraz z wahaniem położyła rękę na klamce.

Słyszała, że ktoś jest w środku. Kiedy przyłożyła ucho do drzwi, wydało jej się, że docierają do niej odgłosy kuchenne: trzaskanie rondlami i woda leżąca z kranu. Pewnym ruchem otworzyła drzwi na oścież i wbiegła do przedpokoju.

– Halo! – krzyknęła głośno, słysząc, jak drży jej głos.

Nikt nie odpowiedział. Pachniało jedzeniem. Imbirem i kolendrą.

– Cześć. – Z kuchni wysunął głowę Håkon Sand i szeroko się uśmiechnął. – Późno przychodzisz.

– Wystraszyłeś mnie do szaleństwa – wymamrotała Hanne i podrapała

się w ucho. – Cholera, śmiertelnie mnie wystraszyłeś!

– Przepraszam – powiedział Håkon bez wyraźnego przejęcia. – Przecież miałem klucze. Pomyślałem, że ostatnio na pewno nic porządnego nie jadłaś. Nie planowałem, co prawda, aż tak późnej kolacji, ale Karen zadzwoniła na komórkę, żeby mnie uprzedzić.

– I tak bym późno wróciła – mruknęła Hanne.

Nie bardzo wiedziała, co czuje. Puls wciąż miała przyspieszony po tej niespodziance i to ją irytowało. Przecież niełatwo było ją nastraszyć. Przynajmniej kiedyś. Poza tym zachowała się jak amatorka. Gdyby w mieszkaniu naprawdę znajdował się włamywacz, mógł jej zrobić krzywdę. Powinna była się wycofać, zadzwonić po pomoc i czekać.

Była głodna. Jak wilk. Niezbyt jej to dokuczało, bo nie przypominała sobie, kiedy ostatnio miała ochotę na jedzenie. Poczowała jednak ssanie w żołądku i uświadomiła sobie, że rano zjadła tylko dwie suche kromki chleba ze szpitalnym serem.

– A co zrobiłeś? – spytała, próbując się uśmiechnąć.

– Coś dobrego.

– Ty zawsze robisz coś dobrego.

Hanne usiadła przy stole w kuchni. Ostry skurcz w karku kazał jej kilka razy obrócić głowę na boki. Stół był nakryty srebrami, które Cecilie odziedziczyła po babci. Stały też na nim dwa lichterze, których Hanne sobie nie przypominała. Leżąca przed nią serwetka została artystycznie złożona.

– Wygląda jak łabędź – stwierdziła cicho i skrzywiła się, czując nadchodzący ból głowy. – Jesteś dobrym człowiekiem, Håkon.

– Wcale nie jestem dobry – powiedział, odkładając chochlę. – Po prostu cię kocham, a to coś zupełnie innego. Teraz coś zjesz, a ja ci potem rozmasuję kark – mówiąc to, celował w nią ubijaczką, po czym szybko i sprawnie zaczął mieszać w garnku z sosem. – A potem pójdiesz spać. Bez budzika. Jak idzie ta sprawa Halvorsruda?

Hanne ciężko westchnęła. Po ciele zaczęło się rozlewać jakieś obce

ciepło. Ściągnęła kurtkę i siedziała w milczeniu, zastanawiając się, jak naprawdę się czuje. Sięgnęła po dzbanek z wodą i nalała do szklanki. Ręka lekko jej drżała. Rozlała trochę i nie zamierzała wycierać. Potem uświadomiła sobie, że ucieszyły ją te odwiedziny.

– Zostaniesz na noc? – spytała.

– Jeżeli zechcesz – odparł Håkon swobodnie. – W każdym razie mogę zostać, dopóki nie zaśniesz.

Jedli w milczeniu. Hanne bez słowa pochłonęła cztery porcje pieczonego halibuta w sosie imbirowym. Kiedy w końcu odłożyła sztućce i niechętnie zdemontowała łąbiedzia, żeby wytrzeć usta, spojrzała na Håkona i powiedziała:

– Coś związanego z tym Stålem Salvesenem nie daje mi spokoju.

Håkon nie odpowiedział. Zabrał jej talerz, wytarł ręce w zabrudzoną ścierkę i stanął za jej krzesłem.

– Zsuń koszulę – poprosił.

Jego ręce na jej gołych ramionach wydawały się gorące jak ogień. Przeszedł ją dreszcz i zamknęła oczy. Kciuki Håkona naciskały na dwa obolałe punkty pod łopatkami, sprawiając, że włoski na karku dosłownie się podnosiły. Hanne przeciągle jęknęła.

– Coś w jego mieszkaniu – szepnęła, urywając słowa. – Coś, co widziałam. Może coś, co znalazłam. Albo nie znalazłam.

– Nie myśl o tym – powiedział cicho. – Dziś w nocy w ogóle o tym nie myśl.

Był osiemnasty marca, niedziela wieczór, i dozorca Karlsen czuł się bardzo marnie. Wypił wczoraj za dużo brandy. Nie przywykł do czegoś więcej niż wzmocniona kawa od czasu do czasu.

Młodość miał już dawno za sobą. Podczas wojny na przepustkach w Ameryce potrafił wypić naprawdę dużo. Teraz jednak już nie. Nie więcej niż kropelkę dla zaspokojenia pragnienia, kiedy w snach pojawiała się za dużo wilków w niemieckich hełmach.

Dozorca Karlsen przeżywał żalobę po swoim przyjacielu Stålem Salvesenie. Prawdę mówiąc, czuł się też trochę urażony. Skoro przyjaciel miał plany opuszczenia tej doliny rozpacz – co Karlsen świetnie rozumiał po takim potraktowaniu przez te przeklęte władze, jakiego doznał Ståle – mógł przecież dać jakiś sygnał. Obmyślić coś w rodzaju pożegnania. Karlsen rozumiał też, że Ståle nie mógł zdradzić swoich ponurych zamiarów, bo wtedy stary, zaprawiony w bojach marynarz starałby się, jak mógł, go od nich odwieść. Bo przecież życie wciąż ofiarowało jedną czy drugą przyjemność. Miłe wieczory w maleńkim salonie, spędzane na cichej rozmowie przy dźwiękach murzyńskiego jazzu puszczanego z gramofonu przynajmniej Karlsenowi nieco ogrzewały serce.

Westchnął ciężko i zniecierpliwiony popatrzył na tabletkę aspiryny, która potrzebowała tyle czasu, żeby rozpuścić się w szklance wody. Podniósł wzrok i zawiesił go na zdjęciu Klary. Na ramce wciąż tkwiła żalobna wstążeczka, którą kupił w dniu jej pogrzebu. Do oczu nabiegły mu łzy na widok dumnie wyprostowanej kobiety z trwałą ondulacją i piękną broszką na piersi. Karlsen odziedziczył ją po swojej matce i ofiarował Klarze w prezencie zaręczynowym. Z żalem pokręcił głową i jednym łykiem wypił lekarstwo. Gorycz wstrząsnęła nim, nabrał ochoty na ostatni łyk

brandy, który został w butelce.

Nie dał się jednak skusić.

Nagle coś sobie uświadomił: Ståle Salvesen mimo wszystko dał mu znak. Uprzedził go. Zostawił mu coś w rodzaju pożegnania. Oczywiście, że tak!

Dozorca Karlsen wstał, włączył ekspres i nastawił jeszcze jeden dzbanek kawy. Poczł się lepiej. Ståle nie miał nikogo oprócz niego. Mógł ufać tylko jemu, Olemu Monradowi Karlsenowi. Właśnie dlatego poprosił go o ostatnią przysługę. Oczywiście Karlsen się dziwił, gdy o niej usłyszał, ale teraz rozumiał już wszystko.

Ståle Salvesen jednak się z nim pożegnał.

Na swój sposób.

Mustafa Özdemir dotrzymywał słowa. Już o wpół do dziesiątej zgłosił się w informacji mieszczącej się w obszernym holu budynku policji i zażądał rozmowy z Karianne Holbeck. Był poniedziałek rano, a on przyszedł na ważne spotkanie. Ubrał się odpowiednio na tę okazję – w brązowe spodnie i buty oraz jasnoniebieską koszulę. Krawat miał stary i może trochę za szeroki, ale Mustafa takimi rzeczami się nie przejmował. Niech się policjantka cieszy, krawat to zawsze krawat. Kraciasta marynarka była odrobinę za ciasna, lecz Mustafa Özdemir mimo wszystko czuł się dobrze. Był świeżo po prysznicu i ponad kwadrans poświęcił na wytrymowanie wielkich kruczoczarnych wąsów.

Karianne Holbeck na jego widok poczuła ulgę, chociaż wyglądała dokładnie tak, jak się spodziewała. Nigdy nie mogła pojąć, dlaczego ludzie z tamtych rejonów noszą wąsy. Może z nimi jest tak jak z mieszkańcami norweskiego Trøndelag: koniecznie muszą mieć coś pod nosem. Ale ten przynajmniej nie śmierdział potem, a ubranie miał czyste, chociaż bardzo staromodne.

– Proszę usiąść – powiedziała, wskazując krzesło. – Dobrze, że pan przyszedł.

– Przecież się umówiliśmy, no nie?

Wydawał się urażony, jakby wyczuł w jej słowach insynuację, że nie można na nim polegać. A ponieważ w zasadzie się nie mylił, Karianne postanowiła poprawić mu nastrój, proponując kawę.

– Nie, bardzo dziękuję – odparł, machając ręką. – Jak piję kawę, to problemy z żołądkiem. – Skrzywił się znacząco i zaraz uśmiechnął.

Do pokoju weszła bez pukania Hanne Wilhelmsen.

– Mustafa! – Zdumiona wyciągnęła rękę. – To ty?

– Hanna – rozpromienił się i poderwał. – Hanna!

– Hanne – szepnęła Karianne Holbeck, lekko się rumieniąc za niego. – Ona ma na imię Hanne, z „e” na końcu.

– Hanna, moja kochana! – Turek nie chciał puścić jej ręki. – Hanna, dlaczego ty tu jesteś? Znasz tę panią? – Wskazał na Karianne, jakby możliwość, że te dwie kobiety się znają, w ogóle nie mieściła mu się w głowie. W końcu usiadł.

Hanne stanęła oparta biodrem o drzwi. Trzeciego krzesła w pokoju nie było.

– Ja tu pracuję – wyjaśniła i uśmiechnęła się na widok dramatycznie szeroko otwartych oczu Mustafy. – Ja pracuję w policji.

– Nigdy mi o tym nie mówiłaś – jęknął. – Ojej! Moja Hanna policjantka!

Nachylił się przez biurko do Karianne, wyraźnie zakłopotanej poufałym tonem, jakim świadek zwracał się do pani komisarz.

– Hanna to moja ulubiona klientka. – Wskazał na Hanne palcem porośniętym czarnymi włoskami. – Tylu ludzi chodzi do Sultana na Thorvald Meyers gate. – Zrobił smutną minę i lekko cmoknął językiem. –

Wszyscy chodzą do Sultana. Ale nie Hanna. Hanna przychodzi do Özdemir Import. Zawsze.

– Mogę przynieść krzesło – zaproponowała Karianne, usiłując precyzyjnie się obok przełożonej.

– Nie, sama przyniosę. A ty przez ten czas spisz personalia.

Wróciła po minucie.

– Słyszałam, że jesienią miałeś jakąś ciekawą rozmowę telefoniczną, Mustafa – powiedziała, kiedy już usiadła. – Opowiedz nam o tym.

Karianne poczuła się odsunięta na bok. Źle potraktowana. Po pierwsze, komisarz weszła do jej pokoju, nie okazując bodaj minimum szacunku, choćby króciutko pukając do drzwi. Po drugie, najwyraźniej zamierzała pokierować przesłuchaniem, i to nie biorąc za nie odpowiedzialności. Przecież jasne było, że Hanne Wilhelmsen nie planuje napisać ani jednej

literę w protokole, który musiał być wynikiem tej rozmowy. Inaczej przeniosłaby ją do własnego pokoju i używała własnego komputera. Karianne miała wielką ochotę poprosić, żeby Hanne się stąd natychmiast wyniosła. Nie zrobiła jednak tego, tylko wyjęła dodatkową filiżankę, nalała do niej kawy i postawiła ją przed panią komisarz.

Mustafa Özdemir zaczął swoją opowieść.

Głos miał już spokojniejszy. Karianne na podstawie jego wstępnych zachwyków nad Hanne Wilhelmsen bez głębszego namysłu zakwalifikowała go jako kaleczącego język natarczywego Turka. Teraz całkowicie się odmienił. Piwne oczy pod równymi, szerokimi brwiami przez cały czas utrzymywały kontakt wzrokowy z którąś z policjantek. Historię problemów podatkowych przedstawił jasno, spójnie i wiarygodnie. Po kontroli księgowości złożono na niego doniesienie o brakach w rachunkach i oszustwach podatkowych. Według niego chodziło o przykre nieporozumienie. Szybko zwrócił się o pomoc do prawnika i po pięciu miesiącach sprawę umorzono. Problem polegał na pewnym ogólnym artykule w „VG” opisującym drobne oszustwa w sklepikach warzywnych prowadzonych przez imigrantów, które zyskały taką popularność, a firmę Özdemir Import wymieniono tam z nazwy. Oczywiście ten fakt miał wpływ na obroty, lecz sprawa o odszkodowanie, którą Mustafa wytoczył gazecie, nie zapowiadała się dobrze.

– Ale wcześniej – powiedział wreszcie i wyjął z pudełeczka pastylkę na gardło dla siebie, a potem poczęstował policjantki – jeszcze zanim moją sprawę umorzono, zadzwonił ten Sigurd Halvorsrud. To było wieczorem, moja żona odebrała telefon. Musiała mnie poszukać, bo byłem w magazynie. Twierdził, że może wszystko załatwić.

– I przedstawił się. – Hanne Wilhelmsen zerknęła na koleżankę. – Pełnym imieniem i nazwiskiem.

– Tak, tak, oczywiście – potwierdził Özdemir, z tylnej kieszeni wyciągając złożoną kartkę. – Tu, zobaczcie. Zapisałem nazwisko.

Na kartce widniało „Sigor Halvorsrod”. Hanne wzięła ją w dwa palce i głośno cmoknęła z pastylką w ustach.

– I co dalej? – wysepleniła. – Co było potem?

Özdemir zmienił pozycję, założył prawą nogę na lewą, a koniuszki palców obu dłoni złączył, budując z nich indiański namiot. Po raz pierwszy nie patrzył na żadną z nich, tylko mrużąc oczy, analizował jakiś punkt między policjantkami, i upłynęło kilka sekund, nim odpowiedział:

– Pierwszy telefon był dziesiątego listopada. – Chwilę się zastanowił. – To musiało być... wtorek. Zgadza się?

Karianne Holbeck odwróciła się i sprawdziła w zeszłorocznym kalendarzu, który wisiał na ścianie za jej plecami.

– Mhm – kiwnęła głową. – Dziesiąty listopada 1998 roku był we wtorek.

– Nie bardzo wszystko zrozumiałem, wiecie – mówił teraz znacznie wolniej, jakby przeszukiwał własną pamięć i nie chciał za dużo wyjawić. –

No i mówiłem „tak” i „aha”, takie rzeczy. Powiedziałem, że muszę pomyśleć. Ja... – przekrzywił głowę i Hanne gotowa była przysiąc, że dostrzega cień rumieńca pod jego ciemną skórą – ja się bardzo martwiłem tą sprawą, rozumiecie. Norweska policja i my, cudzoziemcy... – Wzruszył ramionami, znacząco spoglądając na Hanne.

Uśmiechnęła się lekko, nie patrząc na koleżankę.

– Rozumiem – powiedziała krótko. – Chcesz powiedzieć, że czułeś pokusę.

– No, nie byłem pewien, o co temu facetowi chodzi. – Özdemir pokręcił głową. – On nie był... był niewyraźny. Rozumiesz?

Hanne Wilhelmsen przytaknęła.

– Czy w ogóle powiedział coś o pieniądzach? O tym, że masz zapłacić?

– Nie... właściwie nie. Ja to tylko zrozumiałem, no wiesz. Nie. – Mustafa z rezygnacją patrzył raz na jedną, raz na drugą. – Pewnie byłoby lepiej, jakbym pamiętał, co on powiedział, ale to było już tak dawno, wiecie. Ja nie pamiętam dokładnie. Później zrozumiałem, że mogę zapłacić i sprawy nie

będzie. Usadzona. Nie, umorzona. – Özdemir podrapał się w kark. – Moja żona. Ona zapytała, co to jest. Nie spodobał jej się jego głos. Strasznie krzyczała, jak powiedziałem, że on może pomóc.

– Ale czy jakoś się umówiliście? – odezwała się Karianne Holbeck po raz pierwszy podczas całego przesłuchania. – Dostał pan od niego jakiś numer telefonu?

– Nie, on miał zadzwonić.

– I zadzwonił? – spytała Hanne.

– Tak, dwa dni później. Też wieczorem. On wie, że my mamy długo otwarte. Ja i moja żona jesteśmy w sklepie prawie cały czas. I córka też. Ty znasz Sopię, Hanna. Poszła do liceum handlowego.

Kiedy wspomniał o córce, twarz mu złagodniała. Hanne wiedziała, że Mustafa ma tylko jedno dziecko, choć nie miała pojęcia dlaczego. Ale dwudziestolatka była tym bardziej kochana przez rodziców i tym bardziej przez nich chroniona. Hanne wiedziała, że dziewczyna bardzo chciała studiować medycynę, lecz ojciec powiedział, że musi poczekać, dopóki nie skończy dwudziestu pięciu lat. Sophia uczyła się w szkole wieczorowej tych przedmiotów, których jej brakowało, żeby móc podjąć studia medyczne. Ojciec zawsze na nią czekał pod prywatnym gimnazjum Bjørknes trzy razy w tygodniu, aby bezpiecznie odprowadzić ją do domu.

– I co wtedy powiedział?

– Niedużo. To samo co za pierwszym razem. Ale ja teraz byłem silny i ostry. Oświadczyłem: „Nie ma mowy”. On był... uprzejmy? Nie rozżłościł się. Powiedział tylko do widzenia. Później nic już nie słyszałem. No i... – uśmiechnął się szeroko, odsłaniając białe równe zęby – miałem dobrego adwokata, który wszystko uporządkował i już jest dobrze.

Hanne Wilhelmsen przymknęła oczy.

– Chcę cię prosić o wielką przysługę, Mustafa. Jeśli nie chcesz... jeśli uważasz, że to złe, paskudne, musisz od razu powiedzieć. Nie masz żadnego obowiązku się zgadzać. – Nagle otworzyła oczy i wbiła je w mężczyznę

w za małej marynarce w wielką kratę.

– Ja dla mojej Hanny zrobię wszystko!

– No, akurat nie dla mnie, tylko dla policji. Pozwolisz, żebyśmy wzięli z Telenoru billing wszystkich połączeń do ciebie w te dni? Nie jestem wcale pewna, czy to się da zrobić pod względem technicznym, ale w każdym razie potrzebujemy twojej zgody.

Mustafa Özdemir wahał się przez ułamek sekundy. W końcu roześmiał się krótko.

– W porządku – powiedział. – Nie mam nic do ukrycia.

– Wobec tego zapisz to. – Hanne zwróciła się do Karianne, wstając. – I przygotuj pełnomocnictwo, które będziemy mogli pokazać Telenorowi. – Wyciągnęła rękę do Mustafy, który poderwał się z krzesła i uścisnął ją obiema swoimi. – Dziękuję, że się z nami skontaktowałeś.

– Musisz do mnie niedługo przyjść – powiedział serdecznie. – I przyprowadź swoją śliczną przyjaciółkę! Dam wam przepyszne pomidory. Moja żona hoduje w łazience.

– I tobie też dziękuję – rzuciła Hanne do Karianne, wychodząc z pokoju. – Bardzo ci jestem wdzięczna, że bierzesz na siebie całą papierkową robotę.

– Te podziękowania trochę pomogły – szepnęła Karianne do siebie, kiwając głową, kiedy drzwi się zamknęły. – Ale nie za bardzo.

Zaczęła pisać.

Początkowo Hanne Wilhelmsen sądziła, że wpadła na Billy'ego T. Mężczyzna był ogromny i gdy podniósł ją z kolan jedną ręką, drugą zbierając wypuszczone przez nią papiery, zrobił to z siłą, która wydała jej się dobrze znajoma. Dopiero kiedy podniosła wzrok, zobaczyła, że się pomyliła.

– Przepraszam – powiedział mężczyzna nieszczęśliwym głosem, prawie nie chcąc jej puścić.

– To moja wina – Hanne usiłowała go zbyć. – Dawno się nie widzieliśmy.

Uśmiechnął się i położył wizytówkę na papierach, które w końcu zdołała ułożyć w plik. „Iver K. Feirand, komisarz policji”.

– Gratuluję – mruknęła Hanne nieśmiało. – Powinnam zresztą zrobić to już dawno temu.

– Zaledwie dwa miesiące.

Iver Feirand był świeżo mianowanym komisarzem odpowiedzialnym za sprawy molestowania seksualnego dzieci. Jednym z czołowych ekspertów w kraju. Kiedy na początku lat osiemdziesiątych Ministerstwo Sprawiedliwości, prokuratura i policja otworzyły oczy i uznały, że seksualne molestowanie dzieci nie jest zjawiskiem występującym wyłącznie za granicą, wybranym śledczym pozwolono na specjalizację. Oni sami uważali, że powinno ich być trzy razy tylu, ale nawet niewielu to i tak więcej niż nikt. Iver Feirand został oddelegowany do Interpolu w Lyonie i do Scotland Yardu, a poza tym niemal przez rok uczestniczył w zaawansowanym kursie organizowanym przez FBI. Podzielał fascynację Hanne wszystkim, co miały do zaoferowania Stany Zjednoczone.

– Co słychać?

Uśmiechnął się i wyciągnął ręce przed siebie, proponując, że coś

poniesie. Hanne pokręciła głową.

– Sprawa Halvorsruda. Plus dziesięć ton innych. – Znacząco spojrzała na pięć opasłych teczek, które trzymała w rękach.

– Cholerna sprawa – stwierdził i ruszył z nią korytarzem. – Kiedy złamiecie tego faceta?

– Nie wiemy. Nie wiadomo nawet, czy on to zrobił.

Iver Feirand zaśmiał się głośno i serdecznie.

– Ty nigdy nie wiesz, czy ktokolwiek zrobił cokolwiek.

– Chyba właśnie tak powinniśmy myśleć, zanim zapadnie wyrok. Ty tak nie uważasz?

Wzruszył ramionami, nagle poważniejąc.

– U nas problem jest raczej odwrotny – stwierdził, wkładając ręce do kieszeni. – Ci, których łapiemy, są tak winni, że dosłownie ociekają winą. Ale rzadko udaje nam się doprowadzić do skazania. Wiesz... – Zatrzymał się i położył rękę na jej ramieniu.

Hanne niechętnie zwolniła i odwróciła się w jego stronę.

– Chodzą słuchy, że zamierzasz sprzedać motocykl – powiedział niepewnie, drapiąc się w skroń. – To prawda?

– A gdzie to słyszałeś?

Hanne za skarby świata nie mogła sobie przypomnieć, by o planach rozstania się z harleyem wspominała komukolwiek oprócz Cecilie.

– Wszystko jedno. To prawda?

– Zastanawiam się.

– Dlaczego?

Hanne westchnęła i znów ruszyła.

– To moja sprawa.

– Coś z nim nie tak?

– Nie.

– A ile za niego chcesz?

Dotarli do pokoju Hanne. Iver Feirand stanął na szeroko rozsuniętych

nogach, zagradzając jej drogę. Z wyjątkiem gęstych jasnych włosów był aż nieprzyjemnie podobny do Billy'ego T.

– Nie wiem – odparła Hanne z rezygnacją. – Jeszcze się nawet nie zdecydowałam.

To nie była prawda. Hanne doskonale wiedziała, że musi się pozbyć motocykla, chociaż usiłowała na razie o tym nie myśleć. Ciągle jeszcze nie potrafiła powiedzieć, dlaczego rozstanie z harleyem jest dla niej takie ważne.

– Ile razy był lakierowany? – spytał Iver Feirand. – Bo chyba nie był różowy, kiedy go kupiłaś.

– Owszem, był. Specjalnie zamawiałam w fabryce.

– Posłuchaj – podrapał się w szyję. – Jak będziesz go sprzedawać, to musisz dać mi znać. Bardzo mnie to interesuje, jeżeli cena będzie okazjna. Żona oczywiście się wścieknie, ale wreszcie pora trochę pożyć. Już raczej go przemaaluję. Zadzwoń do mnie, dobrze?

Pożegnał ją, salutując dwoma palcami, i pobiegł z powrotem w stronę niebieskiej strefy. Hanne jeszcze przez kilka sekund śledziła go wzrokiem. Z tyłu nie był aż tak podobny do Billy'ego T. Miał o wiele zgrabniejszy tyłek.

– Może sto dwadzieścia tysięcy – mruknęła do siebie. – Co najmniej.

Dwunastoletni chłopczyk stał samotnie przed zgromadzonymi. Ubrany był w albę do samej ziemi, odrobinę za dużą. Ręce grzecznie złożył na brzuchu. Być może surowo mu polecono, żeby tak stał, ale ponieważ nieustająco kręcił młynka palcami, wydawało się, że jest po prostu zdenerwowany i nie wie, co zrobić z bladymi dłońmi. Jasne, mocno kręcone włosy otaczały jego głowę jak aureola, a czysty głos dźwięczał anielsko wśród gołych ścian z żółtej terakoty.

– Życ to znaczy kochać – chłopiec odśpiewał dwie zwrotki i uroczystości pogrzebowe dobiegły końca.

Billy T. otworzył oczy. Siedział w bardzo niewygodnej pozycji i spieszyło mu się do wyjścia z kaplicy, zanim opuszczą ją inni zgromadzeni.

Wszyscy tu się zjawili. W drugiej ławce siedział prokurator generalny – wysoki, szczupły i wyraźnie niezadowolony z twardego siedzenia tak jak Billy T. Jeśli dobrze policzył, co najmniej sześciu znanych w całym kraju adwokatów postanowiło oddać Doris Flo Halvorsrud ostatni hołd. Poza tym w kaplicy znalazła się cała gromada prokuratorów, przedstawicieli Økokrim i sądów okręgowych, Eidsivating i Borgarting. Wszyscy zwlekali z przemieszczeniem się do środkowego przejścia. Wszyscy wyciągali szyje, aby ich zauważono. Chcieli, by widział ich zarówno Halvorsrud, który siedział w pierwszej ławce i miał wyraźne kłopoty z oderwaniem się od córki, jak i pozostali uczestnicy pogrzebu. Jedynie policja usiłowała być dyskretna.

Na samym brzegu dwóch ostatnich rzędów siedziało łącznie czterech policjantów w ciemnych cywilnych ubraniach. Wyćwiczone oko zdołałoby ich zidentyfikować już wtedy, gdy się pojawili. Wydawało się, że jest im niewygodnie w garniturach. Stałe poruszanie barkami i nieustające

obciążanie spodni na udach zdradzało, że przywykli do innego rodzaju stroju. Poza tym wszyscy przez półtorej godziny sztywno wpatrywali się w Sigurda Halvorsruda, prawdziwego bohatera tego pogrzebu, podczas gdy inni starali się na niego nie gapić, co było trudne, gdyż większość przybyłych była ciekawa, jak prokurator wygląda po dwóch tygodniach w areszcie.

– Przedziwna demonstracja – rzucił Billy T. cierpko do Karen Borg, gdy podeszła do niego zwirową alejką przed kaplicą i przywitała go miękkim skinieniem głowy.

– Demonstracja – powtórzyła obojętnym głosem, zerkając na schody, na których Halvorsrud odbierał ciche, lecz wcale przez to nie mniej głębokie kondolencje w zasadzie od całej prokuratury. – Co przez to rozumiesz?

– Przypadek O.J. Simpsona – ciągnął Billy T. – Wszyscy biali Amerykanie uważali, że jest winny. Wszyscy czarni zaprzeczali.

– Aha – powiedziała Karen Borg bez cienia zainteresowania.

– Nie widzisz tego? Policja uważa, że Halvorsrud jest winien, prokuratura nie może w to uwierzyć. Za diabła. Niemożliwe, żeby jeden z nich to zrobił. Prawnicy przeciwko policjantom – stara śpiewka. – Pociągnął się za ucho, w którym zwykły odwrócony krzyż zamienił z okazji pogrzebu na malutki brylant. – To dość prowokujące. Ale niemal wzrusza mnie widok was, prawników, stojących ramię w ramię. Czasami to potraficie, chociaż na ogół skaczecie sobie do gardeł.

Zmierzył Karen Borg wzrokiem od stóp do głów, jakby dopiero teraz ją zauważył, i cicho gwizdnął. Karen była w antracytowszarym kostiumie o prostym kroju, pod którym miała czarną bluzkę bez kołnierzyka. Płaszcz niosła na rękę, bo pęknięcie w pokrywie chmur przydało słońcu nagłej mocy, kiedy tłum zaczął wylewać się z kaplicy.

– Pięknie wyglądasz. – Billy T. lekko pogładził rękaw jej żakietu.

– Ty też – uśmiechnęła się przelotnie. – Dobrze, że masz dość rozumu, by przynajmniej w takich chwilach zdjąć ten okropny satanistyczny krzyż.

– To nie jest wcale krzyż – westchnął Billy T. z rezygnacją. – To stylizowany młot Thora. I mam dosyć... – Urwał.

Prokurator krajowy, przechodząc, obdarzył ich lekkim skinieniem głowy i niepozobawionym rezerwy uśmiechem przeznaczonym dla Karen Borg. Szedł między dwoma ciemno ubranymi mężczyznami. Trzymali się o krok za szefem jak ochroniarze. Szli miarowo, noga w nogę, ale ponieważ jeden miał dużą nadwagę, a drugi zaledwie metr siedemdziesiąt wzrostu, bardziej prawdopodobne było, że prokurator krajowy musiałby raczej sam przystąpić do działania, gdyby nastąpiło coś nieprzewidzianego i groźnego.

– O.J. Simpson był winny – powiedziała Karen Borg.

– Co?

– Zabił żonę i jej kochankę, to oczywiste.

Ruszyła w stronę parkingu. Billy T. poszedł za nią drobnymi krokami, lekko szurając.

– To dopiero! – roześmiał się. – Przecież został uniewinniony, jeśli wolno mi pani przypomnieć o takim istotnym fakcie.

Karen Borg gwałtownie się odwróciła.

– Wybraliście już imię?

Billy T. przekrzywił głowę i zmrużył oczy, patrząc w niespokojne chmury, które znów przesłoniły słońce.

– Nie. Jeśli się nie weźmiemy w garść, to mała będzie bezimienna. Tone-Marit jest za tymi modnymi imionami: Julie, Amalie, Matilde. Ja wolę coś porządnego. Ragnhild albo Ingeborg, coś w tym rodzaju.

– Jak ci się wydaje, jak się teraz czuje O.J. Simpson?

Karen otworzyła drzwiczki starego niebieskiego audi.

– Przypuszczam, że okropnie – odparł Billy T.

– No właśnie. Ponieważ wszyscy właściwie wiedzą, że to zrobił. Z Halvorsrudem jest inaczej. Skoro prokuratura... – Karen Borg skinieniem głowy wskazała wszystkich ciemno ubranych mężczyzn, którzy wsiadali już do samochodów na przepelnionym parkingu. Ciche trzaśnięcia drzwiczkami

rozlegające się dokoła brzmiały jak nierówny marsz żałobny. – Ci ludzie najwyraźniej wierzą w niewinność Halvorsruda, ale tu nie chodzi o kontrasty społeczne. To nie czarna Ameryka wierzyła w niewinność O. J. Simpsona. Wierzyła w nią czarna uboga Ameryka, a raczej miała w nosie, czy on jest winien, czy nie. Uważała, że stoi ponad prawem. Stał się ofiarą białej władzy. Dlatego nie mogli go skazać, bo to by oznaczało skazanie samych siebie. Nie wyciągaj więc takich beznadziejnych porównań. Halvorsrud jest niewinny. Całkiem zwyczajnie nie zrobił tego, co mu zarzucacie.

– O rany, ale przemowa! – Billy T. pogładził się po głowie.

Karen Borg tak długo stała przy otwartych drzwiach, a poza tym podniosła głos, że ludzie zaczęli im się przyglądać. Wsiadła wreszcie i zamknęła drzwiczki. Billy T. zastukał w szybę knykciami. Widział, że Karen westchnęła z rezygnacją, zanim do połowy ją opuściła.

– Mylisz się – powiedział, kładąc przedramiona na dachu samochodu. – Twoja dość prosta analiza sprawy O.J. Simpsona jest z pewnością niezła, ale jeśli nie widzisz, że te sprawy są do siebie podobne, to znaczy, że zaślepiło cię twoje zadanie obrońcy.

Karen gniewnymi ruchami zaczęła podkręcać szybę.

– Zaczekaj! – warknął Billy T. i złapał za brzeg szyby. – Nie widzisz, że chodzi właśnie o identyfikację? Jeżeli Halvorsrud jest winny, będzie to oznaczało klęskę dla całej prokuratury. Właśnie dlatego wszyscy przyszli tu dzisiaj. Chcą pokazać, że trzymają się razem, że nie mogą uwierzyć, by jeden z nich, jeden z ich stanu, ktoś, kto ma taki sam życiorys jak oni, takie samo wykształcenie, sytuację finansową, żonę, dzieci i willę... To będzie zbyt silny cios. Ewentualna wina Halvorsruda dotknie każdego z nich. Zadają sobie pytanie: czy ja mógłbym coś takiego zrobić? Odpowiedź oczywiście jest przecząca, więc na naszych oczach, na oczach tych, których zadaniem jest strzec prawa i oddzielać prawdę od kłamstwa, wykonują najniebezpieczniejszy manewr na świecie: identyfikują się z przestępcą. – Klepnął dłonią w dach. – Ty tego nie widzisz, Karen?

Długo na niego patrzyła.

– Przez pewien czas sądziłam, że wierzysz w jego wyjaśnienia – odezwała się w końcu. – Najwyraźniej dałam się oszukać. Halvorsrud także. Wydaje mi się, że pamiętam pewną przemowę o tym, że jesteś jego jedynym przyjacielem i tak dalej. Oczywiście to głupota i naiwność z naszej strony, że w to uwierzyliśmy.

Obróciła kluczyk. Billy T. pokręcił głową i odsunął się od samochodu. Karen usiłowała wrzucić pierwszy bieg, ale silnik zarzęził i zgasł. Spróbowała jeszcze raz, lecz najwyraźniej nie wcisnęła sprzęgła, gdyż auto skoczyło dwa metry do przodu i silnik się zadławił.

– Może cię zastąpić? – spytał Billy T. z twarzą przy szybie.

Nawet na niego nie spojrziała. Za trzecim razem udało jej się uruchomić auto i wolno wyjechała na ulicę, nie pytając, czy nie trzeba go gdzieś podrzucić.

Odwrócił się i ruszył na drugą stronę parkingu, w zasadzie zarezerwowanego dla niepełnosprawnych. Radiowóz już na niego czekał. Halvorsrud grzecznie siedział z tyłu. Billy T. słyszał, jak Thea głośno płacze na schodach kaplicy. Dwaj nieporadni bracia i bliska hysterii ciotka na próżno usiłowali ją uspokoić.

Kiedy zamykał oczy, nie widział trumny żony, a tak pragnął ją zapamiętać. Nie chciał, żeby była brązowa. Nikt go nie pytał, ale z jakiegoś powodu był przekonany, że będzie biała. Lśniąco biała z pojedynczym wieńcem z czerwonych róż na wieku. Kiedy ujrzał brązowe drewno przytłoczone kolorowymi kwiatami, całkowicie przesłaniającymi wieńiec od niego i od dzieci, ogarnęła go wściekłość, z którą nie potrafił sobie poradzić. Pod koniec pogrzebu trumna wydawała mu się już czarna, a chciał to wszystko zapamiętać inaczej.

Miał przed oczami twarz córki.

Otworzył je.

Tutaj było tak jasno. Do szaleństwa doprowadzało go zimne niebieskobiałe światło, które nie informowało o porze dnia. Tak bardzo pragnął mieć okno, choćby maleńką szparkę, przez którą nie dałoby się uciec, ale która mogłaby przynajmniej podpowiedzieć, czy jest dzień, czy noc. Zabrali mu zegarek. Nie rozumiał dlaczego. W głowie Sigurda Halvorsruda nie mieściło się, że można wyrządzić sobie krzywdę zwykłym skórzany paskiem.

Znów powoli przymknął powieki.

Zobaczył twarz Thei. Wielkie zapłakane oczy. Usta bezdźwięcznie formułujące słowa, których nie chciał słyszeć. Czuł jej dłoń w swojej. Na udzie. Całe jej ciało przyciskające się do niego tak mocno, że ledwie mógł usiedzieć. Widział jej ręce wyciągające się do niego, kiedy zdecydowanie zabrano go do czekającego już radiowozu. Czuł jej spojrzenie na plecach. Dwa promienie, które wpały się w marynarkę i nie pozwalały trzymać się prosto.

Prokurator okręgowy Sigurd Halvorsrud siedział na dołku w budynku

policji już trzeci tydzień. Tutejsze cele nie były przeznaczone do pobytu dłuższego niż dobę. Zaproponowano mu przeniesienie w jakieś lepsze miejsce, do więzienia za miastem. Wymieniono kilka zakładów karnych, które, jak wiedział, są o wiele nowocześniejsze niż ten tutaj. Ale on nie chciał. Nie ufał im. Każde ich działanie wydawało mu się wrogie. Zresztą z czasem przywykł do tego pomieszczenia. Chciał zostać w budynku policji i pozwolono mu na to.

Nagle usiadł. Mdłości nadciągnęły gdzieś od dołu, aż od stóp. Przelały się przez ciało, targając nim mocno, nie do opanowania. Wymioty chlusnęły z niego tak gwałtownie, że nie zdążył nawet odwrócić się od twardej pryczy, na której leżał. Białą koszulę zbryzgały resztki dwóch kanapek ze śniadania. Nie przypominał sobie, z czym były te kanapki. To musiała być makrela w pomidorach. Ale nie czuł teraz jej smaku, tylko słodko-gorzki smak żelaza.

Sigurd Halvorsrud rzygał krwią przez blisko kwadrans, nim w końcu doczołgał się do drzwi i wezwał pomoc.

Hanne Wilhelmsen siedziała nad rozłożoną książką telefoniczną. Jej ręce jakby same z siebie wyciągnęły gruby tom spod starego egzemplarza „VG” na brzegu biurka. Gotowa była przysiąc, że to nie ona odszukała psychologów. Nie potrzebowała psychologa, za wielu ich znała.

Zamknęła książkę z głuchym hukiem, kiedy Billy T. wsunął głowę w uchylone drzwi.

– Dochodzi wpół do szóstej – powiedział. – Idziesz ze mną. – Wyciągnął rękę, jakby namawiał uparte dziecko. – Chodź, chodź. – Machał na nią, śmiejąc się głośno.

– A dokąd idziemy? – spytała, unosząc się i tłumiąc ziewnięcie.

Cecilie miała wyjść ze szpitala następnego dnia. Hanne nie była pewna, czy się naprawdę cieszy. Oczywiście bardzo za nią tęskniła. W te noce, które postanawiała spędzić w domu z nadzieją na trochę więcej snu niż dwugodzinna drzemka w szpitalu, zasypiała wymęczona płaczem z tęsknoty tak wielkiej, że przewyższała ją jedynie ta beznadziejna pustka, którą czuła, siedząc przy łóżku Cecilie. Hanne bardzo chciała, żeby Cecilie wróciła do domu, ale bezpieczniej się czuła, kiedy ukochana była w szpitalu. Na razie poczucie, że zawodzi, spędzając całe dnie w pracy, nie było tak dojmujące, jak z pewnością będzie, kiedy dołączy świadomość, że Cecilie jest sama.

– A tak w ogóle to nie mogę. Mam co robić w domu. Jak było na pogrzebie?

– W porządku. Ale musisz ze mną iść.

– Mówię ci, że nie mogę. Mam robotę.

Spróbowała zmusić włosy, żeby zaakceptowały przedziałek, który sobie zrobiła, bo nie miała czasu iść do fryzjera, ale grzywka nie chciała się

poddać. Hanne lekko zwilżyła więc palce śliną i przygładziła kosmyki.

– A właściwie o co chodzi?

– Zobaczysz. Jeśli nie przyjdiesz, to cię zabiorę siłą. Możesz to uznać za porwanie.

Hanne Wilhelmsen się poddała. Poszła za Billym T., nie ujmując wyciągniętej ręki.

Morze pieniało się nawet w głębi zatoki. Stał na wyłożonym kamiennymi płytami tarasie. Mrużył oczy od wiatru, patrząc na wyspę Østerøya i zaciskając ręce na balustradzie z kutego żelaza. Inna wyspa, Natholmen, nie stanowiła dostatecznej osłony, kiedy wiało z południa. Zrezygnował z myśli o wypłynięciu łódką na ryby. Godzinę wcześniej wybrał się do kiosku w Solløkkka i zrobił najpotrzebniejsze zakupy na najbliższe dni. Przewidująco kupił dwie paczki mrożonego dorsza.

To był fantastyczny nieoczekiwany przełom.

Kiedy na monitorze pojawiło się to nazwisko, poczuł, że drży. Wyobrażał sobie, że jest jak nieoczekiwana wygrana w lotto, jak uzdrowienie z nieuleczalnej choroby, zaskakujące i zupełnie niewyjaśnione. Jak odnalezienie kochanego członka rodziny, którego od wielu lat uważało się za zmarłego. Gorąca fala uderzyła z podbrzusza w przeponę i zaraz się cofnęła, a jemu dosłownie zaparło dech w piersiach.

Pracował nad tym od trzech lat.

W kwietniu 1996 roku wziął odszkodowanie zasądzone na jego korzyść od gminy Oslo za zmarnowane dzieciństwo, dodał do tego pieniądze, które zaczęły płynąć, w miarę jak *Czerwone latarnie w Amsterdamie* sprzedawano do coraz większej liczby krajów, i kupił ten domek. Dwadzieścia lat temu spędził tu jedno lato, z którego pozostało mu jedyne ciepłe wspomnienie z czasów przed więzieniem. Jego rodzona ciotka pozbyła się tego domku już dawno, ale Eivind Torsvik stawił się u nowego właściciela, zaoferował mu pięćdziesiąt procent więcej, niż wynosiła wartość nieruchomości, i dał dwie godziny do namysłu. Widok pięciu milionów koron w walizce okazał się bardzo kuszący. Trzy tygodnie później Eivind wprowadził się tu wraz z dwustoma kilogramami sprzętu elektronicznego, workiem żeglarskim

z ubraniami i starą kanapą. W miarę, jak czas płynął, a praca posuwała się naprzód, kupił nowe meble i wieżę hi-fi Accuphase. Domek nad zatoką Hamburgkilen, niecałe dziesięć kilometrów od centrum Sandefjord, stał się pierwszym prawdziwym domem Eivinda Torsvika. Wszystko w nim stworzył sam. Dobrze mu było w tej samotni i wiedział, że zawsze tak będzie.

Nazwisko wryło mu się w mózg.

Usiadł na drewnianej ławie pod oknem w pokoju. Wiatr osiągnął już chyba siłę siedmiu stopni. Słuchał hałasu morza i plaśnięć włosów uderzających o policzki. Obserwował dwie rybitwy, które nie mogły oszukać gwałtownych porywów wiatru i leciały ukosem do tyłu, zanosząc się ochrypłym jasnym krzykiem. Wciągał głęboko w płuca słone powietrze i czuł się wolny.

Teraz wszystko pozostawało jedynie kwestią czasu.

Dziecko było rzeczywiście śliczne jak rzadko. Dziewczynka miała kształtną, wydłużoną główkę, która już teraz zdradzała, że mała nie będzie za bardzo podobna do ojca. Czarne włoski, miękkie i zdumiewająco gęste, lepiły się do czoła, skręcając się przy uszach jakby w loki. Hanne Wilhelmsen jeszcze nigdy nie widziała norweskiego noworodka z tak długimi rzęsami. Wywijały się nad dużymi, nieco skośnymi oczami, które zaokrąglały się jak kulki, kiedy dziecko mrugało, patrząc na światło. Tęczówki miały nieokreślony kolor. Z czasem prawdopodobnie zbrązowieją. Czerwone usteczka wyraźnie odcinały się od białej skóry. Pęcherzyk na górnej wardze odruchowo zadrżał, kiedy Hanne delikatnie pogładziła małym palcem podbródek dziecka.

– Naprawdę można ją zjeść – szepnęła. – Nie jest ani trochę podobna do ciebie.

– Dzięki Bogu – odszepnął Billy T. – Ja tylko chodzę i gadam to, czego się wszyscy po mnie spodziewają, ale strasznie się cieszę, że nie odziedziczyła niczego po mojej rodzinie.

– Oprócz długości. – Hanne roześmiała się cicho, lekko pociągając za stópki dziecka pod różowym kocykiem. – Ona chyba jest dłuższa niż przeciętnie dzieci.

– Długa i szczupła – powiedział Billy T. – Kiedy się urodziła, mierzyła sześćdziesiąt centymetrów! I ważyła tylko trzy siedemset.

Hanne ułożyła dziecko wygodniej w zagłębieniu ręki. Malutka zasypiała. Prawą rączkę miała luźno zaciśniętą na smoczku. Hanne spróbowała go jej włożyć do buzi, ale smoczek został natychmiast wypluty i poleciał na podłogę.

– Nie chce go. – Billy T. usiadł obok Hanne na kanapie. – Lubi go

trzymać, ale nie chce ssać. Bystry dzieciak, nie pozwala się oszukać.

Dziecku się ułało. Wąska strużka śliny wymieszanej z mlekiem spłynęła z kącika ust. Hanne wciągnęła powietrze przez nos i poczuła niczym uderzenie w przeponę słodki zapach dziecinnego oddechu. Zamrugła, próbując zapanować na łzami.

– Wy też powinnyście się były postarać o dziecko – stwierdził Billy T., obejmując Hanne. – Już dawno temu.

– Nie trzeba jej trzymać pionowo, kiedy jej się odbija? – mruknęła Hanne.

– Nie, zasnęła już i ładnie oddycha. Dlaczego tego nie zrobiliście?

Hanne rozejrzała się po mieszkaniu Billy’ego T. Zaledwie dwa lata minęły od czasu, kiedy mieszkała tu przez miesiąc. Razem z Cecilie wyjechały wtedy na rok do Stanów, ale zabójstwo premier Birgitte Volter ściągnęło Hanne z powrotem do Norwegii. Od tego czasu wszystko się tu zmieniło. Kiedy Tone-Marit się wprowadziła, na ścianach pojawiły się grafiki, a na półkach książki. Kolosalna wieża stereo została skazana na banicję do szafy, jedynie głośniki wciąż straszyły pod sufitem po obu stronach drzwi do przedpokoju. Hanne poczuła ukłucie w sercu, kiedy pierwszy raz zauważyła, że zasłonki, które wtedy kupiła, uszyła i zawiesiła, zostały zmienione.

– Wszystko jest zupełnie inaczej – szepnęła do dziecka.

Billy T. wstał i delikatnie wziął córeczkę.

– Pójdiesz teraz pospać do mamy – szepnął do niej i na palcach przeszedł do sypialni.

Kiedy wrócił chwilę później, nie usiadł w fotelu naprzeciwko Hanne. Ciężko opadł na kanapę przy niej, gdzie siedział, kiedy dziecko nie spało. Wtedy było to logiczne. Musiał tam siedzieć, by wspólnie mogli patrzeć i podziwiać noworodka. Znów lekko objął Hanne, końcami palców delikatnie gładząc ją po ramieniu.

– To wcale nie jest takie łatwe – powiedział tak cicho, że przez chwilę

nie była pewna, czy dobrze usłyszała.

– Co?

– To... – Wolną ręką niezdecydowanie omiółł pokój. – Mieszkanie. Ono już jakby nie jest moje. Tone-Marit... – szeptał teraz ledwie słyszalnie, jakby się bał, że Tone-Marit się obudzi, chociaż przed chwilą stwierdził, że śpi głęboko. – Chcę, żeby tu była. Kocham... Uwielbiam to, co ze mną robi. A przynajmniej wiele z tego. I dziecko jest cudowne. Cholernie się cieszę z tego dziecka. Zresztą byłem szczęśliwy przy każdym, którego się nabawiłem.

Hanne roześmiała się cicho.

– Nabawiłeś się – powtórzyła. – Mówisz tak, jakbyś złapał pięć chorób.

Billy T. położył nogi na stole i zapadł się w miękką kanapę. Znalazł się jeszcze bliżej Hanne. Brodą polaskotał ją w ucho, a ona poczuła, że się rozluźnia. Nie pamiętała, kiedy ostatnio osiągnęła taki stan.

– Ale zdarza się, że dosłownie chodzę po ścianach – ciągnął Billy T. –

Mam takie wrażenie, jakbym nie mógł tutaj oddychać. Wszędzie są dziecięce rzeczy. W łazience pachnie kobietą. Tone-Marit jest dobra i cierpliwa, nie marudzi jak inne dziewczyny o zamykaniu kibla, zakręcaniu pasty do zębów i tak dalej. A ja jakbym... Zacząłem zachowywać się jak facet tylko po to, żeby ją irytować.

Wyprostował się i gwałtownie odwrócił w stronę Hanne. Jego twarz znalazła się zaledwie o dziesięć centymetrów od jej policzka. Hanne patrzyła w jego niebieskie jak lód oczy, ale długo tego nie wytrzymała i przeniosła wzrok na jego usta. Z tak bliska wydawały się wielkie. Widziała tylko je – spierzchnięte wargi pod ogromnymi wąsami, które pojawiały się i znikwały częściej, niż ktokolwiek był w stanie to zapamiętać. Teraz były gigantyczne. Przyglądała się pojedynczym włoskom, czując, że nie jest w stanie jasno myśleć.

– A latem mamy się pobrać – powiedział Billy T. przez zaciśnięte zęby.

– Cholera, nie mogę się zenić... kiedy już tak się czuję, chociaż dziecko ma

zaledwie... Niech to szlag!

– Muszę już iść – oświadczyła sztywno Hanne, składając ręce na kolanach.

– Iść? – Billy T. gwałtownie przyciągnął rękę do siebie, walcząc z grymasem rozczarowania. – Musisz już iść? Teraz?

– Mówiłam ci, że mam dużo roboty. Cecylie wraca jutro do domu. Muszę posprzątać.

Wstała i ruszyła do drzwi.

– Nie odpowiedziałas, dlaczego nie miałyście dziecka – usłyszała jeszcze za plecami.

Powoli, jakby nie całkiem zdecydowała się na odpowiedź, odwróciła się i popatrzyła w jego kierunku. Billy T. wciąż siedział na kanapie i jak opętany drapał się w zarost.

– Nie wiem – skłamała. – Ale teraz wszyscy możemy się cieszyć, że nigdy do tego nie doszło.

Dopiero na ulicy zorientowała się, że zostawiła u Billy'ego T. komórkę i torbę z zakupami. Udało jej się złapać taksówkę i dotarła do domu, zanim zaczęły się wieczorne wiadomości. W lodówce na pewno znajdzie się coś do zjedzenia.

– Uważam, że strasznie schudłeś – poskarżyła się Margaret Kleiven. – Zawsze byłeś szczupły, ale teraz jesteś wręcz chudy. Wychudzony!

Evald Bromo zaczął gardzić żoną. Nigdy jej nie kochał, ale zawsze na swój sposób lubił tę drobną postać. Łączyło go z nią coś w rodzaju czułego uzależnienia graniczącego z wdzięcznością. Ale teraz go brzydziła. W dni takie jak ten, kiedy spieszyła się z pracy do domu, żeby posprzątać na weekend i przywitać go w zniszczonym fartuchu, z dłońmi zaczerwienionymi od całego tego szorowania, ledwie potrafił znieść suche muśnięcie jej warg na policzku, gdy odwieszał płaszcz.

– Musisz skończyć z tym bieganiem. To niezdrowe. Przyszła zresztą do ciebie paczka.

– Paczka – powtórzył beznamiętnym tonem.

W kuchni uderzył go ostry zapach środków czyszczących i smażonego czarniaka. Ciężko usiadł na krześle i położył łokcie na stole.

– Zmęczony jestem – powiedział.

– Zjesz coś?

– Tak, owszem.

Sięgnęła po stojący przed nim talerz i podeszła do kuchenki. Patrzył na nią zamglonym wzrokiem, próbując wyczarować apetyt, którego nie czuł już od ponad trzech tygodni. Im dłużej biegał, tym mniej jadł. Im więcej kilometrów pokonywał, tym gorzej spał. Teraz przestał już jeździć autobusem do pracy. Biegał. Tam i z powrotem. Ale głodu nie czuł wcale.

– Proszę, jedz.

Postawiła przed nim talerz. Smażony czarniak z cebulą, ziemniaki i rozmiękła sałatka ogórkowa, która za długo już stała. Zaczął rozgrzebywać rybę widelcem, nie wiedząc, jak zdoła cokolwiek w siebie wmusić.

– Proszę – odezwała się znów Margaret. – Przyszła pocztą. No, rozpakuj!

Odłożył widelec. Paczka nie była duża, miała mniej więcej piętnaście centymetrów na piętnaście i była płaska. Nazwisko i adres wypisano drukowanymi literami. Wziął przesyłkę do ręki, odwrócił ją. Nadawcy nie znalazł. Poczł nagle jakby gwałtowny cios w splot słoneczny, eksplozję adrenaliny, która rozeszła się po wszystkich członkach i kazała mu położyć paczkę na kolanach, żeby jej nie wypuścił z rąk.

– To tylko pulsomierz – powiedział krótko.

– Pulsomierz? – uśmiechnęła się Margaret i zaczęła jeść. – No, otwórz ją.

– Nie.

Wmusił w siebie trzy plasterki ogórka. Rosły mu w ustach, miał kłopoty z oddychaniem.

– Co się z tobą dzieje? – spytała Margaret ze złością. – Nie możesz otworzyć, żebym zobaczyła, co kupiłeś?

– Nie, nie mogę. To tylko coś do biegania. A ono cię nigdy nie interesowało.

Smażona cebula miała smak gumy i przypraw do grilla.

– Ależ, Evald, nie mogę obejrzeć tego... tego pulsomierza?

Wstała i nachyliła się nad jego kolanami. W chwili, kiedy miała sięgnąć po paczkę, błyskawicznym ruchem złapał ją za nadgarstek i ścisnął.

– Nie słyszysz, że mówię „nie”?!

Jeszcze nigdy tak na nią nie wrzasnął, nigdy nie był tak gwałtowny. Nigdy nie zrobił jej fizycznej krzywdy. Teraz z całej siły ścisnął ją za rękę i nie puścił, aż łzy popłynęły jej po błyszczących, spoconych policzkach.

– Przepraszam – powiedział z rezygnacją. – Jestem po prostu strasznie zmęczony. To naprawdę tylko pulsomierz. Zupełnie nic ciekawego dla ciebie.

Nie odpowiedziała. Zabrała swój talerz do salonu i usiadła przy

eleganckim stole, przy którym od lat nie podejmowali żadnych gości.

Evald Bromo zostawił jedzenie, zabrał paczkę i wyszedł, ani słowem nie informując, dokąd idzie.

Był piątek, dwudziesty trzeci marca 1999 roku i Sigurd Halvorsrud miał stanąć przed Sądem Miejskim w Oslo. Przebywał w areszcie dokładnie od trzech tygodni na podstawie postanowienia dającego policji cztery tygodnie na działanie. To, że jego sprawa miała być rozpatrywana ponownie przed upływem tego terminu, było dość niezwykcyjne, jeśli nie wprost zaskakujące. Zdarzało się wprawdzie, że policja zwalniała aresztowanych wcześniej, niż wynikało z postanowienia, ale za tym rzadko krył się większy dramatyzm. Przeciwnie, taki miała obowiązek, jeżeli warunki tymczasowego aresztowania wyznaczone przez sąd i prawo traciły rację bytu. Ale policja wcale nie chciała zwolnić z aresztu prokuratora okręgowego Halvorsruda.

Wcale. Prokurator Annmari Skar już zaczęła przygotowywać wniosek o przedłużenie aresztowania i spodziewała się, że będzie on rozpatrywany tydzień później. Kiedy w czwartek po południu otrzymała od adwokat Karen Borg dokumenty, z których wynikało, że podejrzany będzie wnosił o zwolnienie, a sprawa trafi na wokandę w piątek rano, przełknęła soczyste przekleństwo, dziękując jednocześnie bogom, że tak wnikliwie zapoznała się ze sprawą już wcześniej.

– Został tydzień do posiedzenia w zwykłym trybie – mruknęła do Billy’ego T., kiedy wchodzili po stopniach do budynku sądowego i zygzakiem wymijali orszak ślubny, ignorując nieduży kartonowy plakat z prośbą o nierzucanie ryżu ze względu na ptaki. – A oni nie mogli poczekać. Jeden tydzień!

Z jakiegoś powodu, którego nikt oprócz administracji nie mógł zrozumieć, na posiedzenie wyznaczono salę rozpraw numer sto trzydzieści. Annmari Skar i Billy T. przeszli przez podwójne, blisko czterometrowej wysokości drewniane drzwi, za którymi gigantyczne drzwi wahadłowe

prowadziły do imponującego holu sądu. Natychmiast oślepiły ich intensywnie błyskające flesze. Billy T. musiał ratować niewysoką panią prokurator od upadku, kiedy nadgorliwy reporter z pewnej niedużej stacji telewizyjnej, który wmówił sobie, że będzie najlepszy i najbezczelniejszy, dosłownie przeczołgał się między nogami olbrzymiego Billy'ego T., żeby podetknąć mikrofon do ust Annmari Skar. Para policjantów zdołała się przedrzeć pod szklaną ścianę z lewej strony holu. Do drzwi właściwej sali rozpraw dotarli już bez kolejnych wypadków, ale ciągnąc za sobą ogon dziennikarzy.

– Sto trzydzieści – westchnęła Annmari Skar. – W tej sali w ogóle nie ma czym oddychać. Jeśli ci wszyscy... – Z rezygnacją obejrzała się przez ramię.

– Zamknięte drzwi – uspokoił ją Billy T. – Na pewno sąd zgodzi się na posiedzenie przy drzwiach zamkniętych i będziemy mieli spokój.

– Tak ci się wydaje – powiedziała Annmari Skar z goryczą. – Zgodzi się, owszem, ale tylko jeśli adwokat Borg tego zażąda. My nie mamy...

– Ssz... – uciszył ją Billy T. – Wstrzymaj się z tym.

Odepchnął natrętną dwudziestoletnią dziewczynę z długimi jasnymi włosami i dyktafonem.

– Cholera jasna, ci reporterzy kryminalni robią się coraz młodszy – warknął głośno. – I coraz bardziej bezczelni. Zresztą jedno z drugim ma pewien związek.

Użył łokci przeciwko jakiemuś młodzieniaszkowi z TV2 i w końcu musiał posłużyć się tyłkiem w roli tarczy, aby Annmari Skar w ogóle mogła wejść do sali rozpraw. Karen Borg już tam była. Przywitała ich skinieniem głowy. Billy T. przypuszczał, że przysłała z poziomu minus jeden razem ze swoim klientem. Publicznie Karen prawie nie wypowiadała się o sprawie. Mimo olbrzymich przecieków ze strony samej policji – Billy T. już dawno porzucił wszelkie spekulacje na temat tego, który z jego kolegów pielęgnował tak przyjazne kontakty z prasą – mecenas Borg trzymała język

za zębami. Właściwie było to imponujące. Tym razem najwidoczniej postanowiła całkowicie uniknąć mediów.

Wniosek policji o przeprowadzenie posiedzenia przy drzwiach zamkniętych został przez sąd rozpatrzony pozytywnie. Annmari Skar zdawała sobie sprawę, że nie było to jej zasługą. Z obowiązku i bez szczególnego zaangażowania wyrecytowała frazesy o tym, że relacje prasowe mogą zaszkodzić śledztwu. Chociaż teraz, kiedy sprawa w każdym ociekającym krwią szczególe została już wyeksponowana na wielu stronach gazet, trzeba się było bardzo postarać, aby znaleźć coś nowego, czego nie należałoby ujawniać ze względu na dobro śledztwa. Wystąpiła jednak z wnioskiem o zamknięcie drzwi z powodów bardziej osobistych. Nie znosiła dziennikarzy. Uważała ich za natrętnych i służalczych zarazem, wszechwiedzących i kompletnie pozbawionych wszelkiej wiedzy, bezczelnych i cholernie sprytnych. Annmari Skar nie rozumiała dziennikarzy i gardziła nimi całym sercem.

Mimo że Karen Borg ku wielkiej uldze Annmari Skar poparła wniosek policji, powołując się na konieczność ochrony prywatności jej klienta, również jej stanowisko nie wpłynęło na decyzję sędziego. Dziennikarze sami mogli sobie za nią dziękować. Podczas rozpatrywania wniosku o zamknięcie drzwi – w tym czasie oczywiście drzwi pozostawały otwarte dla publiczności – ich zgraja walczyła o miejsca siedzące jak mewy nad porzuconą torebką z krewetkami. A sędzia sądu miejskiego Birger Bugge, krępy, ponury mężczyzna, który wkrótce miał przejść na emeryturę, ale dopiero niedawno zrozumiał, że nigdy nie awansuje na sędziego sądu okręgowego, nie podzielał pogardy prokurator Skar dla dziennikarzy. On ich nienawidził. I to tak dogłębnie, że przestał czytać wszelkie gazety oprócz „Herald Tribune”, którą kupował w kiosku sieci Narvesen na Dworcu Centralnym każdego popołudnia, wracając do domu w Ski na przygotowany przez żonę obiad.

– Sąd Miejski w Oslo zajmie się dzisiaj sprawą numer 99–02376 F/42 –

zaczął, kiedy zamieszanie wreszcie ucichło, bo dziennikarzy przegonił rozzłoszczony woźny sądowy, i w małym królestwie sędziego Birgera Buggego znów zapanował spokój. – Obrońcą jest mecenas Karen Borg, oskarżycielem – prokurator policji Annmari Skar, a sędzią jestem ja, sędzia sądu miejskiego Birger Bugge. Jeśli się nie mylę, jestem w tej sprawie bezstronny. Czy strony zgłaszają jakieś zastrzeżenia co do tego?

Billy T. przyłapał się na tym, że kręci głową razem z prokuratorem Skar i adwokatem Borg. Rzadko spotykał ludzi budzących grozę, ale wielka buldogowata głowa sędziego Buggego mogła przstraszyć każdego. Dzięki mocno wysuniętej żuchwie, wielkim podbródkom i małym oczkom pod siwymi brwiami, przybierającymi kształt rogów przy skroniach, nigdy nie musiał dużo mówić, aby zyskać respekt.

– Brmfrr – warknął teraz i wskazał barierkę dla świadków.

Karen Borg się poderwała.

– Wysoki Sądzie! Pozwolę sobie prosić o to, aby mój klient ze względów zdrowotnych mógł siedzieć tutaj.

Lewą rękę położyła miękko na ramieniu Halvorsruda, jakby chciała podkreślić, że prokurator potrzebuje szczególnej troski.

– Brmfrr – powtórzył sędzia Bugge, a adwokat Borg postanowiła uznać to za zgodę. – A więc pan nazywa się Sigurd Harald Halvorsrud. Data urodzenia?

W trakcie załatwiania formalności Billy T. przerzucał dokumenty. Potem odchylił się i posłał z ukosa spojrzenie Annmari Skar. Była bardziej elegancka niż ładna. Niewysoka, raczej krępej budowy, miała w sobie mnóstwo kobiecości, która nieraz kazała mu przypatrywać się jej ukradkiem. Miała wyrazistą i otwartą twarz, duże piwne oczy i brązowe włosy z pierwszymi siwymi pasmami, chociaż do czterdziestki zostało jej jeszcze ładnych kilka lat. Billy T. poczuł nagłe ssanie w żołądku i przyłapał się na tym, że ma ochotę dotknąć jej pleców, kiedy tak siedziała, stukając ołówkiem w pulpit ku wielkiej irytacji sędziego Buggego.

– Czy pani prokurator może wreszcie przestać hałasować? – warknął Bugge.

AnnMari Skar zeszywniała i lekko się zaczerwieniła.

A ja muszę wziąć się w garść, pomyślał Billy T., odzyskując panowanie nad ręką, która już zaczęła pełznąć w stronę pleców pani prokurator policji.

Ktoś otworzył drzwi. Do niemal kwadratowej sali rozpraw wolnym krokiem weszła Hanne Wilhelmsen, cicho konferując z woźnym, żeby ją wpuścić. Znał ją dobrze i pozwolił jej przejść, zanim starannie zamknął za nią drzwi. Billy’emu T. wystarczył moment na stwierdzenie, że dziennikarze się nie poddali.

– Przepraszam – powiedziała Hanne głośno, zwracając się do sędziego. – Mam ważne informacje dla oskarżyciela.

– Brmfr – burknął znów sędzia Bugge. – Dobrze, tylko szybko.

Hanne otworzyła niskie wahadłowe drzwiczki oddzielające ławki dla publiczności od pozostałej części sali, minęła barierkę dla świadków, nawet nie patrząc na adwokat Borg i Halvorsruda, i nachyliła się na ławę oskarżyciela.

– Dostałam od Karen Borg wezwanie dla świadka – szepnęła do AnnMari Skar. – Leżało u mnie na biurku, kiedy wróciłam ze... pół godziny temu.

– Wezwanie dla świadka! – syknął Billy T. – Przecież na takim posiedzeniu nie przesłuchuje się świadków!

– Cicho! – AnnMari Skar dotknęła jego ramienia. – To, że się tego nie robi, wcale nie oznacza, że nie jest dozwolone. Sama dowiedziałam się o tym kilka minut temu. – Zasłoniła usta ręką, jakby się bała powiedzieć, co o tym myśli. – Wiesz, dlaczego kazali ci się stawić? – spytała w końcu tak cicho, że Billy T. ledwie ją zrozumiał.

Hanne Wilhelmsen nie odpowiedziała, ale jej spojrzenie przeniosło się z twarzy pani prokurator na grubą teczkę z aktami, która przed nią leżała.

– Czy w ogóle omawiałaś to wcześniej z Karen Borg? – ciągnęła

AnnMari Skar ze złością, zapominając już nawet o ściszeniu głosu.

– Nie wprost – odszepnęła Hanne natychmiast. – Nie rozmawiałam z nią o tym, że będę zeznawać. O tym nie mówiłyśmy.

– Ale dlaczego...

– Myślę, że pora kończyć – rozległo się warknięcie zza stołu sędziowskiego. – Przypuszczam, że wszelkie niezbędne sprawy policji są załatwione i możemy kontynuować.

Hanne opuściła salę rozpraw. Idąc po schodach na drugie piętro do bufetu po filiżankę kawy, uświadomiła sobie, że powinna była z wiadomością wysłać kogoś innego, ponieważ według wszelkiego prawdopodobieństwa miała zeznawać – od sędziego Buggego zależało, czy zechce ją przesłuchać. W zasadzie nie powinna więc uczestniczyć w przewodzie sądowym. W końcu jednak wzruszyła ramionami. Po pierwsze, nie była prawniczką, po drugie, nie uchwyciła nic z tego, co działo się na sali rozpraw.

Podobnie jak Billy T.

W uszach szumiało mu z wściekłości. Hanne musiała coś wiedzieć. Skoro Karen Borg zdecydowała się powołać ją na świadka, najwyraźniej adwokatka uważała, że Hanne ma do powiedzenia coś na korzyść Halvorsruda. Do tej pory wątpliwości Hanne co do winy prokuratora okręgowego miały zabarwienie profesjonalne. W każdym razie Billy T. tak to postrzegał. Do diabła, przecież sam nie był przekonany. Znał zresztą dobrze ową niepewność i nie uważał, że jest w niej coś złego. Policja nigdy nie powinna zamykać się na różne ewentualności. Jej zadaniem było zbieranie dowodów winy albo niewinności przy zachowaniu neutralności. Ale jeśli Karen Borg wierzyła, że zeznania Hanne mogą pomóc Halvorsrudowi, opierając się na czymś, co Hanne sama jej powiedziała, to zachowanie komisarz policji zaczynało przypominać regularną zdradę.

Omiótł wzrokiem pomieszczenie. W dwóch rogach sali tuż przed sięgającym bioder płótkiem, który odgradzał ławki dla publiczności,

siedziało dwoje znudzonych funkcjonariuszy policji. Kobieta z ostrzyżonymi na jeża tlenionymi włosami, zbyt mocno umalowana, sprawiała wrażenie, jakby zaraz miała zasnąć. Halvorsrud natomiast wyglądał tak, jakby nie spał od tygodnia.

Karen Borg musiała zorganizować mu nowy garnitur. Leżał lepiej niż stary, ciemny, który miał na pogrzebie w poniedziałek. Koszula była śnieżnobiała i świeżo wyprasowana. Billy T. nie zdziwiłby się, gdyby to sama Karen wywijała dziś rano żelazkiem. Brylant w krawatcie zniknął. Coś takiego mogłoby łatwo sprowokować złośliwego, skłonnego do irytacji sędziego.

Dyskretny i bez zarzutu strój ostro kontrastował z głową wystającą ponad węzłem krawata. Z powodu gwałtownej utraty wagi na szyi prokuratora pojawiły się indycze fałdki. Dolna część twarzy wydawała się luźna, szaroblada, poznaczona głębokimi bruzdami. Skóra nad oczami była przekrwiona i przypominała maskę, którą ktoś namalował w pośpiechu. Mówiąc, Halvorsrud ledwie poruszał ustami. Oczy miał zamglone, głos beznamiętny. Od czasu do czasu przyciskał do ust chusteczkę.

Jego przesłuchanie trwało.

Sędzia Bugge nie zadawał zbyt wielu pytań, tylko zirytowanymi gestami udzielał głosu stronom. Chwilami mogło się wydawać, że nawet nie słucha tego, o czym się mówi. Billy T. dobrze wiedział, że to złudzenie, bo w całym budynku trudno było o bystrzejszego sędziego niż Birger Bugge. Brak awansu wynikał wyłącznie z jego trudnego usposobienia.

Halvorsrud wreszcie powiedział, co miał do powiedzenia. Nie wyniknęło z tego nic nieoczekiwanego: obstawał przy swojej niewinności, martwił się o córkę, miał krwawiący wrzód żołądka. Nic, czego policja nie wiedziałaby wcześniej.

– Proszę o pozwolenie przedłożenia zaświadczeń lekarskich ojca i córki
– powiedziała pytająco adwokat Borg.

Sędzia Bugge lekko kiwnął głową, ciężko westchnął i wyciągnął wielką

łapę po podane mu dokumenty. Błyskawicznie przebiegł wzrokiem papiery, po czym przekazał je protokolantowi, siedzącemu w milczeniu po jego prawej stronie.

– Poza tym wnoszę o powołanie na świadka komisarz policji Hanne Wilhelmsen – dodała Karen Borg, wciąż stojąc w ławie. – To jest...

– Dość nietypowe – burknął sędzia Bugge. – O czym zamierza...

– Wysoki Sądzie! – zaprotestowała Annmari Skar, ale za późno.

– Proszę, żeby pani prokurator nie przerywała Sądowi – warknął sędzia Bugge.

Annmari Skar opadła na siedzenie.

– O czym ma zeznawać Wilhelmsen? – podjął sędzia, zwracając się do Karen Borg, która – zażenowana zachowaniem pani prokurator – spuściła wzrok.

– To ona prowadzi śledztwo, Wysoki Sądzie, i uważam, że może naświetlić...

– Naświetlić – burknął Bugge. – Przecież mamy tu oskarżyciela, którego rolą jest właśnie naświetlenie sprawy w taki sposób, w jaki widzi to policja. Czy nie tak, pani prokurator?

Annmari Skar wstała z wahaniem.

– Owszem, Wysoki Sądzie, w najwyższym stopniu. Poza tym... – zawahała się, uznając, że najbezpieczniej będzie zaczekać na pozwolenie na dalszą wypowiedź.

Nastąpiło w formie gwałtownego kiwnięcia głową, od którego zatrzęsły się dodatkowe podbródki sędziego.

– W mojej opinii mecenas Borg nie ma podstawy prawnej do powoływania komisarz Wilhelmsen na świadka w trybie zwyczajnym. Zeznanie Wilhelmsen musi dotyczyć relacji z dotychczasowego przebiegu śledztwa albo jego planowanych postępów. Nie uważam, aby te elementy nie mogły zostać naświetlone przeze mnie, ewentualnie z pomocą towarzyszącej mi osoby. – Wskazała Billy’ego T. – Poza tym chciałabym

podkreślić swój sprzeciw wobec sposobu, w jaki mecenas Borg załatwiła tę sprawę, Wysoki Sądzie. Jeżeli uważała przesłuchanie komisarz policji za niezbędne, mogła po prostu spytać o to mnie. Wzywanie świadka jest posunięciem wysoce nietypowym i przypomina niedopuszczalną taktykę. Nie zdążyłam poza tym naradzić się z komisarz Wilhelmsen przed...

– Naradzić się – powtórzył sędzia Bugge. – A do czego pani prokurator naradzanie się z komisarz Wilhelmsen? To, co ona wie, wiadome jest chyba również pani prokurator, prawda?

Annemari Skar stanęła bezradna. Bez celu przerzucała leżące przed nią dokumenty. W końcu doszła do wniosku, że nie ma nic więcej do dodania i usiadła bez słowa.

– Sąd w zasadzie nie widzi sensu takiego przesłuchania – stwierdził Bugge po namyśle. – Ale zważywszy na poważne zarzuty, w których obliczu staje podejrzany, wyrażam na nie zgodę. Czy komisarz Wilhelmsen będzie dostępna w najbliższym czasie?

– Przypuszczam, że czeka pod drzwiami. – Karen Borg nerwowo chrząknęła.

Woźny uchylił drzwi. Kilka sekund później Hanne Wilhelmsen stała już przy barierce dla świadków i podawała swoje dane. Próbowwała uchwycić spojrzenie Billy’ego T., ale kolega przypatrywał się własnym dłoniom i nawet lekko odwrócił się do Hanne plecami.

– Przystąpię od razu do rzeczy.

Karen Borg poprawiła poły zakietu. Starannie unikała patrzenia w kierunku Hanne. Dobrze wiedziała, co robi. Tasowała karty. W sposób staranny i prawdopodobnie niewybaczalny. Tyle razy o tym rozmawiali. Håkon, ona, Hanne, Cecilie i Billy T. Bliska przyjaźń między osobami, które na sali sądowej mogły znaleźć się po przeciwnych stronach, prowadziła do wielkich wyzwania. To, że Håkon i ona nie mogli występować przeciwko sobie w żadnej sprawie, nie podlegało dyskusji. Związki Karen z Hanne i Billym T. były bardziej niejasne, nawet jeśli nie pod względem prawnym,

to przynajmniej etycznym. Po długich rozważaniach doszli do wniosku, że będą się starali trzymać język za zębami w tej kwestii i zobaczą, jak daleko z tym zajdą. Ponieważ Karen zajmowała się głównie sprawami karnymi, byłoby dla niej bardzo niekorzystne, gdyby nie mogła zaangażować się w żadną ze spraw prowadzonych przez Hanne Wilhelmsen.

Do tej pory wszystko szło gładko. Wzywając Hanne na świadka, Karen odcinała kupony od zaufania, którym została obdarzona jako przyjaciółka. Nie jako adwokat. Mimo to dla Karen Borg lojalność wobec klienta zawsze była najważniejsza. Zawsze.

Hanne Wilhelmsen wierzyła w niewinność Halvorsruda. Dała wyraz swoim wątpliwościom co do potrzeby dalszego przetrzymywania go w areszcie. Wręcz zachęcała Karen do złożenia wniosku o zwolnienie. I Karen nie mogła tego nie wykorzystać, a już na pewno nie w sytuacji, w której jej klient szedł na dno.

– Czy naprawdę uważa pani, że w tej sprawie wciąż istnieje niebezpieczeństwo zatarcia dowodów?

Nienawidzę cię za to, chciała zawołać Hanne Wilhelmsen, ale tylko lekko kaszlnęła w mocno zaciśniętą dłoń i odpowiedziała:

– Owszem, policja tak uważa. Powołałam się na to, co, jak przypuszczam, prokurator policji Skar już podniosła.

– Ja nie o to pytam, pani komisarz. Pytam, co pani o tym sądzi. To pani kieruje śledztwem i powinna mieć własne zdanie co do spełnienia warunków zastosowania tymczasowego aresztowania.

Sędzia Bugge nagle się zmienił. Pochylił się z lekko przekrzywioną głową. Rysy w obwisłej psiej twarzy gwałtownie się wyostrzyły. Coś błysnęło w małych oczkach, a na wilgotnych wargach dało się zauważyć cień uśmiechu.

– Ja pracuję w policji – oświadczyła natychmiast Hanne Wilhelmsen twardo. – A policja uważa, że dalsze tymczasowe aresztowanie jest niezbędne.

Karen Borg demonstracyjnie westchnęła i popatrzyła na sędziego, szukając u niego pomocy.

– Wysoki Sądzie – poskarżyła się. – Czy mogę prosić o pomoc w nakłonieniu świadka do udzielania odpowiedzi na zadawane przeze mnie pytania?

– Nie uważam, aby pani komisarz nie odpowiadała na pytania – odparł Bugge z kwaśną miną. – Możliwe, że to pytania pani mecenas są źle postawione. Proszę kontynuować.

– Wysoki Sądzie! – wtrąciła się Annmari Skar z rezygnacją. – Mecenas Borg zadaje komisarz policji pytania na temat sytuacji, do której oceny zobowiązana jestem ja jako prokurator. To po prostu niebywałe!

Zapadła cisza. Z szelestem kartek przierzucanych przez Karen Borg mieszał się jedynie lekki szum wentylacji.

– Czy pani wie, że Halvorsrud ma krwawiący wrzód żołądka? – spytała Karen w końcu.

– Wiem.

I znowu cisza.

– Czy pani wie, że jego córka w wyniku aresztowania ojca trafiła na szpitalny oddział psychiatryczny?

– Wysoki Sądzie! – Annmari Skar rozłożyła ręce i przewróciła oczami.

Sędzia Bugge wsunął ołówek do ust i żuł go zapamiętale, ale nic nie powiedział. Hanne przeniosła ciężar ciała z lewej nogi na prawą i skrzyżowała ręce na piersiach.

– Wiem, że córka podejrzanego jest chora. Przyczyny nie znam. Pani mecenas mówiła mi, że dziewczyna tęskni za ojcem, ale osobiście nie rozmawiałam z żadnym lekarzem. Domyślam się, że szesnastolatka z trudem radzi sobie również ze śmiercią matki w wyniku zabójstwa.

– A jeśli powiem, że jest zaświadczenie lekarskie stwierdzające, że poważny stan Thei bezpośrednio łączy się z faktem aresztowania jej ojca, to jak wówczas oceni pani współmierność przetrzymywania go w areszcie?

– Na szczęście ta decyzja nie należy do mnie. To będzie zadaniem Sądu.

– A jeśli spytam o pani osobiste zdanie?

Hanne Wilhelmsen poczuła wreszcie, że Billy T. odwrócił się do niej, i dostrzegła uśmiech pod rudymi wąsami. Zobaczyła, że Billy T. kładzie rękę na ramieniu Annmari Skar. Wiedział już, że teraz Hanne da sobie radę sama.

– Wydaje mi się, że ono nie jest interesujące dla Sądu – powiedziała Hanne z namysłem, wpatrując się w sędziego Buggego. – Sądzę, że zostałam tu wezwana jako komisarz policji, a nie osoba prywatna.

Karen Borg demonstracyjnie westchnęła i z rezygnacją machnęła lewą ręką.

– Poddaję się – mruknęła. – Dziękuję.

Oszustwo nie popłaca, pomyślała Hanne i już się odwróciła, chcąc opuścić miejsce dla świadków, ale zatrzymała ją Annmari Skar.

– Sama mam kilka pytań do pani komisarz – oświadczyła, zwracając się do sędziego. – Nie zajmę dużo czasu.

Kiedy kiwnął głową, wydawało się, że prokurator policji się waha. Zaczerpnęła głęboko powietrza, przez kilka sekund obracała ołówek w palcach, aż w końcu z pliku dokumentów wyciągnęła jakąś kartkę, uważnie ją obejrzała i zaczęła:

– Komisarz Wilhelmsen, w ostatnią sobotę... Czy to prawda, że oskarżony chciał przyznać się do winy?

Hanne zrobiło się gorąco. Przecież ustaliły, że nie będą tego ruszać. Halvorsrud podjął rozpaczliwą próbę targowania się o zwolnienie, bo chciał za wszelką cenę być z córką. Annmari Skar dała słowo. Tamto zdarzenie miało iść w niepamięć. Notatka służbowa, którą Hanne musiała napisać, zawierała okrągłe, nic niemówiące zdania i na razie jeszcze nie została nawet wciągnięta do akt.

– Nie użyłabym takich mocnych słów – powiedziała cicho.

– Mocnych?

– Absolutnie nie nazwałabym tego przyznaniem się do winy.

– Ale czyż nie było tak, że... – Annmari Skar wychyliła się i pomachała jakimś dokumentem, jakby to właśnie w nim znajdowało się oświadczenie Halvorsruda – ...że podejrzany w sobotę późnym wieczorem prosił o rozmowę z panią, ponieważ miał zamiar się przyznać? I że w istocie spotkała się pani z nim i z mecenas Borg w pani pokoju w komendzie?

Billy T. już od dłuższej chwili niespokojnie wiercił się na krześle. Teraz sięgnął po długopis i nagryzmolił coś w notatniku. Podsunął go pani prokurator. Szybko przeczytała tych kilka słów, odwróciła się do niego szybko i szepnęła:

– To Karen Borg zaczęła. – Machnęła notatką służbową i ciągnęła: – Czy może podejrzany skłamał i nie chciał się przyznać?

Hanne przełknęła ślinę. Poczowała pieczenie w gardle i szum w uszach. Znów ogarnęło ją paraliżujące wrażenie znalezienia się w potrzasku. Była spętana, straciła kontrolę. Czuła mrowienie w koniuszkach palców i zorientowała się, że w milczeniu im się przygląda. Na moment stanął jej przed oczami jej stary ojciec, ów daleki mężczyzna, który zabawiał starsze rodzeństwo Hanne odczytywaniem fragmentów z dziennika sądowego po obiedzie, a który później nie wybaczył Hanne, że nie chciała studiować prawa. Widziała jego oczy przez lekką mgłę pary unoszącej się z filiżanki z kawą, niebieskie, twarde i pełne rozczarowania dziewczynką, która siedziała z nogami na kanapie i nie chciała słuchać. Hanne przyglądała się własnym palcom i myślała o tym, że wkrótce będzie miała czterdzieści lat i w ciągu ostatnich dwudziestu nie poświęciła prawie ani jednej minuty na myślenie o dwudziestu pierwszych.

– Podejrzany był zrozpaczony – odezwała się wreszcie, prostując się. – Chciał sprawdzić, jakie są możliwości zastosowania środków zastępczych do tymczasowego aresztowania. Absolutnie nie przyznał się do winy. Można powiedzieć, że sondował teren. Z tego, co zrozumiałam, przedstawił jedynie hipotezę. Czy gdyby się przyznał, to mógłby zostać zwolniony z aresztu.

Mniej więcej coś takiego.

„DOSYĆ!!!” – kartka z wielkimi literami wylądowała z głośnym plaśnięciem przed Annmari Skar. Dodatkowo Billy T. złapał panią prokurator za ramię i mocno uściśnął.

Podziałało.

– Dziękuję – powiedziała i z przymusem uśmiechnęła się do sędziego.

Hanne Wilhelmsen zabrała kurtkę z metalowego wieszaka i wyszła z sali. Kiedy drzwi trzasnęły, nie wiedziała, wobec kogo odczuwa większą pogardę: Karen Borg, Annmari Skar czy ogólnie wszystkich prawników.

Billy T. był równie wzburzony. Najpierw wydawało mu się, że to Hanne zdradziła. Potem, że Karen. A na koniec prokurator policji, na którą zaledwie godzinę wcześniej miał wręcz ochotę. Cały się trząsał i źle się czuł.

Prawnicy są próżni, zawsze o tym wiedział. Często się z nich naśmiewał, z tych poprzebieranych w togi, zadzierających nosa ważniaków i wszechwiedzących rycerzy z dworu bogini sprawiedliwości. Nigdy nie potrafili się opamiętać. Gdy tylko zwietrzyli coś, co mogło przypominać klęskę, atakowali, bez względu na koszty. Chodziło o to, żeby odparować cios. Strzelać na oślep. Pokazać się. A teraz to się odbiło na Hanne.

Billy T. przy najlepszej woli nie mógł zrozumieć, co obie strony mogłyby wygrać dzięki zeznaniom Hanne. Nikt nic by nie zyskał i nikt nic by nie stracił. Z wyjątkiem Hanne.

Musiała się czuć okropnie.

Złożył ręce, głównie po to, żeby coś z nimi zrobić. Kiedy Annmari Skar poprosiła, żeby poszedł razem z nią na posiedzenie, by ją wspomóc w orientowaniu się w obszernych aktach sprawy, oczywiście się zgodził.

– Nigdy więcej – syknął teraz cicho do siebie.

Dalsza procedura przyniosła niewiele nowego i nic, co mogłoby kogokolwiek zaskoczyć.

– Sąd stwierdza, że istnieją uzasadnione powody, by Sigurda Haralda Halvorsruda podejrzewać o popełnienie czynu określonego w paragrafie

dwieście trzydzieści trzy ustęp drugi Kodeksu karnego, opisanego w postanowieniu o przedstawieniu zarzutów. – Sędzia Bugge dyktował powoli i kontrolował tekst na monitorze umieszczonym w blacie stołu znajdującego się przed nim, a palce protokolanta rytmicznie biegały po klawiaturze. – Sąd powołuje się na policyjne akta sprawy, dokumenty o numerach dwa-dwa do dwa-dziewięć, z których wynika, że podejrzany został zatrzymany w swoim miejscu zamieszkania, gdzie dokonano zabójstwa jego żony Doris Flo Halvorsrud poprzez oddzielenie jej głowy od ciała lub uprzednie zadanie ciosu w tył głowy. Sąd w szczególności powołuje się na fakt, iż odciski palców podejrzanego znaleziono na mieczu, który najprawdopodobniej został użyty do popełnienia przestępstwa. Ponadto Sąd bierze pod uwagę, chociaż nie w stopniu decydującym, fakt, iż podejrzany nie powiadomił policji bezpośrednio po tym, jak doszło do przestępstwa. Sąd uznaje również za stosowne wzięcie pod uwagę faktu, iż troje wspólnych dzieci podejrzanego i ofiary było poza domem, gdy dokonano zabójstwa, a nieobecność ta przynajmniej w wypadku dwojga z nich wyniknęła z inicjatywy podejrzanego.

Annemari Skar nieznacznie odchyliła się na krześle. Billy T. usłyszał lekkie westchnienie. Wygrała. Zerknął na Halvorsruda, który siedział nieruchomo od chwili, gdy zakończyło się jego przesłuchanie.

– Sąd pragnie jednak podkreślić, iż nie uważa, aby te podejrzenia były szczególnie mocne – ciągnął sędzia Bugge. – Szczególny nacisk Sąd kładzie na fakt, iż policja do tej pory nie potrafiła wskazać logicznego motywu zbrodni. Sąd powołuje się na dokumenty oznaczone w policyjnych aktach sprawy numerami... – urwał na chwilę i przełożył kilka kartek

– ...siedem-jeden do siedem-siedem, opisujące szereg oderwanych od siebie faktów, które jakoby umacniają teorię mówiącą, że podejrzany miałby otrzymywać korzyści majątkowe za dokonywanie sprzecznych z prawem czynności na stanowisku prokuratora okręgowego. Sąd pragnie zauważyć, iż fakty te wiążą się w stopniu tak niewielkim, iż nie można im przypisać

należytej wagi. Sąd w szczególności wskazuje na to, iż policji do tej pory nie udało się odkryć żadnych nieprawidłowości w finansach podejrzanego z wyjątkiem stu tysięcy koron znalezionych w apteczce w piwnicy we wspólnym domu podejrzanego i ofiary. Podejrzany zaprzeczył posiadaniu jakiegokolwiek wiedzy na temat tych pieniędzy, na banknotach nie znaleziono też jego odcisków palców. Fakt, iż odciski palców podejrzanego znajdują się na torebce, w której znaleziono pieniądze, może być wynikiem zbiegu okoliczności, i Sąd nie bierze go pod uwagę.

AnnMari Skar zaczęła kiwać stopą. Zerknęła na Billy'ego T. i na jej czole zarysowały się dwie wąskie zmarszczki.

– Ponadto Sąd wskazuje, że żadnych nieprawidłowości nie stwierdzono u którejkolwiek z czterech osób opisywanych na dyskietkach znalezionych razem z wymienioną powyżej kwotą. Sąd jest zdumiony tym, iż policja nie sprawdziła staranniej tego punktu. Sądowi przedłożono jedynie... Nie, to ostatnie proszę skreślić. – Sędzia Bugge wsunął palec do ucha i mocno się podrapał. Protokolant spełnił jego życzenie i Bugge ciągnął: – Sąd zauważa, że każdą z osób, która według teorii policji miała zapłacić podejrzanemu za umorzenie swojej sprawy, przesłuchano tylko raz. Wszystkie osoby zamieszane w sprawę zaprzeczają jakiegokolwiek styczności z podejrzanym oprócz tego, co jest normalnym następstwem tego rodzaju czynności śledczych. Policja na razie nie przedstawiła Sądowi żadnych podstaw, które kazałyby podawać w wątpliwość twierdzenia tych świadków. Ponadto Sąd nie widzi powodu, by decydującą wagę przykładać do zeznań świadka pochodzenia tureckiego o tym, że podejrzany jesienią ubiegłego roku miał do niego telefonować z ofertą pomocy przy umorzeniu sprawy karnej. Sąd nie podaje w wątpliwość wiarygodności świadka, nie uważa jednak, by dobrze wykształcony prawnik i doświadczony prokurator miał podawać własne imię i nazwisko, telefonując do kogoś w takiej sprawie. Sąd nie może wykluczyć, że to ktoś inny pragnął przedstawić podejrzanego w złym świetle i dlatego przeprowadził tę rozmowę. Uwagi policji o tym, jakoby podejrzany

niał... – szukał właściwego słowa, głośno cmokając – ...manipulować przy komputerze ofiary, Sąd uznaje za czyste spekulacje.

Sędzia Bugge mocno odkaszlnął i sięgnął po plastikowy kubek z wodą. Opróżnił go jednym łykiem, znów chrząknął i podjął, intensywnie wpatrując się w słowa pojawiające się na monitorze zaledwie kilka sekund po tym, jak je wypowiadał.

– Sąd zauważa, że również policja nie wyklucza, iż podejrzany może mówić prawdę, kiedy twierdzi, że zabójstwa jego żony miał dokonać niejaki Ståle Salvesen. Sąd wyraża zadowolenie z faktu, iż ta hipoteza jest dalej badana, zważywszy w szczególności na fakt nieodnalezienia zwłok Stålega Salvesena.

Billy T. zauważył, że Halvorsrud nakrył dłonią oczy. Barki leciuteńko mu drżały, jakby płakał. Karen Borg wydawała się spięta. Nieustannie poruszała nosem jak królik, co rozśmieszyło Billy’ego T. mimo tak ostrej krytyki pracy policyjnej.

– W każdym razie stwierdził, że istnieją uzasadnione powody do podejrzeń – szepnęła Annmari Skar. – Dzięki Bogu za to.

– Wstrzymaj się z tymi podziękowaniami – mruknął Billy T.

– Sąd przy zachowaniu dużych wątpliwości stwierdza, iż wciąż istnieje niebezpieczeństwo zatarcia dowodów, gdyby podejrzany został teraz zwolniony – ciągnął sędzia Bugge ochryplym, monotonnym głosem. –

Szczególnie istotne jest to dla tej części śledztwa, które wciąż należy przeprowadzić w związku z podejrzeniami o korupcję. Natomiast jeśli chodzi o okoliczności związane z samym zabójstwem, Sąd zakłada, że wszystkie dowody zostały zabezpieczone przed wszelkimi wpływami czy manipulacją.

– Yes! – Annmari Skar uformowała słowo samymi tylko wargami, nachyliła się do Billy’ego T. i szepnęła mu do ucha: – Mamy go!

Billy T. się odsunął.

– Warunki zastosowania aresztu tymczasowego określone w paragrafie

sto siedemdziesiąt jeden Kodeksu postępowania karnego są zatem spełnione. Jednakże...

Po raz pierwszy sędzia oderwał oczy od monitora. Przebiegł wzrokiem od Karen Borg do Annmari Skar, aż w końcu zatrzymał się na Halvorsrudzie, który wciąż zasłaniał twarz prawą ręką.

– Proszę skreślić „jednakże” – nakazał sędzia Bugge – i napisać tak: Podejrzany złożył wniosek o zmianę środka zapobiegawczego na podstawie paragrafu sto osiemdziesiąt cztery ustęp piąty w związku z paragrafem sto siedemdziesiąt cztery Kodeksu postępowania karnego. Sąd pragnie zauważyć: Udowodniono, że córka podejrzanego, Thea Flo Halvorsrud, urodzona dziesiątego lutego 1983 roku, jest poważnie chora. Z zaświadczenia lekarskiego podpisanego przez ordynatora oddziału psychiatrycznego profesora doktora medycyny Øysteina Glücka ze Szpitala Ullevål z dnia dwudziestego drugiego marca 1999 wynika, że Thea od blisko trzech tygodni nie przyjmuje pokarmów. W ostatnim tygodniu przeszła załamanie psychotyczne i została poddana przymusowemu leczeniu. Przypuszcza się, iż chorobę wywołała trauma związana ze śmiercią matki oraz aresztowaniem ojca. Profesor Glück podkreśla, iż dla dziecka najlepsze będzie bez wątpienia... – Sędzia postukał krótkim palcem w monitor. – Proszę skreślić „bez wątpienia”. – Przełknął ślinę, znów cmoknął i ciągnął: – ...będzie przebywanie z ojcem. W przeciwnym razie zarówno psychiczne, jak i fizyczne zdrowie dziewczynki będą zagrożone.

Halvorsrud uniósł głowę. Wpatrywał się teraz w sędziego z półotwartymi ustami. Dłonie ułożył płasko na stole przed sobą. Billy T. widział, że jego najmniejszy lewy palec drży.

– Podejrzany podniósł, iż również jego stan fizyczny przemawia za zwolnieniem go w zamian za nałożenie na niego dozoru policyjnego lub innej formy środka zapobiegawczego zastępczej wobec aresztu tymczasowego. Sąd nie stwierdza, aby wrzód żołądka, który przynajmniej częściowo jest zapewne wynikiem aresztowania, stawiał podejrzanego

w innej sytuacji niż wszystkie pozostałe osoby, które muszą godzić się z aresztowaniem. Sąd przyjmuje, że podejrzany ma w okresie aresztowania należytą opiekę medyczną. Stan córki podejrzanego jest jednak na tyle poważny, że w powiązaniu z pozostałymi okolicznościami sprawy przemawia za zwolnieniem. Wobec powyższego Sąd nie widzi powodów, by zagłębiać się w powołane zamiennie przez policję odniesienie do paragrafu sto siedemdziesiąt dwa Kodeksu postępowania karnego.

– Co takiego? – Annmari Skar przeciągnęła prawą ręką przez włosy, a lewą złapała się za brodę. Przez moment wpatrywała się w Billy’ego T., po czym głośno zamknęła usta.

Sędzia Bugge nie skomentował jej krzyku i poprzestał jedynie na szerokim uśmiechu. Przeglądając leżące przed nim akta, podjął:

– Środki zapobiegawcze alternatywne wobec tymczasowego aresztowania określone w paragrafie sto osiemdziesiąt osiem Kodeksu postępowania karnego Sąd uznaje za wystarczające. Konkluzja. Sigurd Harald Halvorsrud zostanie zwolniony z aresztu, ale będzie miał obowiązek codziennego zgłaszania się na najbliższy posterunek policji. Ponadto policja zatrzyma paszport podejrzanego. Pani prokurator Skar?

Sędzia Bugge uśmiechnął się do oskarżyciel, a jego uśmiech był równie absurdalny jak reszta jego postaci. Wilgotny grymas kącików ust odsłaniających kły sprawił, że małe oczka całkiem zniknęły wśród wałków na czole.

– Policja składa zażalenie – oświadczyła głośno Annmari Skar. – Poza tym wnoszę o nadanie zażaleniu skutku wstrzymującego.

Uśmiech sędziego zniknął. Bugge znieruchomiał, jakby zamarzył z rękami pełnymi kartek i spojrzeniem sztywno wbitym w prokurator policji.

– Szanowna pani prokurator – powiedział nagle, kiedy tak długa pauza zaczęła już wyglądać dziwnie. – Nie jestem w nastroju, aby się na to zgodzić. Gdyby pani uważnie słuchała, podczas gdy dyktowałem postanowienie, zorientowałaby się pani, że stan córki podejrzanego jest

bardzo zły. Zażalenie z pewnością zostanie rozpatrzone przez sąd okręgowy w najbliższy poniedziałek. Ale ja wolałbym, aby młoda panna Halvorsrud spędziła weekend w domu razem z ojcem. Czy zamierza pani złożyć pismo w tej sprawie?

– Ja...

Annmari Skar była dobrym prokuratorem. W przeciwieństwie do większości innych policjantów, którzy dopiero z upływem lat kończyli studia prawnicze, ona już dawno miała świetny dyplom. Była dokładna i bystra. Jeszcze nigdy nikt nie odmówił jej skutku wstrzymującego. Nawet nie słyszała, by coś takiego mogło się wydarzyć. Skutek wstrzymujący był czystą rutyną: nawet jeśli Sąd nie przychylił się do wniosku policji o przedłużenie aresztowania, podejrzany i tak dalej siedział w areszcie, dopóki sąd okręgowy nie wyraził swojego stanowiska.

Ale akurat teraz, w tej chwili, w to piątkowe popołudnie pod koniec marca, kiedy dochodziło już w pół do trzeciej, Annmari Skar za skarby świata nie mogła sobie przypomnieć, na jaki przepis prawa mogłaby się powołać. Czy może złożyć zażalenie na postanowienie o odmowie nadania zażaleniu skutku wstrzymującego?

Gorączkowo przerzucała stronicę zbioru ustaw. Dłonie jej drżały, a kiedy doszła do Kodeksu postępowania karnego, cieniutki papier się porwał. Poczula, że coś uciska ją w gardle. Oddychała z wysiłkiem, palce biegały w górę i w dół po kolejnych stronicach, ale literki były maleńkie i nie chciały jej pomagać. Niczego nie znalazła.

– Zamykam posiedzenie Sądu.

Młotek sędziowski uderzył w stół i sędzia Bugge, kulejąc, wyszedł tylnymi drzwiami.

– On to zrobił. Naprawdę – rozległ się głos Halvorsruda. – On mnie wypuścił! – Prokurator okręgowy z niedowierzaniem patrzył na swoją adwokatkę.

– To prawda – powiedziała Karen Borg cicho. – Możesz wracać

do domu. Możecie wracać oboje, i ty, i Thea.

Część II

1

Po raz pierwszy od wiosny 1945 roku Norwegia była w stanie wojny. NATO wprowadziło swoje groźby w czyn. Serbskie oddziały Slobodana Miloševicia miały zostać usunięte z Kosowa siłą. Zdecydowano, że czystki etniczne, które do tej pory kosztowały życie wielu tysięcy kosowskich Albańczyków, a ćwierć miliona z nich uczyniły bezdomnymi, należy powstrzymać. Norwegia zaangażowała się w te działania.

To się nie mieściło w głowie. Była noc z soboty na niedzielę, dwudziesty ósmy marca 1999 roku, a Evald Bromo nigdzie nie widział oznak żadnego nadzwyczajnego zaniepokojenia. Wędrował ulicami Oslo z niedużą paczką wielkości mniej więcej piętnaście na piętnaście centymetrów w torbie, którą niósł pod pachą. Lekka przepychanka przed wejściem do knajpy Gjæstgiveri na Stortorget była jedynym wydarzeniem, które mogło przypominać przemoc. Na ulicach tłoczyli się ludzie, których najwyraźniej nie obchodziła żadna wojna. Wszyscy mieli dość własnych spraw, a najbardziej zależało im na tym, żeby wejść do jakiegoś baru czy klubu, zanim go zamkną.

Evald jeszcze nie otworzył przesyłki.

To mogło być coś najzupełniej niewinnego. Jednocześnie miał pewność, że pochodzi od Twarzy Pokerzysty – terrorysty e-mailowego. Sam nie wiedział, skąd to wie. Jakby kazało mu tak myśleć coś w neutralnym charakterze pisma, w szarobrązowym, pozbawionym indywidualnych cech papierze. W sposobie, w jaki przylepiono znaczek w rogu, pod kątem prostym, w takiej samej odległości od góry koperty, jak i od jej boku. Świadczyło to o tym, że osoba, która przygotowała paczkę, zajęła się nią z dużą starannością. Ale nie zamieściła adresu nadawcy.

To musiała być Twarz Pokerzysty.

Dopóki przesyłka była zamknięta, mógł mieć nadzieję, że jej zawartość

jest całkiem niewinna. Może to reklama, a bezosobowe opakowanie miało na celu jedynie nakłonienie go, żeby zajrzał do środka, zamiast wyrzucić całość prosto do śmieci, do których trafiały wszystkie kolorowe przesyłki bez otwarcia i bez czytania.

Na Grensen wolno przejechała obok niego piracka taksówka z dwójką ciemnoskórych młodych ludzi. Przyspieszył lekko, żeby okazać brak zainteresowania. Jakaś młoda kobieta zmierzyła go wzrokiem, kiedy upuścił paczkę i błyskawicznie pochylił się, żeby ją podnieść. Nie patrzył jej w oczy, tylko ciasniej owinął się kurtką i ze wzrokiem wbitym w ziemię potruchtał dalej.

W redakcji „Aftenposten” mimo sobotniej nocy kręciło się za dużo ludzi. Oczywiście przez ten kryzys w Kosowie. Wszędzie ich było pełno. W ciągu dnia napisał tekst o wpływie wojny na światowe giełdy. Artykuł był niedbały i prosty. Sekretarz redakcji pokręcił głową, w oczywisty sposób dając do zrozumienia, że nie da się go wykorzystać.

Przeklęta wojna.

Evald Bromo opuścił redakcję dziesięć minut po przyjściu. Zamierzał otworzyć paczkę w spokoju przy własnym biurku. Ale spokoju nie było nigdzie.

Przeklęta wojna.

Mógł znaleźć jakąś kawiarnię, może pub, w którym usiadłby cicho w kącie, w samotności. Ale nie było cichych i spokojnych pubów, nie o drugiej w sobotnią noc.

Odruchowo ruszył w górę Akersgata. Z okien siódmego i najwyższego piętra budynku rządowego biło zielonkawe światło. Minister sprawiedliwości i premier najwyraźniej wciąż pracowali.

Przeklęta, cholerna wojna.

Evald Bromo skręcił w prawo za wjazdem do tunelu Ibsena. Kiedy minął bibliotekę Deichmana, nie miał już sił. Czuł, że puls niebezpiecznie mu przyspieszył, chociaż wcale nie biegł, przeciwnie, od wyjścia z redakcji

szedł coraz wolniej. W końcu, nie podejmując właściwie żadnej decyzji, przysiadł na murowanych schodach. Chłód od razu zaczął pełznąć mu po plecach i przeszedł go dreszcz. Rozerwał opakowanie.

W środku leżała płyta CD.

Jakaś muzyka?

Evald Bromo poczuł gwałtowną ulgę. Była jak odurzenie. W głowie zrobiło się lekko i ciepło, wzrok się zamglił, a oddech spłycił. Ktoś przysłał mu CD. Okładka była co prawda całkiem biała, ale kiedy otworzył pudełko, zobaczył zwyczajną płytę. Tak jak się tego spodziewał.

I złożoną kartkę.

Przez kilka sekund trzymał ją w ręce, a potem powoli rozłożył. Pełno na niej było maleńkich literek. Mocno zamrugał, aby móc przeczytać to, co napisano w gęstych liniijkach.

Kiedy przeczytał już długi list dwukrotnie, powolnym ruchem znów złożył kartkę. Trochę się namęczył, zanim wcisnął ją w ciasną okładkę, ale jakoś poszło. Przez ponad pół godziny siedział na schodach budynku starej głównej biblioteki w Oslo. Siedział sam. Zostawiono go w spokoju. Nawet czterech dwudziestolatków poświęciło mu nie więcej niż jedno spojrzenie i jakiś paskudny komentarz, kiedy mijali go, hałasując i pokrzykując. Evald Bromo zamknął oczy. Treść listu była tak zaskakująca, tak sensacyjna i tak katastrofalna, że z wielu powodów poczuł coś na kształt ulgi.

Wstał powoli, schował płytę głęboko do wewnętrznej kieszeni skórzanej kurtki, zaczerpnął głęboko powietrza i poczuł, że jest już na krańcu drogi. Wiedział, co musi zrobić. Musi trochę się pozbierać, a potem, może za jakieś dwa dni, porozmawiać z Kaiem.

Kai będzie mógł mu pomóc.

Kai pomagał mu już wcześniej i powinien wiedzieć, co Evald Bromo ma zrobić z informacjami, które otrzymał.

2

– Wizytówka jest śliczna – uśmiechnęła się Cecilie.

Hanne zawstydzona wzruszyła ramionami.

– Trochę głupio wygląda z tą otoczką jaśniejszego drewna – powiedziała. – Tamta stara była ciut większa od nowej. Powinnam ją była zmierzyć, kiedy zamawiałam.

„Cecilie Vibe & Hanne Wilhelmsen” – głosiła teraz mosiężna tabliczka przykręcona na drzwiach wejściowych. Hanne bała się, że Cecilie jej nie zauważyła, bo ani słowem jej nie skomentowała, a przecież wróciła do domu ze szpitala już cztery dni temu.

– O czym myślisz? – spytała Cecilie.

Rano wyszły na krótki spacer po okolicy. Cecilie była zmęczona i niewiele się odzywała, ale wspierała się na Hanne i wzięła ją za rękę, kiedy po dwudziestu minutach miały wejść na górę po niewygodnych schodach. Teraz leżała na kanapie z łydkami nakrytymi kocem i z kubkiem herbaty w ręku. Hanne siedziała w fotelu naprzeciwko i obracała w palcach jabłko.

– O wizytówce na drzwiach – odparła Hanne.

– Naprawdę ładna. Stylowa. I czcionka elegancka.

– Nie o naszej. O tej, którą mieliśmy w domu, u rodziców.

Cecilie spróbowała odstawić kubek na stolik. Ręka jej zadrżała i wszystko wylało się na dywan. Hanne poszła do kuchni po papierowy ręcznik. Kiedy wróciła, stanęła z rolką w dłoni i zmrużyła oczy w blasku słońca, który przedzierał się przez szpary w markizach na balkonie.

– Mnie na niej nie było, chociaż imiona moich rodziców i rodzeństwa tak. Na samej górze ojciec, pod spodem mama, a na dole Inger i Kaare, mniejszymi literami. O mnie w ogóle nie wspomniano.

– Ale... mieszkałaś tam wtedy?

– Tak. Ale byłam późnym dzieckiem, a tabliczkę zawieszono wcześniej, zanim się urodziłam. Nie było na niej miejsca na żadne nowe imię. Pewnie nikt też nie pomyślał, że powinno się zrobić nową. Dziwne tylko – uklękła i zaczęła gwałtownymi ruchami wycierać herbatę – że nigdy wcześniej o tym nie myślałam. Nie przypominam sobie, żeby w czymś mi to przeszkadzało. To znaczy wtedy. Uświadomiłam to sobie dopiero teraz, kiedy zamawiałam naszą nową wizytówkę, że w zasadzie... to trochę dziwne. – Stęknęła lekko, podnosząc się, i stanęła z mokrym papierem w rękach. Herbatą kapała na dzinsy, ale Hanne nie zwracała na to uwagi. – Dlaczego w ogóle mi to nie przeszkadzało? – zapytała cicho. – Możesz mi wytłumaczyć, dlaczego mi nigdy nie przeszkadzało to, że nie zostałam wymieniona na naszej wizytówce?

– Siadaj. – Cecilie poklepała się po udzie i przycisnęła bardziej do oparcia kanapy.

Hanne popatrzyła na mokry papierowy ręcznik, odłożyła go na talerz z owocami pośrodku stołu i przysiadła na wąskim brzeżku przy biodrach Cecilie.

– Po prostu o tym zapomniałaś – stwierdziła Cecilie. – Zapomniałaś, że sprawiało ci to przykrość.

Nakryła ręką dłoń Hanne. Skóra Cecilie była sucha i ciepła. Hanne splotła palce z jej palcami.

– Wydaje mi się, że nie – powiedziała, kręcąc głową. – Wydaje mi się, że mnie to szczególnie nie bolało. Tak jak wtedy... kiedy zaczęłam szkołę policyjną. Rodzice byli bardzo rozczarowani. To też mi w niczym nie przeszkadzało. A jednak...

Cecilie się roześmiała.

– Kiedy się ma takich rodziców jak ty, profesorów prawa i zoologii, to nic dziwnego, że nie od razu zaakceptowali, że ich córka do końca życia będzie się bawić w policjantów i złodziei. No i przecież w końcu się z tym pogodzili.

– Nie całkiem. Na początku może to było dla nich nawet dość ciekawe, przecież zawsze to ja opowiadałam najzabawniejsze historyjki na obiadach rodzinnych. W pewnym sensie zapewniałam rodzinie alibi, stanowiłam dowód na jej związek z rzeczywistością. Ale teraz... ostatnio...

– Przestałaś już chodzić na rodzinne obiady. Całkowicie. Kiedy właściwie ostatnio się z nimi widziałaś?

Hanne przyciągnęła rękę do siebie.

– Nie rozmawiajmy już o tym – powiedziała i chciała wstać.

Cecilie ją przytrzymała.

– Mnie już nic nie przeszkadza – szepnęła. – Nie ma znaczenia, że nigdy ich nie poznałam. Chcę ciebie. To ciebie wybrałam, nie ich.

– Zostawmy to już.

– Karen dzwoniła wczoraj. – Cecilie wyciągnęła się po pustą filiżankę.

– Okropna jędra! – prychnęła Hanne. – Nigdy więcej nie zamienię z nią słowa.

Wyszła do kuchni i wróciła z miseczką płatków z mlekiem.

– Masz ochotę?

– Nie. Zaprosiła nas do domku w Ula na Wielkanoc. Od piątku do poniedziałku. Zgodziłam się.

Płatki z dżemem wyleciały Hanne z ust i rozsypały się po całym stole.

– Zgodziłaś się? Ty się zgodziłaś? Chociaż wiedziałaś, jaka jestem wściekła na Karen? – Z hałasem odstawiła miseczkę i uderzając się łyżką w kolano, ciągnęła: – Po pierwsze, nie mam ochoty spędzać z Karen Wielkanocy. Być może nigdy. Po drugie, wyjazd do Ula jest dla ciebie zbyt wyczerpujący. Dzieci hałasują, tyle zamieszania. Nie ma mowy!

Cecilie milczała. Poprawiła zsuwający się koc i opadła z powrotem na poduszkę, jakby nagle poczuła się bardzo zmęczona. Twarz miała prawie przezroczystą. Hanne nagle zauważyła pulsowanie w cienkich naczyniach krwionośnych biegnących przez jej skronie.

– Przepraszam. – Odsunęła miseczkę z płatkami. – Nie powinnam się tak

unosić.

– Tak bym chciała pojechać. – Cecilie osłoniła oczy dłonią przed ostrym światłem wpadającym przez okno. – A ty musisz jechać ze mną. To wcale nie będzie za bardzo męczące. Przecież nie mogę tu siedzieć i tylko odpoczywać już do końca... Tak cię proszę, pojedź ze mną.

Hanne podeszła do drzwi balkonowych i zaciągnęła zasłony.

– Lepiej? – spytała.

– O wiele. Pojedziesz?

– Zastanowię się.

Nic więcej nie chciała obiecać.

3

Stąlego Salvesena nie rozpoznałby nikt, nawet gdyby go świetnie znał za życia. Rysy twarzy zniknęły, zmieniły się w sinoszarą napuchniętą maskę. Całe płaty skóry i podskórnego tłuszczu zaczęły się już odrywać, nos przestawał istnieć.

Przez kilka tygodni tkwił na głębokości trzydziestu dwóch metrów, zaczepiony o zapomniany hak w sterówce starego kutra, który poszedł na dno z załogą i całym ładunkiem w pewną zimową noc 1952 roku.

Swoje buty Stąle Salvesen kupił u handlarza starzyzną cztery lata temu. Znakomicie nadawały się jeszcze do użytku, solidne zielone kalosze. Nosił je często. Jeśli nie było za zimno albo za gorąco, stare znoszone kalosze dobrze chroniły przed błotem i wilgocią. Teraz cholewka lewego zaczynała pękać.

Kiedy gwałtowny prąd szarpnął częściowo rozłożonymi zwłokami, hak tkwiący w ścianie sterówki przebił się przez ostatnie milimetry gumy i ciało Stąlego Salvesena powoli zaczęło unosić się na powierzchnię.

4

Sigurd Halvorsrud nie mógł się odnaleźć. Gdy tylko wszedł do domu, poczuł, że musi się stąd wynieść. Nie teraz. Nie w najbliższej przyszłości, ale wkrótce. Jeśli się wywinie. Jeśli nie zostanie skazany.

Cały dom przypominał mu o Doris. Meble, tapety, zasłony i antyki, które kupowali razem na aukcjach w wąskich zaułkach w obcych krajach i w snobistycznych butikach na Frogner – wszystkie te rzeczy, i duże, i małe, nosiły jej niezniszczalny podpis. To było nieznośne. Ze ścian biło oskarżenie. Wszystko, co go otaczało, zdawało się mu grozić. Usiadł w fotelu, spojrzął na fiord Oslo i poczuł coś, co przypominało tęsknotę za pomalowaną na żółto celą aresztu. Tam przynajmniej był tylko on. Zupełnie sam. Tu wszędzie była Doris.

- Tatusiu – usłyszał za plecami i odwrócił głowę.
- Słucham, córeczko?
- Dzisiaj też mogę spać u ciebie w łóżku?

Gołe nogi Thei wystawały spod gigantycznego T-shirtu. Kiedy tak stała w drzwiach, drapiąc się stopą w łydkę drugiej nogi, bez makijażu, z rozpuszczonymi włosami, wydawała się jeszcze młodsza. Patrzył na nią z ulgą. Wczoraj, kiedy znów się spotkali i córka przez kilka godzin nie odrywała od niego wzroku, jej oczy wydawały się prastare. Dziś przy śniadaniu się uśmiechnęła. Nie szeroko i nie ciepło, ale lekkie rozciągnięcie warg naprawdę było znakiem, że idzie ku lepszemu. Sigurda Halvorsruda przeraziła rozmowa, którą odbył z nim doktor Glück, zanim pozwolił mu zobaczyć się z Theą. Córka była naprawdę chora, bardziej, niż to sobie wyobrażał. Chłopcy zgodzili się zostać jeszcze kilka dni u ciotki Very, dopóki Thea się nie uspokoi. Dopóki nie stwierdzą, co z nią będzie.

- Oczywiście, że możesz – odparł miękko. – Przyjdę niedługo. Wzięłaś

swoje leki?

– Mhm. Dobranoc.

Wstał, wyszedł na środek pokoju i otworzył ramiona. Córka przytuliła się do niego. Zanurzyła twarz w wełnianym swetrze, który miał na sobie, bo w salonie było chłodno. Od powrotu do domu nieustannie wietrzył.

– Połóż się spać – poprosił, całując ją w głowę. – Ja niedługo przyjdę.

– Idziesz jutro do pracy?

– Nie, oboje zostajemy w domu. Spędzimy razem naprawdę miły dzień.

Oczywiście nie wiedziała, że został zawieszony w obowiązkach. Sama prawdopodobnie miała już nie chodzić do szkoły w tym roku. Tego też nie przeczuwała.

– No to dobranoc.

Znów ją pocałował.

Kiedy pół godziny później na palcach wchodził na piętro i ostrożnie otwierał drzwi do własnej sypialni, usłyszał równy, głęboki oddech śpiącej szesnastolatki. To leki ją uspiły. Po rozmowie z doktorem Glückiem miał wielkie wątpliwości, czy w ogóle powinien zabierać ją ze szpitala, ale psychiatra był przekonany, że dla Thei najlepszy będzie powrót do domu. Razem z tatą.

Cicho zamknął drzwi.

Zszedł na dół, znalazł w schowku starą olejowaną kurtkę przeciwdeszczową, na głowę wciągnął wełnianą czapkę i mocno ściskając pęk kluczy w ręku, żeby nie zabręczały, otworzył zewnętrzne drzwi.

Światło kutych lamp na podjeździe umożliwiało zajrzenie w ciemność przy garażu i dalej pod ciężkie dęby na granicy posesji. To Doris chciała, żeby tak było. Nie lubiła ciemności. Sigurd Halvorsrud stał przez kilka minut. Widział jedynie pręgowanego kota, który spacerował po trawniku, przyglądając mu się arogancko świecącymi oczami. Z daleka dobiegał szum miasta, ale nigdzie nie było widać żywej duszy. Zamknął drzwi za sobą, przekręcił klucz i zszedł na drogę. Trzydzieści metrów dalej na łagodnie

wznoszącej się ulicy parkowały dwa samochody, ale oba znał. Należały do Pettersena, który przebudowywał garaż i musiał trzymać auta na zewnątrz.

Wsiadł do własnego opla omegi, przekręcił kluczyk w stacyjce i powoli ruszył po podjeździe.

Nie wróci do więzienia. Zadba o to, żeby nie zostać skazanym.

Zatrzymał się zaledwie sto metrów dalej. Na podjeździe u Ruuda stał radiowóz. To mógł być przypadek. W samochodzie nie dostrzegł nikogo. Mimo to zwolnił, stanął i pojechał z powrotem do własnego garażu. Zamknął samochód i wrócił do domu.

Wciąż mógł czekać.

5

Nareszcie urządzono coś, co przy dobrej woli dało się nazwać centrum dowodzenia. Brak wolnych pokoi w budynku policji był dokuczliwy. Do tej pory Hanne Wilhelmsen uważała, że poradzą sobie bez wspólnego pomieszczenia, ale teraz mieli zwolnionego podejrzanego, dziwne ślady prowadzące w różnych kierunkach, a do aktu oskarżenia dalej niż kiedykolwiek od znalezienia zwłok Doris Flo Halvorsrud. Sąd Okręgowy Borgarting powiedział, co miał do powiedzenia, i Halvorsrud przynajmniej na razie mógł cieszyć się wolnością.

Komendant okręgowy policji był świeżo ogolony i miał mało twarzowy kawałek papieru toaletowego przyklejony do brody kropelką krwi.

– Trenowałem trochę przed lunchem – wyjaśnił przepraszająco. – Później się goliłem i trochę za bardzo mi się spieszyło.

Hanne Wilhelmsen usiadła u szczytu stołu w podłużnym, pozbawionym okien pomieszczeniu. Za sobą miała czystą tablicę z kartkami. Bawiła się dwoma flamastrami, czekając, aż wszyscy usiądą.

– Gazety w weekend miały niezły bal – stwierdził Erik Henriksen głośno. – Ze wszystkich stron same drwiny. „VG” i „Dagbladet” jadą na dwóch koniach. Po pierwsze, mamy teraz jeden z tak częstych ostatnio „skandali policyjnych”...

– ...a poza tym skandalem jest, że prokuratora okręgowego zwolniono z aresztu – dokończyła Karianne Holbeck, popijając colę light z plastikowego kubka. – Powinni się zdecydować. Albo naprawdę zrobiliśmy złą robotę, albo punkt widzenia zależy od punktu siedzenia.

– Gazety i tak wrzeszczą, bez względu na wszystko – ziewnął Karl Sommarøy.

Ostatni przyszedł naczelnik wydziału. Głęboka bruzda na czole miała

na nim zostać już chyba na zawsze. Popatrzył na Hanne i położył dłonie przed sobą na stole.

– Jest nas teraz łącznie dwanaścioro śledczych – zaczęła Hanne.

– Celem tego zebrania jest podsumowanie, na czym stoimy, i rozdzielenie zadań na najbliższe dni. Miałam... – Poprawiła nietwarzową spinkę, której musiała zacząć używać, żeby cokolwiek widzieć.

Billy T. zaśmiał się bez cienia skrępowania.

– Śliczna rzecz – skomentował.

Hanne udała, że go nie słyszy.

– Według mnie wiele możemy się nauczyć z postanowienia wydanego przez Sąd Miejski.

W pokoju rozległ się niezadowolony pomruk. Hanne podniosła głos.

– Sędzia Bugge wskazał na szereg słabych punktów w dotychczasowym śledztwie. Musimy skoncentrować się na trzech głównych liniach. – Wstała, zdjęła zatyczkę z niebieskiego flamastra i zaczęła nim pisać na tablicy. – A: wątek korupcji. Na czym stoimy, Erik?

Erik Henriksen wychylił się i wbił oczy w plamę na stole.

– Informatycy z Økokrim pomogli nam zbadać służbowy komputer Halvorsruda. Nie ma w nim nic interesującego. Byli bardzo skrupulatni, szukali usuniętych plików i tego typu rzeczy. Nic. – Uniósł wzrok. – Poza tym wezwałem te cztery osoby wymienione na dyskietkach na ponowne przesłuchanie. Ale, szczerze mówiąc, nie wierzę... – Gwałtownie podrapał się w ognieście rude włosy. – Cholera, nie wygląda to dobrze. Sam prowadziłem poprzednie przesłuchania i albo wszyscy czterej są tak świetnymi aktorami, albo po prostu mówią prawdę. Poza tym okazało się, że do tego twojego znajomka, do tego Turka, dzwoniło z budki telefonicznej na Olav Ryes Plass. Za pierwszym i za drugim razem. Innymi słowy, ten, kto dzwonił, stał o rzut kamieniem od sklepu Özdemir Import. Zaczynam sądzić, że cała ta sprawa korupcji...

– Starajmy się na razie nic nie sądzić – przerwała mu Hanne. – Ty, Petter

i Karianne dalej będziecie w tym grzebać.

– To nie jest takie cholernie proste – mruknął Erik tak cicho, że usłyszała go jedynie siedząca obok Karianne Holbeck.

Uśmiechnęła się i z rezygnacją uniosła brwi, nie patrząc na panią komisarz u szczytu stołu. Hanne demonstracyjnie westchnęła.

– Czy te pieniądze z apteczki stanowią jakiś ślad? Wiemy na ich temat cokolwiek?

– Nie – odparł Erik ponuro. – Nic poza tym, że na całą kwotę składają się używane banknoty, z których najstarsze pochodzą z roku dziewięćdziesiątego trzeciego. Stare i zużyte. Jest na nich zylard nieistotnych odcisków.

– B: Ståle Salvesen. – Hanne dopisała nazwisko na tablicy. – Coś nowego?

Karl Sommarøy chrząknął.

– Absolutnie nic. Odbyłem ponowną rozmowę z jego synem, ale nie wyniknęło z niej nic, o czym byśmy nie wiedzieli z pierwszego przesłuchania. Facet był jeszcze bardziej rozzłoszczony. Poza tym sprawdziłem u operatora, czy można się dowiedzieć, o jaki numer Salvesen pytał podczas swojej ostatniej rozmowy z informacją telefoniczną. Jest taka szansa, jeżeli poprosi się o bezpośrednie przełączenie na ten numer, inaczej się nie da. Poza wszystkim uruchomienie takiego sprawdzania to niezła męka. No i potrzebny jest do tego nakaz sądowy. Czy to jest aż takie ważne?

– A zwłoki oczywiście się nie pojawiły? – spytała Hanne, nie odpowiadając na pytanie.

– Nie.

Zapadła cisza. Komendant zdjął kawałek papieru toaletowego z brody, zwinął go w kulkę i schował do kieszeni. Naczelnik wydziału wlepił oczy w Hanne, która stała nieruchomo ze spojrzeniem tak nieobecny, jakby w gruncie rzeczy uważała, że całe to przedstawienie nie jest ani trochę interesujące. Karl Sommarøy częstował pastylkami na gardło osoby siedzącej

w pobliżu.

– C – oświadczyła Hanne nagle. – Wątek C to wszystkie inne wątki. Motyw zabójstwa Doris Halvorsrud może się kryć zupełnie gdzie indziej, niż dotychczas szukaliśmy.

– A może jakaś kombinacja? – zasugerował cicho naczelnik.

Wszyscy wbili wzrok w stół. Ciemnobrązowe oczy naczelnika pod gęstymi czarnymi brwiami wciąż nie odrywały się od Hanne.

– Kombinacja – powtórzyła Hanne i zamknęła flamaster.

– Tak. Załóżmy, że Halvorsrud nie zabił żony. Dotychczas nie słyszeliśmy o nikim, kto chciałby mu zaszkodzić. Z wyjątkiem Salvesena. Być może.

– Przecież to sprawa sprzed prawie dziesięciu lat – pokręcił głową Billy T. – Wszyscy, którzy pracują w policji i prokuraturze, mają tak zwanych wrogów. Łotry i bandyci nienawidzą nas serdecznie za to, że wsadzamy ich za kratki. Prawie nigdy jednak się nie mszczą. A już na pewno nie po dziesięciu latach!

– To prawda – przyznał naczelnik cierpliwie. – Ale jeżeli jesteśmy zgodni co do tego, że te rozmaite tropy korupcyjne...

Wstał i przeszedł za plecami pięciorga śledczych siedzących po tej stronie stołu co Billy T. Wyciągnął rękę do Hanne po flamaster. Przerzucił kartkę na tablicy i zaczął pisać.

– Punkt 1. Telefon do Özdemira. Punkt 2. Pieniądze w apteczce w piwnicy. Punkt 3. Dyskietki zawierające szczegółowe, ale mało „policyjne” opracowania czterech umorzonych spraw. – Odwrócił się do pozostałych. – Z których przynajmniej dwie to bardzo wątpliwe umorzenia. Mimo to... – Zmarszczka między oczami jeszcze bardziej się pogłębiła. – Punkt 4. Niewytłumaczalnie nowy twardy dysk na komputerze żony. – Obrócił flamaster w placach i pobrudził się niebieskim tuszem. –

I co to jest? – spytał, śląc wyzywające spojrzenie Hanne, która stała z założonymi rękami, słuchając go z kamienną twarzą.

– Amatorszczyzna – powiedziała cicho. – Już z daleka cuchnie montażem. – Nabrała powietrza i zaczęła wskazywać na kolejne punkty na kartce. – Telefon: nieprawdopodobne, żeby naprawdę dzwonił Halvorsrud. Pieniądze w piwnicy? – Zawahała się z palcem na dwójce. – Halvorsrud jest bystry. Kiedy do nas dzwonił, musiał wiedzieć, że przewrócimy dom do góry nogami. Dyskietki... – Znów wstrzymała oddech i potarła policzek. – Jeśli o nie chodzi, to nic nie rozumiem. A komputer Doris w ogóle nie musi mieć żadnego znaczenia.

– A co z papierami rozwodowymi? – spytała Karianne.

Hanne przekonała się już, że młoda policjantka czerwieni się na okrągło.

– Dlaczego nam o nich nie powiedział?

Hanne wolno kiwnęła głową.

– Masz rację. Punkt dla ciebie. Ale czy oni wszyscy nie są właśnie tacy? Czy każdy z nas nie musiał się niepotrzebnie namęczyć, ponieważ świadkowie i podejrzani wolą kłamać albo milczeć, żeby nie mówić o rzeczach nieprzyjemnych?

Karianne wzruszyła jednym ramieniem i spuściła wzrok.

– Ale – zaczął Billy T. – co właściwie miałeś na myśli, mówiąc, że to może być kombinacja wątków?

Naczelnik wydziału z pudełka wyjętego z kieszeni obcisłych dżinsów wyciągnął zapalną i wsunął ją do ust.

– Że Ståle Salvesen nie umarł. Że on to wszystko zmontował. I że istnieją inne elementy, o których nie wiemy. Innymi słowy... – Cofnął kartkę do pierwotnej listy sporządzonej przez Hanne. – A, B, a zwłaszcza C, czyli wszystko pozostałe. Rzeczy, o których nie wiemy.

– No oczywiście – przyznał Billy T. – Ale tę tezę można poszerzyć jeszcze bardziej... – Roześmiał się i pociągnął za wąsy. – A jeśli chodzi właśnie o to, żeby to wyglądało na montaż? Może morderca siedzi gdzieś i zielenieje ze złości, że policja jeszcze tego nie odkryła? I może nieźle go rozbawiło zwolnienie Halvorsruda.

– A o co mu chodziło? – spytała Hanne cierpko. – Jeśli mordercą nie jest ani Ståle Salvesen, ani Sigurd Halvorsrud, to musiało chodzić o zrzucenie winy na któregoś z nich.

– No cóż. – Naczelnik wydziału wypluł drzazgę. – Ja niestety muszę iść na następne spotkanie.

Nogi krzesel zaskrzypiały na linoleum, kiedy odsuwano się, by umożliwić mu wyjście. Przy drzwiach jeszcze się odwrócił i intensywnie zapatrzył w tablicę. Przegryzł zapalną, którą wciąż trzymał w ustach, połówkę wypluł na podłogę i powiedział powoli:

– Ze względu na Halvorsruda miejmy nadzieję, że zwłoki Stålego Salvesena nigdy się nie odnajdą. Ze względu na pana prokuratora musimy mieć nadzieję, że takich zwłok w ogóle nie ma. Ja sam nie wiem, co byłoby lepsze. Do widzenia.

Był poniedziałek, dwudziesty dziewiąty marca 1999 roku. Dochodziła trzecia. Hanne Wilhelmsen nagle przypomniała sobie o obietnicy, którą złożyła samej sobie trzy tygodnie temu. Ta sprawa miała zostać rozwiązana.

Dzisiaj.

6

Evald Bromo słyszał o kebabowych szczurach żyjących w krzakach koło fontanny nazywanej Zupą na Gwoździu, ale nigdy tak naprawdę ich nie widział. Stał teraz na chodniku przed Teatrem Narodowym i patrzył, jak wielkie bestie walczą o weekendowe resztki jedzenia, które pijani nocni imprezowicze cisnęli w krzaki. Szare gryzonie rozmiarami przypominały dorastające koty. Na ich widok przeszły go ciarki. Po jakimś czasie przystanek na Roald Amundsens gate zapełnił się taksówkami, które zasłoniły mu żerujące zwierzęta.

Spojrzał na zegarek. Kai się spóźniał. Poza tym Evald powinien odwiedzić matkę. Zazwyczaj zaglądał do domu opieki prawie codziennie, teraz było wtorkowe popołudnie, a on nie widział staruszki od piątku.

Evald Bromo nie pamiętał, kiedy czuł się tak dobrze. Spokój, jaki ogarnął go na schodach biblioteki Deichmana w nocy z soboty na niedzielę, wciąż go nie opuszczał. Wprawdzie Evald chwilami miewał wątpliwości co do podjętej decyzji, ale regularnie się w niej utwierdzał. To pomagało. Oznaczała ona co prawda klęskę, a właściwie koniec wszystkiego, ale to i tak było lepsze od czekania. Ostatnie tygodnie niemal odebrały mu życie. Do pierwszego września wciąż pozostawało pięć miesięcy.

Za wiele. Już teraz, po bezsennych nocach i bezproduktywnych dniach przepełnionych lękiem, wiedział, że wszystko będzie lepsze od dalszego trwania w takim stanie. I bez względu na to, jak to oceniał, wiedział, że tylko takie rozwiązanie jest słuszne. Evald Bromo na chwilę obrócił się w stronę ratusza i poczuł zapach kawy płynący od nabrzeży. Wciągnął go głęboko, usiłując sobie przypomnieć, czy kiedykolwiek był z siebie dumny. Zadowolony, owszem. Był zadowolony, kiedy dostał pracę w „Dagbladet”, jeszcze bardziej się cieszył, kiedy „Aftenposten” niemalże złowiła jego

głowę. Propozycja z „Dagens Næringsliv” pochlebiła mu, a kiedy obudził się dzień po nieudanym ślubie z Margaret śpiącą obok w różowej nocnej koszuli, poczuł coś w rodzaju zadowolenia z dokonanego wyboru. Dumy natomiast nie przypominał sobie, odkąd wszedł w okres dojrzewania i chęć na małe dziewczynki przygniotła go jak ołowiany ciężarek, którego nigdy nie zdołał z siebie zrzucić. Kończąc biegi maratońskie, kiedy już trafił do dziesięcio- czy piętnastoosobowej czołówki krajowej, nigdy nie czuł nic więcej oprócz zadowolenia. Nigdy nie czuł się dumny.

Dopiero teraz. Teraz poczuł, czym jest duma.

Zaszumiało mu od tego w głowie i kazało cofnąć się w pamięci do czasów, kiedy był dzieckiem i niczego nie musiał się wstydić.

Decyzja została podjęta i dzięki niej się trzymał. Zarazem wiedział, że jest za słaby. Nie odważy się zrobić tego bez pomocy. Potrzebował kogoś. Kogoś, kto zrozumie, nie osądzając.

Kai się nadawał. Poza tym pomagał mu już wcześniej. Tamtym razem, gdy Evaldowi Bromo groziło ujawnienie. Było to przed siedmioma laty. Zdołał się wywinąć tylko dzięki Kaiowi. Nie mógł wtedy zrozumieć, dlaczego Kai w ogóle się nim przejmował. Z upływem lat zaczął coś niejasno przeczuwać, ale długo się nad tym nie zastanawiał. Natomiast regularnie i wiernie okazywał swoją wdzięczność. Początkowo były to prezenty i pieniądze, drobne wyrazy sympatii, pielęgnujące lojalność. Z czasem przyjacielskie przysługi. Nigdy nic naprawdę wielkiego, ale na tyle częste, że teraz mogły pojawić się wątpliwości, kto tak naprawdę ma dług wobec kogo.

Evald Bromo lekko machnął ręką na powitanie, kiedy biały ford escort Kaia mrugnął dwa razy długimi światłami i zjechał na bok. Kai wychylił się i otworzył drzwi od strony pasażera.

– Cześć – powiedział wesoło. – Dawno się nie widzieliśmy.

Evald kiwnął głową i zapiął pas.

– Dokąd jedziemy? – spytał, gdy zbliżali się do dzielnicy Storo

i biegnącej tędy obwodnicy.

– Myślałem o Maridalen. Gdzieś tam powinno znaleźć się dobre miejsce na spokojną rozmowę.

– Nie – zaprotestował Evald niezdecydowanie. – Może lepiej pojechać nad Sognsvann?

– Jak chcesz – uśmiechnął się Kai i na rozjeździe skręcił w lewo.

Zanim wjechali na gigantyczny parking przy jeziorze, Evald Bromo już zdążył opowiedzieć całą swoją historię. O e-mailach i o tym, co miało się wydarzyć pierwszego września. O płycie CD i o gęstych linijkach listu. O decyzji, którą podjął, i o tym, dlaczego potrzebuje pomocy.

Kai zaparkował w głębi placu, w miejscu rzadko mijanym przez biegaczy i wycieczkowiczów. Stanęli schowani za samochodem dostawczym bez tablic rejestracyjnych. Kai włączył radio. Evald zaraz je zgasił.

– Twarz Pokerzysty. – Kai palcem wskazującym rysował na udzie kółka.
– Jesteś pewien, że nic ci się nie kojarzy z tym przezwiskiem?

– Najzupełniej – odparł Evald. – Ja nawet nie gram w pokera.

Kai zaczął skubać skórzaną osłonkę na kierownicy. Była zniszczona. Poluzował się rzemień, który utrzymywał ją na miejscu.

– Co zrobiłeś z tą płytą?

– Mam ją tutaj.

Evald Bromo wyciągnął pudełko z wewnętrznej kieszeni.

Kai długo się mu przyglądał, zanim je otworzył. Wyjął płytę z okładki i trzymał ją w dwóch palcach. Z jednej strony była gładka jak lustro, z drugiej – matowa z rowkami. Przez chwilę obserwował grę kolorów na nagranej stronie, delikatnie przechylając ją na boki.

– Oglądałeś? – spytał, chowając płytę z powrotem do pudełka.

– Nie. Przecież i tak wiem, co na niej jest. Tam jest to opisane. – Evald wskazał list, który zsunął się między uda Kaia.

Ten podniósł kartkę, rozłożył ją i szybko przeczytał.

– Rzeczywiście – przyznał i oddał wszystko Evaldowi. – Wydaje mi się, że masz rację. Słusznie zrobisz, a ja oczywiście pomogę ci, jak tylko będę mógł. Zastanowię się i skontaktuję w... – Podrapał się w czoło i poprawił identyfikator do rejestracji płatnych przejazdów, który opuścił się z mocowania za lusterkiem na przedniej szybie. – Zadzwoń do ciebie w poniedziałek.

– To będzie Wielkanoc – przypomniał Evald, chowając płytę z powrotem do kieszeni. – A może jutro?

– Po prostu nie mogę – odparł Kai. – Jutro rano wyjeżdżam z całą rodziną na ferie świąteczne. Wobec tego we wtorek. Wtorek w przyszłym tygodniu. Zadzwoń do ciebie.

Zaledwie jakieś dziesięć metrów od nich wyłonił się z lasu wędrujący powoli starszy pan. Z trudem przedarł się przez wykrot i zniknął nad strumieniem, nie patrząc na dwóch mężczyzn w samochodzie.

– Powinieneś schować te rzeczy – stwierdził Kai. – Ukryj to pudełko w jakimś miejscu, w którym nikt go nie znajdzie. Na przykład twoja żona. Nikt. Nie w domu i nie w pracy. Gdzieś na zewnątrz, daleko. Niech tam leży, dopóki się nie spotkamy. Przynieś je wtedy ze sobą.

Evald w roztargnieniu kiwnął głową i dotknął kieszeni, w której leżała płyta.

– Jeszcze tylko jedno. – Kai przekreślił kluczyk w stacyjce. – Dotarło do ciebie, że Sigurd Halvorsrud został zwolniony z aresztu?

Długo patrzył na Evalda, nim wrzucił wsteczny bieg i powoli wycofał się z wąskiego miejsca między samochodem dostawczym a lasem.

– Tak – odparł Evald Bromo.

– I to niczego nie zmienia?

– Nie, nie zmienię decyzji.

– To dobrze – powiedział Kai. – Postępujesz w jedyny słuszny sposób. – Uśmiechnął się i uspokajającym gestem lekko poklepał Evalda po udzie. – To dobrze – powtórzył.

7

W nocy ze środy na Wielki Czwartek Sigurd Halvorsrud podjął kolejną próbę opuszczenia domu w sposób niezauważony. Od wyjścia z aresztu prawie nie wysuwał nosa za drzwi, z wyłączeniem codziennej wyprawy na komendę, aby wywiązać się z nakazu stawiennictwa. Obaj chłopcy wrócili do domu, to oni załatwiali niezbędne zakupy. Halvorsrud jedynie wieczorem ośmielał się wyjść na krótki spacer, na ogół z córką. Thea czuła się lepiej. Spała w nocy, a dziś przed południem zdołała się nawet przez kilka godzin skupić nad książką. Halvorsrud bardzo sobie cenił te wieczorne przechadzki. Prawie się wtedy do siebie nie odzywali, ale córka od czasu do czasu brała go za rękę, a kiedy przypadkiem zaczynał iść za szybko, łąpała go za rękaw, żeby był blisko niej. Obejmował ją wtedy za ramiona, a ona lekko się uśmiechała i jeszcze zwalniała.

Tego wieczoru nie wybrała się z nim. Położyła się wcześniej spać, a on wyszedł na spacer późno. Było już prawie kwadrans po północy, kiedy otrzepał kurz i żwir z butów, zamykając za sobą drzwi. Chodził przez ponad pół godziny. W domu panowała cisza. Jedynie duży stojący zegar w przedpokoju ciężko cykał. Jego rytm mieszał się z odgłosem własnego pulsu bijącego w uszach Halvorsruda, który kazał mu na chwilę wstrzymać oddech, zanim zdjął kurtkę i na palcach wszedł do salonu.

Skórę niedźwiedzia polarnego dawno stąd zabrano. Parkiet był w tym miejscu jaśniejszy. W słabym świetle lampy stojącej przy kanapie jasna plama z czterema łapami i głową przypominała martwego człowieka. Halvorsrud zgasił światło i odwrócił się. Usiadł w fotelu przy oknie i spędził tak jakiś czas, nie wiedząc, czy zasnął. W końcu o wpół do drugiej upewnił się, że wszystkie dzieci śpią.

Wyszedł z domu.

Kiedy spacerował wcześniej, nigdzie nie zauważył policji. Starał się bacznie wszystko obserwować i rozglądał się na wszystkie strony. Zaczęły się już ferie wielkanocne i brak personelu dawał się być może we znaki również funkcjonariuszom. W każdym razie ulica była całkiem pusta. Garaż Pettersena wciąż jeszcze nie został wyremontowany i jego samochody parkowały na ulicy. Oprócz nich nigdzie w pobliżu nie widać było żadnego auta. Sigurd Halvorsrud usiadł za kierownicą własnego samochodu i ruszył w stronę centrum Oslo.

Wydawało mu się, że nikt go nie widzi. Ale się mylił.

8

Cecilie czuła się znacznie lepiej. W samochodzie jadącym drogą E18 głośno śpiewała razem z Catem Stevensenem stare piosenki, które puściły z płyty, a poza tym nieprzerwanie mówiła. Zatrzymały się przy dziwnym nowym rondzie na południe od Holmestrand, żeby nabrać benzyny. Tam Cecilie zjadła lody i wcale nie zrobiło jej się niedobrze. Kiedy Hanne skręciła wreszcie na ostatni nierówny kawałek drogi prowadzącej do domku letniskowego – zbudowanego na zgliszczach poprzedniego, strawionego przez ogromny pożar na początku lat dziewięćdziesiątych, w którym Karen Borg o mało nie straciła życia – Cecilie nie mogła się już doczekać.

– Tak się cieszę – powiedziała głośno ze śmiechem. – Tak cudownie witać wiosnę nad morzem!

Hanne nie pamiętała już, że Cecilie potrafi się tak śmiać. Sama przełknęła ostatnie resztki niechęci i też się cieszyła, że zgodziła się na ten wyjazd. Wciąż była wściekła na Karen, ale kiedy zobaczyła ją na tarasie, machając do nich jak szalona, zdecydowała, że nie będzie poruszać tej sprawy. Podjechała pod starą sosnę i zaparkowała.

– Silje, Silje! – zawołał Hans Wilhelm, biegnąc w stronę Cecilie, gdy tylko wysiadła z samochodu. Zatrzymał się jednak dwa metry od niej i wyciągnął brudną rączkę. – Ty jesteś bardzo chora, Silje. Musisz bardzo uważać. Tatuś ma wielką tajemnicę. – Ukłonił się.

Cecilie ze śmiechem zmierzwiła mu włosy. Hanne wzięła na ręce Liv, która przydreptała za bratem, pod pachą taszcząc coś, co przypominało zdechłego kota.

– Kiciuś – oświadczyła z dumą dwulatki, podsuwając Hanne wiotkiego pluszaka. – Pogłaszcz kiciusia.

Hanne pogłaskała kiciusia. Przyszedł Håkon i pomógł wnieść ich bagaże.

Hans Wilhelm zapomniał o wszystkich pouczeniach i uczeplił się Cecilie jak kleszcz, nie przestając mówić o tajemnicy, o której nie wolno mu opowiadać, ale jest duża, czerwona i wspaniała. Niebo było tylko lekko zachmurzone i obiecujące, a temperatura podniosła się na tyle, że przy kawie i gofrach można było usiąść na zewnątrz przy południowej ścianie domku. Karen od pierwszej wymiany spojrzeń uchwyciła rzuconą przez Hanne propozycję zawieszenia broni. Na Skagerraku wiatr chłostał morze do białości, a po południu zmienił się na północno-wschodni.

– Teraz możesz już pokazać – oświadczyła w końcu Karen, kiwając Håkonowi głową nad szklanką wody mineralnej.

Håkon Sand poderwał się, rozłożył ręce i wrzasnął w stronę morza:

– Już!

– Już, już! – darł się Hans Wilhelm i rzucił się z tarasu do domu.

Słyszeli, jak pędzi po schodach do sutereny i jak drzwi tam się za nim zatraskują.

– Chodź – powiedział Håkon do Hanne. – Coś zobaczysz.

– Ja zostanę – uśmiechnęła się Cecilie, poprawiając sobie tylko koc, kiedy Hanne popatrzyła na nią pytająco. – Tutaj mi dobrze.

W garażu stał motocykl. Yamaha Diversion, dziewięćset centymetrów sześciennych, jaskrawoczerwony z półowiewką.

– Cooo?

Z tego, co Hanne wiedziała, Håkon siedział na motocyklu tylko raz w życiu. I to jako pasażer. Na motorze, który sama ukradła, ponieważ musieli zdążyć do domku stojącego w tym miejscu wcześniej. Tamta wyprawa była śmiertelnie niebezpieczna, w deszczu i zimnie, a Håkon później zaklinał się, że nic nigdy nie zdoła go skłonić, żeby jeszcze raz wsiadł na dwukołowy pojazd z silnikiem.

– Chyba nie twój – stwierdziła z powątpiewaniem, patrząc na Håkona.

– Właśnie, że taaak! – wrzasnął Hans Wilhelm i błyskawicznie wspiął się na siedzenie.

– Oj! – Hanne zaraz stamtąd go zdjęła. – Najpierw musimy oprzeć motocykl na centralnej podpórcie. Nigdy go nie zostawiaj na bocznej, Håkon, bo może się przewrócić.

Zręcznymi ruchami ustawiła motocykl na dwóch nogach znajdujących się przed tylnym kołem. Potem posadziła Hansa Wilhelma na siedzeniu i włożyła mu na głowę pełny kask, który wisiał na kierownicy.

– O tak – powiedziała, pukając w przyłbicę. – Teraz wyglądasz świetnie.

– A motocykl? – mruknął Håkon, drapiąc się po brzuchu. – Co o nim myślisz?

Hanne nie odpowiedziała. Obeszła dwukrotnie ogniście czerwoną maszynę, pogłaskała bak na benzynę, przykucnęła i obejrzała silnik, lekko pogładziła ręką skórzane siedzisko za pupą chłopca, który warczał i buczał, najwyraźniej uczestnicząc w jakimś bardzo ważnym wyścigu.

– Ładny kolor – kiwnęła głową, ujmując się pod boki. – Czerwony. Ładny.

Håkon zmarszczył czoło.

– Ale czy ty masz... – ciągnęła Hanne – czy ty w ogóle pamiętałeś o prawie jazdy na taki motocykl?

– Oczywiście. Zrobiłem cztery tygodnie temu. A motor kupiłem w zeszłym tygodniu.

Uśmiechnął się, a Hanne zauważyła jego wakacyjny zarost. Górną wargę wypychał mu snus, czarna ślina spływała po przednich zębach.

– Że też masz na to odwagę – powiedziała Hanne w roztargnieniu.

Håkon zdjęł kask Hansowi Wilhelmowi, zsunął synka z siedzenia i lekko klepnął go w pupę.

– Biegnij teraz do mamy i powiedz, że pozwoliłem ci wziąć colę.

Chłopczyk wypadł z garażu jak strzała.

– Po prostu musiałem... – zaczął Håkon wolno. – Możesz to nazwać szczeniactwem albo kryzysem wieku średniego, jak wolisz. Możesz to sobie nazywać, jak chcesz, ale nie mogłem sobie poradzić z tym swoim strachem.

Chciałem mieć odwagę. Najpierw ważne było zrobienie prawa jazdy, a potem kupienie tego motocykla.

Hanne uniosła nogę i usiadła na maszynie.

– Musi się chyba bardzo łatwo prowadzić – powiedziała cierpko, lekko się kołysząc. – Niski środek ciężkości i dziecinna pozycja przy siedzeniu.

– No to wypróbuj.

Håkon był zawiedziony. Być może nawet urażony. Chciał już stąd iść. Tak się cieszył na tę chwilę. Kupił sobie własny motocykl ze względu na innych. Chciał, żeby otoczenie go podziwiało. Żeby Hans Wilhelm miał się czym przechwalać. Żeby Karen kręciła głową, przewracała oczami i mówiła, że jest macho. Żeby koledzy zazdrośnie za nim patrzyli, gdy będzie mknął do domu w kolorowym skórzanym kombinezonie i czerwonym kasku. I żeby zaimponować Hanne. Na samym początku, przed pierwszymi niezdarnymi próbami wokół parkingu szkoły jazdy koło Muzeum Muncha wmawiał sobie, że robi to dla siebie. Ale się bał. O mało nie posikał się ze strachu za każdym razem, kiedy dosiadał tego przerażającego hałaśliwego potwora. Nigdy nie miał nad nim pełnej kontroli i po każdej lekcji był spocony i ciężko dyszał, a potem musiał dochodzić do siebie co najmniej przez pół godziny. Håkon Sand potrzebował czasu, żeby przyznać się do tego przed sobą, i sądził, że chyba nigdy nie przyzna się przed nikim innym. Wyrzucił w błoto ponad sto tysięcy koron, żeby zrobić wrażenie. A Hanne wcale nie podobał się ten motor. Od tygodnia czekał na tę chwilę, a motor się jej nie podobał.

– Fajny jak na japończyka – powiedziała łagodząco. – Świetny dla kogoś, kto nie umie przy nim dłużyć. Dobry, bezpieczny, łatwy w prowadzeniu.

– Przejeźdź się na próbę – powtórzył. – Możesz wziąć mój kombinezon. Wyciągnęłaś już swoją maszynę na wiosnę?

Hanne z wahaniem przyjęła skórzany kombinezon i trzymając go przed sobą, pokręciła głową.

– Na mnie za duży – stwierdziła. – A harley jest w garażu. Czeka na nowy tłumik. Poza tym nie miałam ani jednej wolnej chwili. No i... – przyłożyła kombinezon do ciała i popatrzyła na siebie – zamierzam go sprzedać.

– Sprzedać? Dlaczego? Przecież przez całe lato jesteś do niego jak przyrośnięta.

– No właśnie – odparła krótko. – Najwyższa pora dorosnąć.

Håkon wypluł snus na betonową posadzkę, a Hanne czym prędzej zapewniła:

– Wcale nie uważam, że jesteś dziecinny. Szczerze mówiąc, to imponujące, że ci się udało. Pamiętam, jaki byłeś przerażony, kiedy... –

Roześmiała się i zrzuciła adidas. – Prawie zemdlałeś ze strachu, kiedy ukradliśmy tamten motocykl, by tutaj zdążyć. Ale za to skoczyłeś w ogień, żeby ratować Karen. Jesteś dzielny wtedy, kiedy to ważne, Håkon. Nie jesteś taki jak inni mężczyźni, nic nie robisz na pokaz. Jesteś dobry, wierny i mądry. Karen nie zdaje sobie sprawy, jakie ma szczęście.

Lekko pogładziła go po zarośniętym policzku. Zatrzymała na nim dłoń, stanęła na palcach i musnęła jego czoło wargami.

– Naprawdę tak myślę – dodała i przez kilka sekund patrzyła mu w oczy, a potem zaczęła wciągać za duży kombinezon. – Nie podziękowałam ci, że wtedy przyszedłeś. I później, w tamtą niedzielę. Pewnie nigdy ci się nie odwdzięczę. Jesteś dobrym człowiekiem, Håkon. Naprawdę szczerze dobrym. No, ale cholernie przytyłeś, odkąd masz dzieci. – Pociągnęła za fałd zielonoszarej skóry, który wisiał jej na brzuchu, i zapięła suwak. – Spójrz na mnie! Kolorowy potwór! Dlaczego nie kupiłeś czarnego stroju?

Håkon przysiadł na starej ławie do piłowania. Po garażu było znać, że siedem lat temu przeżył pożar. Stał wtedy pięćdziesiąt metrów od domku. Został co prawda odmalowany na ten sam czerwony kolor co domek, ale w środku unosił się zapach benzyny i oleju, duchoty i wilgoci. Ktoś przed laty usiłował zaprowadzić w nim jakiś system przechowywania na ścianach

sprzętów ogrodowych, narzędzi i rowerów. Teraz gwoździe były powyginane, a kontury namalowane na płytach paździerzowych, które miały gwarantować powrót danej rzeczy na właściwe miejsce, prawie całkiem się zatarły. W głębi, pod krótszą ścianą, stał prastary hamak, kulawy, z popękany płótnem.

– Zrobiłem to, żeby imponować – mruknął Håkon. – Tylko po to, żeby imponować.

Hanne drgnęła. W końcu usiadła obok niego na ławie z kaskiem na kolanach.

– O czym ty mówisz? – spytała, odgarniając włosy z czoła.

– Chciałem po prostu zrobić wrażenie. Właśnie dlatego zdałem egzamin na prawo jazdy. I kupiłem ten przeklęty motocykl.

Machnął nogą w powietrzu w stronę motoru, nie mówiąc nic więcej.

– Kusi mnie, żeby się roześmiać – powiedziała Hanne.

– Na pewno.

– Ale ja się nie śmieję.

– Śmieję się. Zasługuję na to.

Śmiech Hanne gruchnął wśród ścian, a Håkon potarł twarz.

– Cholera, jestem śmiertelnie przerażony za każdym razem, kiedy na niego wsiadam – wyznał przygnębiony. – Powinnaś mnie była zobaczyć, jak tu jechałem. Droga z Oslo zajęła mi cztery godziny. Tłumaczyłem się, że był taki duży ruch, a tak naprawdę zatrzymywałem się w co drugim zajeździe i próbowałem wykrzesać z siebie odwagę do dalszej jazdy. Nie wiem teraz, jak się z tego wykręcę.

Podniósł się z ławki. Wrócił Hans Wilhelm. Stał przy nich i z zapamiętaniem ciągnął przez rurkę colę z półlitrowej butelki.

– Przejedziesz się? – wyseplenił chłopiec.

– Tak, chyba rzeczywiście się przejadę. To będzie pierwsza przejażdżka w tym roku.

– Weźmiesz mnie?

– Przykro mi, ale musisz jeszcze poczekać ze dwa, trzy lata.

Hanne z powrotem włożyła adidas, potem wsunęła kask na głowę, uniosła przyłbicę i dopiero wtedy przekręciła kluczyk.

– Nie jadę na długo. Mniej więcej na godzinę. O której obiad?

– Późno – odparł Håkon i poklepał bagażnik. – Czekamy, aż dzieci pójda spać. Zrób sobie fajną, długą wycieczkę.

Kiedy zobaczył, jak Hanne przyspiesza, wyjeżdża z garażu i zakręca na żwirze na podwórzu, zrozumiał, że on nigdy nie zapanuje nad swoją nową yamahą diversion.

– Ja też chcę jechać – zaczął się mazać Hans Wilhelm. – Mnie nigdy nic nie wolno.

– Chodź, zagramy sobie na nintendo – pocieszył go ojciec.

Obaj słyszeli cichnący odgłos dużego motocykla.

Ochłodziło się. Jaskółki nisko latały nad sosnami, a w powietrzu czuło się deszcz. Lepiej było zamknąć drzwi do garażu.

9

Ole Monrad Karlsen odrobinę uchylił drzwi, nie zdejmując łańcucha.

Był Wielki Piątek, a on siedział sobie w spokoju i czytał poniedziałkowe wydanie „Østlands-Posten”, jedynej gazety, której pozostał wierny. Prasa wychodząca w stolicy pełna była zabójstw i świństw. Dzięki lokalnej „Østlands-Posten”, którą prenumerował, odkąd się ożenił i jasne się stało, że Klara nie zamierza się przenieść do Larvik, mógł przynajmniej być na bieżąco z wydarzeniami w rodzinnych okolicach. Co prawda był jedynie chłopcem, kiedy jeszcze przed wojną zaciągnął się na statek i wyprowadził od rodziców z domku w Torstrand na Reipmakergata, tuż przy stadionie klubu Fram, ale zawsze tęsknił za domem. Zawsze. Po śmierci Klary rozważał nawet powrót na południe. Siostra proponowała, żeby zamieszkał u niej. Sama wtedy właśnie owdowiała i przydałoby jej się towarzystwo. Marudziła miesiącami, wciąż wracała do tego w listach, które przychodziły co cztery tygodnie, albo w sporadycznych rozmowach telefonicznych. Szwagier dozorca Karlsena był inżynierem w gminie i siostra została sama w wielkiej willi na Greveveien. Powinien zrozumieć, że czuła się samotna. Co prawda myśl o przeprowadzce wydawała mu się nawet dość kusząca, ale przecież miał swoją pracę dozorca. No i mieszkanie. To tutaj Klara jakby tkwiła w ścianach. To było ich mieszkanie, jego i Klary. Zamierzał tu zostać, dopóki go stąd nie wyniosą nogami do przodu.

Nagle rozległ się dzwonek do drzwi. Kilka dzwonek. Ole Monrad Karlsen rozżłościł się, że ktoś mu przeszkadza, i niechętnie poczępał w kapciach otworzyć.

– O co chodzi? – spytał ostro, przykładając jedno oko do szpary w ledwie uchylonych drzwiach.

Mężczyzna był wysoki, nosił szary płaszcz i z całą pewnością nie

mieszkał w domu przy Vogts gate 14.

– Znow policja? – warknął Karlsen ze złością. – Nie mam już nic więcej do powiedzenia o Stålem. Jak umarł, to umarł, ja na to nic nie poradzę.

– Nie jestem z policji – odparł mężczyzna. – Mam tylko kilka pytań o to, co się tu wydarzyło dziś w nocy.

Karlsen zeszywniał i jeszcze mocniej przymknął drzwi, zostawiając szparę nie większą niż pięć, sześć centymetrów.

– A co znowuż? – burknął.

– Szedłem do domu około drugiej w nocy, tędy, tą ulicą, byłem na imprezie w... Nie mógłbym wejść?

Nieznajomy zrobił kroczek w kierunku drzwi, lecz Ole Monrad Karlsen nie zareagował.

– No dobrze. – Mężczyzna chudym palcem potarł dolną wargę. – A więc przechodziłem koło tego domu i zobaczyłem coś, co mogło wyglądać na... –

Oparł się ręką o futrynę i przysunął twarz do twarzy Karlsena. – Naprawdę byłoby o wiele lepiej, gdybym mógł wejść. A przynajmniej gdyby pan mógł otworzyć drzwi. Trochę niezręcznie mi rozmawiać, kiedy pana nie widzę.

Dozorca Karlsen miał poważne wątpliwości. Może dzisiejszej nocy powinien mimo wszystko zadzwonić na policję? Bóg jeden wie, co ten facet wymyśli, jeśli nie poświęci mu czasu i z nim nie porozmawia.

– Chwileczkę – rzucił ze złością i zamknął drzwi, żeby zdjąć łańcuch.

Otworzył, tym razem szerzej, ale klamki i tak nie puszczał.

– Teraz lepiej – uśmiechnął się mężczyzna.

Kogoś Karlsenowi przypominał. Musiał go widzieć już wcześniej. Jeżeli mieszkał w sąsiedztwie, jak twierdził, to może by się to i zgadzało.

– Ktoś usiłował się włamać do głównych drzwi domu – ciągnął nieznajomy, wskazując na korytarz. – Zadzwoniłem na policję z komórki, ale nie miałem czasu czekać. Zawracam panu głowę, bo chciałbym się dowiedzieć, czy w ogóle się pojawili. To znaczy policjanci. Przyjechali?

Karlsen niechętnie puścił drzwi i potarł obolały bark. Sam powinien był

zadzwoić na policję. Włamywacz, który zeszłej nocy dostał się do piwnicy, całkiem go zaskoczył. Karlsena obudziły jakieś obce dźwięki. Z żelaznym pogrzebaczem w ręku podszedł do drzwi piwnicy, które okazały się uchylone i lekko kołysały się na zawiasach. Facet nadbiegł, zanim Karlsen się opamiętał, a pędził, jakby sam diabeł go gonił. Wpadł na Karlsena z lewej strony, prawie go przewrócił. Ponieważ bandyta uciekł, a z piwnicy nic nie zginęło, dozorca uznał, że nie warto zawracać głowy policji.

– Z kontaktu z władzami nigdy nic dobrego nie wynika – mruknął, spuszczając wzrok.

– To znaczy, że przyjechali?

Mężczyzna wyglądał tak, jakby powątpiewał.

– Nie.

– Ale włamanie było? Miałem rację?

– Tylko do piwnicy. Nie ma się czym przejmować. Sam go przepędziłem. A tak w ogóle to kim pan jest?

Obcy wolno się wyprostował.

– Wobec tego przepraszam, że przeszkodziłem. Wesołych świąt!

Pożegnał się, unosząc dłoń do czoła, i szybko się odwrócił. Sekundę później już go nie było. Karlsen zamknął drzwi na dwa zamki plus łańcuch i wrócił do swojej gazety. Znow przyszło mu do głowy, że już gdzieś widział tego dziwnego faceta, tylko za nic nie mógł sobie przypomnieć gdzie. Postanowił więcej o tym nie myśleć i ciężko westchnął.

Powinien był przyjąć zaproszenie siostry na Wielkanoc. Miło by było odwiedzić stare śmieci, szczególnie teraz, wiosną. Tak tu pusto, odkąd Stałe przepadł. Może brzozowy lasek już się zazielenił? Chociaż tak naprawdę zieleńił się dopiero na Siedemnastego Maja. Karlsen zdecydował, że na święto narodowe już na pewno się tam wybierze.

– Tak, tak, na pewno pojedę – powiedział do siebie i nalał sobie pół kieliszka brandy.

Była przecież Wielkanoc, więc po namyśle jeszcze trochę go dopełnił.

10

Kobieta leżąca w łóżku nie mogła ważyć więcej niż czterdzieści kilogramów. Ręce miała wychudzone, a Evald poczuł ostrą irytację, widząc, że paznokcie znów urosły jej za długie. Pogładził szorstki grzbiet dłoni, próbując mówić coś do śpiącej matki.

Przynajmniej miała pojedynczy pokój.

Kiedy w końcu dostała miejsce w domu opieki, już i tak przepadła dla tego świata. Nie poznawała go, ale jeszcze miała siłę na to, by ciągle mylić go z kimś innym. W jednej chwili flirtowała z nim zalotnie, nazywając Pederem, prawdopodobnie imieniem jakiejś starej miłości sprzed naprawdę wielu lat, a chwilę później krzyczała na niego i z wściekłością chciała uderzyć robótką. Wtedy brała Evalda za jego ojca. Przez ostatnie dwa lata prawie się nie odzywała, głównie spała, a Evald właściwie nie wiedział, czy jego wizyty mają jakiegokolwiek znaczenie. Nigdy nie zostawał długo, ale czuł niepokój, kiedy mijało więcej niż dwa dni do kolejnych odwiedzin.

Chociaż pielęgniarki nie za bardzo troszczyły się o higienę matki – zawsze czuć od niej było starą kobietą, a paznokcie nieodmiennie miała za długie – pokój był zadbane. Evald sam wybrał rzeczy, które przeniesiono tu z mieszkania na Starym Mieście. Większość miejsca zajmował kredens, który matka kupiła za pieniądze wygrane kiedyś za pół losu w Państwowej Loterii Pieniężnej. Krzesło, na którym siedział, było takie stare, że Evald nie pamiętał czasów, kiedy go jeszcze nie było. Obicie zmieniano kilkakrotnie, a pewnego dnia, gdy zachorował i został w domu sam, bo matka musiała iść do pracy, wrył pod spodem swoje inicjały. W kącie pod oknem stał nieduży, malowany w róże ludowy kufer. Właściwie należało go nazwać dużą skrzynką z imieniem matki wymalowanym niebieskoszarą farbą na wieku.

Evald przykucnął przy nim. Pogładził zniszczone wieko, palcem powiódł po literach w imieniu matki. Zatrzymał się przy „a” w „Olga” i cofnął palce tą samą drogą. Włożył klucz w zamek. Czarny, ręcznie kuty klucz, który zawsze leżał w najmniejszej szufladce w kredensie pod pudełkiem z czterema srebrnymi łyżeczkami. Zamek stawiał opór, ale przy użyciu większej siły zapadka w prostym mechanizmie się poddała. Evald otworzył kufer.

Nigdy nie widział, co matka przechowuje w swojej skrzyni. Grzebanie w niej wydawało się takim samym świętokradztwem jak otwieranie cudzych listów. Nawet teraz, kiedy matka już drugi rok leżała, nie mając innego życia oprócz tego, do którego zmuszało ją uparte serce, poczuł się źle, dotykając jej rzeczy. Przyłapał się na tym, że zerka przez ramię, jak gdyby spodziewał się, że staruszka nagle podniesie się na łóżku i zacznie krzyżeć na niegrzecznego syna mieszającego się w sprawy, w które absolutnie nie powinien się wtrącać.

Na samej górze leżały dzienniczki Evalda Bromo ze szkoły podstawowej. Nie zaglądał do nich, tylko położył je na parapecie. Pod nimi zobaczył obwiązane sznurkiem różowe pudełeczko ze zniszczoną pokrywką. Otworzył je, rozwiązawszy supeł.

Nawet nie wiedział, że matka to zachowała. Tamtego lata, kiedy jako trzynastolatek dostał swoją pierwszą wypłatę po dwóch miesiącach roznoszenia gazet w deszczu i we mgle, wszystkie pieniądze wydał na kameę. Wziął teraz broszkę do ręki i zamknął oczy. Pamięć przywołała słaby zapach lawendy i potu. Wtedy, przed laty, matka otworzyła prezent i długo wpatrywała się w klejnot, intensywnie mrugając, zanim przytuliła syna.

Były tu też kosmyki włosów dwuletniego Evalda i stare pocztówki, a także chińskie banknoty; zastanawiał się, skąd je miała. Szeroka złota obrączka z nieczytelną inskrypcją była przywiązana do staroświeckiego klucza czerwoną wstążeczką. Evald szybko przerzucił starą czerwoną

książeczkę pełną znaczków, świadczących o tym, że matka w każdy piątek wpłacała do Pocztowego Banku Oszczędnościowego dziesięć koron. Na jego nazwisko. Nigdy nie widział tych pieniędzy. Pewnie uznała, że ich nie potrzebował.

Przez ponad godzinę Evald Bromo przeszukiwał życie swojej matki. W końcu z kurtki, którą powiesił przy drzwiach, wyjął nowoczesną płytę CD. Schował ją na sam spód kufra, a potem ułożył na niej wszystkie rzeczy matki, warstwami, tak jak je tu znalazł. Zamknął skrzynię na klucz.

Zawahał się, kiedy miał go odłożyć na miejsce, pod łyżeczki w najmniejszej szufladce kredensu. Może powinien zabrać go ze sobą? Szybko jednak pokręcił głową, otworzył największą szufladę i wsunął klucz między cnotliwe barchanowe reformy. I tak nikt ich nie używał. Dom opieki korzystał z własnej, nadającej się do gotowania bielizny.

Evald Bromo na pożegnanie pocałował matkę w rękę i nagle poczuł, że była jedyną osobą, którą kiedykolwiek kochał.

Lars Erik Larsson miał wątpliwości. Kładł ostatnią warstwę farby na ścianach domku letniskowego w Östhammar i irytował się, bo wyglądało na to, że mu jej zabraknie, a przecież planował, że wszystko będzie gotowe na Wielkanoc. Wtedy zaczynał się letni sezon. Każdą Wielkanoc spędzał tu w samotności, szykując domek i ogród po zimie.

Wątpliwości nie dawały mu spokoju. Od kiedy przeczytał o tym norweskim prokuratorze i rozpoznał nazwisko, na które dokonano wpłaty w jego banku, codziennie przeczesywał gazety. Ponieważ czas płynął, a nic więcej nie pisano, uspokoił się. Tymczasem w zeszły weekend „Expressen” zamieścił nowy wielki artykuł. Tytuł krzyczał: „Norweski skandal policyjny”. Podobno tego mężczyznę wypuszczono z aresztu. Wciąż był podejrzany, ale wolny. Przynajmniej na razie.

Może jednak powinien to zgłosić. Przynajmniej szefowi. Z policją nie miał ochoty rozmawiać, ale jeśli pójdzie do szefa, to i tak zrobi się cholerne zamieszanie. Potrząsnął dużą puszką z farbą i zaklął cicho, że południowej ściany nie uda mu się skończyć. Ale i tak miał co robić. Na przykład różana rabata. Wyglądała okropnie po zimie i spotkaniach z sarnami.

Nie bardzo wiedział, jak postąpić.

12

Hanne Wilhelmsen nie miała ochoty się do tego przyznać, ale spodobał jej się motocykl Håkona. Prowadziło się go inaczej niż harleya, lżej, był bardziej czuły. Przyjemnie się siedziało w lekkim pochyleniu w przód, a krótki widelec sprawiał, że pokonywanie zakrętów stawało się zabawniejsze.

Minęła już centrum Sandefjord i kierowała się na wschód drogą krajową numer trzysta trzy. Przejeżdżając obok kurhanu na Gokstad, przez moment pomyślała o tym, żeby się zatrzymać. Zwolniła, ale długi prosty odcinek za bardzo kusił. Motocykl znacznie przyspieszył, po czym stanął dęba. Po dwudziestu metrach na tylnym kole uderzyła w końcu przednim o asfalt. W tej strefie obowiązywała maksymalna prędkość sześćdziesięciu kilometrów na godzinę, a ona miała na liczniku co najmniej dziewięćdziesiąt.

Stojący za następnym zakrętem drogowskaz przypomniał jej letnie tygodnie sprzed blisko trzydziestu lat. Rodzice niemal na siłę zapisali wtedy dwunastoletnią Hanne do chrześcijańskiej organizacji młodzieżowej KFUK, stowarzyszonej z YWCA. Płacz i narzekania córki trafiały w absolutną próżnię. Przez całą zimę zmuszała się do udziału w zbiórkach i biwakach z dziewczynkami, których nie znosiła, modlącymi się do Boga, do którego ona nie miała nigdy żadnego stosunku. Nie mogła pojąć, dlaczego rodzicom, którzy w zasadzie niezbyt się interesowali poczynaniami swojej późno urodzonej córki, tak bardzo zależało na członkostwie Hanne w tej organizacji. Matka robiła zmartwioną minę, mówiąc coś o treningu społecznym, ale Hanne już wtedy podejrzewała, że cała ta akcja służyła wyłącznie temu, by się jej pozbyć. Jedynym pozytywnym wspomnieniem z dziesięciomiesięcznej kariery Hanne w KFUK był letni obóz

na Knattholmen, na który przyjechali również chłopcy. Pamiętała niekończące się lato, kąpiele w słońcu i w deszczu, a także brutalne mecze piłki nożnej. Poza tym Hanne była konstruktorką monumentalnego domku o powierzchni dwudziestu metrów kwadratowych, zbudowanego na największym na wyspie dębie.

Skręciła. Chciała sprawdzić, czy budowla jeszcze istnieje.

Wiosna dosłownie buchnęła jej w twarz. Uniosła przyłbicę kasku, żeby poczuć wiatr na policzkach. Zapachniało nawozem i zgnilizną, budzącą się przyrodą i krajobrazem ukształtowanym ręką człowieka. W powietrzu wyczuwało się leciutką mżawkę, ale nie na tyle mocną, by jazda stała się nieprzyjemna.

Po dziesięciu minutach kręta wiejska droga kończyła się parkingiem. Tablica witała na wyspie Natholmen, na której znajdowało się obozowisko Knattholmen. Hanne ostrożnie sunęła wąską dróżką biegnącą do mostu na wyspę. Krzywy stojak ze skrzynkami pocztowymi pękającymi od reklam, których nazbierało się podczas zimowej nieobecności właścicieli domków letniskowych, przekrzywił się i ledwie się trzymał. Jedyne trzy skrzynki wydawały się puste. Najwyraźniej należały do osób mieszkających tu na stałe. Widząc czerwone światełko informujące, że z przeciwnej strony nadjeżdża samochód, Hanne na chwilę przystanęła. Jej spojrzenie padło na jedną z pustych skrzynek. EIVIND TORSVIK.

Nazwisko wydało jej się znajome. Spuściła obie nogi na ziemię i wyprostowała się. Już sobie przypominała. Raport Billy'ego T. o bezuchym chłopaku, którego wszyscy zawiedli. O pisarzu. I zabójcy.

Kiedy z przeciwka nadjechała powoli prastara półciężarówka, Hanne ściągnęła kask i zamachała do kierowcy. Zatrzymał się i opuścił szybę.

– Zna pan tę okolicę? – spytała.

– Mieszkam tam – roześmiał się mężczyzna, wskazując za siebie kciukiem. – I to od trzydziestu lat, więc chyba... chyba raczej znam.

– Eivind Torsvik. – Hanne wskazała na skrzynkę pocztową. – Wie pan,

gdzie on mieszka?

Mężczyzna znów się roześmiał ochryple i pstryknięciem wyrzucił niedopałek skręta za okno.

– Torsvik, aha. Dziwny facet. Morderca. Wie pani o tym?

Hanne kiwnęła głową z lekkim zniecierpliwieniem.

– Ale on nawet kota nie skrzywdzi. Czasami go spotykam, kiedy wypływa na ryby. Uśmiecha się, grzecznie się wita, bardzo miły. Małomówny, ale sympatyczny. Mieszka tu zaraz. Musi pani zjechać z tej górki i skręcić w prawo przed mostem. Dalej już prosto. Ostatni domek, do jakiego pani dojedzie, biały, na samym końcu.

– Dziękuję – powiedziała Hanne i powiesiła kask na kierownicy. – Miłego dnia!

Kierowca uchylił bejsbolówki i ruszył dalej.

Właściwie w ogóle nie zamierzała rozmawiać z Eivindem Torsvikiem. W ogóle o nim nie myślała. Mimo to ostrożnie zjechała z górki, kierując się wskazówkami starszego pana i podskakując po wyboistej, używanej tylko latem drodze nad morzem. Sunęła, dopóki nie spostrzegła białego budynku w odległości jakichś piętnastu, może dwudziestu metrów od końca drogi. Na maszcie obok domku wisiał mokry wystrzępiony proporczyk w barwach norweskiej flagi. Domek był fantastycznie położony, na skale, od morza dzieliło go zaledwie kilka metrów i miał swobodny widok na południe.

Hanne zaparkowała motocykl, rozpięła do połowy zamek kombinezonu i z wahaniem ruszyła w stronę budynku wykładaną płytami ścieżką.

Drzwi były zamknięte. Oprócz mew z krzykiem unoszących się nad dachem nie widziała żadnych oznak życia. Sznurek od proporczyka z lekkim smutkiem uderzał o maszt na słabym wietrze. Hanne nie zauważyła dzwonka, więc zapukała. Nie usłyszała żadnej odpowiedzi, więc zapukała jeszcze raz.

Już miała wracać – zbliżał się wieczór i na zbyt długo zostawiła Cecilie samą, a poza tym naprawdę nie wiedziała, czego tu szuka – gdy drzwi się

otworzyły. Mężczyzna, który na nią patrzył, wyglądał raczej jak chłopak. Był delikatnej budowy, bez zarostu, ubrany w T-shirt, dżinsy i ciężkie sandały. Włosy miał cienkie, kręcone, a Hanne, chociaż w pewnym sensie była na to przygotowana, nie mogła powstrzymać się od tego, by nie wbić oczu w punkt, gdzie powinno znajdować się lewe ucho.

Eivind Torsvik trzymał w ręku okulary, a Hanne w duchu zadała sobie pytanie, co robi, żeby mu nie spadały.

– Cześć – rzucił ostrożnie. – Cześć.

– Dzień dobry – odpowiedziała Hanne i poczuła się idiotycznie. Przebierała w palcach suwak, rozpaczliwie próbując wymyślić jakąś wymówkę. – Cześć!

Eivind Torsvik nagle wyciągnął przed siebie płaską dłoń.

– Idzie na deszcz – stwierdził i krzywo się uśmiechnął. – Wejdiesz?

Hanne zdziwiło, że zaprosił ją ot, tak, bez żadnych wyjaśnień, mimo wszystko poszła za nim. Znalazszy się za drzwiami, zrozumiała, jak to możliwe, że mężczyzna mieszkał tu przez cały rok. Przedpokój rozszerzał się w dużą, pomalowaną na niebiesko kuchnię. Hanne zauważyła też inne drzwi, przypuszczalnie prowadzące do kilku sypialni. Eivind Torsvik dał znak, żeby zeszła za nim po dwóch stopniach do pomieszczenia wyglądającego jak obszerny gabinet z panoramicznym oknem wychodzącym na południe. Drugi koniec prostokątnego pokoju przypominał salon. Stała tam też wielka wieża stereo.

– Siadaj. – Eivind Torsvik wskazał jej fotel. – Mogę ci zaproponować coś do picia?

– Nie, dziękuję – mruknęła Hanne. W skórzanym kombinezonie już zaczynała się pocić, bo w pokoju było bardzo ciepło. – A zresztą... może trochę wody.

Torsvik przyniósł półlitrową butelkę wody mineralnej Farris i szklanę z kostkami lodu. Otworzył butelkę, podał jej szklanę i nalał. Woda gwałtownie się zapieniła, zalewając Hanne dłonie.

– Przepraszam – powiedział z uśmiechem. – Ale to tylko woda.

Siedzieli w fotelach, nie patrząc na siebie. Hanne zdumiewało zachowanie Torsvika, ale uświadomiła sobie, że jemu musi być jeszcze trudniej zrozumieć ją. Do tej pory bowiem ani słowem nie wyjaśniła, dlaczego się tu zjawiała.

– Pracuję w policji – oświadczyła w końcu i wypła łyk wody.

Eivind Torsvik nic na to nie powiedział, ale zauważyła na jego dziecinnej twarzy cień zmartwienia, a może raczej zaskoczenia i ciekawości.

– Ale nie chodzi o ciebie. – Napła się jeszcze, zastanawiając się, czy nie zachowa się zbyt śmiało, zdejmując kombinezon. – Wybrałam się na przejażdżkę i nagle zobaczyłam twoje nazwisko na skrzynce, więc pomyślałam...

Poczuła, że wzbiera w niej krępujący śmiech, i jeszcze raz zasłoniła twarz szklanką.

Co ona tu robi? Dlaczego usłuchała czegoś, co nie było wytłumaczalnym impulsem, tylko idiotycznym przejawem uśpionej ciekawości, nad którą nie zdołała zapanować, zobaczywszy jego nazwisko na skrzynce pocztowej? Co prawda ostatnio nie całkiem nad sobą panowała, ale do tej pory, kiedy odwiedzała jakichś ludzi, nawet pod wpływem impulsu, to zwykle mieli oni daleki, jeśli nie bezpośredni związek ze sprawą, nad którą pracowała. Nazwisko Eivinda Torsvika pojawiło się w jakimś dokumencie i zaraz zniknęło. Nie było absolutnie żadnych powodów, by przypuszczać, że może on cokolwiek wiedzieć o okolicznościach brutalnego zabójstwa Doris Flo Halvorsrud. Hanne roześmiała się głośno i gaz z wody mineralnej uderzył jej do nosa.

– Przepraszam – wykrztusiła, wycierając usta ręką. – Musisz mnie uważać za kompletną wariatkę.

– Ależ skąd – powiedział Eivind Torsvik poważnie. – Może najwyżej za trochę dziwną, ale absolutnie nie za wariatkę. Kim ty właściwie jesteś?

– Przepraszam – odkaslnęła Hanne. – Nazywam się Hanne Wilhelmsen,

jestem komisarzem policji z Okręgu Policyjnego Oslo. Akurat teraz pracuję nad sprawą zabójstwa pewnej kobiety, której odcięto głowę. Sądziliśmy, że zrobił to mąż...

– Sigurd Halvorsrud – wtrącił Eivind Torsvik. – Czytałem o tym w Internecie.

Spojrzał na komputer stojący w drugim końcu pokoju, potem uśmiechnął się szeroko i złożył ręce na brzuchu. Palce miał smukłe i delikatne. Hanne przyłapała się na tym, że dziwi się, iż ten człowiek naprawdę dokonał bestialskiego zabójstwa.

– Oczywiście przygotowano ci listę. – Pokiwał spokojnie głową. – Listę wyjątkowo spektakularnych zabójstw w ciągu ostatnich, powiedzmy, dziesięciu lat. Piętnastu?

Hanne ściągnęła kombinezon z górnej połowy ciała i zaczęła miać w palcach rękaw, nie patrząc na młodego mężczyznę.

– Oczywiście ja się tam pojawiłem. – Wyciągnął nogi przed siebie i ustawił prawą stopę na palcach lewej. – Obstawialiście mnie w jakimś momencie? A może wciąż jestem podejrzany?

Na jego twarzy pojawiła się drwina – żartobliwy uśmieszek, który Hanne kazał się wyprostować.

– Nie, oczywiście, że nie – powiedziała przeprasząco. – Nikogo nie podejrzewamy jedynie na podstawie tego, co zrobił wcześniej.

Torsvik śmiał się prześlicznie. Jego śmiech zaczynał się od niskiego tonu i wspinał się jakby po schodach. Brzmiał jak zaimprovizowana piosenka.

– Ależ przecież właśnie tak robicie – stwierdził z udawanym wyrzutem, jakby głęboko dotknęło go kłamstwo. – Uważam to zresztą za całkiem naturalne. Inaczej dlaczego policja tak ostro by się kłóciła z Urzędem Ochrony Danych i z parlamentem o te rejestry DNA? Moim zdaniem ochrona danych osobowych zaszła zbyt daleko.

Nagły błysk w oku mógł świadczyć o zaangażowaniu młodego człowieka, który do tej pory był zaskakująco spokojny, zważywszy

na zachowanie Hanne.

– Oczywiście wiesz, jakiego rodzaju przestępstwa są statystycznie najczęściej popełniane ponownie. Kradzieże i przestępstwa na tle seksualnym. Złodzieje nie są na ogół aż tacy groźni, ale przestępcy seksualni... kontynuują swoje dzieło zniszczenia w zasadzie bez przeszkód i nie powstrzymuje ich ułomne prawo. – Gwałtownym ruchem postawił obie stopy na podłodze, intensywnie popatrzył Hanne w oczy i ciągnął: – To oczywiste, że szukacie recydywistów. Inaczej być nie może. – Uśmiechnął się i znów się rozjaśnił. – Ale nie przyszłabyś tutaj sama, żeby mnie aresztować. Przypuszczam, że wciąż uważacie mnie za niebezpiecznego.

Badawczo przyglądał się kobiecie, która twierdziła, że jest policjantką. Coś mu mówiło, że nie kłamie. Kiedy się zapomniało o za dużym kombinezonie i potarganych włosach, dostrzegało się jej ujmującą powierzchowność, niemal piękną twarz bez makijażu i rysy świadczące o sile charakteru. Eivind Torsvik rzadko dobrze się czuł w towarzystwie innych ludzi i nie przypadkiem zamieszkał tutaj. Wprawdzie lato przyciągało tu właścicieli innych domków i turystów, to jednak na ogół zostawiano go w spokoju. Działka była na to dostatecznie duża. Ale obecność tej dziwnej kobiety w nieokreślonym wieku – mogła mieć od trzydziestu do czterdziestu pięciu lat – sprawiała mu przyjemność, która wręcz go zdziwiła. Kiedy usłyszał pukanie do drzwi, początkowo był zdecydowany, że nie otworzy. Coś jednak kazało mu to zrobić, a kiedy ją zobaczył, od razu wiedział, że zaprosi ją do środka. Nie rozumiał dlaczego. Odkąd się tu wprowadził, oprócz niego prawie nikt nie wchodził do domku. Ale ta kobieta miała w sobie coś, jakiś cień samotności w ciemnoniebieskich oczach, tworzący między nimi coś w rodzaju poczucia wspólnoty, której nie potrafił wyjaśnić.

– Czym się tutaj zajmujesz? – spytała Hanne nagle. – Tylko piszesz?

– Tylko? – powtórzył, nachylając się do niej. – Jeśli ci się wydaje, że bycie pisarzem to jest „tylko”, to się mylisz.

– Nie o to mi chodziło – zapewniła szybko. – Po prostu masz tam niewiarygodnie dużo sprzętu, więc pomyślałam, że zajmujesz się czymś jeszcze. Dodatkowo, oprócz pisania.

– Większość jest zupełnie zbędna – stwierdził beztrąsko. – Komputer, monitor i klawiatura to wszystko, czego mi potrzeba. Ale mam jeszcze skaner, dwa dodatkowe komputery, nagrywarke CD... Za dużo sprzętu. Ale ja to lubię.

– I połączenie z Internetem.

– Oczywiście, surfuję po sieci godzinami. Rachunki telefoniczne bywają ogromne.

Hanne Wilhelmsen nagle zapało dech w piersiach. Przekrzywiła głowę, wbijając wzrok w figurkę z brązu stojącą na parapecie zachodniego okna. Był to święty Jerzy zabijający smoka. Przypominająca węża bestia wiała się wokół nóg konia, a święty Jerzy trzymał włócznię uniesioną wysoko, gotową do zadania ciosu.

– Rachunki telefoniczne – powtórzyła cicho i powoli, jakby się bała, że myśl zaraz jej ucieknie. – Masz dwie linie telefoniczne? To znaczy dwa numery? Jeden do telefonu, a drugi do komputera?

– Nie. – Eivind Torsvik zdziwiony zmrużył oczy. – Łącze ISDN. Jeden numer, dwie linie, a co?

– Jeśli ktoś dostaje od teleoperatora dwa rachunki – mówiła, jakby do siebie – a ma tylko jeden telefon... to jak byś to wyjaśnił?

Wzruszył ramionami.

– Że ten ktoś miał dostęp do Internetu, zanim wprowadzono ISDN?

– Albo... – Podniosła się gwałtownie. – Przeszkadzam ci już za długo – oświadczyła. – Muszę wracać do domu.

– Jedziesz do Oslo? – spytał, wyglądając przez okno. – Teraz już naprawdę się rozpadało.

– Nie, tylko do Ula. Za dwadzieścia minut będę na miejscu.

Odprowadził ją na wykładany płytami taras. Wiatr wyraźnie się wzmógł.

Łódź kołysała się na falach, uderzając w pomost dwadzieścia metrów dalej.

– Chyba za luźno ją zacumowałem – powiedział Eivind Torsvik do siebie. – No to na razie, trzymaj się.

Hanne nie odpowiedziała, tylko podała mu rękę.

Kiedy wolno jechała wyboistą drogą, zastanawiała się, dlaczego Ståle Salvesen płacił Telenorowi za dwie linie telefoniczne. Przecież dokładnie obejrzała jego mieszkanie.

Miał tylko jeden telefon.

13

Evald Bromo nie był pewien, czy wciąż jest wigilia Wielkanocy. Biegał od dwóch godzin i uświadomił sobie, że musi już być po północy. Od dawna nie biegało mu się tak lekko jak tego wieczoru; jakby z nadzieją zdązał ku czemuś, a nie tylko uciekał przed losem, któremu nie można się było wyrwać. Adidasy uderzały w asfalt z rytmicznym chrzęstem. Poczł się silny.

Kiedy wróci do domu, będzie długo brał prysznic. Potem zje to, co Margaret z pewnością dla niego przygotowała. A jeśli szczęście naprawdę będzie mu sprzyjać, żona już zaśnie.

Przed sobą miał ostatnie wzniesienie. Przyspieszył. Czuł smak krwi rozlewający się po ustach. Biegł coraz szybciej. Zostało mu jeszcze tylko czterdzieści metrów, trzydzieści, dwadzieścia, dziesięć. Musiał przebiec na drugą stronę jezdni, na samej górze skręcić na ścieżkę w lewo i ukraść kilka metrów, ścinając róg pod starym czerwonym bukiem.

Uderzenie, które trafiło go w tył głowy, było tak mocne, że ledwie zarejestrował, iż został wrzucony na tylne siedzenie samochodu. Tam szarpnęły nim gwałtowne torsje.

Otoczyła go ciemność.

Margaret Kleiven spała głęboko. Przed Wielkanocą była u lekarza, bo w ostatnich tygodniach miała kłopoty ze snem. Evald tak się zmienił. Zrobił się burkliwy, łatwo się irytował. Wprawdzie znała już te cechy charakteru męża, ale do tej pory wybuchy następowały rzadko i nigdy nie trwały długo. Teraz milczał z ponurą miną i wściekał się o każdy drobiazg. Tego jego biegania nigdy szczególnie nie rozumiała, ale tłumaczyła sobie, że to przecież dobrze, iż chce utrzymać formę. Ostatnio jednak trening wziął nad wszystkim górę. Evald zniknął na całe godziny i wracał do domu kompletnie wyczerpany. Margaret nieraz słyszała zza zamkniętych drzwi łazienki odgłosy wymiotów.

Lekarz przepisał jej coś na sen, ale dla niej już sama świadomość, że małe pigułki leżą w szafce, okazała się wystarczająca. Nie była przyzwyczajona do lekarstw i chciała wstrzymać się jak najdłużej, zanim zacznie je zażywać.

Wczoraj wieczorem mąż był usposobiony łagodniej. Trochę oglądali razem telewizję, a Evald od czasu do czasu na nią zerkał, kiedy sądził, że ona nie patrzy. Uspokoilo ją to, a gdy zaproponował partyjkę tryktraka, zgodziła się z uśmiechem. Mniej więcej około wpół do jedenastej poszedł biegać. Ani trochę to jej się nie podobało, było już przecież tak późno. Ale on już się przyzwyczał do tych długich dystansów przed snem i nalegał, żeby po prostu się położyła, nie czekając na niego. Margaret przygotowała dwie kanapki i zostawiła je na talerzyku w kuchni. Evald wprawdzie ostatnio prawie nic nie jadł, ale przynajmniej nie ją będzie o to obwiniał.

Uniosła ręce za głowę i ziewnęła. Słoneczne światło przedzierało się przez ciemne zasłony i Margaret nagle przypomniała sobie, że to pierwszy dzień Wielkanocy.

Postanowiła ugotować na śniadanie jajka.

Evald już wstał. Margaret Kleiven też wstała i poszła do łazienki.

Nie czuć w niej było zapachu mydła ani wody po goleniu. Lustro nie zaszło parą. Przesunęła palcami po zasłonie prysznic. Sucha. Sięgnęła do dużego żółtego ręcznika Evalda i ścisnęła go w palcach. Też najzupełniej suchy.

Dziwne. Gdyby brał prysznic po nocnym bieganiu, wilgoć wciąż byłaby wyczuwalna. Przecież dopiero ósma.

Margaret wróciła do sypialni. Popatrzyła na łóżko. Dziwne, ale wcześniej nie zwróciła uwagi, że strona Evalda wciąż była zaścielona. Nagły lęk zasznurował jej gardło. Zbiegła na dół po schodach i stanęła pod drzwiami kuchni, bojąc się wejść do środka. W końcu wzięła się w garść, nacisnęła klamkę i powoli otworzyła drzwi.

Dwie kanapki, jedna z rostbefem, druga z żółtym serem i papryką, wciąż leżały na talerzyku, stojącym na owalnym sosnowym stole. Folia, którą były owinięte, nie ruszono.

Margaret odwróciła się i wyszła do przedpokoju. Na półce z butami stały trzy pary adidasów. Czwartej brakowało. Tej nowej. Tej, którą Evald kupił niecały miesiąc temu. Przez rok niszczył pięć par, ale zwykle zachowywał stare jeszcze przez pewien czas. Używał ich, kiedy mocno padało.

– Evald – powiedziała cicho i zaraz powtórzyła głośniej: – Evald!

Pięć minut później Margaret Kleiven mogła już skonstatować, że Evalda nie ma w całym domu, a ubrań, które wczoraj miał na sobie, też nigdzie nie widać.

On po prostu nie wrócił.

Słuchawka wypadła jej z ręki, kiedy próbowała ją podnieść. Usiadła na schodach i siłą woli opanowała się na tyle, by móc zadzwonić do „Aftenposten”. Evalda nie było w redakcji. Ani w swoim pokoju, ani w żadnym innym miejscu.

Margaret Kleiven wybuchnęła płaczem. Obracała na palcu obrączkę,

która ostatnio zrobiła się luźniejsza, i czuła, jak ogarnia ją strach.

Evald mógł być u przyjaciela. Margaret jednak nie mogła sobie przypomnieć nikogo, kogo Evald chciałby odwiedzić tak rano w Wielkanoc.

Mógł wrócić w nocy do domu, nic nie jeść, położyć się spać obok niej, zaścielić łóżko, włożyć ten sam strój treningowy co wczoraj i znów iść biegać.

Starła się oddychać głęboko.

Właśnie tak musiało być.

Ale nie było. Czuła to. Stało się coś strasznego.

Jeśli Evald nie wróci przed dziesiątą, zadzwoni na policję.

Margaret Kleiven dalej siedziała na schodach z telefonem na kolanach i wpatrywała się w wiszący naprzeciwko zegar. Słońce już się przesunęło po podłodze salonu i zaczęło wspinać po ścianie. Stare puchary Evalda na półce z książkami rzucały ostre refleksy na pokój, zmuszając ją do mrugania. Zapowiadał się niezwykle piękny dzień.

Dwoje policjantów idących zdecydowanym krokiem po podjeździe do domu Halvorsrudów nosiło ciemne okulary. Dwudziestopięcioletnia funkcjonariuszka mruknęła pod nosem, że żałuje, że nie jest prawniczką. Willa Halvorsrudów w wiosennym słońcu prezentowała się bardzo okazale. Błyszcząły glazurowane holenderskie dachówki. Chociaż ogród wyglądał na dość zaniedbany, działka była duża, a garaż podwójny.

Jej starszy kolega, czarnowłosa mężczyzna z dużymi wąsami, zadzwonił do drzwi. Zdjął okulary i zniecierpliwionym gestem dał jej znak, żeby zrobiła to samo. Po kolejnych dwóch długich dzwonkach drzwi się wreszcie otworzyły. Halvorsrud stał w szlafroku w biało-niebieskie pasy i patrzył na nich zmrużonymi oczami.

– O co chodzi? – spytał zaspany i nagle spojrzął na zegarek. – Ojej, przepraszam.

– Pan ma obowiązek meldowania się codziennie o dwunastej – powiedziała policjantka, próbując zajrzeć do środka ponad ramieniem Halvorsruda.

Po schodach zbiegała nastolatka ubrana w luźny T-shirt.

– Tak, tak, wiem – odparł Halvorsrud z rezygnacją. – Oczywiście, wiem. Po prostu zasnęłam. Nie mogę powiedzieć nic innego oprócz tego, że przepraszam.

Umundurowany policjant wyjął z kieszonki na piersi jakąś kartkę, którą rozłożył i podsunął Halvorsrudowi pod nos.

– Tatusiu.

W głosie dziewczynki dał się słyszeć lęk. Halvorsrud natychmiast ją uspokoił.

– Wszystko w porządku, córeczko. Po prostu zasnęliśmy. – Odwrócił się

i szybko przeczytał dokument, który mu podano. – Ma pan coś do pisania? – spytał, kładąc kartkę na ścianie w przedpokoju.

– Proszę.

Halvorsrud wziął długopis od policjanta i namazał podpis.

– Już – powiedział, mocniej zawiązując pasek szlafroka. – Jeszcze raz bardzo przepraszam.

– Byle tylko to się nie powtórzyło – uśmiechnął się funkcjonariusz. – Miłego dnia.

Halvorsrud, obejmując córkę, patrzył, jak odchodzą. Kiedy policjanci wsiedli do oznakowanego radiowozu, kobieta, wkładając ciemne okulary, burknęła:

– Gdyby to ode mnie zależało, zamknęłabym go z powrotem. Nie każdy może liczyć na takie traktowanie.

– Prawnicy rządzą światem – odparł jej partner i włożył podpisany dokument do schowka na rękawiczki.

Dozorca Ole Monrad Karlsen z Vogts gate 14 miał za sobą marną noc. W sąsiedniej kamienicy grupa młodzieży starała się, jak mogła, aby w okolicy nikt nie zasnął aż do świtu. Karlsen nie był jedynym, który się irytował. Około czwartej pojawiła się policja, najwyraźniej wezwana przez kogoś, kto się poskarżył. Poziom hałasu znacznie się obniżył mniej więcej na pół godziny, lecz kiedy Karlsen już zasypiał, impreza znów się rozkręciła.

Pierwsza niedziela w miesiącu była dniem wymiany żarówek na klatce schodowej, w piwnicy i na strychu. Dla Olego Monrada Karlsena nie miało znaczenia, że jest to Niedziela Wielkanocna. Jego życie toczyło się według rutyny i trzeba było czegoś więcej niż święta czy bezsenna noc, by przeszkodzić mu w wywiązywaniu się z obowiązków. Zaklął pod nosem, widząc, że na klatce A przepaliły się aż cztery żarówki. Kamienica była duża, dwadzieścia cztery mieszkania i dwie klatki schodowe.

Właściwie przed zejściem do piwnicy miał zamiar iść na klatkę B, ale kiedy szurając nogami, zszedł z pierwszego piętra z czterema zużytymi i sześcioma nowymi żarówkami w plastikowej torebce, zauważył, że drzwi do piwnicy są uchylone. Nie pierwszy raz. Ostatnio już trzy razy przygotowywał kartki z surowym przypomnieniem o konieczności zamykania drzwi zewnętrznych i do piwnicy. „MAJĄ BYĆ ZAMKNIĘTE O KAŻDEJ PORZE!” – dopisał czerwonym flamastrem na dole ogłoszenia.

Dozorca Karlsen wpadł w złość. Po poprzednim nieproszonym gościu, tym bandycie, z którym spotkanie przyplącił wciąż bolącym nocą barkiem, nie zauważył żadnych wyłamanych zamków. To znaczy, że drań wszedł, bo ktoś nie dopilnował zamknięcia drzwi. Na szczęście niczego nie skradziono. Karlsen zaskoczył złodzieja w ostatniej chwili.

Teraz ktoś zniszczył drzwi. Cicho stuknęły w futrynę w lekkim przeciągu.

Z drewna wokół zamka obłupano drzazgi. Miejsce to odcinało się bielą od niebieskiej farby.

– Niech to wszyscy...

Karlsen uważał włamanie za osobistą obrazę. To była jego kamienica. To on odpowiadał za porządek, za to, żeby ludzie myli schody wtedy, kiedy przypadała ich kolej, a reklamy nie walały się pod skrzynkami pocztowymi, za to, by chodnik był umyty i żeby przychodził wezwany hydraulik. Odpowiadał za to, żeby wszystko działało jak należy. W kamienicy takiej jak ta, w której jedną trzecią mieszkańców stanowili klienci opieki społecznej, wymieniający się tak często, że Karlsen czasami tracił rachubę, kto tu mieszka, a kto już nie, niezbędna była silna ręka, która by nad tym wszystkim panowała.

Ktoś się włamał do jego piwnicy.

Głośno tupiąc ze złości, zszedł po schodach. Na samym dole o mało się o coś nie potknął. Podparł się ręką o ścianę i zdołał utrzymać na nogach. Spojrzał w dół.

Leżała tam głowa.

Nieco dalej w wąskim korytarzu znajdowało się ciało, najwyraźniej do niej należące. Ręce ułożone wzdłuż boków, nogi skrzyżowane, jakby bezgłowe zwłoki postanowiły się po prostu zdrzemnąć.

Karlsen poczuł krew odpływającą od mózgu i z trudem przełknął ślinę. Miał do czynienia z rzeczami gorszymi niż to. Widział, jak rozpaczliwie miotający się towarzysze toną w lodowatej wodzie, a raz nawet uratował swojego najlepszego przyjaciela z płonącej na powierzchni morza ropy – wciągnął go do przepelnionej szalupy i dopiero wtedy się zorientował, że dolnej części ciała przyjaciela już nie ma.

Teraz więc nakrył dłonią oczy, przełknął ślinę i pomyślał, że tym razem to już musi zadzwonić na policję.

– Nie odbieraj – szepnęła Cecilie.

Nad ich głowami przesuwwały się lekkie letnie chmury pozbawione konturów i przezroczyste. Niebo blakło, a słońce wydawało się białe. Hanne i Cecilie leżały na plecach i trzymały się za ręce. Było już prawie południe. Przez ubranie czuły ciepło nagrzaną skałę. Wiatr ucichł. Rybitwy krzyczały, kiedy więc zadzwoniła komórka, Hanne przez moment miała nadzieję, że to tylko one.

– Muszę – powiedziała, siadając. – Słucham, Wilhelmsen.

Ktoś na drugim końcu długo coś jej tłumaczył. Hanne nie odezwała się ani słowem, dopóki nie zakończyła rozmowy, mówiąc, że oddzwoni za dziesięć minut. Rozłączyła się i dalej siedziała, wpatrzona w morze. Żaglówka typu Colin Archer zmierzała do portu, a na horyzoncie tankowiec brał kurs na zachód.

– Kto to był? – spytała Cecilie cicho, nie otwierając oczu.

Hanne nie odpowiedziała. Wzięła ją za rękę i mocno uściśnęła. Cecilie usiadła.

– Dziękuję, że się zgodziłaś tu przyjechać – szepnęła i zerwała uschnięty kwiatek zawciągu, który wyrósł w skalnej szczelinie. – Było mi tak cudownie. Musisz wracać?

Oparła się o Hanne i połaskotała ją pod nosem zasuszoną roślinką. Hanne uśmiechnęła się i potarła twarz.

– Kolejne zabójstwo – wyjaśniła cicho. – Znów odcięta głowa.

Cecilie objęła ją i wtuliła twarz w jej włosy.

– A Halvorsrud jest na wolności – powiedziała z namysłem. – To ma jakiś związek z nim?

– *Who knows.* – Hanne lekko wzruszyła ramionami. – Ale wygląda na to,

że dwie głowy obcięte w ciągu jednego miesiąca raczej muszą mieć ze sobą związek. Nie mam pojęcia...

Urwała, schowała twarz w dłoniach. Cecilie powoli wstała i uklękła za nią. Objęła Hanne i wolno zaczęła kołysać ją na boki.

– Jest pierwszy dzień Wielkanocy – szepnęła z wargami przy uchu Hanne. – Chyba dadzą sobie radę bez ciebie do jutra. Jak myślisz?

Na skale, zaledwie dziesięć metrów od nich pojawiła się nagle trójka dzieci, może dwunastoletnich. Dziewczynki poszeptały coś między sobą. Jedna zaczęła głośno chichotać, ręką zasłaniając usta. Zaraz zniknęły.

– Muszę jechać – oświadczyła Hanne, wstając odrętwiała. – Ale jeśli chcesz zostać, to spróbuję znaleźć czas, żeby zabrać cię stąd jutro wieczorem. W każdym razie nie możesz wracać z Håkonem i Karen. Podróż z dziećmi będzie dla ciebie zbyt męcząca.

Cecilie wzięła ją za rękę i ruszyła niepewnie w stronę biegnącej za skałami ścieżki.

– Za skarby świata nie będziesz miała czasu, żeby po mnie przyjechać – powiedziała zdecydowanie. – Wracam z tobą już teraz.

Był poniedziałek, piąty kwietnia, ósma wieczorem. Rano Hanne Wilhelmsen ledwie zdążyła wpaść do domu, żeby się przebrać. Nadciągał znajomy ból głowy. Otworzyła szeroko oczy, próbując skupić się na dokumencie, który Billy T. dostarczył jej godzinę temu. Była mu wdzięczna, że nigdy nie skarżył się na nakaz codziennego pisemnego podsumowania. Większość śledczych uważała, że oficjalne dokumenty powinny wystarczyć i że nie muszą poświęcać czasu na pisanie prywatnych listów do pani komisarz. Hanne Wilhelmsen jednak nalegała na taki system, nie bacząc na żadne protesty. Codzienne zestawienia niezliczonych informacji kryjących się w teczkach i segregatorach, które stale puchły, pomagały jej w budowaniu obrazu całości. Poza tym z doświadczenia wiedziała, że śledczy pozwalają sobie na znacznie więcej, wiedząc, że to, co piszą, nie zostanie wciągnięte do akt sprawy. Łatwiej im w taki sposób prezentować osobiste opinie i przypuszczenia. Skoro Hanne Wilhelmsen chciała, żeby tak było, to tak było.

Połknęła dwa paracetamole, popiła je wystygłą kawą i czytała, masując głowę koniuszkami palców.

Ofiarą jest Evald Bromo, dziennikarz z działu gospodarczego „Aftenposten”. Miał czterdzieści sześć lat, był żonaty z Margaret Kleiven, bezdzietny, nigdy wcześniej niekarany. Evald Bromo miał, podobnie jak Doris Flo Halvorsrud, obrażenia świadczące o silnym uderzeniu w tył głowy. Czy to ono było przyczyną śmierci, czy też został ścięty, kiedy jeszcze żył, wyjaśni się w najbliższych dniach. Znalazł go dozorca Ole Monrad Karlsen, na Vogts gate 14. Karlsen na razie pozostaje poza wszelkimi podejrzeniami. To oporny, trudny w kontaktach człowiek, ale Sommarøy uważa, że facet nie ma żadnego związku ze sprawą.

Kamienica przy Vogts gate 14 to czynszówka z 24 mieszkaniami, z których większość to mieszkania komunalne dla klienteli z obciążeniami socjalnymi. Sama kamienica jest jednak własnością prywatną, co tłumaczy, dlaczego Karlsen wciąż jest tam dozorcą mimo dawno przekroczonego wieku emerytalnego. Stałe Salvesen wynajmował mieszkanie od gminy.

Wyjaśnione zostało, że Evald Bromo opuścił swój dom koło wpół do jedenastej wieczorem w sobotę i poszedł pobiegać. Podobno był w znakomitej formie jak na swój wiek i według jego żony w takiej wyprawie nie było nic nadzwyczajnego.

Żona położyła się spać zaraz po wyjściu męża. Kiedy się obudziła następnego dnia rano około ósmej, w domu wszystko wskazywało na to, że mąż nie wrócił. Czas zgonu wstępnie określono na między północą a godziną drugą w niedzielę, więc to się może zgadzać. Żona odczekała jeszcze dwie godziny, nim powiadomiła policję o zniknięciu męża. Nie chciała robić zamieszania, gdyby się miało okazać, że po prostu znów poszedł biegać. Karianne, która z nią rozmawiała, mówi, że kobieta jest załamana i szczerze wstrząśnięta tym, co się stało. Prosiłem o jej ponowne przesłuchanie jutro. W niedzielę po południu nie dało się z niej wyciągnąć prawie nic rozsądnego.

Broni użytej do odcięcia głowy Bromo nie znaleziono. Prawdopodobnie musiano użyć jakiegoś miecza, stosunkowo ciężkiego i bardzo ostrego. Cięcie jest czyste, a patolodzy twierdzą, że głowę oddzielono od ciała nie więcej niż dwoma albo trzema ciosami.

Stwierdzono, że drzwi do piwnicy zostały wyłamane, natomiast drzwi wejściowe do budynku były prawdopodobnie otwarte. Z tego, co wiemy, mieszkańcy dość często blokowali zamek zatraskowy. Domofon okresami nie działał, wiele osób nie miało ochoty schodzić na dół, żeby wpuścić gości.

Bromo według wszelkiego prawdopodobieństwa został ścięty w miejscu, w którym go znaleziono. Musiał być przynajmniej nieprzytomny (jeżeli nie martwy), kiedy do tego doszło. Na razie nie stwierdziliśmy żadnych śladów

walki. Pod paznokciami miał jedynie zwykły brud, a na ciele brak jest innych obrażeń oprócz śladów po tym uderzeniu w tył głowy i oczywiście samego ścięcia.

Na razie niejasne pozostaje, czy Bromo zszedł do piwnicy o własnych siłach, czy też go zniesiono. Jeżeli zaszła ta druga ewentualność, mamy według wszelkiego prawdopodobieństwa do czynienia ze sprawcą, który jest silnym mężczyzną (ewentualnie było ich więcej). Ani na schodach, ani na zwłokach nie ma śladów wskazujących na ciągnięcie Evalda Bromo do piwnicy (martwego albo nieprzytomnego). To oznacza, że albo zszedł sam, albo został tam zanieiony. A ponieważ nie ma śladów walki, wszystko wskazuje, że wydarzyło się to ostatnie. Poza tym należy dodać, że Bromo był szczupły, miał 182 cm wzrostu i ważył 68 kg.

W okolicy zresztą wzywano policję – w nocy, około trzeciej, z soboty na niedzielę. Ktoś zgłosił skargę na hałasy dobiegające z kamienicy vis-à-vis miejsca zdarzenia. Patrol nie zauważył nic podejrzanego przy Vogts gate 14.

Najciekawsze w tej sprawie jest oczywiście to, że ofiarę znaleziono w piwnicy domu, w którym mieszkał Ståle Salvesen. Nawet gdyby zabójstwa dokonano w sposób inny niż przez ścięcie, taki zbieg okoliczności należałoby uznać za dziwny. A skoro na dodatek mamy do czynienia z egzekucją tego samego rodzaju co w przypadku Doris F. H., wszystko przemawia za tym, że między zdarzeniami istnieje jakiś związek.

Erik H. i Karl szukają teraz punktów stycznych między Evaldem Bromo a Stålem Salvesenem. Żona Bromo nigdy nie słyszała nazwiska Salvesena, nie może więc być mowy o bliskim związku. Na razie nie wiemy nic więcej oprócz tego, że Bromo swego czasu opisywał sprawę śledztwa przeciwko Aurora Data i Salvesenowi. Innymi słowy, prawdopodobne jest, że mieli jakiś kontakt przed laty. Oczywiście sprawdzamy też, czy istnieje jakieś powiązanie między Evaldem Bromo a Sigurdem Halvorsrudem. Dotychczas nic na to nie wskazuje. Ale ponieważ obydwaj zajmowali się przestępstwami gospodarczymi, jest wysoce prawdopodobne, że się znali. Bierzemy jutro

Halvorsruda na przesłuchanie. Sam się tym zajmę.

Dzisiaj przesłuchano łącznie sześciu świadków (ludzi trudno złapać z uwagi na Wielkanoc). Trzej z nich to najbliżsi koledzy Evalda Bromo, którzy twierdzą, że znali go całkiem nieźle. Opisują go jako stosunkowo cichego i nieśmiałego człowieka, rzadko utrzymującego kontakty towarzyskie z innymi. Uważają, że kiedy nie biegał, spędzał czas głównie z żoną w domu. Podobno był całkiem niezłym długodystansowcem. Jeden ze świadków określa stosunek Evalda Bromo do biegania jako fanatyczny. Żaden ze świadków nie wie o nikim, kto mógłby chcieć zemsty na Bromo, chociaż wszyscy jednogłośnie podkreślają, że jako dziennikarze niekiedy miewają trudne relacje z opisywanymi ludźmi.

Jeśli mogę tak powiedzieć, Ståle Salvesen to martwy dzoker.

Najwyższa pora, abyśmy wszczęli zorganizowane poszukiwania Salvesena. Może powinniśmy byli zrobić to już wcześniej. Prądy w okolicach mostu Staure są takie, że zwłoki mogły zostać zepchnięte w dół i ewentualnie utknąć na dnie. Osobiście uważam, że nic nie znajdziemy. Intuicja, ta z brzucha, mówi mi, że Ståle Salvesen żyje gdzieś w najlepszym zdrowiu.

Hanne Wilhelmsen próbowała wsłuchać się we własną intuicję z brzucha. Ale brzuch nie powiedział jej nic oprócz tego, że od dwunastu godzin nic nie jadła.

– Cholera, Hanne!

Karl Sommarøy wpadł przez uchylone drzwi i rzucił jej na biurko dwa powiększone odciski palców. Potem stanął przy niej, lewą ręką obejmując ją za ramiona, a palcem prawej pukając w kartkę.

– Jak myślisz, co to jest?

Zaśmiał się swoim dziewczęcym śmiechem i całą płaską dłonią walnął w stół.

– Z tego, co widzę, odciski palców – westchnęła Hanne.

Stłumiła ziewnięcie, zastanawiając się, czy nie przywołać kolegi do porządku, bo wprawdzie drzwi były uchylone, ale powinien zapukać.

– Przecież widzę – dodała jednak tylko.

– No dobrze, ale jak myślisz, czyje? – Karlowi Sommarøyowi z podniecenia brakowało tchu, ale podjął, nie czekając na domysły Hanne: – Znalaziono je przy zwłokach Evalda Bromo. Jeden na ścianie boksu dwa metry dalej w głąb korytarza piwnicznego, a drugi na ścianie przy schodach.

Ból głowy jeszcze się wzmógł. Coś pulsowało za prawym okiem, jakby wbił się tam gwóźdź i za nic nie chciał wyjść. Hanne przytknęła palce do oczu i mocno przycisnęła.

– No dobrze, czyje są te odciski? – spytała z rezygnacją, próbując wysunąć się z objęć Karla. – Jestem odrobinę za bardzo zmęczona, żeby się bawić w zgadywanki.

– Sigurda Halvorsruda! – Karl znów się roześmiał, głośno i przenikliwie. – Sigurd Halvorsrud był w piwnicy domu Stålego Salvesena, w której znaleziono ciało Evalda Bromo. Bardzo jestem ciekaw, jak on zamierza to wyjaśnić!

Hanne Wilhelmsen potarła palcem po delikatnych liniach powiększonych odcisków. Wyginały się miękko jak poziomice na starej mapie topograficznej. Teren był unikalny; spośród blisko pięciu miliardów ludzi na świecie jedynie Sigurd Halvorsrud mógł zostawić te ślady w miejscu, gdzie zabito Evalda Bromo. Z tego były prokurator okręgowy już się nie wykręci.

Na zewnętrznych krańcach fiordu Oslo panował zupełny spokój. Dwie mile morskie na południe od latarni Færder na wodzie unosił się jacht pełnomorski z dwiema osobami na pokładzie. Petter Weider i Jonas Broch mieli po dwadzieścia pięć lat i kiedy nie żeglowali, studiowali prawo. Co oznaczało, że uczyli się minimalnie. Podczas ferii wielkanocnych, które powinni spędzić nad książkami, ponieważ egzaminy były już za miesiąc, popłynęli do Kopenhagi po marihuanę. Nie chodziło o duże ilości. Na każdego zaledwie po pół kilo, wyłącznie na własny użytek. No, może trochę dla przyjaciół. Ale tylko w ramach prezentu.

Powrotna podróż zajęła im więcej czasu, niż się spodziewali. Na środku Skagerraku wiatr nagle siadł. Kiedy we wtorek szóstego kwietnia ujrzeli wreszcie latarnię morską Færder, morze było wyjątkowo spokojne jak na tę porę roku. Słońce rozjaśniało wschodnią część nieba, a oni mogli zdjąć grube kapoki i siedzieć w kokpicie w samych swetrach.

Idealny dzień na wypalenie jointa. Nie było sensu uruchamiać silnika, skoro na łodzi nie czekało ich nic oprócz dusznej czytelnicy.

Towar kupili za pośrednictwem starego przyjaciela z Uniwersytetu Kopenhaskiego i okazało się, że reklama nie kłamała. Petter i Jonas już zdążyli zapomnieć, że oblali egzamin dwa razy z rzędu, więc Studencka Kasa Kredytowa urządzi im piekło, jeśli nie poradzą sobie i tym razem. Nieśmiały trzepot żagli szukających wiatru mieszał się z lekkim pluskiem wokół łodzi i sprawiał, że obaj chłopcy jasno patrzyli w przyszłość. Jeśli i tym razem obleją, wyruszą w rejs dookoła kuli ziemskiej. Może potrwać nawet dwa lata. A w każdym razie popłyną na Zanzibar, tam, gdzie Jonas spędził ferie zimowe w zeszłym roku. I z całą pewnością na Malediwy, gdzie będą mogli pływać od wyspy do wyspy, może nawet zarobią

na przewozie turystów znudzonych kręceniem się po jednej i tej samej wysepce.

– W morzu leży facet – powiedział Petter niewyraźnie. – Od sterburty.

Jonas zachichotał.

– Co robi? – spytał dramatycznym szeptem.

– Nie żyje.

– Całkiem?

– Absolutnie.

– Mamy jeszcze piwo?

Petter sięgnął do turystycznej torby-lodówki i wyciągnął półlitrową puszkę tuborga. Rzucił ją Jonasowi, a dla siebie otworzył drugą.

– Ten facet ciągle tam jest – mruknął Petter.

– Daj spokój.

Jonas usiadł wygodniej i zablokował ster.

– Gdzie on jest?

– Tam.

– O cholera! Do diabła, Petter, przecież to trup!

– No przecież ci mówiłem! – prychnął urażony kolega.

Jonas wychylił się przez burzę. Słona woda bryznęła mu w twarz. Mocno roztar skronie i pokręcił głową.

– Musimy go ściągnąć. Dawaj bosak.

Wspólnymi siłami udało im się zaczepić hak o ubranie nieboszczyka i wolno zaczęli przyciągać zwłoki do burty. Mężczyzna – z jakiegoś powodu od razu zrozumieli, że mają do czynienia z mężczyzną – leżał z twarzą zanurzoną w wodzie.

– Obróć go – zaproponował Petter niepewnie.

– Sam go obróć.

– Ja na pewno nie. Uważasz, że powinniśmy wciągnąć go do łodzi?

Jonas spróbował złapać trupa pod brzuchem, co spowodowało gwałtowne pęknięcie bańki gazu zebranego pod ubraniem nieboszczyka.

– Jasny gwint, ależ on cuchnie! Puść go, puszczaj, do diabła!

Petter z wrzaskiem rzucił się na bakburtę i plecami uderzył o torbę z piwem. Sypnęły się przekleństwa.

– Nie możemy go puścić, ty idioto! – warknął Jonas, którym już szarpał odruch wymiotny. – Musimy zawiadomić policję!

Petter stanął na nogi i rozcierając bolące plecy, krzywił się na smród, który owionął całą łódź.

– Nie możemy po prostu zaciągnąć go na ląd? Jakbyśmy holowali go na dłuższej linie, to ominąłby nas ten fetor.

– Cholerny z ciebie dureń. Przecież ten facet się dosłownie rozpada. Pociągniemy go z dziesięć metrów i nic już z niego nie zostanie. Daj mi teraz linę i przestań tak wrzeszczeć. I pomóż mi, do jasnej cholery!

Kwadrans później Petter Weider i Jonas Broch zabezpieczyli zwłoki, mocując je do relingu. Policję wezwali przez krótkofalówkę. Policjanci mieli niedługo przybyć.

– Jasna cholera!

Wpadli na to w tej samej sekundzie. W przedniej ładowni leżał kilogram marihuany. Wprawdzie było mało prawdopodobne, że policja przeszuka łódkę dwóch pomocnych studentów prawa, ale nie mogli ryzykować. Przecież obaj planowali, że z czasem zostaną adwokatami, gwiazdami palestry z tłustymi kontami w banku. Petter był bliski płaczu, kiedy Jonas zdecydowanie wysypywał do morza dwie plastikowe torby przypominających tytoń narkotyków.

Nie pomyślał jednak o tym, że morze jest takie spokojne.

Konopie nie chciały tonąć. Oblepiły całą burtę, przyciągane lekkim prądem, wytwarzanym przez jacht wolno dryfujący w stronę lądu.

Kiedy więc policja wreszcie się zjawiała, by przejąć odpowiedzialność za zwłoki, które dobę później miały zostać zidentyfikowane jako ciało Stałego Salvesena, znajdujący się w stanie rozkładu nieboszczyk był starannie przyprawiony marihuaną.

20

– Sigurd Halvorsrud – powiedział Billy T. powoli, ciągnąc się za płatek ucha i bawiąc się odwróconym złotym krzyżem. – Sigurd Harald Halvorsrud.

Nagłym ruchem założył ręce na piersi i wbił wzrok w przesłuchiwanego, który siedział po drugiej stronie biurka sztywno jakby kij połknął. Obok niego miejsce zajmowała Karen Borg, wyjątkowo w spodniach. Obracała w palcach teczkę z dokumentami, którą wzięła dziesięć minut temu, ale jeszcze jej nie otworzyła. Prawie niezauważalnie odsunęła krzesło o kilka centymetrów od swojego klienta, jakby już dawno przestała wierzyć w jego niewinność i za wszelką cenę chciała zachować dystans.

– Czego pan szukał w tej piwnicy, Halvorsrud? – Billy T. nagle pochylił się nad biurkiem.

– Mój klient jeszcze nie przyznał się do tego, że tam był – wtrąciła Karen Borg. – Proponuję, abyśmy zaczęli do tego.

Billy T. uśmiechnął się i przygryzł wąsy.

– Na razie klient pani mecenas nie wypowiedział ani jednego, choćby jednosylabowego słowa – stwierdził ostro. – Ma do tego pełne prawo. Ale jeśli chodzi o przebieg tego przesłuchania, to będzie on taki, jak ja zdecyduję.

Otworzył półlitrową butelkę coli i wypił połowę jednym długim łykiem, po czym odstawił butelkę na stół i potarł dłonie.

– Zaczynam od nowa – powiedział wesoło. – Co pan robił w piwnicy budynku przy Vogts gate czternaście w nocy z soboty na niedzielę?

Przez trzy tygodnie, które Halvorsrud spędził w areszcie, zanim sędzia Bugge autorytatywnie pozwolił mu wrócić do domu i córki, prokurator nie wychodził ze swoich formalnych strojów. Codziennie ubierał się tak jak

zawsze do pracy, w garnitur i koszulę z krawatem. Teraz siedział w zniszczonych dżinsach na szelkach i brązowo-zielonej flanelowej koszuli, rozpiętej pod szyją, spod której wystawało kilka siwych sztywnych włosów.

Billy T. z protokołu zatrzymania wiedział, że Halvorsrud nalegał, by pozwolono mu się przebrać. Nie zgodzono się jednak i prokurator najwyraźniej czuł się teraz nieswojo w swobodnym stroju, jakby publiczne pokazywanie się w nim było zbyt intymne. Halvorsrud zasłaniał krocze rękami i bezustannie chrząkał, jakby coś utkwilo mu w gardle.

– Ja... – zaczął. – Ja... ja...

Dalej nie doszedł. Nachylił się tylko do Karen Borg i szeptem przekazał jej krótką informację. Karen wyprostowała się i wreszcie odłożyła teczkę z dokumentami.

– Mój klient postanawia skorzystać z przysługującego mu prawa do odmowy składania wyjaśnień – oznajmiła.

Billy T. zerknął z ukosa na Erika Henriksena, który zajmował ostatnie wolne krzesło w pokoju przesłuchań i dotychczas nie odezwał się słowem.

– Słyszałeś, Erik? Nasz przyjaciel uznał, że najlepiej będzie nie składać żadnych wyjaśnień.

– W porządku – stwierdził Erik. – Łatwiej dostaniemy zgodę na aresztowanie. Na pewno później zechce nam coś wyjaśnić. „Jeśli się to stanie teraz, nie stanie się później, jeżeli się później nie stanie, stanie się teraz; jeżeli nie teraz, to musi stać się później”. – Ziewnął i wyciągnął ręce nad głowę. – *Hamlet* – rzucił mimochodem. – Piąty akt⁴. Dam znać Annmari. I przyślę dwóch ludzi, żeby odprowadzili prokuratora do jego celi.

⁴ Przekład Józefa Paszkowskiego.

Kiedy Halvorsrud wyszedł z pokoju przesłuchań, Karen Borg wstała, chcąc pójść za nim. Billy T. położył jej na ramieniu ciężką rękę i szepnął:

– Jenny.

Karen gwałtownie się odwróciła.

– Co?

– Mała będzie miała na imię Jenny. Dość nowocześnie i dość staroświecko. Typowy kompromis. Ładnie?

Karen spuściła wzrok i ruszyła korytarzem. Billy T. maszerował za nią.

– Nie podoba ci się?

– Podoba – odparła bez uśmiechu. – Jenny to dobre imię.

– Billy T.! – zawołał ktoś nagle.

Korytarzem przybiegł student szkoły policyjnej. Zdyszany wetknął olbrzymowi do ręki żółtą karteczkę.

– Od Hanne Wilhelmsen – wysapał. – Poza tym prosiła, żebyś zadzwonił do niej na komórkę. Jak najszybciej.

Billy T. przeczytał wiadomość. Potem złożył karteczkę i wsunął ją do kieszonki na zegarek.

– Znakomita pora na wyjazd do Vestfold – mruknął ze złością. – Czego ona tam, do cholery, szuka?

Kiedy się odwrócił, Karen Borg już nie było.

Przy słonecznej pogodzie to miejsce miało jeszcze więcej uroku. Hanne Wilhelmsen, biegnąc po wyłożonej kamiennymi płytami ścieżce w stronę domku Eivinda Torsvika, uświadomiła sobie, że Vestfold to najpiękniejszy region kraju. Nagie, wypolerowane przez wodę skały zdawały się pełznąć ku szaroniebieskiemu morzu. W ostatnich dniach drzewa już na poważnie wypuściły listki, jasnozielone korony wyciągały się ku latu, które akurat w tej chwili wydawało się stać tuż za rogiem. W trawie wśród skał kwitły zawilce. Światło dosłownie kłuło w oczy, Hanne włożyła więc ciemne okulary. Stała na tarasie przed domkiem i popatrzyła na morze. Na płaskiej powierzchni wody bawiły się słoneczne refleksy. Mutujący głos nastolatka załamał się, kiedy chłopiec krzyknął coś do kolegi na brzegu ze skalistej wysepki, odległej zaledwie o trzydzieści metrów. Obaj wybuchnęli śmiechem. Dźwięk niósł się daleko i odbił się echem w wąskiej zatoce Hamburgkilen.

– Świetnie, że mogłaś przyjechać. I to tak szybko!

Hanne drgnęła i odwróciła się wystraszona, usłyszawszy jego głos. Eivind Torsvik również był w ciemnych okularach. Trzymały się na długich, zagiętych do tyłu i złączonych gumką rączkach.

– Sprytnie – wypaliła bez zastanowienia, pokazując na okulary.

Roześmiał się tym swoim fascynującym dziecięcym śmiechem, od którego Hanne od razu poweselała.

– Niewiele osób to skomentowało – powiedział i znów się roześmiał.

Wskazał nasłonecznioną ścianę pod wielkim panoramicznym oknem. Od poprzedniej wizyty Hanne pojawiły się tu dwa duże drewniane fotele z poduszkami w biało-niebieskie pasy. Hanne usiadła i wystawiła twarz do słońca. Dochodziło wpół do czwartej, policzki ją paliły.

– Co za cudowne miejsce! – westchnęła. – Masz naprawdę fantastyczny domek.

Eivind Torsvik usiadł obok niej, ale nie odpowiedział. Narzucił sobie pled na wąskie ramiona. Hanne mimo warkotu kutra wolno przepływającego po fiordzie słyszała jego oddech. Zamknęła oczy ukryte pod okularami. Poczula się pusta w środku i niewypowiedzianie zmęczona.

Kiedy Eivind Torsvik zadzwonił i tak bardzo nalegał na spotkanie, natychmiast poprosiła, żeby przyjechał do Oslo. On jednak wyraził wprawdzie wielkie zrozumienie dla sytuacji, jaką Hanne ma w pracy, mimo to w sposób jak najbardziej zdecydowany odmówił jej prośbie. Tłumaczył, że od lat nie rusza się poza rejon Sandefjord i chce, żeby tak zostało. Jeśli Hanne interesuje to, co ma jej do powiedzenia na temat Evalda Bromo, będzie musiała przyjechać do domku na końcu wyspy Årø. Osobiście i sama. Rozmowa z kimś innym nie wchodzi w grę.

Siedziała teraz obok tego dziwnego chłopca-mężczyzny i czuła, że mogłaby przy nim zasnąć. Bliskość Eivinda Torsvika sprawiała jej przyjemność. Odwieczny ucisk za oczami ustąpił, ramiona mogły opaść. Mimo że zamienili ze sobą jedynie kilka słów w zeszłą sobotę, gdy tak bezpardonowo wdarła się w jego prywatność, miała wrażenie, że znają się od dawna.

Eivind Torsvik chronił siebie i swoje życie przed innymi, a pisarstwo umożliwiło mu doprowadzenie tej sytuacji do ekstremum. Nie musiał stykać się z nikim. I nie potrzebował nikogo. Hanne przyłapała się na tym, że w głębi ducha trochę mu zazdrości, po czym naprawdę zasnęła.

Musiała drzemać przez dobrych kilka minut, bo kiedy się obudziła, Eivind stał przed nią z parującą filiżanką herbaty i dodatkowym pledem przerzuconym przez ramię.

– Proszę – powiedział, podając jej jedno i drugie. – Później może się zrobić chłodno. A teraz opowiem ci, czym tak naprawdę się tu zajmuję.

Przyniósł herbatę dla siebie, usiadł i rozmieszał cukier. Hanne

podziękowała, kiedy podsunął jej cukierniczkę.

– Co twoim zdaniem jest najgorsze w pracy policyjnej? – spytał łagodnie i tak cicho, że przez moment nie wiedziała, czy dobrze go zrozumiała. – Co jest najgorsze w byciu stróżem prawa?

– Proces karny – odpowiedziała Hanne bez wahania. – Te wszystkie zasady, które trzeba brać pod uwagę. I to, że tak niewiele możemy zrobić. Nawet kiedy z całą pewnością wiemy, że ktoś jest winny.

– Tak właśnie myślałem. – Z zadowoleniem pokiwał głową.

Herbata miała lekki posmak wanilii, cynamonu i jabłek. Hanne trzymała filiżankę przy twarzy, wdychając delikatny aromat.

– Powiedzieć ci, dlaczego piszę?

Popatrzył na nią, przesunął ciemne okulary na czoło. Hanne spokojnie kiwnęła głową i wypila łyk herbaty.

– Ponieważ moje życie wyglądało tak, że można o nim pisać. – Uśmiechnął się ze zdziwieniem, jakby dopiero teraz znalazł wyjaśnienie czegoś, nad czym zastanawiał się od dawna. – Nigdy nie piszę o sobie, ale jednocześnie robię to stale. Książki opowiadają o tym, co się przeżyło. A ja, zanim skończyłem osiemnaście lat, zaznałem więcej niż większość ludzi. Potem nastąpił koniec. Zabiłem człowieka i pogodziłem się z tym, że to jedno życie, które dostałem, się skończyło.

Hanne dołała sobie herbaty z termosu stojącego między nimi na kamieniach. Otworzyła usta, żeby zaprotestować, rozejrzała się i uniosła rękę, osłaniając oczy przed ostrym słońcem.

– Nie twierdzę, że jestem bezwartościowy – oświadczył Eivind zdecydowanie, uprzedzając ją. – Przeciwnie, moje książki dają radość wielu osobom. Mnie również. Pisząc, kradnę życie, które nie należy do mnie. Jednocześnie daję innym coś, do czego, jak długo sądziłem, nie jestem zdolny. Można być bardzo zadowolonym z pisania książek. Szczęśliwym natomiast być nie można. Mam...

Po raz pierwszy w rozmowie z nią nie dokończył zdania. Miał miękki

jasny głos, a słowa zawsze padały bez wysiłku i płynnie. Teraz jednak przekrzywił głowę, opuścił okulary z powrotem na nos i odchylił się w fotelu.

– Znasz moją historię. Nie będę cię nią dręczył. Ale nie miałem wiele lat, kiedy zrozumiałem, że utraciłem zdolność tworzenia związków z innymi ludźmi. „Zredukowana zdolność tworzenia związków”, tak określili to psychologowie w niezliczonych raportach, które istnieją na mój temat. – Podciągnął koc na ramiona. – Oni nawet nie mają pojęcia, co to znaczy!

Hanne zauważyła lekkie drżenie przechodzące przez jego rękę, pobladł. Widziała też, że nozdrze mu drga.

– Ale dość już o tym – powiedział lekko, próbując związać końce grubego pledu na piersi. – Wcale nie dlatego poprosiłem, żebyś przyjechała. Nie tylko piszę książki. Zajmuję się również czymś, co jest o wiele ważniejsze. Pamiętasz Belgię?

– Belgię? Dioksyny i krowy rasy belgijskiej błękitnej. Korupcja i sadyzm seksualny. Morderstwa polityczne. Salmonella i zakaz importu. Belgia. Zabawny kraj w środku Europy.

Zerknęła na Eivinda. Nie uśmiechał się. Zawstydzona przeniosła spojrzenie na fiord. Roześmiani chłopcy skoczyli do łódki i bawili się, wiosłując w kółko.

– Marc Dutroux – rzucił Eivind. – Pamiętasz go?

Oczywiście, że pamiętała „potwora z Charleroi”. Bóg jeden wie, ile istnień zniszczył dosłownie i w przenośni. Skandal pedofilski, który przetoczył się przez Belgię u schyłku lata i jesienią 1996 roku, wywołał falę szoku na całym świecie. Odkrywano kolejne zwłoki młodszych i starszych dzieci. Wykopywano je w ogrodach i znajdowano zagłodzone w specjalnie wymurowanych piwnicach. Z czasem śledztwo ujawniło obraz siatki pedofilskiej, której członkami mogli być policjanci, sędziowie, a także kilku czołowych polityków.

– Najgorsze w tej sprawie nie było wcale to, że Marc Dutroux

najwyraźniej znajdował się pod ochroną potężnych ludzi stojących u władzy – powiedział Eivind Torsvik. – Jeśli chodzi o pedofilię, nie istnieją żadne podziały społeczne. A kiedy ludziom wali się świat, są zdolni do wszystkiego. Nie ma żadnych granic. Najgorsze było...

Wylał wystygłą herbatę na kamienne płyty. Na szarej powierzchni kamienia ukazał się ciemny wzór. Plama przypominała kraba z trojgiem szczypiec. Eivind przyglądał mu się, lekko pstrykając w pustą filiżankę.

– Niebezpieczne jest to, że system zawodzi. Marc Dutroux był przecież wcześniej skazany. Dostał wyrok trzynastu lat ze serię gwałtów. Wiesz, ile odsiedział?

– Siedem, osiem lat? – Hanne wzruszyła ramionami.

– Trzy. Wypuścili go po trzech latach. Z uwagi na dobre sprawowanie. Za dobre sprawowanie! Ha! – Poderwał się. – Ależ się ochłodziło! Ja łatwo marznę. Nie masz nic przeciwko temu, żebyśmy weszli do środka?

Hanne nie pojmowała, jak Eivind mógł zmarznąć. Było na pewno co najmniej piętnaście stopni, a on przez całą tę rozmowę siedział owinięty w wełniany pled.

– Oczywiście, że nie – zgodziła się jednak i poszła za nim do domku.

– Przygotowałem coś do zjedzenia – usłyszała jego głos z kuchni. – Tylko sałatkę i pieczywo. Uznałem, że nie będziesz chciała pić wina.

– Prowadzę – powiedziała i poklepała się po kieszonce na piersi. – Czy tu obowiązuje zakaz palenia?

Wysunął głowę między górną a dolną szafką otwartej kuchni.

– Nikt tu wcześniej nie palił, co oznacza, że to chyba nie zaszkodzi. Pal!

Zanim Hanne wypaliła papierosa, stół był już nakryty. Białe talerze, srebrne sztucce. Eivind nalał wody mineralnej do kieliszka Hanne, a sobie wina z Alzacji.

– Wiesz, że sklepy monopolowe dostarczają towar pod drzwi? – spytał, siadając. – I że w Internecie jest mnóstwo znakomitych przepisów?

– W ogóle się stąd nie ruszasz?

Hanne nałożyła sobie caprese i wzięła kawałek bułki.

– Niestety, czasami muszę jeździć do miasta. Na przykład do dentysty. Poza tym od czasu do czasu jeżdżę rowerem do Hasle po zakupy. To prawie w samym mieście. W Solløkka, tu, niedaleko, jest raczej duży kiosk niż prawdziwy sklep. Wiedziałaś, że sprawa Dutroux pękła właściwie w wyniku prywatnego śledztwa?

Hanne spróbowała sałatki. Mozzarella miała pełny smak, była miękka, a pomidory wyjątkowo aromatyczne.

– Mam na tyłach domu niedużą szklarnię, możesz ją później obejrzyć, jeśli zechcesz. Ja kieruję właśnie taką organizacją. Chociaż „kieruję” to za dużo powiedziane. Nasza grupa składa się z dwadzieściora dwojga Europejczyków i piętnaściora Amerykanów, którzy akceptują mnie w roli kogoś w rodzaju przywódcy, chociaż nigdy nie odbyły się żadne wybory czy jakieś formalne mianowanie.

Hanne Wilhelmsen zastanawiała się przez chwilę, czy Eivind mówi o jakiejś grupie hodowców warzyw. Przestała żuć i patrzyła na niego z uniesionym widelcem.

– My po prostu śledzimy pedofilów.

Uśmiechnął się lekko i posłał jej zaczepne, wręcz wyzywające spojrzenie. Jasne włosy burzyły się wokół owalnej twarzy, a w oczach pojawił się blask, jakiego dotychczas nie widziała. Wargi miał czerwone jak krew na tle bladej skóry, prawie całkiem pozbawionej zarostu. Przypominał anioła. Takiego jak na wycinankach z glansowanego papieru, które Hanne zbierała kiedyś w pudełku po butach. Nadziemsko piękne serafiny z błękitnymi oczami i brokatem na skrzydłach.

– Akurat w tej chwili jesteś podobny do anioła! – zawołała.

Eivind siedział niewzruszony, nie opuścił oczu. Hanne miała wrażenie, że widzi w nich coś, do czego nie powinna się wtrącać. Życie, którego nie chciała stać się częścią. Eivind Torsvik znalazł sposób na życie w samotności. W pewnym sensie ją to pociągało i być może do pewnego

stopnia mu zazdrościła, ale kiedy tak siedział z podświetlonymi słońcem kędziorami układającymi się w aureolę wokół głowy, był również czymś jeszcze. Czymś, czego nie potrafiła nazwać, ale co ją przerażało i kazało jej odłożyć sztucę.

– Bo ja jestem aniołem. Jestem Aniołem we własnej osobie. Nasza organizacja nazywa się The Angels of Protection. Na co dzień TAP.

Hanne chciała już wyjść. Absolutnie nie tego było jej potrzeba w samym środku sprawy zabójstwa, z którego nic nie rozumiała. Nie chciała, by obciążano ją wiedzą o jakiejś okultystycznej organizacji, która mogła prowadzić nielegalne działania, nawet w służbie dobra. Chrząknęła, podziękowała za jedzenie i odsunęła talerz o dwa centymetry od siebie.

– Wierzysz w Boga?

Hanne pokręciła głową i zaczęła mieć w rękach serwetkę. Naprawdę chciała stąd wyjść. Nie chciała dłużej pozostawać w tym domku, gdzie było za gorąco, a szum rozbudowanego systemu komputerowego znów wywołał ból głowy.

– Ja też nie. W żaden sposób. Bóg to jakieś żalosne pojęcie, do którego uciekają się ludzie, aby tłumaczyć sobie to, co niewytłumaczalne. Pytam, ponieważ dostrzegam pewien sens w twoim pojawieniu się tu w sobotę. Wierzę, że twoja wizyta to jeden z tych zbiegów okoliczności, których historia widziała tak wiele. Jedno z nagłych, nieprzewidzianych wydarzeń inicjujących jakąś zmianę albo katastrofę. Już się najadłaś?

– Tak, dziękuję. Bardzo mi smakowało.

Hanne dopiła wodę mineralną i spojrzała na zegarek.

– Nie możesz jeszcze iść. Nie dałem ci tego, co masz dostać. Musisz w sobie znaleźć więcej cierpliwości, Hanne Wilhelmsen. Niecierpliwa z ciebie dusza, widzę to po tobie. Nie idź jeszcze.

– Dobrze – uśmiechnęła się słabo. – Jeszcze nie. Ale po prostu nie mogę zostać długo.

– Widzisz, ja cię szukałem – wyjaśnił, sprzątając ze stołu. – No, może

nie konkretnie ciebie, ale kogoś w policji, komu mógłbym zaufać. – Nagle rzucił talerze na stół i wychylił się. – Wiesz, ile to trwało? – spytał. W jego głosie pojawiło się coś nowego, jakaś uraza, z której powodu stał się głębszy. – Wiesz, ile czasu minęło, odkąd odciąłem sobie uszy i opowiedziałem o tym, jak mój przybrany ojciec wielokrotnie mnie wykorzystywał, do czasu zakończenia śledztwa w tej sprawie?

– Nie. Nie znam szczegółów.

– Trzy lata! Trzy lata. Badało mnie czterech psychologów i wszyscy stwierdzili, że mówię prawdę. Poza tym musiałem wypinać tyłek na kozetce lekarskiej przed ludźmi w fartuchach, którzy wcześniej nawet się ze mną nie przywitali. Dotykali tych części mojego ciała, które powinny zostać moje. Tylko moje. Chociaż nigdy moje nie były. Byłem okradany z samego siebie, odkąd sięgam pamięcią. Stałem tak z wypiętym tyłkiem i nie mogłem nawet płakać. Miałem trzynaście lat, a konkluzja lekarzy była jednoznaczna: wieloletnie brutalne wykorzystywanie seksualne. A ja miałem trzynaście lat!

– Eivind Torsvik znów opadł na krzesło, delikatnie potarł oczy, jakby dał jej już to, co miał jej dać. – Mimo to musiały minąć trzy lata, zanim sprawa trafiła do sądu.

Hanne czuła, że powinna coś powiedzieć. Historia Eivinda Torsvika nie była dla niej niczym nowym. Stykała się z nią, słyszała, przeżywała. Za często. Szukała właściwych słów, ale nie mogła mówić. Ostrożnie położyła rękę na stole.

– A kiedy wreszcie zapadł wyrok, był po prostu śmieszny.

Eivind zaczerpnął głęboko powietrza i przytrzymał je w płucach tak długo, że policzki lekko mu się zaróżowiły. Hanne po raz pierwszy dostrzegła w jego twarzy rysy dorosłego mężczyzny. Zniknął anioł. Przed nią siedział dwudziestokilkuletni mężczyzna, który stracił wszystko, co miał, zanim dorósł.

– Wszyscy jesteśmy ofiarami. Wszyscy członkowie The Angels of Protection. Poświęcamy więc życie, żeby ich wyszukiwać. Molestujących.

Pedofilów. Tych, którzy kradną dusze. Nie wiążą nas granice, żadne reguły. Przestępcy seksualni nie przestrzegają żadnych praw i można ich zwalczać wyłącznie na takich samych zasadach. Obserwujemy ich. Śledzimy. Znajdujemy w Internecie. Większość z nich nie potrafi trzymać się z daleka od zalewu pornografii dziecięcej, która jest tam dostępna. Idioci.

– Ale jak wy to robicie?

Hanne poczuła zaniepokojenie, którego tak naprawdę sobie nie życzyła.

– Mamy swoje metody – odparł Eivind. – Wielu z nas pracuje w terenie. Latami obserwujemy i sprawdzamy. Poruszamy się jak cienie w krainie, której nie zna policja, a w której my urodziliśmy się i dorostaliśmy. Dla nas rozpoznanie pedofila nie jest szczególnie trudne. Przecież wszyscy z nimi żyliśmy. Wszyscy. Ja nigdy nie wychodzę. Poprzestaję na sieci. – Wskazał na komputer pod oknem. – Moje zadanie na tym polega. Ponadto wszystko systematyzuję. Układam kawałeczki puzzli w całość. A jest ich mnóstwo, niektóre malusieńkie. Ale w końcu wyłoni się z nich obraz. A kiedy to się stanie, do czego już niedaleko, pójdziemy na policję. Akurat w tej chwili mam listę – przysunął rękę do dłoni Hanne; dzieliło ich zaledwie pięć centymetrów – jedenastu Norwegów systematycznie molestujących dzieci, o których policja nie ma najmniejszego pojęcia.

– Ale musicie... – zaczęła Hanne. – Dlaczego wy... czy prowadzicie...

Informacje Eivinda Torsvika były sensacyjne.

Często słyszała pogłoski o organizacjach tego typu, mimo wszystko uważała je za wymysły. To było niemożliwe. A w każdym razie powinno być niemożliwe. Oczywiście policja cierpiała na chroniczny brak kadr, a w dodatku na niedobór bystrości, ale miała po swojej stronie prawo. Istniał system, posiadali kompetencje. Jednak branie spraw w swoje ręce przez osoby prywatne, kiedy funkcjonariusze zawadzili, absolutnie nie było jej obce. W połowie lat dziewięćdziesiątych sama prowadziła śledztwo w sprawie gwałtu, w której ojciec i córka zemścili się za zniszczone życie dziewczyny. Oboje zostali uniewinnieni, a decyzja sądu nikomu z policji nie

spędzała snu z powiek.

– Ale cała organizacja? – odezwała się nagle. – Musicie balansować na granicy prawa. Albo wręcz je łamać.

– Tak – wyznał Eivind Torsvik szczerze. – Łamiemy prawo, kiedy to jest konieczne. Między innymi prowadzimy podsłuch telefoniczny. Rzadko, bo to trudno zorganizować, przynajmniej w Norwegii.

– Nie możesz mi o tym mówić! – Nakryła ręką jego dłoń, wąską i chłodną. Wyczuwała wystające kostki. – Nie mów nic więcej – poprosiła gorąco. – Nie chcę tego wiedzieć!

– Spokojnie. Materiały, które w odpowiednim czasie przekazemy policji, zeznania świadków i inne dowody będą niepodważalne. Niezgodnie z prawem działamy tylko... dla dobra śledztwa. Tak się chyba mówi. – Znów się roześmiał tym śmiechem o zmiennej skali, którego nie dało się słuchać z obojętnością. Wydawał się też teraz bardziej ożywiony i przyciągnął rękę do siebie. – A ty oczywiście nie doniesiesz.

Hanne zakryła rękami uszy.

– Nie chcę słyszeć nic więcej, rozumiesz? Nic więcej!

– Evald Bromo przez całe swoje dorosłe życie molestował dziewczynki.

Hanne wolnym ruchem opuściła rękę. W uszach jej szumiało, musiała kilka razy przełknąć ślinę.

– Co ty powiedziałeś?

– Evald Bromo był pedofilem. Przez wiele lat kupował i kradł seks od dziewczynek nawet dziesięcioletnich. Głównie zresztą kupował. Tyle sprawiedliwości trzeba mu oddać.

Zacisnął wargi. Wyglądał teraz tak, jakby dziecko narysowało mu je flamastrem. Wstał i z szuflady regału przy komputerze przyniósł plastikową teczkę. Okładka była zielona, półprzezroczysta.

– Proszę. Dostaniesz to. Nie da się go osądzić *post mortem*. Kiedy w gazecie internetowej przeczytałem, że Bromo został zamordowany, zebrałem to, co na niego mieliśmy. Dam ci to. Ale to tylko dla ciebie. Pomoc

na drodze do znalezienia mordercy. Oczywiście nie możesz tego wykorzystać inaczej niż jako tło do dalszego śledztwa. Byłbym bardzo wdzięczny, gdybyś to wszystko zniszczyła zaraz po przeczytaniu.

Hanne wpatrywała się w zieloną teczkę takim wzrokiem, jakby Eivind położył na obrusie dorosłego skorpiona.

– Nie mogę – wykrztusiła w końcu. – Nie mogę przyjąć nic, czego nie mogłabym pokazać moim kolegom.

– Wobec tego przeczytaj tutaj. – Znow wstał i wziął do ręki sztucce i talerze. – Ja teraz posprzątam i zaparzę jeszcze herbaty. Smakowała ci? To dobrze. Zapal sobie i przeczytaj wszystko, co tam jest.

Ruchem głowy wskazał teczkę, potem przysunął Hanne popielniczkę i wyszedł do kuchni.

Hanne pożałowała, że nie ma gumowych rękawiczek. Leżąca przed nią teczka mogła zawierać informacje decydujące o rozwikłaniu sprawy zabójstwa Evalda Bromo. Miała wielką ochotę zerwać gumkę, którą teczka była spięta, i rzucić się na jej zawartość, ale było to sprzeczne z wszelkimi jej zasadami. Eivind Torsvik kierował nielegalną organizacją szpiegującą ludzi. Hanne Wilhelmsen była komisarzem policji.

Sięgnęła do kieszonki na piersi, wyjęła papierosa. Zapaliła go i dmuchnęła dymem na zakazaną teczkę. W końcu zerwała gumkę.

Trochę ponad pół godziny zajęło jej dokładne przeczytanie dokumentów, porządne ich ułożenie i na powrót spięcie gumką, zanim wszystko od siebie odsunęła. Zapaliła trzeciego papierosa, ledwie zauważając, że Eivind wrócił z kuchni i cicho siedział w fotelu w salonie, jakby zasnął.

– Przydatne? – spytał z zamkniętymi oczami.

– Jak wy zdołaliście to zebrać?

– Już ci wyjaśniłem: śledzenie, obserwacja... Latami.

– Mimo wszystko aż tyle? Jak, na miłość boską, udało wam się aż tyle zdobyć?

Uśmiechnął się i obrócił twarz do Hanne.

– Przydatne? – powtórzył.

Hanne nie wiedziała, co ma odpowiedzieć. Jeśli Evald Bromo został zabity ze względu na swoje perwersyjne skłonności seksualne, nie pojmowała związku między jego śmiercią a zabójstwem Doris Flo Halvorsrud. Nie było nic, nawet cienia śladu, że żona prokuratora okręgowego miałyby molestować dzieci.

– Nie wiem – powiedziała w końcu.

Thea. Thea!

Hanne połknęła dym i zanosła się kaszlem. Poderwała się gwałtownie, wywracając krzesło. Oparcie uderzyło w witrynkę i pękła szybka w drzwiach.

– Musisz mi odpowiedzieć na jedno pytanie – powiedziała. – Kto jeszcze jest na twojej liście?

Eivind Torsvik uniósł ręce w obronnym geście.

– Dostałaś tę teczkę, ponieważ Evald Bromo nie żyje. Jest już poza naszym zasięgiem. Ale jeśli chodzi o pozostałe osoby na liście, nie dostaniesz nic, dopóki wszystkie kawałki układanki nie znajdą się na swoim miejscu. To nie potrwa długo.

– Ile? – Jej głos prawie się załamał.

– Na to nie umiem odpowiedzieć. Być może miesiąc, a może pół roku. Za wcześniej, by cokolwiek mówić.

Hanne postawiła krzesło z powrotem, potem palcami powiodła wzdłuż rysy dzielącej szklane drzwiczki na pół.

– Ale jedno musisz mi powiedzieć. – Podeszła do Eivinda i przykucnęła przy jego fotelu, opierając się o podłokietnik. – Czy Sigurd Halvorsrud jest na tej liście? Czy Halvorsrud też jest pedofilem?

Oczy mu się zmieniły. Wcześniej Hanne czuła bliski związek z tym młodym mężczyzną. Rozpoznała go, gdzieś na dnie niebieskich oczu z wyraźną czarną obwódką wokół tęczówki dostrzegła samą siebie. Ale teraz był obcy.

– Nic więcej nie dostaniesz – oświadczył twardo.

Hanne oderwała się od jego oczu i z wysiłkiem wstała.

– Wobec tego bardzo dziękuję za wszystko, co mi dałeś – powiedziała. – Za jedzenie i herbatę. I... za wszystko.

Kiedy już włożyła amerykańską kurtkę z jeleniej skóry z haftem z koralików i frędzlami na karczku, wyjęła wizytówkę i długopis. Na odwrocie wizytówki szybko napisała swój prywatny numer.

– Zadzwoń, jeżeli będziesz czegoś chciał. Możesz dzwonić zawsze.

– Na pewno zadzwonię. Prędzej czy później.

Niepostrzeżenie zostawiła jeszcze pięćset koron na blacie w kuchni. Miała nadzieję, że Eivind zrozumie, że to na nową szybę w witrynce.

Kiedy samochód powoli wyjeżdżał na marną drogę, widziała go w lusterku. Stał na szczycie skalistego pagórka owinięty pledem i patrzył na nią. Kiedy minęła zakręt, Eivind Torsvik zniknął.

22

– Gdzie ty, do jasnej cholery, byłaś? – Głos Billy’ego T. paskudnie trzeszczał w komórce.

Hanne właśnie wjechała na E18, kiedy uświadomiła sobie, że jej telefon od opuszczenia Oslo był wyłączony. Po drodze potrzebowała trochę spokoju na zastanowienie się i o komórce przypomniała sobie dopiero teraz. Zdążyła tylko zarejestrować, że ma osiem wiadomości, kiedy telefon znów pisnął.

– Kazałaś mi zadzwonić! – wrzeszczał Billy T. – I ja od kilku godzin nic innego nie robię! Już prawie ósma, do cholery!

– Uspokój się – mruknęła Hanne. – Ktoś umarł czy co?

– Tak. Stałe Salvesen.

Hanne szarpnęła kierownicą. Gwałtownie zahamowała, zjechała na pobocze i włączyła światła awaryjne.

– Co ty powiedziałaś? Stałe Salvesen?

– Ha! A ty mi kazałaś dzwonić, żeby...

– Przestań, Billy T.! Przepraszam. Zapomniałam o komórce. Salvesen nie żyje?

– Tak nam się wydaje. Dziś rano dwaj młodzi chłopcy znaleźli zwłoki w bardzo złym stanie pływające w fiordzie. Już odszukaliśmy dentystę Salvesena. Wstępna identyfikacja powinna być gotowa przed dziesiątą wieczorem.

Hanne potarła kark. Po blisko trzech dobach prawie bez snu dalsza jazda była w zasadzie przejawem nieodpowiedzialności. W oczach jej pociemniało, mocno poklepała się po prawym policzku.

– Przyjadę mniej więcej za półtorej godziny.

– I jeszcze jedno, Hanne.

– Będę za trochę więcej niż godzinę, Billy T. Wtedy porozmawiamy.

Rozłączyła się.

Prawdopodobnie wszystkie osiem wiadomości było od Billy'ego T. Na wszelki wypadek jednak postanowiła to sprawdzić. Z Cecilie nie rozmawiała od rana. Zdecydowała, że załatwi to jeszcze podczas tego postoj. Pięć pierwszych wiadomości rzeczywiście było od coraz bardziej wściekłego Billy'ego T. Szósta ze Szpitala Ullevål.

– Mówi doktor Flåbakk z oddziału onkologicznego w Ullevål. Poszukuję Hanne Wilhelmsen. Cecilie Vibe została przyjęta na oddział dziś przed południem i bardzo proszę, żeby pani jak najszybciej do mnie zadzwoniła. Mój numer to...

Hanne miała wrażenie, że prąd elektryczny przeszył całe jej ciało. Fala gorąca rozlała się od podbrzusza i popłynęła do wszystkich członków. W jednej chwili oprzytomniała. Nie oddzwoniła do doktora Flåbakka. Wyłączyła telefon i sto dwadzieścia kilometrów do Oslo pokonała w ciągu pięćdziesięciu pięciu minut.

23

Cecilie była nieprzytomna. W każdym razie nie obudziła się, kiedy Hanne weszła do pokoju w towarzystwie zażywej pielęgniarki, która najwyraźniej nigdy nie miała wolnego.

– Środki przeciwbólowe ją odurzyły – wyjaśniła kobieta. – Nie obudzi się wcześniej niż rano. Jeśli chce pani porozmawiać z doktorem Flåbakkiem, to proszę, żeby pani przekazała, że do jedenastej może pani dzwonić do niego do domu. Ma pani numer?

Hanne pokręciła głową. Nie chciała rozmawiać z żadnym lekarzem.

– Co się stało? – spytała. – Kiedy ją przywieziono?

– Sama zadzwoniła. Chyba około jedenastej przed południem. Czuła się tak źle, że wysłaliśmy karetkę.

Hanne zaszlochała, próbując powstrzymać łzy napływające do oczu.

– Już dobrze, dobrze. – Pielęgniarka stanęła przy niej i delikatnie pogładziła ją po plecach. Rękę miała szeroką i ciepłą. – Jutro znów może się dobrze czuć. Taka już jest ta choroba. Raz lepiej, raz gorzej. W górę i w dół.

– A jeśli jej się nie poprawi... – szepnęła Hanne, poddając się, i łzy, już niepowstrzymywane, pociekły jej po twarzy. – Jeśli...

– Nie wolno martwić się na zapas – powiedziała zdecydowanie starsza od niej kobieta. – Cecilie po prostu musi teraz spać. A pani wygląda tak, jakby też potrzebowała snu. Przywiozę łóżko. Jadła pani coś? – Odchyliła się i popatrzyła na Hanne z boku.

– Nie jestem głodna.

Została sama z Cecilie.

Jeszcze rano Cecilie wydawała się taka pełna energii. Wielkanocny wyjazd do Ula dobrze jej zrobił, mimo że musiały o jeden dzień skrócić pobyt. Cecilie sprawiała wrażenie takiej zadowolonej, kiedy kręciła się po

domu. Wcześniej Hanne bała się, że nie będzie mogła jej zostawić i wychodzić do pracy. To Cecilie prawie wyrzuciła ją za drzwi. Twierdziła, że ma dość gości i z największą przyjemnością poleży na kanapie z dobrą książką. Uparcie powtarzała, że leki uśmierzają ból.

– Przecież nic mnie nie boli – uśmiechnęła się rano z rezygnacją, kiedy Hanne wahała się, czy w ogóle wyjść. – A po południu przyjdzie Tone-Marit z malutką. Może zdążę wcześniej przeczytać tę książkę Knausgård. Naprawdę dobrze się czuję, idź już!

Prawdopodobnie to Hanne czegoś nie zauważyła. Odkąd Cecilie zachorowała, z jej twarzy trudniej było coś wyczytać. Rysy jej się wyostrzyły, usta zwęziły, a oczy zapadły w głąb. Takiej Cecilie Hanne nie znała i wprowadzało ją to w niepewność.

Ostrożnie przysiadła na łóżku. Cecilie spała z otwartymi ustami. Spierzchnięta dolna warga pękła, widać było na niej cieniutką strużkę krwi. Hanne wyjęła z kieszeni pomadkę do ust, natłuściła palec i delikatnie przeciągnęła nim po ustach Cecilie. Cecilie skrzywiła się, ale się nie obudziła. Miała rurki w nosie i w grzbiecie dłoni, i jeszcze jedną w szyi z boku, przerażającą bardziej niż cokolwiek innego w tym obcym, pomalowanym na szaro pokoju.

– Co to jest? – spytała Hanne szeptem, kiedy pielęgniarka wróciła z łóżkiem. – Co to za rurka w szyi?

– Morfina – odparła pielęgniarka. – Przyniosłam kanapki. Niech pani spróbuje się przespać. Cecilie obudzi się dopiero rano.

Kiedy zrobiło się widno, gościnne łóżko dalej pozostało nietknięte, a Hanne Wilhelmsen siedziała na krześle tuż przy Cecilie, trzymając ją za rękę. Mówiła do niej przez całą noc, cicho, a czasami zupełnie bezgłośnie. Cecilie spała nieruchomo w tej samej pozycji. Mimo to Hanne gotowa była przysiąc, że momentami przez jej wychudzoną twarz przebiegał skurcz, jakby chciała, by Hanne mówiła dalej.

O ósmej rano w środę siódmego kwietnia Hanne napisała krótką

wiadomość, którą wsunęła pod szklanę z nieświeżą już wodą na nocnej szafce i pojechała do komendy na Grønlandsleiret 44.

Przez trzy doby spała nie więcej niż cztery godziny.

– *You look like something the cat dragged in!* Wyglądasz jak psu z gardła wyjęta! – Iver Feirand zmierzył Hanne Wilhelmsen wzrokiem i zmarszczył nos.

– Wejdz – powiedziała. – Dziękuję za komplement, miło z twojej strony.

– Nic złego nie miałem na myśli.

Usiadł, ale dalej mierzył Hanne wzrokiem. W końcu wstał, próbując obejrzyć jej nogi pod biurkiem.

– Ależ, Hanne. Przecież zawsze byłaś najładniejszą policjantką na świecie. Co się stało? Na przykład twoje włosy... – Machnął rękami nad własną głową i cmoknął z dezaprobatą. – Poza tym schudłaś – dodał. – Niedobrze. To ze stresu czy celowo?

– Cieszę się, że przyszedłeś – powiedziała Hanne zmęczonym głosem i podpięła grzywkę spinką.

– Ohydnie – stwierdził Iver Feirand, kręcąc głową. – Wyglądasz jak działaczka prawicy, Kaci Kullmann Five. Zdejmij to.

Hanne zostawiła spinkę.

– Zastanawiałaś się nad motocyklem? – spytał z ożywieniem.

Pokręciła głową.

– Daj mi znać, jeśli się zdecydujesz. Ciągle jestem zainteresowany. Myślałem, że jesteś zajęta tą sprawą Halvorsruda. – Założył ręce na karku i zaczął się bujać na krześle. – Czego właściwie ode mnie chcesz?

Hanne irytował sposób, w jaki siedział, ale postanowiła tego nie komentować.

– Chyba oboje mamy równie mało czasu – stwierdziła i zapaliła czwartego już tego dnia papierosa. – Dlatego powiem wprost. Mamy powody, by sądzić, że Evald Bromo przez długi czas molestował małe

dziewczynki. Wiesz coś o tym?

– Evald Bromo? – Iver Feirand zmarszczył czoło i usiadł prosto. Przednie nogi krzesła uderzyły o podłogę. – Ten facet z „Aftenposten”, któremu w niedzielę ucięto głowę?

– Mhm.

– Co masz na myśli, mówiąc „mamy podstawy, by sądzić”?

Hanne poprawiła spinę, która zaczęła się jej zsuwać na czoło.

– A co zazwyczaj mamy na myśli, gdy tak mówimy? – spytała z rezygnacją. – Oczywiście mam informatora, cholernie dobrego informatora. Więcej nie mogę powiedzieć.

– Nawet mnie?

Opuścił kąciki ust w demonstracyjnym rozczarowaniu.

Pokłóciła się o to rano z Billym T. Kiedy usłyszał o Eivindzie Torsviku i jego organizacji, był gotów jechać do Sandefjord na syrenach z dwudziestoosobowym oddziałem wsparcia.

– Cholera, Hanne, nie rozumiesz, że ten bezuchy wariat może siedzieć na górze złota? – wrzeszczał na nią, kiedy się nie zgodziła. – Pomyśl tylko, jeśli Halvorsrud obrabia w łóżku córkę? Mielibyśmy motyw! A właśnie motywu brakuje nam w tej sprawie, do diabła!

Hanne odparowała, że trudno dostrzec logikę w założeniu, że Halvorsrud miałby zabić żonę, ponieważ wykorzystywał seksualnie córkę, i Billy T. trochę się uspokoił. Ze złością przyrzekł w końcu, że nikomu nic nie powie, ale zrobił to dopiero, kiedy Hanne cynicznie przypomniała, że ma za sobą bezsenłą noc spędzoną w szpitalu.

– Jak się czuje Cecilie? – spytał Billy T. już ściszym głosem i tym samym sprawa była przesądzona. Tym razem Hanne wygrała.

– Daj spokój – powiedziała teraz do Ivera Feiranda. – I odpowiedz na moje pytanie. Wiesz coś o tym Evaldzie Bromo?

– Kiedyś byłaś bardzo miłą dziewczyną – mruknął Feirand obrażony. – Śliczną, lubianą, podziwianą. Co się z tobą porobiło?

Hanne zamknęła oczy i próbowała policzyć do dziesięciu. Kiedy doszła do czterech, znów je otworzyła, uderzyła pięścią w stół i krzyknęła:

– Daj spokój, Iver! Ze wszystkich osób akurat ty powinieneś wiedzieć, jak jest w tej pracy! – Odchyliła się na krześle, wyrwała spinkę z włosów i rzuciła nią o ścianę. – Grzecznie poprosiłam, żebyś przyszedł i mi pomógł – syknęła przez zaciśnięte zęby. – Wszystko, co do tej pory udało ci się zrobić, to obrazić mnie w paskudny sposób. Według ciebie jestem brzydka, chuda i mam fatalną fryzurę. No i dobrze. Akurat w tej chwili mam na głowie zupełnie inne rzeczy niż swój wygląd. Rozumiesz?

Krzyczała tak, że aż ślina pryskała, a co drugie słowo akcentowała mocnym uderzeniem dłoni o biurko. Iver Feirand otworzył usta i uniósł obie ręce.

– Uspokój się. Naprawdę. Nic złego nie miałem na myśli.

Kręcąc głową, zaczął wstawać.

– Siadaj. Proszę, siadaj.

Hanne przeczesła włosy palcami i zmusiła się do uśmiechu.

– Przepraszam. Mało spałam ostatnio. Zostań.

Iver Feirand wyglądał tak, jakby miał wątpliwości, ale usiadł, gotów w każdej chwili się poderwać i wyjść na najmniejszą oznakę kolejnego wybuchu.

– Nigdy nie zetknąłem się z Evaldem Bromo – powiedział spokojnie. – Chciałabyś wiedzieć coś jeszcze?

Hanne wstała, zamknęła drzwi. Zatrzymała się z prawą ręką opartą na biodrze i zaczęła wyglądać przez brudne okno. Wielkanocne oznaki nadchodzącej wiosny okazały się oszustwem. Lał deszcz i była prawie szarówka, choć zbliżała się dopiero pora lunchu.

– Czy możemy zacząć od nowa? – spytała wyraźnie drżącym głosem. –

Zależy mi na rozmowie z tobą. Głupio się zachowałam i bardzo się uniosłam. Przepraszam.

– W porządku. – Feirand sprawiał wrażenie, że mówi szczerze. Poprawił

się na krześle, założył nogę na nogę, a splecione ręce oparł na kolanie. – Ja też przepraszam.

Hanne zaczęła od tego, od czego cały czas zamierzała zacząć. Powiedziała, że mają powody, by przynajmniej zbadać ewentualność wykorzystywania córki przez Sigurda Halvorsruda. Krótko nakreśliła fakty, do których przedstawienia była zmuszona. Stwierdziła, iż nie ma wątpliwości co do tego, że Evald Bromo był pedofilem i od dawna wykorzystywał dziewczynki. Poza tym wiele wskazywało na to, że zabójstwa Doris Flo Halvorsrud i Evalda Bromo dokonała ta sama osoba, a przynajmniej coś je łączyło. Uparte twierdzenie zawieszono prokuratora okręgowego, że jego żonę miał zabić człowiek o nazwisku Ståle Salvesen, mocno straciło na wiarygodności, kiedy zwłoki tegoż Salvesena objawiły się w Skagerraku z wyraźnymi śladami kilkutygodniowego przebywania w morzu. Halvorsrud siedział teraz milczący jak grób na dołku na podstawie postanowienia o tymczasowym aresztowaniu na kolejne cztery tygodnie. Odciski palców znalezione w piwnicy przy Vogts gate 14 zrobiły wrażenie na sędzi. Posiedzenie trwało dwadzieścia minut, a Halvorsrud nawet się nie pofatygował.

– Oczywiście jest, że Halvorsrud ma wyjątkowy stosunek do córki – zakończyła. – Przywykliśmy do tego, że aresztowania bardzo silnie odbijają się na rodzinach podejrzanych, szczególnie gdy sprawa dotyczy ludzi, nazwijmy to, dobrze funkcjonujących w społeczeństwie. Ale ta dziewczynka popadła w psychozę i dziwne, że bardziej przejmowała się aresztowaniem ojca niż śmiercią matki.

– Może to po prostu córeczka tatusia – zauważył Feirand cierpko. – Nie brakuje takich.

– No taak...

Hanne znalazła w szufladzie świeżą torebkę herbaty. Otworzyła kopertkę, włożyła herbatę do filiżanki i zaklęła, kiedy się okazało, że w termosie nie ma już wrzątku.

– Ale czy nie jest tak, że molestowanie dzieci może mieć dwa skutki? – spytała. – Czy nie jest możliwe, że dziecko paradoksalnie bardziej przywiązuje się do molestującego niż inne dzieci do swoich rodziców?

– Trzeba wyraźnie odróżnić dwie sprawy. – Iver Feirand kiwnął głową i podkradł papierosa z paczki leżącej na stole. – Jedna rzecz to molestowanie ze strony obcych. Oczywiście takie sytuacje również się zdarzają. To przeżycia traumatyczne, straszne, a czasami śmiertelne. Ale dziecku łatwiej o nich mówić, bo nie poczuwa się do żadnej lojalności wobec sprawcy i mimo że ten często grozi mu śmiercią czy okropnymi karami, to jednak prawda łatwiej wychodzi na jaw. – Wypuścił trzy kółka z dymu pod sufit. – Molestowanie dzieci jednak o wiele częściej następuje ze strony kogoś, kogo dziecko zna. Dobrze albo trochę gorzej. Mam na myśli różnych ludzi – od kadry w harcerstwie przez cholernych księży po wujów, braci i ojców. Wtedy mamy znacznie trudniejsze zadanie. – Uśmiechnął się gorzko i głęboko się zaciągnął. Rozejrzał się za popielniczką.

– Masz, możesz użyć tego. – Hanne podsunęła mu puszkę z resztką coli.

– Im bliższy dziecku jest sprawca, tym silniejsze jest poczucie absurdalnej lojalności dziecka wobec tej osoby. Niektórzy tę lojalność nazywają miłością. Możliwe, że mają rację. Wszyscy wiemy, że potrafimy kochać ludzi, którzy nas krzywdzą. Mimo to ja będę twierdził, że mamy w takich sytuacjach do czynienia z zupełnie innego typu więzami, z lojalnością, a przede wszystkim z uzależnieniem. Musisz pamiętać, że na przykład ojciec lub ktoś, kto odgrywa jego rolę, posiada wręcz nieograniczony wpływ na własne dziecko. Mieliśmy sprawy, w której dzieciaki uparcie zaprzeczały, że nic złego się nie stało, mimo że sprawca się załamał i przyznał. Ma to związek z wieloma emocjami: ze wstydem, strachem i może swego rodzaju miłością. To skomplikowane historie. Mogę ci pożyczyć kilka książek, jeśli chcesz.

Hanne machnęła ręką.

– Nie mam czasu. A już na pewno nie teraz.

Deszcz się wzmógł. Ciężkie krople bębniły o szybę. Hanne zapaliła lampkę na biurku.

– Nie wezwałaś mnie tu jednak po to, żeby wysłuchiwać wykładu na temat, na który z pewnością wiesz całkiem sporo. O co ci właściwie chodzi?

– O dwie sprawy.

Hanne wrzuciła niedopalonego papierosa do puszki. Syknął ze złością. Zakryła kciukiem otwór, żeby zatrzymać cuchnący dym.

– Po pierwsze: czy to nie dziwne, że nigdy nie słyszałeś o Evaldzie Bromo? Przecież wy też macie różne źródła informacji, śledzicie i obserwujecie ludzi.

– Hm. I tak, i nie. Nie wiem. A zresztą wiem. To właściwie wcale nie takie dziwne. Gdybym wiedział coś więcej niż to, co mi przekazałaś, łatwiej by mi było odpowiedzieć. Muszę lepiej znać jego sposób działania, więcej szczegółów.

Hanne zastanowiła się i w końcu powiedziała:

– Zostawmy to. Drugie moje pytanie: czy mógłbyś podjąć się rozmowy z Theą w pokoju przesłuchań dla dzieci? Ona z pewnością będzie twardym orzechem do zgryzienia, a ty jesteś najlepszy.

Iver Feirand roześmiał się głośno.

– Bardzo ci dziękuję za zaufanie, ale czy ta dziewczyna nie ma piętnastu albo szesnastu lat?

– Szesnaście.

– Duża. Policja może ją przesłuchać w zwykły sposób jako świadka. Będzie musiał uczestniczyć w tym jej opiekun prawny i tak dalej, pewnie ktoś wyznaczony, skoro mama nie żyje, a tatuś siedzi za kratkami. Oczywiście mogę się tym zająć, jeśli chcesz, ale na przesłuchanie specjalne w pokoju dla dzieci nikt się raczej nie zgodzi.

Do drzwi zapukał Billy T. i wszedł, nie czekając na odpowiedź.

– Sorry – mruknął na widok Feiranda.

– W porządku. – Iver Feirand spojrział na zegarek. – Ja już i tak muszę lecieć. Posłuchaj – podszedł do drzwi i odwrócił się do Hanne w chwili, gdy Billy T. siadał na krześle, z którego on przed chwilą wstał. – Po prostu zadzwoń, jeśli będziesz czegoś potrzebowała. Jeżeli zamierzacie dalej iść tym tropem, o którym teraz rozmawialiśmy, to powinnaś wymyślić jakiś naprawdę świetny plan. Możemy zorganizować bardziej formalne spotkanie. My dwoje i ktoś z góry.

– Świetnie – uśmiechnęła się Hanne i głośno ziewnęła. – Zadzwonię.

– Nigdy go nie lubiłem – burknął Billy T. i sięgnął do niebieskiej emaliowanej miseczki po czekoladowego banana. – Fu, stary! – Wypluł czekoladkę do ręki i z obrzydzeniem patrzył na brunatnożółtą maź.

– Ostatnio nie miałam czasu kupować słodczy – powiedziała Hanne. – A poza tym jest tylko jeden powód, dla którego nie lubisz Ivera. On jest po prostu przystojniejszy od ciebie. A na dodatek wyższy.

– Skąd. On ma dwa metry. A ja dwa zero dwa. W skarpetkach.

– Czego właściwie chcesz?

Billy T. wytarł ręce w starą gazetę. Potem knykциями potarł głowę i parsknął jak koń.

– Mam propozycję – oświadczył w końcu. – Ty umierasz ze zmęczenia, a ja ledwie trzymam się na nogach. Jenny darła się przez całą noc. Tone-Marit musiała spać, bo poprzedniej nocy to ona się nią zajmowała. Zakładam, że po południu będziesz chciała odwiedzić Cecilie, ale potem moglibyśmy po prostu...

– ...iść do mnie, zrobić coś do jedzenia, pogadać o sprawie, a potem położyć się spać?

Billy T. przewrócił oczami.

– I ktoś ośmiela się twierdzić, że się zmieniłaś! Mówią tak ci, którzy cię nie znają. Wyjęłaś mi te słowa z ust. Zgadzasz się?

Hanne przeciągle ziewnęła. Do oczu napłynęły jej łzy.

– Myślę, że będzie mało gadania, mało jedzenia, za to dużo spania –

powiedziała, pocierając twarz. – Jeśli to ci odpowiada...

– Czy mi odpowiada? Super! Będę spał na kanapie, a ty się rozłożysz w podwójnym łóżku.

– Powinieneś się przez chwilę zastanowić, dlaczego sypiam w tym łóżku sama – westchnęła cicho, lewą ręką rozmasowując prawy bark.

Billy T. przekrzywił głowę i pochylił się do niej.

– Dobrze wiesz, że bardzo mi smutno z powodu tego wszystkiego z Cecilie – szepnął. – Wiesz o tym doskonale. Ale obojgu nam potrzeba snu. Jenny wyje jak opętana już trzecią noc z rzędu. Tone-Marit zgodziła się, żebym nocował u ciebie, bo widzi, jak ta sprawa nas zżera.

– No dobrze. Ale jest tak, jak ludzie mówią. Ja się jednak zmieniłam. Widzimy się o piątej. Najpóźniej o wpół do szóstej.

– Prezent? Dla mnie?

Hanne Wilhelmsen popatrzyła zdziwiona na Billy’ego T., którego zastała w swoim mieszkaniu. Nie wiedziała, skąd miał klucze.

Rozerwała papier.

– Popielniczka – powiedziała bez tchu. – Jaka ładna.

– Przecież tamtą starą w pracy ci stłukłem. Wtedy, kiedy tak się na mnie rozzłościłaś. Nie pamiętasz? Kazałaś mi kupić nową.

– Aha. Rzeczywiście, chyba tak. Dziękuję. Naprawdę ładna. Ładniejsza niż tamta stara.

– Co z Cecilie?

– Lepiej. – Hanne usiadła na kanapie, nogi położyła na stoliku. – Była przytomna. Lekarz mówi, że jeśli wszystko pójdzie dobrze, będzie mogła jutro wrócić do domu. Skąd ty właściwie masz te klucze?

Billy T. musiał być w jej mieszkaniu już od pewnego czasu, bo pachniało tu staroświeckim jedzeniem – czymś tak długo gotowanym, że kuchenne okno aż zaparowało.

– Zupa mięsna Billy’ego T. à la Puccini – oświadczył zadowolony i ustawił na stole wielki gar. – Bardzo proszę. Pożywne jedzenie dla silnych dziewczynek i chłopców.

– Wcale się tak nie czuję – stwierdziła Hanne z powątpiewaniem i podniosła pokrywkę. Zwłokła się z kanapy, nie bardzo wiedząc, czy wciąż czuje głód. – Co to jest?

– Zupa na mięsie. Siadaj.

Nalał wielką porcję i zamasyście ją przed nią postawił. Jasnobrązowa ciecz przelała się przez brzeg głębokiego talerza i gotowany liść wypadł na kolana Hanne. Wzięła w dwa palce oklapły, prawie przezroczysty

kawałek.

– A czym, na miłość boską, jest to?

– Kapusta. Jedz.

Na próbę zanurzyła łyżkę w zupie. Okazała się wrząca. Pocięło jej z warg, kiedy siorbnęła odrobinę.

– Dobra? – Billy T. był już w połowie talerza.

– Może być.

Zjadła pół porcji. Wprawdzie nie było to najsmaczniejsze jedzenie, jakiego miała okazję spróbować, ale w każdym razie rozgrzewało. Spłukała smak szklanką wody i oświadczyła, że już się najadła.

– Jesteś za chuda – wymamrotał Billy T. – Zjedz jeszcze trochę.

– Skąd miałeś klucze?

– Od Håkona. Doszliśmy do wniosku, że lepiej będzie, jeśli zachowamy je przez jakiś czas. Dopóki Cecilie ciągle ląduje w szpitalu.

– Mogliście zapytać.

– Pytaliśmy. Cecilie stwierdziła, że to dobry pomysł.

Hanne była zbyt zmęczona, żeby protestować.

– Te zwłoki to Salvesen – powiedział Billy T. – Tak jak przypuszczaliśmy.

Mlaskał tak paskudnie, że Hanne zatkała uszy.

– Przepraszam – cmoknął. – Ale tej zupy nie da się jeść elegancko.

– Mógłbyś przynajmniej spróbować. Dentysta?

– Tak. Bez żadnych wątpliwości to Ståle Salvesen. Na razie nie potrafią precyzyjnie określić czasu zgonu, ale konsystencja zwłok potwierdza zaobserwowane samobójstwo w poniedziałek pierwszego marca.

– Konsystencja zwłok – powtórzyła Hanne z obrzydzeniem.

– Szkoda, że go nie widziałas.

– Nie żałuję. Przecież jemy. To znaczy ty jesz.

– Mnie to nie przeszkadza.

Dolał sobie trzeci raz.

– Po południu pojawiło się jeszcze coś interesującego – przypomniał sobie nagle. – Do ciebie chyba nie dotarło. Tuż przed Bożym Narodzeniem jakiś mężczyzna wpłacił dwieście tysięcy koron szwedzkich na konto w jakimś banku na Gamla Stan w Sztokholmie. Zgadnij, na jakie nazwisko.

– Nie mam siły.

– Sigurd Halvorsrud.

Hanne zachichotała, a potem parsknęła śmiechem. Śmiała się tak serdecznie, że musiała odchylić głowę. Śmiech aż odbijał się od ścian, a Billy T. znieruchomiał z nieprzeżutym kawałkiem jagnięciny w rozchylonych ustach.

– Halvorsrud – wykrztusiła Hanne, a z oczu pociekły jej łzy ze śmiechu.

– Cholera, jeszcze tylko tego brakowało! Dwieście tysięcy!

Nie mogła przestać. Billy T. żuł wolno, przyglądając jej się w milczeniu.

– Przystaniesz wreszcie? – spytał ze złością.

– Czy ty tego nie widzisz? Szwecja! To musi być montaż! Kto, u diabła, wpłacałby brudne pieniądze do szwedzkiego banku? Przecież u nich obowiązują takie same zasady jak u nas. Szwecja! Gdyby to jeszcze była Szwajcaria, Kajmany albo coś w tym rodzaju. Szwecja!

– Montaż jak montaż – powiedział Billy T. z jeszcze większą złością, odkładając łyżkę. – Ciągłe nam wmawiasz tę swoją teorię montażu. Nawet się ku niej skłaniałem. Przez jakiś czas. Ale teraz, kiedy można udowodnić, że Ståle Salvesen nie żyje i nie żył już przed zabójstwem Doris, całe to twoje rozumowanie przestaje mieć sens.

Hanne wciąż się śmiała, ale próbowała się opanować.

– Nie mają nagrania tego mężczyzny, który wpłacał pieniądze? – spytała, chcąc załagodzić sytuację. – Chyba w szwedzkich bankach tak jak u nas jest monitoring?

– To trochę niejasne – odparł Billy T. wciąż obrażony. – Zdaje się, że nie przechowują tych nagrań w nieskończoność. Poprosiliśmy, żeby to zbadali. Odpowiedź pewnie dostaniemy na dniach.

W milczeniu sprzątnęli ze stołu. Hanne przypomniała sobie, że powinna nastawić pranie. Brudna bielizna wypełzała z kosza w przedpokoju. Błyskawicznym ruchem podniosła majtki, które z niego wypadły. Rozkojarzona schowała je do kieszeni. Była tak zmęczona, że przestała ziewać.

– Tak naprawdę to nie mamy nic – stwierdziła, siadając na kanapie.

– Nic? – Billy T. przyszedł z dwiema filiżankami kawy i jedną postawił przed nią. – Mam ci przypomnieć, że aresztowaliśmy pewnego faceta?

– Ale dlaczego on siedzi? – spytała Hanne z rezygnacją i postanowiła sama odpowiedzieć na swoje pytanie. – Na podstawie całego mnóstwa drobnych faktów, które są takie dziwne i nadzwyczajne, że wyraźnie nie może być mowy o zbiegu okoliczności. Jednocześnie łańcuch poszlak jest na tyle słaby, że jesteśmy o setki kilometrów od doprowadzenia do skazania Halvorsruda za zabójstwo. I żony, i Evalda Bromo. Gdyby Halvorsrud nie odmówił składania wyjaśnień, to wątpię, by sąd w ogóle zgodził się na aresztowanie.

– No ale przecież te odciski palców! Co, na miłość boską, Halvorsrud robił w piwnicy przy Vogts gate czternaście? A poza tym, jeżeli jest niewinny, to dlaczego nie chce mówić? Przecież to prokurator, Hanne! Wie lepiej niż większość innych ludzi, że odmowa składania wyjaśnień w zasadzie równa się przyznaniu do winy. Poza tym dzień po zabójstwie nie dopełnił obowiązku zgłoszenia się na policji. A to moim zdaniem jest naprawdę bardzo dziwne.

Hanne nie odpowiedziała. Bolały ją stawy, a głos Billy’ego T. dobiegał z daleka, jakby z innego pokoju. Delikatnie rozmasowała stopę kciukami. Ból płynący z punktu na środku pięty przeszył łydkę.

– Najbardziej miesza w tym wszystkim ten pedofilski ślad – stwierdził Billy T. – Ja wciąż uważam, że powinniśmy skoncentrować się na korupcji. Tu przynajmniej mamy mnóstwo konkretów, których możemy się trzymać. Na przykład te pieniądze w Sztokholmie.

Wrzucił do filiżanki cztery kostki cukru i zamieszał kawę długopisem.

– Nie – zaprotestowała Hanne. – Nie mamy prawie nic, czego moglibyśmy się trzymać. Tak jak powtarzałam do znudzenia, wszystkie fakty, które same w sobie mogłyby wskazywać, że Halvorsrud jest skorumpowany, są dziwne, nielogiczne. Trącą amatorszczyzną. Jest w tej sprawie coś... – Skrzywiła się, kiedy próbowała się wyprostować. Mocno zakłuło ją w krzyżu. – W zasadzie jedyne, co mamy, to Ståle Salvesen. Wiemy, że popełnił samobójstwo. A więc to nie on zabił Doris. Ale jak na trupa to ma zdumiewającą zdolność pojawiania się wszędzie, gdzie się tylko obrócimy. Zabójstwo Evalda Bromo i zabójstwo Doris mają tylko dwa wspólne mianowniki: oboje zostali uśmierceni przez obcięcie głowy. No i jest też nasz dzoker – Ståle Salvesen. Jeśli odkryjemy, jaką rolę odgrywał w tym wszystkim, będziemy mieli rozwiązanie. Jestem tego pewna. A jeśli chodzi o stosunek Evalda Bromo do małych dziewczynek – zanurzyła kostkę cukru w kawie i położyła ją na języku – to nie jest wcale powiedziane, że ma on jakiś związek ze sprawą. Załóżmy jednak, że i Bromo, i Halvorsrud byli pedofilami. Co wiemy o takich ludziach? Na przykład to, że mają silną potrzebę kontaktowania się ze sobą. Wymieniania materiałów, zdjęć, doświadczeń...

– Więc Bromo i Halvorsrud mieliby być członkami jakiejś pedofilskiej siatki? – Billy T. skrzywił się i podszedł do wieży stereo. Grzebiąc w płytach CD, ciągnął: – Ale gdzie tu miejsce dla Stałego Salvesena? On też miałby być pedofilem?

– Nie... Albo tak. Nie wiem. Ale przyjrzyjmy się temu, co jest najzupełniej pewne. To jest Halvorsrud. – Postawiła swoją kawę na środku stolika i sięgnęła po filiżankę Billy’ego T. – A to jest Evald Bromo. – Srebrna miseczka ze starymi resztkami orzeszków ziemnych stanęła przed filiżankami w taki sposób, że naczynia utworzyły trójkąt.

– Gdzie Doris?

– Daj spokój z Doris – powiedziała Hanne zmęczonym głosem.

Wskazała na filiżanki – Halvorsruda i Bromo. – Wspólne mianowniki? Obaj zajmowali się sprawami gospodarczymi. Obaj zrobili niezłą karierę. Żaden nie był wcześniej karany.

– Obaj są mężczyznami, obaj w średnim wieku – mruknął Billy T. – Jak zwykle cholernie dużo popu. – Jego palce niecierpliwie biegały po grzbietach płyt.

– Spójrzmy teraz na powiązania Salvesena – podjęła Hanne. – Proszę cię, nie nastawiaj muzyki. Nie mam siły słuchać. Salvesen w przeciwieństwie do niego i do niego – stuknęła palcem w filiżanki – był człowiekiem upadłym. W latach osiemdziesiątych zaszarżował jak lew, a dziesięć lat później została z niego tylko skóra. Jedynym powiązaniem między nimi, o jakim wiemy, jest sprawa upadłości jego firmy i śledztwo prowadzone przeciwko niemu. Halvorsrud był za nie odpowiedzialny, Bromo o nim pisał.

– Dziesięć lat temu – warknął Billy T., zanim w końcu rozjaśnił się i włożył płytę do odtwarzacza. – Schubert!

– To przynajmniej przycisz. A jeśli...

Billy T. jeszcze podgłośnił.

– To jest prawdziwa muzyka!

Hanne zatkała uszy palcami, intensywnie wpatrując się w trzy przedmioty stojące przed nią na stole.

– A jeśli Bromo wiedział, że Halvorsrud wykorzystywał córkę albo inne dzieci – szepnęła do siebie. – A jeśli faktycznie groził Halvorsrudowi? Ale dlaczego... Przycisz tę muzykę, do diabła!

Billy T. wreszcie usłuchał. Hanne ciągnęła, wpatrzona w niego:

– Jeżeli Halvorsrud z jakiegoś powodu miał zabić Bromo, to dlaczego wybrałby akurat takie miejsce jak Vogts gate czternaście? Dlaczego, w imię niebios, miałyby się tak wyraźnie podpisać pod tym zabójstwem, odcinając facetowi głowę? Przecież to oczywiste, że natychmiast skojarzylibyśmy to z nim.

– Naśladowca – orzekł krótko Billy T.

– No właśnie...

– Ktoś chciał, żeby to wyglądało jak zabójstwo u Halvorsrudów.

– Owszem.

– I wydarzyło się w nocy. W porze, kiedy bardzo niewielu ludzi ma jakieś inne alibi niż to zagwarantowane przez osobę śpiącą obok. Jeżeli w ogóle przez kogokolwiek.

– Właśnie.

– Czy to...

– Doris Halvorsrud i Bromo mogli zostać zabici przez dwie różne osoby – powiedziała Hanne powoli i wyraźnie. – Jeśli żadną z nich nie był Halvorsrud... to oznacza, że nie krąży jeden morderca, tylko dwóch.

– Dwóch – powtórzył Billy T. słabym głosem. – Jestem śmiertelnie zmęczony.

Hanne podniosła do ust filiżankę – Halvorsruda. Kawa wystygła.

– Chyba muszę wziąć tabletkę – stwierdziła. – Jestem za bardzo wykończona, żeby zasnąć.

Billy T. zwałił się na kanapę obok niej. Fortepianowa muzyka Schuberta zbliżała się do punktu kulminacyjnego. Billy T. znów podgłośnił i objął Hanne za ramiona.

– Posłuchaj teraz – szepnął. – Teraz, dokładnie w tej chwili.

Hanne się rozluźniła. Billy T. lekko pachniał mężczyzną i gotowaną kapustą. Włókienka wełny w jego swetrze łaskotały ją w policzek. Siedział nieruchomo z odchyłoną głową i otwartymi oczami. Jego ręka na jej ramionach była przyjemnie ciężka. Hanne delikatnie musnęła jego dłoń, dużą i ciepłą, spoczywającą nieruchomo w odległości zaledwie kilku centymetrów od jej piersi. Przebiegła dwoma palcami po żyłach wyraźnie rysujących się na jej grzbiecie. Kiedy uniosła głowę, Billy T. się uśmiechnął. Hanne obserwowała jego dobrze znajome rysy: duży prosty nos, bladoniebieskie oczy, które akurat teraz wydawały się szare i głębsze niż

kiedykolwiek. Zwilżył językiem wargi, zanim spoważniał i wolną ręką dotknął jej policzka, a potem ją pocałował. Długo.

26

Mężczyzna zaciśniętą pięścią uderzył w ścianę wykładaną kafelkami.

– Cholera, cholera, cholera!

Po ciele spływała gorąca woda.

Nigdy nie przypuszczał, że ktoś mógłby dowiedzieć się o wykorzystywaniu dziewczynek przez Evalda Bromo. Bromo był najostrożniejszym pedofilem, z jakim nagi mężczyzna pod prysznicem kiedykolwiek się zetknął. Tylko raz się zaniedbał, ale było to już wiele lat temu, a błąd okazał się naprawialny.

– *Shit!* Niech to piekło pochłonie!

Był bliski płaczu, ale tylko jeszcze raz uderzył ręką w ścianę.

Między nim a Evaldem Bromo istniało tylko jedno powiązanie. Był na sto procent przekonany, że nigdy nie zostanie odkryte. Na sto procent. Teraz nie wiedział, co robić.

– Tato! – rozległ się krzyk pod zamkniętymi drzwiami łazienki. – Zużyjesz całą gorącą wodę! Teraz moja kolej! Tatusiu!

Gdyby miał świadomość, że ktokolwiek wie, wszystko rozegrałby inaczej.

Kiedy Hanne obudziła się w czwartek rano, w pierwszej chwili nie wiedziała, gdzie jest. W pokoju panował półmrok, a gęste powietrze nieprzyjemnie pachniało.

Była w domu. Leżała we własnym łóżku. Zasłonki nie powiewały, a to znaczyło, że okno jest zamknięte. One zawsze spały przy otwartym. Cecilie i Hanne.

Billy T. leżał na brzuchu obok niej. Wciąż spał głęboko z otwartymi ustami, lekko pochrapując. Gołą ręką przyciskał ją do materaca. Kołdra się z niego zsunęła. Chociaż od lata minęło już dużo czasu, wciąż widziała wyraźną kreskę oddzielającą białe pośladki od ciemniejszych pleców.

Hanne poczuła nagły lęk. Fizyczny ból ogarniający całe ciało. Billy T. mruknął coś przez sen i się obrócił. Hanne próbowała się poruszyć. Billy T. już jej nie przytrzymał. Twarz miał odwróconą, ledwie dotykał jej plecami. Ona leżała z rękami wyciągniętymi sztywno wzdłuż ciała i nie mogła oddychać.

Dzisiaj Cecilie miała wrócić do domu.

Olga Bromo umierała.

Pielęgniarz, który ją mył, pomyślał, że to może już ostatni raz. Dziwne, że staruszce tak nagle się pogorszyło w nocy z soboty na niedzielę. Stabilny puls, który pozwolił jej przeżyć dwa bezsensowne lata w stanie zbliżonym do śpiączki, nagle stał się nierówny i słaby. Pielęgniarz czytał, że mniej więcej w tym samym czasie zamordowany został jej syn. W następnych dniach jej serce dwukrotnie przestawało bić, życie jednak powracało, jakby zajadle sprzeciwiało się uldze, którą mężczyzna odczuł na myśl o tym, że osiemdziesięciodwuletnia, cierpiąca na sklerozę kobieta nareszcie zazna spokoju.

– Byliście sobie tacy bliscy – powiedział życzliwie ściszoneg głosem, wyzymając ściereczkę. – Przecież on panią odwiedzał prawie codziennie. Nie wszyscy mają tyle szczęścia.

Olga Bromo leżała we własnej nocnej koszuli z białej flaneli z różowymi wstążeczkami przy szyi. Pielęgniarz zadał sobie trud i przebrał ją, by nie leżała w wygodnym, ale bezpłciowym szpitalnym kitlu.

Ledwie zdążył zawiązać kokardkę przy dekolcie, kiedy Olga Bromo umarła. Tylko raz cicho zacharczała i przestała oddychać. Pielęgniarz jeszcze przez kilka minut stał z palcem przyciśniętym do wnętrza szczupłego nadgarstka staruszki.

Hanne Wilhelmsen nie widziała wyraźnie. Oczy pokryły się błoną, mrugała i mrugała, próbując się pozbyć czegoś, co wydawało się lepką szarą masą klejącą się do rogówki i uniemożliwiającą wyostrenie wzroku. Lęk kłuł ją za każdym razem, kiedy nabierała powietrza. Oddychała szybko i płytko.

– Przepraszam – powiedziała do Ivera Feiranda, bawiąc się pudełkiem papierosów, ale żadnego nie wyciągając. – Wydaje mi się, że powinnam zacząć nosić okulary.

– Pewnie jesteś zmęczona. Rozumiem, jak się czujesz.

– Czy my kiedykolwiek nie jesteśmy zmęczeni?

– Nie zmęczeni?

Hanne przycisnęła kciuk i palec wskazujący do oczu i mocno je potarła.

– Mnie się wydaje, że jestem zmęczona od dwudziestu lat – wyznała cicho. – Im więcej pracuję, tym więcej mam do zrobienia. Im więcej robię, tym mniej... – Nagle się wyprostowała i wrzuciła niedawno napoczętą paczkę marlboro light do kosza na śmieci. – Przynajmniej z tym powinnam skończyć.

– Mądra decyzja. Sam powinienem rzucić.

– Ty też wyglądasz na nieźle zmordowanego.

Iver Feirand uśmiechnął się blado i zapalił papierosa z własnej paczki.

– Jeśli tobie się wydaje, że wy macie dużo roboty, to powinnaś zobaczyć, jak to wygląda u mnie. Musiałem wysłać rodzinę na ferie wielkanocne samą wyłącznie z powodu nawału pracy. Wszystko się piętrzy, wszystko jest coraz trudniejsze. Jakby cały aparat stał się bardziej tchórzliwy. Sędziowie, lekarze, personel przedszkoli... Sprawa Bjugn5 była dla nas prawdziwą katastrofą. Po tej aferze liczba zgłoszeń gwałtownie spadła. Niczego innego

nie można się było spodziewać. To akurat się z czasem wyrównało. Gorzej, że wszyscy chowają głowy w piasek. To jest... – Skrzywił się i zgasił niedopałek. – Ja też muszę rzucić palenie. Cholera, nawet mi nie smakował. Thea będzie twardym orzechem do zgryzienia. Zacząłem już zbierać materiały. Ze szkoły i...

⁵ W latach 1992–1993 w niewielkiej wiosce Bjugn w regionie Sør-Trøndelag aresztowano siedem osób (mężczyzn i kobiet) pod zarzutem seksualnego wykorzystywania 21 dzieci. Ogółem czterdzieścioro dzieci wskazało 29 osób rzekomo dopuszczających się molestowania seksualnego. Sprawa stała się bardzo głośna, zadawano pytania, czy taka sytuacja jest w ogóle możliwa w tak małej społeczności, wysuwano teorie masowej psychozy. Krytykowano policję, a przede wszystkim biegłych. Nikt nie został skazany. Jedna osoba została uniewinniona w wyniku apelacji, sprawy przeciwko sześciu osobom umorzono.

Głos Ivera Feiranda się oddalał, stawał się coraz cichszy i bardziej monotony. W końcu Hanne nie potrafiła już rozróżnić słów. Twarz kolegi się zamazała, stała się migoczącą plamą na bezbarwnym tle. Hanne próbowała oddychać głębiej, ale kłuło ją za każdym razem, gdy nabierała powietrza. Cecilie, powtarzała w myślach.

Cecilie. Cecilie.

Rano miała ochotę wstać z łóżka i wyjść. Zostawić Billy’ego T. tak, jak leżał, i zniknąć. Na zawsze. Wyjechać. Zostawić wszystko. Zapomnieć o pracy. O Sigurdzie Halvorsrudzie i Evaldzie Bromo, o Billym T. i o tym natrętnym komendancie, który rozumiał dużo więcej, niżby sobie życzyła. Wymazać z pamięci całe Grønlandsleiret 44 i wszystkich ludzi. Chciała już nigdy więcej nie myśleć o Cecilie i o chorobie. Pojechać do Rio, zamieszkać tam z dziećmi ulicy, zapomnieć, kim jest i czym jest.

Jeszcze nigdy nie czuła tak dojmującego pragnienia ucieczki.

W miarę upływu czasu życie stawało się coraz trudniejsze, a ona coraz bardziej chowała się w sobie. Z tego czerpała siłę od momentu, gdy w pewną cichą noc, mając jedenaście lat, położyła się na dachu starej willi, kiedy wszyscy inni spali. Czuła to teraz. Czuła, jak dachówki boleśnie wbijają się w łopatki. Czuła chłodny zapach wrześnieowego wieczoru, ciężkich drzew. Widziała sklepienie z miriadami gwiazd, które mówiły jej, że ma mnóstwo siły, jeśli tylko jest sama. Byle nikt nie wiedział naprawdę, co robi ani

o czym myśli.

Hanne Wilhelmsen długo dawała sobie radę w ten sposób. Na początku, na tym początku, który dał jej Cecilie i oderwał ją od rodziny, od dzieciństwa, na którego zapomnienie poświęciła tyle wysiłku, wszystko było takie proste. Obie były takie młode. Czuła się taka silna. Mur, którym się otoczyła, granice trzymające innych ludzi z daleka były takie wyraźne. Kiedy uświadomiła sobie, że dzięki sposobowi, w jaki żyła, zamknięta w sobie, dzięki temu, że zawsze była staranna, pilna i pracowita, zdobyła szacunek, wiedziała, że dokonała słusznego wyboru. Tego właśnie chciała od życia.

Cecilie była pierwszą osobą, którą Hanne pokochała, i jej pierwszą kochanką. Nagle stanęła jej teraz przed oczami taka jak wtedy, w szopie służącej za palarnię w liceum. Wesoła, niemal flirtująca, wreszcie się do niej odezwała po tym, jak Hanne ukradkiem ją obserwowała od prawie dwóch lat. Nie znały się. Cecilie cieszyła się wielką popularnością w szkole, przyjaźniła się z osobami, których Hanne nie znosiła. Hanne Wilhelmsen zaś była poważną młodą kobietą, która ukrywała się pod grubymi islandzkimi swetrami i starą wojskową kurtką i która paliła skręty za szopą, podczas gdy wszyscy inni stali w środku. Dobrze się jednak uczyła i może właśnie to pewnego dnia, kiedy deszcz lał tak, że nie dało się już stać za szopą, skłoniło Cecilie, żeby się do niej odezwała. „Słuchaj – zagadnęła, przechylając głowę tak, że Hanne musiała prawie całkiem ukryć twarz w zwojach swojej arafatki. – Słyszałam, że jesteś świetna z matmy. Chciałoby ci się trochę mi pomóc?”

W tamtej chwili Hanne pokochała Cecilie. Wciąż ją kochała. Teraz, siedząc w swoim pokoju na czwartym piętrze budynku policji i usiłując słuchać, co mówi do niej kolega, słyszała wyłącznie echo głosu Cecilie: „Jestem chora. Ciężko chora”.

Hanne Wilhelmsen zawsze uciekała w głąb siebie. Dziś rano, kiedy obudziła się obok Billy’ego T. z poczuciem kompletnego paraliżu,

zrozumiała, że dotarła do krańca drogi. Nie miała już gdzie się ukryć.

Kiedy w końcu znalazła dość siły, żeby wstać, przez kwadrans brała prysznic. Potem się ubrała i obudziła Billy'ego T., wołając go po imieniu. Mruknął coś, wyciągając do niej rękę, ale mu się wyrwała. Powiedziała tylko, że trzeba zmienić pościel. Billy T. próbował nawiązać z nią kontakt, mówił, przeklinał, rozkładał wielkie ręce, groził, błagał i przeszkadzał jej, kiedy zdejmowała poszwę i prześcieradło, wpychała je do pralki, nastawiała pranie na dziewięćdziesiąt stopni, wyjmowała czystą pościel, zakładała ją, odkurzała sypialnię, wietrzyła i jeszcze raz brała prysznic. W końcu wyszła do pracy. Nie odezwała się ani słowem oprócz tego, że trzeba zmienić pościel. Billy T. wyszedł z mieszkania razem z nią. Stanęli pod drzwiami na klatce, wtedy wyciągnęła do niego otwartą dłoń. Po raz pierwszy popatrzyła mu w oczy. Widząc malującą się w nich rozpacz, spuściła wzrok i powiedziała zdecydowanym tonem:

– Klucze.

Wyciągnął pęk i położył jej na rękę.

Na Grønlandsleiret 44 poszli osobno. Plecy Billy'ego T. wydały się jej zaskakująco wąskie, kiedy przechodził przez trawnik na tyłach budynku. Hanne wybrała okrężną drogę przez park Tøyen.

– ...najdelikatniej jak się da.

Hanne zamrugwała.

– Hm. – Nie miała pojęcia, o czym mówił Feirand. – Dobrze – mruknęła.

– Zrobisz tak, jak według ciebie będzie najlepiej. Jak to widzisz w czasie?

Feirand zdziwiony zmrużył oczy.

– No, tak jak powiedziałem... Będę z nią rozmawiał w sobotę. Jeśli dobrze rozumiem, wciąż przechodzi terapię. I oczywiście wszystko musi się odbywać we współpracy z...

– Dobrze.

Hanne zmusiła się do uśmiechu. Musiał stąd wyjść. Musiała zostać sama. Mdłości ścisnęły w gardle, usta wypełniły się śliną, której nie dawało się

przełknąć.

– Zdzwonimy się, dobrze?

– Jasne. Będę cię informował.

Kiedy wychodził, zatrzymał się jeszcze o sekundę za długo, uważnie się jej przyglądając. W końcu lekko wzruszył ramionami i spokojnie zamknął za sobą drzwi.

Gwałtowne torsje szarpnęły ciałem Hanne. Nie zdążyła nawet sięgnąć po kosz na śmieci. Żółć obryzgała biurko i teczki z aktami spraw.

– O rany, chora jesteś? – zdumiał się Karl Sommarøy, który nagle stanął w drzwiach. – Pomóc ci w czymś?

– Zostaw mnie w spokoju – wymamrotała Hanne. – Możecie wyjątkowo dać mi spokój? I kiedy w końcu się nauczycie, że przed wejściem trzeba pukać?

Karl Sommarøy cofnął się i trzasnął drzwiami.

30

– Powinieneś powiedzieć kilka słów do słuchu tej swojej przyjaciółce, bo teraz, do cholery, posunęła się już za daleko!

Karl Sommarøy wbił wzrok w Billy’ego T., który siedział z colą i gazetą w kantynie na siódmym piętrze budynku policji. Sommarøy w jednej ręce niósł filiżankę kawy, na której leżała drożdżówka, a w drugiej szklanekę mleka zwieńczoną miseczką płatków kukurydzianych.

– Nigdy nie słyszałeś o istnieniu tacy? – odburknął Billy T. ze złością i zatopił się w „Dagbladet”, chcąc zmusić kolegę, żeby usiadł gdzie indziej.

W wielkiej sali prawie nie było ludzi. Ale Karl Sommarøy nie pojął sygnału.

– Wiem, że ona ma być z czego dumna – ciągnął niezrażony, zajmując krzesło naprzeciwko Billy’ego T. – Widzę to po ludziach, którzy pracują tu dłużej ode mnie i którzy traktują ją niemal jak geniusza. Ale tak się nie można zachowywać. Powinieneś zobaczyć, co...

– Zamknij się! – warknął Billy T.

– Ale naprawdę...

– Zamknij się!

– O rany, to chyba zaraźliwe!

Podniósł miseczkę z płatkami i zaczął je sobie ładować do ust. Maleńki podbródek zupełnie zniknął za naczyniem.

– Cholera, chyba wolno coś powiedzieć – syknął, mlaskając. – Za takie zachowanie wobec podwładnych powinna dostać solidny opieprz. Ale z tego, co widzę, to jest jakaś pupilką komendanta. Kompletnie nie pojmuję dlaczego. Posłuchaj...

Billy T. zasłonił twarz „Dagbladet” i ze złością przerzucał kartki.

– Podobno dawniej była niezłą laską – szepnął Karl Sommarøy głośno. –

To prawda? Podobno ona jest... nie tego. To znaczy lesbijką. Wcale nie wygląda, ale...

Billy T. złożył gazetę, potem nachylił się nad stolikiem i złapał kolegę za koszulę. Z twarzą tuż przy jego twarzy syknął:

– W tym budynku nie ma nikogo lepszego od Hanne Wilhelmsen. Słyszysz? Jeśli czegoś nie wie o pracy policyjnej, to nie warto sobie tym zawracać głowy! Potrafi odróżnić dobro od zła. Prawo zna lepiej niż większość naszych prokuratorów. Pracuje trzy razy więcej niż inni z tobą włącznie, a przede wszystkim to piękna dziewczyna. Akurat teraz jest przepracowana, a najbliższa jej osoba może w każdej chwili umrzeć. Więc – wolną ręką uderzył w stół, aż płatki podskoczyły – musisz, do jasnej cholery, zrozumieć, że teraz może jej trochę brakować cierpliwości.

Puścił Sommarøya nagle i posłał mu spojrzenie pełne bezkresnej pogardy, po czym dopił colę i wstał.

– Posłuchaj... – zaskoczony Karl Sommarøy próbował poprawić koszulę.

– Nie! – wrzasnął Billy T., unosząc wielki palec wskazujący. – Teraz ty będziesz słuchał! Nic ci do tego, jak Hanne Wilhelmsen spędza czas wolny. Jasne? Jeśli będzie chciała, żebyś coś wiedział o jej życiu prywatnym, to sama ci o tym powie. Poza tym niezły z ciebie dureń, skoro ośmielasz się przychodzić do mnie i źle mówić o osobie, która jest moją najlepszą przyjaciółką. Już dawno powinieneś to zrozumieć!

Sommarøy prawą rękę wykonał gest sugerujący, że chce zawarcia pokoju, i spuścił głowę.

– Wcale nie o tym miałem z tobą rozmawiać – powiedział nieśmiało. – *Sorry*, nie chciałem. Siadaj.

Billy T. czuł, że się trzęsie. Drugi raz w dorosłym życiu był bliski płaczu. Od rana próbował znaleźć słowa, które powinien powiedzieć Hanne, jakieś zdania, które zamknęłyby ostatnią noc w kapsule i zmieniły ją w zdarzenie z pogranicza snu. Musiał powiedzieć jej coś, co umożliwiłoby zachowanie tego, co zawsze ich łączyło. Bo Billy T. musiał zatrzymać

Hanne. Życie bez niej wydawało mu się równie bezsensowne jak życie bez dzieci. Myśli przeskakiwały od Hanne do Tone-Marit. Powinien powiedzieć swojej przyszłej żonie, co zaszło. Musiał wyznać jej swoją zdradę i uzyskać przebaczenie, tak żeby mogli pobrać się natychmiast, już jutro, a najlepiej jeszcze dziś wieczorem. Pobiorą się, włożą obrączkę i już nigdy nic podobnego nie zrobi.

Ale Billy T. wiedział, że nigdy nie będzie mógł się do tego przyznać. Tone-Marit nigdy się nie dowie. Po południu pocałuje go przy obiedzie, spyta, co w pracy, i być może powie, że Jenny pierwszy raz się uśmiechnęła. Wieczorem się do niego przytuli, zaśnie z ręką luźno włożoną w jego dłoń, bo właśnie tak zaczęła zasypiać po porodzie. Jakby istnienie dziecka stanowiło ostateczny dowód na to, że należą do siebie. Billy T. nigdy nie powie Tone-Marit o tym, co się wydarzyło, kiedy nocował u swojej najlepszej przyjaciółki, żeby odpocząć od płaczącego dziecka i przespać bez przerw całą noc.

– O co chodzi? – spytał, ciężko siadając na krześle.

– Wybieram się na Vogts gate czternaście – powiedział Sommarøy całkiem spokojnie, próbując pochwycić spojrzenie kolegi, jednocześnie żując drożdżówkę. – W telekomunikacji potwierdzili, że Salvesen miał dwa abonamenty. Jeden na Internet.

– Na Internet – powtórzył Billy T.

– Tak. To dziwne, bo przecież w mieszkaniu nie było komputera. Poza tym na co takiemu facetowi Internet? Pomyślałem więc, że przydałoby się jeszcze raz tam zajrzeć. Pójdiesz ze mną?

Billy T. chciał iść do domu, ale czuł, że nigdy nie będzie mógł tam wrócić. Chciał porozmawiać z Hanne. Hanne nie chciała rozmawiać z nim. Trzy razy pukał do drzwi jej pokoju i za każdym razem odwracała się, kiedy otwierał. Nie odzywała się ani słowem, ale nie dało się nie zauważyć uniesionych ramion i lodowatego spojrzenia, które mu posyłała, zanim się odwróciła.

– Kiedy masz zamiar tam iść? – spytał słabym głosem.

– Mniej więcej o czwartej. Wcześniej nie będę miał czasu. Wybierzesz się ze mną?

– Spotykamy się o czwartej w garażu. Załatw samochód.

Kiedy Billy T. wyszedł z kantyny, zobaczył plecy Hanne Wilhelmsen idącej do windy. Ponieważ nie zajrzała do stołówki, doszedł do wniosku, że była u komendanta, którego gabinet mieścił się na tym samym piętrze. Billy T. stanął, patrząc, jak metalowe drzwi się zasuwają. Ciągnąc za sobą nogi, ruszył po schodach. Tak wolno, że Hanne powinna zdążyć zniknąć, zanim on dotrze na czwarte piętro.

Sigurd Halvorsrud siedział na pryczy bez materaca w celi mieszczącej się w oficynie budynku policji i kurczowo ścisnął własne kolana. Wbijał paznokcie w dżinsy aż do skóry, dopóki nie zdrętwiały mu koniuszki palców. Na moment rozluźniał je i znów je spinał.

– Niewinny – szeptał w gęste, przesycone zapachem potu powietrze. – Jestem niewinny. Niewinny. Jestem niewinny.

Prokurator okręgowy Sigurd Halvorsrud nigdy nikogo nie zabił. Z tego, co pamiętał, nigdy nie popełnił żadnego wykroczenia poważniejszego niż nieznaczące przekroczenie obowiązującej prędkości. Gdyby wciąż posiadał zdolność logicznego myślenia, przypomniałby sobie, iż rzeczywiście ukarano go grzywną za pobicie kolegi podczas szczeniackiej pijatyki w Dzień Konstytucji tamtego roku, kiedy skończył szesnaście lat. Ale jego mózg się przegrzał. Podczas pierwszego aresztowania, kiedy cały ten absurd wciąż jeszcze był tak nowy, że dało się odcinać kupony od doświadczenia i bystrości umysłu, miał jeszcze nadzieję. To była Norwegia. W Norwegii nie skazuje się niewinnych. A jeśli nawet z rzadka się to zdarza, dotyczy wyłącznie szumowin, pijaków i drobnych przestępców, przegranych, którzy być może rzeczywiście nie zrobili akurat tego, za co ich skazano, ale tylko sobie mogli dziękować za znalezienie się w kręgu zainteresowania policji.

Sigurd Halvorsrud sam był elementem systemu, w który wierzył. Opartego na tradycjach cywilizowanego systemu sprawiedliwości, której nie tylko poświęcił zawodowe życie, lecz która miała wpływ na całą jego osobowość, na całe ego, na wszystko, co składało się na niego. Jego wiara w siebie i we własne siły była zatem w dużym stopniu zakorzeniona w zaufaniu do systemu. W pierwszych tygodniach – kiedy żółte ściany go dusiły i każdego ranka wyklócał się z personelem aresztu o codzienny

prysznic, do którego przywykł – ubierał się jak zwykle w garnitur i krawat, fryzurę układał za pomocą płynu do włosów i raz w tygodniu obcinał paznokcie, jak nakazywało mu przyzwyczajenie. I mimo wszystko miał wtedy wiarę w siebie, a więc również wiarę w system. Fakt, że podejrzewano go o zabójstwo własnej żony, uznawał wyłącznie za ograniczoną w czasie pomyłkę. Prędzej czy później policja zrozumie prawdę. Tak działał System.

Kiedy wypuszczono go z aresztu, paradoksalnie zrozumiał, że sam się pomylił. Na początku – kiedy sędzia z głową buldoga dyktował postanowienie, a Sigurd Halvorsrud podniósł na niego wzrok i pojął, że naprawdę wróci do domu – pełna niedowierzania ulga mieszała się z wyniosłym poczuciem zwycięstwa: sprawiedliwości stało się zadość. Ale pierwszego wieczoru w domu, kiedy Thea wreszcie zasnęła, uznał, że to wszystko jest jedynie iluzją. W jego sprawie nie chodziło już o to, co jest zgodne z prawem i sprawiedliwe. Życie jego, jego córki, życie całej rodziny Halvorsrudów obróciła w ruinę moc o wiele potężniejsza niż ślepa bogini Justitia.

Sigurd Halvorsrud został naznaczony piętnem. Równie dobrze mogli mu przystawić stempel na czole. Kiedy przeglądał własne notatki – zapisane starannym odręcznym pismem kartki pełne analiz i faktów dotyczących wszystkiego, co przeszedł od chwili zabójstwa Doris do zwolnienia z aresztu tamtego dnia, po którym nadeszła noc podjęcia decyzji – zrozumiał, że musi coś zrobić.

Karen Borg miała rację. Sędzia Bugge miał rację. Policja była jeszcze bardzo daleko od aktu oskarżenia. A jeszcze dalej od wyroku. Sigurd Halvorsrud, analizując nagie fakty we własnej sprawie, widział, iż istnieje bardzo duże prawdopodobieństwo, że nigdy nie będzie musiał stawać przed ławą przysięgłych. To go podniosło na duchu. Krew zaczęła szybciej krążyć w żyłach, aż paliły go policzki, dopóki z zapalem nie zaczął przeglądać gazet zebranych dla niego przez szwagierkę i ułożonych według dat w stos

na stole w kuchni.

Sigurd Halvorsrud już został skazany.

Właśnie zwolniono go z aresztu, mimo to był skazany na dożywocie. Kiedy siedział w celi z zakazem korespondencji i widzeń, nie dawali mu gazet ani nie pozwolili słuchać radia. Czytał więc stare tygodniki i kieszonkowe wydania książek i bał się najgorszego. Ale rzeczywistość okazała się jeszcze gorsza.

W niektórych okresach jego sprawa przesłoniła nawet wojnę w Kosowie.

Czuł się tak, jakby całe jego życie rozmazano na stronach gazet niczym obraz Picassa. Zniekształcone i wykrzywione, pozbawione proporcji, w kolorach, których nie rozpoznawał. Ale wszystko to dotyczyło jego. Bez wątplenia. Dziennikarze odgrzebali całą jego przeszłość. Aż drgnął, zobaczywszy na pierwszej kolumnie swoje zdjęcie w studenckiej czapce – gładką osiemnastoletnią twarz z wysuniętym podbródkiem i pewnym siebie uśmiechem, jakby nic nie mogło mu przeszkodzić we wspinaczce do samego nieba. Tylko oczy zdradzały dużą niepewność, której jeszcze nie nauczył się ukrywać. Anonimowi koledzy ze szkoły, niewidzialni koledzy z pracy, bezimienni sąsiedzi – wszyscy oni jak najchętniej i ze źle skrywanym zachwytem, że nareszcie mają coś ważnego do powiedzenia, przekazywali swoje opinie o żonobójcy Sigurdzie Halvorsrudzie. Silny i uparty, oślizgły i łatwo popadający w irytację, sprytny i nieobliczalny, przyjaciel rodziny, dusza towarzystwa – wszystkie te określenia piekły go w oczy. Pozamykał gazety i zwinął je ciasno w rulony, którymi potem przez dwie godziny palił w kominku.

Sigurd Halvorsrud stracił wszystko. I widział tylko jeden sposób na ratowanie siebie i tego, co zostało z jego rodziny. Nie mógł po prostu biernie czekać z nadzieją, że nigdy nie zostanie skazany. Musiał zdjąć z siebie piętno. Tylko w ten sposób mógł liczyć na pełną rehabilitację. Tylko w ten sposób gazety będą musiały odwołać wszystko to, co do tej pory opublikowały, zamieścić nowe artykuły, w których znajdą się wyłącznie

pozytywne oceny. To jedyny sposób, by media uderzyły się w piersi i powiedziały: „Spójrzcie! Przez cały czas dopuszczaliśmy ewentualność niewinności tego człowieka. Już wtedy, kiedy siedział w areszcie, napisaliśmy, że jest dobrym ojcem rodziny i szanowanym pracownikiem”.

Sigurd Halvorsrud musiał znaleźć człowieka, który zabił Doris. Wiedział, kim on jest. To Ståle Salvesen. Właśnie z tego powodu podjął nieporadną próbę sprawdzenia mieszkania w domu przy Vogts gate 14. Szukał czegokolwiek. Ponieważ policja nie dała wiary jego wyjaśnieniom, mogła przeoczyć coś ważnego. Dla niej Ståle Salvesen był przypuszczalnie martwym klientem opieki społecznej. Tylko dla niego był mordercą.

Ponieważ nie miał żadnego doświadczenia w popełnianiu przestępstw, zachował się na tyle głupio, że dał się przyłapać jakiemuś staruszkowi w piwnicy, do której zszedł, gdy nie znalazłszy w mieszkaniu Salvesena niczego oprócz cuchnących resztek jedzenia, postanowił sprawdzić, czy nie ma czegoś w jakiejś komórce. Dlatego pozostawił odciski palców w miejscu, gdzie później pojawiły się zwłoki dziennikarza, któremu obcięto głowę, a o którym on oczywiście słyszał, bo ten człowiek zajmował się tą samą dziedziną co on, w dodatku od lat. Prawdopodobnie rozmawiali nawet kiedyś przez telefon, ale z tego, co pamiętał, osobiście nigdy się nie spotkali.

A potem okazało się, że Salvesen jednak nie żyje.

Ta wiadomość storpedowała wszystko. Salvesen nie powinien nie żyć. Ståle Salvesen powinien siedzieć gdzieś na plaży w Brazylii i popijać schłodzone piwo. Powinien wybrać się na pieszą wędrówkę po Andach, sam na sam ze wspaniałą naturą, o której zawsze marzył. Powinien leżeć w spoconych objęciach dziwki gdzieś w zaułkach Manili albo szukać dorywczej pracy jako postrzygacz owiec na Nowej Zelandii. Tymczasem objawił się w postaci rozłożonych zwłok pływających po Skagerraku.

Wtedy mózg Halvorsruda się przegrzał.

Prokurator był teraz zdolny wyłącznie do obstawania przy swojej niewinności. Uczeplił się tego, obiema rękami przytrzymał się zdania,

które raz po raz wypowiadał, mamrocząc: „Jestem niewinny”.

Kiedy przyjechał wózek z obiadem, nie chciał wziąć posiłku. Strażnik obojętnie wzruszył ramionami i odszedł. Zjawił się po kilku godzinach i znów zaproponował coś do jedzenia, ale Sigurd Halvorsrud siedział dokładnie w tej samej pozycji co poprzednio – wyprostowany, z rękami zaciśniętymi na kolanach, kołysząc się ledwie zauważalnie na boki i mamrocząc coś, czego mężczyzna w mundurze nie zrozumiał.

Wyglądało to właściwie przerażająco i strażnik pomyślał, że może lepiej by było wezwać lekarza, a już na pewno trzeba to zrobić jutro, jeśli aresztantowi się nie poprawi. Prokurator okręgowy tracił chyba kontakt z rzeczywistością.

– Ja już rozmawiałem z tym gościem, więc pozwól, że się nim zajmę.

Karl Sommarøy nie bardzo wiedział, dlaczego Billy T. zgodził się z nim iść. Sprawiał wrażenie kompletnie niezainteresowanego, kiedy w zniszczonej skórzanej kurtce kulił się przed wiosennym wiatrem. Albo ten wielki facet jest wykończony ponad wszelką miarę, bo Karl Sommarøy jeszcze go takim nie widział, albo musiało go dręczyć coś innego, bardzo poważnego. Billy T. odpowiadał monosylabami, przez całą drogę z Grønlandsleiret na Vogts gate bawił się pękiem kluczy, jednostajnie i denerwująco. Oczy miał martwe, a twarz, która w kantynie rozpalila się przerażającym gniewem, teraz wydawała się płaska i bez wyrazu. Poza tym od Billy’ego T. czuć było nerwowym potem, którego odór ciągnął się za nim przy każdym ruchu.

– Dozorca Karlsen to stary zrzęda, ale nie wydaje mi się złym człowiekiem.

Zadzwonili drugi raz.

– Słucham – zatrzeszczało w głośniku domofonu.

– Tu sierżant Karl Sommarøy z Okręgu Policyjnego Oslo. Chcielibyśmy obejrzeć...

Odgłos brzęczyka zwalniającego zamek kazał mu urwać i puścić konspiracyjnie oko do Billy’ego T. Sięgnął do klamki i szarpnięciem otworzył drzwi.

– Sam widzisz – powiedział.

– To było zbędne – mruknął Billy T. – Przecież mamy to.

Trzymając klucze w dwóch palcach, podsunął je pod nos Sommarøyowi.

– Cholera – rozzłościł się kolega. – Mogłeś uprzedzić!

– Sądziłem, że się domyślisz, że nie pójdę oglądać zamkniętego

mieszkania bez kluczy.

– O co chodzi?

Dozorca Karlsen stał w korytarzu na szeroko rozstawionych nogach, bez skarpet, w samych tylko żółtobrazowych kapciach. Ubrany był w beżowe spodnie na szelkach. Kieszonkę na piersi koszuli zdobiła duża tłusta plama, a na jego brodzie Billy T. dostrzegł resztki jedzenia.

– Wszystko w porządku. – Billy T. pokazał policyjny identyfikator. – Chcemy tylko coś sprawdzić w mieszkaniu Salvesena.

– No to powodzenia. Jest puste.

– Puste? – Karl Sommarøy i Billy T. wymienili spojrzenia.

– Opróżniłem je w zeszłym tygodniu.

– Co pan zrobił? Może pan powtórzyć?

– Opróżniłem mieszkanie. Zabrałem wszystkie rzeczy Stålego. Pewnie niedługo zajmie je ktoś inny. Nie chciałem, żeby ktoś grzebał w jego rzeczach.

Billy T. spojrzał w sufit, niemo poruszając ustami. W końcu zaczerpnął głęboko powietrza, spuścił głowę i posłał dozorcę szeroki uśmiech.

– Czy będzie pan łaskaw pójść z nami do mieszkania Stålego? – powiedział aksamitnie miękkim głosem, kładąc rękę na plecach staruszka.

Karlsen był o czterdzieści centymetrów niższy od Billy’ego T. Wysunął się spod jego ręki i oświadczył dobitnie, że właśnie jadł obiad. Billy T. zmienił strategię. Mocno złapał dozorcę za ramię i zdecydowanym krokiem ruszył do windy.

– Na które piętro jedziemy?

– Na piąte – odparł Sommarøy.

– Niech mnie pan puści – powiedział Karlsen.

– Puszczę, kiedy nauczy się pan elementarnych zasad przyzwoitego zachowania.

Winda zadzwoniła i zatrzymała się z głośnym jękiem. Wszyscy trzej wysiedli i ciężko stawiając kroki, ruszyli korytarzem – Karl Sommarøy

z przodu, Billy T. ciągnący za sobą Karlsena z tyłu.

– Tutaj. – Billy T. brudnym palcem wskazał zamek, na którym zostały tylko szczątki policyjnych pieczęci. – Czy to przypadkiem pan to stąd usunął?

Ole Monrad Karlsen usiłował się wyrwać.

– Doniosę o tym, komu trzeba – oświadczył ze złością, kiedy uścisk na ramieniu wcale się nie rozluźnił. – To jest pewne.

– W porządku – warknął Billy T. – A ja zadbam o to, żeby wlepili panu za to solidną grzywnę.

Klucz obrócił się w zamku bez protestów. Billy T. ostrożnie nacisnął klamkę i otworzył drzwi do mieszkania. Uderzył go zaduch panujący w pomieszczeniu i smród zgnilizny. Mimowolnie cofnął się o krok i stanął wpatrzony w małą, odręcznie wypisaną wizytówkę przypiętą do futryny dwiema pineskami. „S. Salvesen”. Długo przyglądał się jej zamyślony, aż wreszcie Karl Sommarøy chrząknął i po koleżeńsku szturchnął go w plecy.

– Może zwolnimy dozorcę?

Billy T. zerknął z ukosa na małego staruszka i spokojnie kiwnął głową.

– Uważam, że w istocie powinniśmy tak zrobić. Niech sobie usiądzie w swoim mieszkaniu i czeka, aż skończymy. Na wypadek, gdybyśmy chcieli o coś zapytać. Okej?

To, czy Karlsen postanowił zastosować się do polecenia, pozostało dla policjantów niejasne. W każdym razie poczłapał korytarzem, mamrocząc pod nosem coś niezrozumiałego. Patrzyli za nim, dopóki drzwi windy się nie zamknęły.

– Może trochę za ostro go potraktowałeś? To przecież stary marynarz i w ogóle.

Sommarøy nie czekał na odpowiedź, tylko wszedł do mieszkania Stålega Salvesena. Kiedy był tu razem z Hanne Wilhelmsen, jak się wydawało wieki temu, mieszkanie sprawiało wrażenie niezamieszkanego. Teraz było zwyczajnie opuszczone. W przedpokoju rzucało się w oczy jaśniejsze pole

na brzydkiej boazerii, gdzie wcześniej stał stolik pod telefon. W pokoju w miejscu, gdzie oparcie kanapy dotykało ściany, rysowała się na tapecie smuga brudu. Dużo więcej śladów życia nie dało się zauważyć, oprócz ogólnego zniszczenia i przygnębienia charakteryzującego to miejsce. I smrodu z kuchni.

Dozorca Karlsen usunął wszystko, co dało się nazwać osobistymi rzeczami Stålego Salvesena: spartańskie umeblowanie, nieliczne przybory kuchenne i starannie złożone ubrania, które zostały po wielkim przedśmiertnym sprzątanym załatwionym przez samego Salvesena. Karlsen jednak nie czuł się powołany do zabrania jogurtu, kartonu z mlekiem, żółtego sera, który zmienił barwę na niebieską, i tego czegoś, co kiedyś może było sałata i dwoma pomidorami.

– Do czorta! Hanne i ja mieliśmy to ze sobą zabrać, wychodząc. Całkiem o tym zapomnieliśmy!

Sommarøy krzywił się, patrząc na zawartość lodówki, która wcale nie pachniała lepiej dzięki otwartym przez dłuższy czas drzwiczkom. Billy T. sięgnął po karton z mlekiem i jogurt.

– Dwudziesty siódmy lutego – odczytał powoli. – To mleko prawdopodobnie mogłoby chodzić samo. Dwudziesty trzeci stycznia. Stycznia! Ciekawe, co by było, gdybyśmy otworzyli ten jogurt.

Podał go koledze. Sommarøy odsunął się i zatkał nos.

– W każdym razie nie ma śladu komputera – powiedział przez nos. – Przyjrzyjmy się gniazdku telefonicznemu.

Billy T. odstawił produkty mleczne i zamknął lodówkę. Potem uchylił okno i wyszedł za Sommarøyem do przedpokoju. W pozbawionym okien korytarzu panował półmrok, przesunął więc palcami po wyłączniku na ścianie przy drzwiach wejściowych. Żarówka się przepaliła.

– Tutaj jest tylko jedno gniazdko – stęknął Karl Sommarøy, który kucnął i z wysiłkiem próbował coś zobaczyć. – Dobre staroświeckie gniazdo telefoniczne z trzema dziurkami.

Billy T. uklęknął i powiódł dłonią po kablu biegnącym od szarobrazowego gniazdka wzdłuż listwy przypodłogowej w kierunku drzwi. Jeden przewód, jedno gniazdko. Przedpokój był za ciasny dla dwóch mężczyzn, Karl Sommarøy w pewnym momencie stracił równowagę i musiał podeprzeć się rękami.

– A tu jest jeszcze jedno – zakomunikował z ożywieniem. – Nowoczesne gniazdko! Z takim plastikowym czymś.

Billy T., mrużąc oczy, spojrział na maleńkie prostokątne gniazdko przymocowane do ściany tuż nad podłogą. Potem odsunął Karla i znów powiódł palcami wzdłuż kabla.

– Ten drugi przewód wychodzi chyba z tego samego miejsca co pierwszy – stwierdził, po czym wyjrzał na klatkę schodową i przypatrzył się brudnozielonej ścianie tuż przy futrynie. – Mam rację. Oba przewody przewleczono przez jedną rurkę. Normalna rzecz. To dzieło telekomunikacji. Dziwne tylko – znów zajrzał do mieszkania – dziwne, że to wygląda raczej jak wyprowadzenie przewodu z mieszkania.

Karl Sommarøy, podnosząc się, puścił cichego bąka.

– To odkrycie jest raczej warte fanfary – orzekł Billy T., drapiąc się w wąsy. – Sprawdźmy, dokąd biegnie ten przewód.

Wyraźnie było widać, że ktoś starał się go ukryć. Wprawdzie kabel wyglądał na stosunkowo nowy – dało się to stwierdzić w mieszkaniu, gdzie bielą odcinał się od pożółkłej ściany – ale na klatce biegł wzdłuż zniszczonej brązowej listwy przy podłodze i ktoś go przymalował. Na końcu korytarza znikał w otworze. Okno na klatce było spróchniałe i najwyraźniej nikt go nie otwierał od wieków. Kiedy Billy T. napał na nie barkiem, jedna z ośmiu szybek pękła na trzy kawałki.

– Popatrz – powiedział, wychylając się jak najdalej. – Widzisz? Wygląda na to, że ten przewód biegnie w dół. Myślisz, że jak daleko?

– Nie da się stwierdzić. Po prostu dalej, niż widzę.

Zamknęli okno.

– Piwnica – powiedzieli obaj chórem.

– Piwnica – powtórzył Billy T., uśmiechając się szeroko. – Chyba jednak pomoc dozorca będzie nam naprawdę potrzebna.

Puścili się biegiem po schodach pięć pięter w dół. Od stukotu podkutych kowbojek Billy’ego T. aż echo się niosło. A kiedy dotarli na parter, okazało się, że Ole Monrad Karlsen już zmienił kapcie na czarne buty.

Może Cecilie czuła się na tyle dobrze, by wrócić do domu, ale wcale tak nie wyglądała. Kiedy Hanne przyszła z pracy około piątej, zastała ją na kanapie ze ściągniętą bladą twarzą i uśmiechem, który był jedynie drgnieniem kącików ust i nie docierał do oczu.

– Tone-Marit mnie przywiozła – oznajmiła, wyciągając do Hanne rękę i nawet nie próbując się podnieść. – Jej matka przez godzinę zajęła się Jenny, żeby Tone-Marit mogła mnie zabrać ze szpitala.

– Ale dlaczego... dlaczego do mnie nie zadzwoniłaś? – wyjąkała Hanne.

– Dzwoniłam. Sekretarka, czy kto tam odebrał, powiedziała, że nie wie, gdzie jesteś.

– A komórka? Przecież jest komórka! – Hanne prawie krzyknęła, klepiąc się po kieszonce skórzanej kurtki z frędzlami i haftami z koralików, za którą Cecilie zapłaciła majątek, kiedy były w Stanach. Wyjęła prawie nieużywanego sony ericssona. – Cholera! Niech to cholera! – Puknęła się telefonem w czoło. – *Shit, shit, shit!*

– Zapominasz ją włączyć – szepnęła Cecilie. – Chodź, siadaj!

Hanne zdjęła kurtkę i rzuciła ją na podłogę. Przesunęła niski stolik i uklękła przy kanapie.

– Przepraszam – powiedziała, całując wewnątrz nadgarstka Cecilie. – Tak strasznie mi przykro. Obiecuję, że już nigdy nie wyłączę komórki. Nigdy. Jak się czujesz? Trochę lepiej?

Przyglądała się twarzy Cecilie. Cały dzień bała się tej chwili. Ścisnęła ją w piersi i w podbrzuszu ze strachu, że będzie musiała spojrzeć jej w oczy. Palcem delikatnie obrysowała jej usta, szarobiałe wargi z pastą do zębów zaschniętą w kąciach ust. Dalej palec przebiegł wzdłuż skrzydełek nosa po niebieskawej, prawie przezroczystej worki pod oczami.

– Kocham cię, Cecilie. Nie wiem, jak dam radę żyć bez ciebie.

– Będziesz musiała.

Cecilie miała zachrypnięty głos, ostrożnie odkaszlnęła. Potem położyła rękę na głowie Hanne i przeciągnęła palcami przez zaniedbane włosy.

– Nie chcę!

Hanne usiłowała zatrzymać płacz tam, gdzie powinien zostać, nisko, w brzuchu. Mógł jej tam dokuczać, nie przeszkadzając Cecilie.

– Nie chcę zostać sama!

– Nigdy nie będziesz sama. Jeśli tylko dorośniesz i zrozumiesz, że wokół ciebie jest mnóstwo ludzi, którzy cię kochają, nigdy nie będziesz musiała być sama.

Hanne gwałtownie się odsunęła. Dalej klęczała, patrząc na Cecilie, ale łzy nie dawały się już powstrzymać.

– Kiedy umrzesz, nie będę miała nikogo.

Cecilie znów się uśmiechnęła, tym razem szczerzej. W jej matowych oczach coś błysnęło, kiedy przyciągała Hanne do siebie.

– Dzieciaku, jesteś mistrzem świata w uzalaniu się nad sobą. Posłuchaj, kochana. Nie masz jeszcze czterdziestu lat. Możesz przeżyć co najmniej drugie tyle. Jest mnóstwo ludzi, którzy chcieliby być częścią twojego życia.

– Ale ja ich nie chcę. Chcę ciebie. Zawsze chciałam tylko ciebie.

Cecilie długo całowała ją w czoło. Jej wargi już wydawały się martwe. Były chłodne i szorstkie, zahaczały o skórę. Hanne zaniósła się szlochem i przytuliła głowę do piersi Cecilie.

– Nie jestem za ciężka? – spytała głosem zduszonym przez koc. – Nie boli cię, kiedy tak leżę?

Cecilie pachniała inaczej niż zawsze. Hanne wdychała ten obcy zapach szpitalnego mydła i aż zamknęła oczy na nagłe wspomnienie tamtej chwili, kiedy Cecilie siedziała u niej w pokoju, nachylona nad podręcznikiem do matematyki, ze zmarszczką na czole i kosmykiem długich włosów

w ustach, głośno wzdychając i skarżąc się na niezrozumiałość całek. Pachniała tak ślicznie. Pachniała młodą kobietą. Słodki aromat jej ciała przebijał przez tanie perfumy i kazał Hanne nachylić się nad nią i pocałować ją w usta, ledwie je musnąć, a potem szybko się odsunąć i wypowiedzieć swoje pierwsze „przepraszam”.

Wtedy, prawie dwadzieścia lat temu, Cecilie się roześmiała. Śmiała się cicho, a mokry kosmyk włosów tkwił przyklejony do ust, dopóki nie odgarnęła go za ucho i nie pocałowała Hanne. Dłużej, znacznie dłużej i ze znacznie większą śmiałością.

Hanne zrozumiała, że nigdy nie powie Cecilie o tym, co się stało tej nocy. Zanim wróciła do domu, podjęła inną decyzję. Wiedziała, że Cecilie zasługuje na prawdę, a sama nie da rady żyć z taką tajemnicą.

Teraz jednak poczuła zapach szpitalnego mydła. Cecilie nigdy o niczym się nie dowie. Nie ma się czego dowiadywać.

– Przynieść ci coś? – spytała szeptem, delikatnie pocierając policzkiem o pierś Cecilie pod kocem. – Masz na coś ochotę, kochana?

– Na jogurt. Chyba mam ochotę na jogurt, jeżeli jest.

– Pamiętasz, z jakim równaniem tak się męczyłaś tamtego dnia, kiedy się ze sobą związałyśmy? – Hanne wstała.

– Co?

– Tamtego dnia. Przyszłaś do mnie, żebym ci pomogła w matematyce. Pamiętasz, z jaką całką nie mogłaś sobie poradzić?

Cecilie delikatnie poprawiła koc, jakby bolało ją całe ciało.

– Nie...

Hanne sięgnęła po starą gazetę, z półki na książki wzięła długopis.

– Z tą – powiedziała, podsuwając Cecilie gazetę.

$$\int^3 (x^2 + 3x + 4) dx$$

Cecilie wybuchnęła śmiechem. Śmiała się długo, prawie tak samo jak wtedy, dziewiętnaście lat temu. A kiedy w końcu przestała się śmiać, pokręciła głową.

– Jaka ty jesteś dziwna, Hanne. Naprawdę dziwna. Pamiętasz to tak dokładnie czy blefujesz?

– To jest konkretna całka. A wynik to trzydzieści cztery i pół.

Hanne, otwierając drzwi lodówki, słyszała, że Cecilie wciąż śmieje się pod nosem. Znalazła jogurt naturalny i sprawdziła datę. Jeszcze cztery dni ważności. Ściągając aluminiowe wieczko, nagle znieruchomiła.

– Hanne?

Musiała tak stać przez kilka minut, nie wydając żadnego odgłosu.

– Hanne, co ty robisz?

– Już idę – odparła i sięgnęła do szuflady ze sztućcami po łyżeczkę.

Przełała jogurt do miseczki, dołożyła trochę dżemu truskawkowego i postawiła miseczkę na stoliku w salonie.

– Muszę tylko zadzwonić w jedno miejsce – oznajmiła spokojnie. – To nie potrwa długo.

Cecilie, próbując jeść, słyszała dobiegający z przedpokoju najbardziej formalny głos Hanne:

– Mówi komisarz Wilhelmsen. Chciałabym sprawdzić informację o skradzionym samochodzie. Aha. Chodzi mi o...

Nagły ból wytrącił Cecilie łyżeczkę z ręki. Jogurt z dżemem wylał się na podłogę. Drżącą dłonią próbowała jeszcze ratować miseczkę. Ostrożnie sięgnęła po pompę z morfiną, którą miała przy biodrach. Zaaplikowała sobie dodatkową dawkę i powoli zaczęła się rozluźniać, kiedy ból ustępował.

– Nie możesz teraz iść do pracy – powiedziała, kiedy Hanne wróciła do salonu. – Tak cię proszę...

– Nie, nie – odparła Hanne miękko, idąc po ścierkę, żeby sprzątnąć bałagan z podłogi. – Dopiero jutro. Wiesz... A może bym rozłożyła kanapę, żebyśmy mogły leżeć koło siebie? Kupiłam trzy nowe filmy wideo. Może byśmy któryś obejrzały?

– Bardzo chętnie. Chciałabym, żebyś w najbliższym czasie mogła spędzać więcej czasu w domu.

Hanne ujęła jej twarz w dłonie i pocałowała ją lekko w usta.

– Jeżeli naprawdę jestem tak genialna, jak wszyscy mówią, już niedługo będę mogła wziąć wolne – szepnęła. – Naprawdę wolne. Będziemy razem przez cały czas. Tylko my dwie.

– To brzmi jakoś strasznie nowo i przerażająco...

– Pomogę ci wstać i rozłożę kanapę.

Cecilie wybrała *Casablankę*. Hanne przepłakała całą drugą połowę. Zawsze uważała, że Cecilie jest podobna do Ingrid Bergman.

Korytarz piwniczny w domu przy Vogts gate był długi, niemal piętnastometrowy, i niezbyt ciasny. Billy T. ku swemu zdumieniu odkrył, że bez kłopotu może się wyprostować. Kiedy rozłożył ręce na boki, palcami ledwie dotykał ścian. Daleko, w drugim jego końcu z prostokątnego okienka padał na podłogę ostry snop światła. Tuż przy schodach tkwiła w oprawie goła żarówka, umożliwiając dostrzeżenie czegoś również w tej części piwnicy.

– Boksy nie są oznakowane – oświadczył ponuro Ole Monrad Karlsen. – Ale te dwa są moje. – Płaską dłonią uderzył w drzwi do dwóch pierwszych pomieszczeń. – I w nich nie pozwolę wam grzebać bez nakazu przeszukania. Wiem, jakie mam prawa. W środku nie ma niczego, co by was mogło obchodzić.

– A który należy do Stałego Salvesena? – zniecierpliwiał się Billy T. – Szczerze mówiąc, gównu mnie obchodzi, czego pan tu sobie naskładał. Niech mi pan pokaże piwnicę Salvesena.

Karlsen poczłapał w głąb ciemnego korytarza. Billy T., mijając żarówkę, zasłonił światło. Dozorca burknął coś pod nosem i głośno zaklął. W końcu dotarł na miejsce. Drzwi były zrobione z prostych desek przymocowanych do krzyżaka i zamknięte na zwyczajną kłódkę.

– Tutaj.

Dozorca Karlsen pięścią uderzył w drewno. Billy T. przewrócił oczami i poprosił, żeby otworzył.

– Nie mam klucza.

Staruszek spuścił oczy i splunął na betonową posadzkę. Brunatna plwocina z drobinkami tytoniu upadła tuż przy kowbojkach Billy’ego T.

– A gdzie pan umieścił wszystkie rzeczy Salvesena?

– Nic panu do tego. Ale jak już musi pan wiedzieć, to stoją w mojej piwnicy.

– Pan kłamie – stwierdził Billy T., nie patrząc na Karlsena. – Oczywiście, że ma pan klucz.

Dał znak Karlowi, który stanął obok niego, i obaj napaarli barkami na słabe drzwi.

– I raz, i dwa, i trzy! – krzyknął Billy T.

Drzwi ustąpiły przy pierwszej próbie. Policjanci spodziewali się większego oporu i dosłownie wpadli do ciasnego boks. Karl potknął się o parę nart i poleciał głową do przodu.

– Jasny gwint! Pomóż mi!

W końcu zdołał jakoś stanąć na nogi i zaczął otrzepywać kurz i pajęczyny z kurtki szwedki, która zapewne była modna, kiedy miał piętnaście lat, a przy tym obcisła i tak jasnoniebieska, że mogła naprawdę pochodzić z tamtych czasów.

Boks był prawie pusty. Oprócz starych nart zjazdowych, o które potknął się Karl Sommarøy, w prostokątnym pomieszczeniu znajdowała się jeszcze tylko rama roweru bez kół i siodła, czarny plastikowy worek ze starymi ubraniami i komplet zniszczonych letnich opon ustawionych w rogu jedna na drugiej.

– Można tu zapalić więcej światła? – Billy T. ze złością dał krok nad workiem z ubraniami i podjął próbę oderwania płyty ze sklejki, którą zabito coś, co mogło być oknem.

– Łom, panie Karlsen. Ma pan łom?

– Trzymaj – powiedział Karl. – Weź moją latarkę.

Zapalił półmetrową latarkę, którą po drodze przyniósł z samochodu. Billy T. skierował mocny strumień światła na zabite okienko.

– Bingo – szepnął.

Karl zmrużył oczy, wpatrując się w punkt wskazany przez Billy'ego T. Zobaczył wyraźny otwór. Nachylił się, a Billy T. poświecił na podłogę przed

nim.

– Świeży pył ceglany – stwierdził Karl zadowolony. Oblizał palec, dotknął nim pyłu i wstał. – Ten otwór zrobiono niedawno.

– I jest tutaj nasz kabel – zauważył Billy T. – Ale dokąd prowadzi?

Policjanci śledzili wzrokiem cienki przewód biegnący przy ścianie działowej. W piwnicy nawet go porządnie nie umocowano. Zwiślał luźno i zniknął w kolejnym otworze.

– Czyja jest ta piwnica obok?

Karlsen usiłował ratować resztki wyważonych przez nich drzwi. Wyciągnął śrubokręt w szwajcarskim scyzoryku i próbował wydłubać szczątki drewna z wykrzywionych zawiasów. Nie spieszył się z odpowiedzią.

– Tamten boks w każdym razie nie należał do Stałego Salvesena. A to znaczy, że nie możecie tam wejść.

Billy T. i Karl wymienili spojrzenia. Dozorca miał rację. Zanim mogliby wyłamać drzwi do sąsiedniej piwnicy, musieliby załatwić całe mnóstwo formalności. O wiele prostszym rozwiązaniem było spytanie właściciela o pozwolenie.

– Ale kto jest właścicielem? – powtórzył Billy T.

– Gudrun Sandaker. Wyjechała na urlop.

Staruszek dalej dłubał, nie poświęcając policjantom ani jednego spojrzenia.

– Billy T.! – Karl odebrał koledze latarkę i poświecił na ściankę działową. – Spójrz tutaj! Deski są stare, z odzysku, ale przyjrzyj się gwoździom!

Gwoździe były nowe.

– Niech pan da ten śrubokręt! – nakazał Billy T.

Dozorca przerwał pracę przy zniszczonych drzwiach i niechętnie podał Billy'emu T. szwajcarski scyzoryk.

Najtrudniejsze były pierwsze deski. Okazało się, że ściankę od środka

zaizolowano wełną mineralną, co w pierwszej chwili wydało się Billy'emu T. bardzo dziwne. Nie mógł pojąć, po co ktoś zawracał sobie głowę izolowaniem ścianki działowej w piwnicy. W końcu, po zdjęciu czterech desek sięgających od podłogi do sufitu, z pomocą Karla udało mu się usunąć pierwszą matę izolacyjną.

Ścianka skrywała sekretne pomieszczenie, szerokie zaledwie na pół metra. Zaizolowano je ze wszystkich stron, a zrozumienie, dlaczego ktoś zadał sobie taki trud, nie było już żadnym problemem. Po piwnicy rozniósł się szum pracującego komputera.

– Komputer – powiedział w końcu Karl cicho. – Całkiem zwyczajny komputer.

– Ale nie ma monitora ani klawiatury – zauważył Billy T., odrywając ostatni fragment wełny mineralnej.

– Bo są niepotrzebne – stwierdził Karl. – Nie chodziło o to, żeby ktoś miał z niego korzystać.

– No to o co, do cholery?

Billy T. nachylił się i popatrzył na zielone światełko potwierdzające, że maszyna jest włączona.

– Nie mam pojęcia. Ale założę się, że na tym komputerze jest coś, co nas bardzo zainteresuje. Nie! – Karl Sommarøy złapał kolegę za ramię i brutalnie odciągnął do tyłu, bo Billy T. już chciał wyjąć wtyczkę z wyraźnie niedawno zamontowanego gniazdka.

– Przecież musimy zabrać stąd ten komputer – powiedział ze złością Billy T., wrywając się Karlowi. – Ktoś musi zobaczyć, co siedzi w środku.

– Ale trzeba to zrobić tutaj. Przecież nic nie wiemy. Ten komputer może być tak zaprogramowany, że wszystko siądzie, kiedy wyłączy się go z prądu.

– No to wzywaj ekspertów – oświadczył Billy T. – Ja zostaję tutaj. Nie ruszę się stąd, dopóki ktoś mi nie powie, co jest w tej maszynie.

Karl Sommarøy kiwnął głową i spojrzał na dozorcę Karlsena.

– A pan pójdzie ze mną – powiedział. – Myślę, że mamy sobie sporo

do wyjaśnienia.

Billy T. słyszał pełne złości mamrotanie dozorczy, dopóki drzwi piwnicy się za nimi nie zamknęły. Potem usiadł na stosie desek i wełny mineralnej, oparł się plecami o ścianę i zasnął.

Mężczyzna, którego Evald Bromo nazywał Kaiem, pakował się. Wyciągnął z szafy garnitur, dwa swetry, cztery koszule i džinsy. Wszystko starannie złożył i wsadził do twardej walizki. Na górze umieścił bieliznę i kosmetyczkę. Upřednio sprawdził, czy w kieszeniach nie ma nic, co mogłoby zdradzić jego tożsamość. Potem opróżnił portfel ze wszystkich rzeczy osobistych. Zdjęcia dzieci, pokwitowanie z Ikei, prawo jazdy i inne karty – wszystko zostało pocięte na drobne kawałeczki i trafiło do plastikowej torby, którą zamierzał wyrzucić tam, gdzie nikt nie zwróci na nią uwagi.

Potem znów zapełnił portfel, a do wewnętrznej kieszeni schował nowy paszport. Teraz nazywał się zupełnie inaczej.

Był spokojny. Rozpacz, która przez ostatnie dni niemal go paraliżowała, zniknęła. Zastąpiło ją zdecydowanie. Co się stało, to się nie odstanie, a jemu nie pozostawało nic innego, tylko ucieczka. Myśl o tym, że na zawsze rozstaje się z dziećmi, brutalnie od siebie odepchnął, tnąc na kawałki zdjęcia. Nie mógł rozpamiętywać. Nie stać go było na roztkliwianie się. Musiał działać, i to prędko.

Zamierzał pojechać samochodem do Kopenhagi, a stamtąd samolotem do pewnego odległego miejsca. Do miejsca, gdzie miał przyjaciół.

Bo przyjaciół miał.

Przez wszystkie te lata chronił kilku wybranych. Zawsze dlatego, że miał z nich jakąś korzyść. Nigdy ze strachu. Jedynym wyjątkiem był Evald Bromo.

Zamknął walizkę i zaniósł ją do bagażnika. Wyjedzie dziś w nocy. Miał wielką ochotę już teraz wsiąść do auta i ruszyć, ale to było zbyt ryzykowne. Żona podniesie alarm po dwóch godzinach, jeśli okaże się, że nie wrócił

z pracy do domu.

Wyjeżdżając około trzeciej w nocy, zyska kilkugodzinną przewagę. Więcej nie potrzebował.

Podniósł maskę, wykręcił kopułkę rozdzielacza i położył ją na półce pod tylną ścianą garażu. Powie, że samochód się popsuł. Dzięki temu żona nie wybierze się na żadną popołudniową przejażdżkę, podczas której mogłaby znaleźć walizkę.

Karl Sommarøy był jednym z nielicznych pracowników całego wielkiego szarego budynku policji, którzy podjęli szczerą próbę zaprowadzenia w swoim pokoju czegoś w rodzaju domowej przytulności. Miał ciemnoniebieskie zasłony, które uszyła mu żona, zdjęcia dzieciaków w czerwonych ramkach na biurku i kwiatki w doniczkach na półkach. Na jednej ścianie wisiał duży plakat z reprodukcją obrazu Gustava Klimta, na drugiej – kolaż zrobiony z dziecięcych rysunków pod szkłem. Trochę tak, jakby dziewczęcy dół twarzy Karla Sommarøya był nie tylko złośliwym psikusem natury, lecz również przejawem mocnego elementu kobiecego w jego poza tym bardzo męskim ciele. Dywanik z gałganków w wesołych kolorach tłumił akustykę, a kubek na długopisy pasował do jasnej skórzanej podkładki do pisania. W ramach męskiej kompensacji tych babskich elementów na ścianie wisiał zegar z dość osobliwą kukułką. O każdej pełnej godzinie wyskakiwał z niego umundurowany policjant i unosząc pałkę, wrzeszczał metalicznym głosem: „*You’re under arrest!*”.

– Wie pan – zaczął Karl Sommarøy, siadając na ergonomicznym krześle.
– Mój dziadek w czasie wojny służył we flocie handlowej.

Ole Monrad Karlsen burknął coś pod nosem i niespokojnie poruszył się na swoim miejscu.

– Był drugim sternikiem na M/T „Alcides”. Armator w Skaugen. Woził ciężki olej opałowy z Abadanu do Freemantle.

Storpedowali go na Oceanie Indyjskim w lipcu w czterdziestym trzecim.

– O rany! – Karlsen odrobinę się wyprostował. – Japońce go złapali?

– No. Dziadek do końca wojny przesiedział w japońskim więzieniu.

– To dopiero. – Karlsen pokręcił głową. – Chłopaki, które wpadły w ręce żółtków, miały najgorzej. Mnie storpedowali dwa razy. Ale nigdy nie

trafiłem do niewoli.

Popatrzył na policjanta. Wyraz twarzy nieco mu się zmienił. Lekko przygryzał dolną wargę i nie ział już tak jawną wrogością.

– Norwegia źle potraktowała was, marynarzy pływających w czasie wojny – stwierdził Sommarøy ze współczuciem. – Kawy, panie Karlsen?

Nalał do złotego kubka w biedronki, zanim dozorca zdążył odpowiedzieć. Potem pchnął go w stronę staruszka i uśmiechnął się najszerzej jak umiał.

– Ale pan sobie nieźle radzi, panie Karlsen. Emerytura? Musi pan mieć...
– patrząc w sufit, zaczął liczyć – siedemdziesiąt sześć?

– Siedemdziesiąt pięć. Zamustrowałem na Boże Narodzenie w trzydziestym dziewiątym. Miałem wtedy piętnaście lat. Pozwalają mi dalej pilnować kamienicy. Pensji za to nie dostaję, ale stara, która jest właścicielką całego tego kramu, zgadza się, żebym został w zamian w tym mieszkaniu. Taniej jej wychodzi, a mnie z tym dobrze. Dawniej było lepiej, kiedy jeszcze w naszym domu nie mieszkało tylu lumpów. Odkąd gmina wykupiła mnóstwo lokali, pojawili się różni ludzie. A ten tam pański kolega... ten wysoki... – Karlsen uniósł płaską dłoń nad głowę. – Nieprzyjemny człowiek. Nie ma za grosz szacunku.

– Musi pan wybaczyć Billy’emu T. Ostatnio jest bardzo zestresowany.

– Ale nie musi przez to zachowywać się jak łobuz. Przecież jest policjantem, chociaż wcale tak nie wygląda.

Karlsen z powątpiewaniem przyglądał się biedronkom na kubku, ale w końcu na próbę łyknął kawy.

– Pan znał Stålego Salvesena? – Sommarøy założył ręce na kark. – Przyjaźniliście się?

Ole Monrad Karlsen cmoknął i odstawił kubek, drapiąc się w lewą skroń.

– Przecież rozmowa z ludźmi nie jest zakazana – burknął. Agresywny ton znów powrócił.

– Oczywiście. Wydaje mi się, że Ståle Salvesen w gruncie rzeczy był

dobrym człowiekiem. To świat źle się z nim obszedł.

– Kiedyś był biznesmenem – powiedział Karlsen. – Wie pan o tym?

– Tak. Ale był jakiś bałagan ze śledztwem, z upadłością i w ogóle.

– No właśnie. Podejrzewać człowieka to potrafia, grzebać, pisać, śledzić i wszystko człowiekowi popsuć też potrafia. Ale coś z tego przyszło? Skąd. Nic się nie trzymało kupy, a Stałe został sam. Opuszczony. Kobita od niego uciekła, a dzieciak nigdy nie wrócił z Ameryki. Niewdzięcznik. Przecież to ojciec zapewnił mu możliwość wyjazdu i studiowania. Stałego spotkało mniej więcej to samo co mnie, kiedy wróciłem z wojny i zaproponowano mi...

Karl Sommarøy zrozumiał, że to potrwa. Przeprosił więc na chwilę i wrócił ze struclą i dwiema butelkami oranżady jabłkowej. Kiedy w pudełku po cieście zostały już tylko okruszki, a obie butelki były puste, jego cierpliwość wisiała na włosku.

– *You're under arrest!* – wrzasnęła kukułka-policjant siedem razy.

– O rany, ale się przestraszyłem! – Karlsen odwrócił się do zegara.

– Ten komputer w piwnicy – rzucił Karl lekko. – Wiedział pan o tym?

– Nie ma zakazu trzymania komputera we własnej piwnicy.

– Ależ skąd. Od jak dawna tam stał?

– Dlaczego pan o to pyta?

Karl Sommarøy ciężko westchnął, potem wstał i obrócił się plecami do Karlsena, niby to uważnie przyglądając się dziecięcym rysunkom.

– Niech pan posłucha – powiedział powoli, dotykając ręką czegoś, co w zamiarze miało chyba być samochodem wyścigowym. – Staramy się rozwiązać bardzo trudną sprawę. Poszłoby nam trochę łatwiej, gdyby pan mógł po prostu odpowiadać na pytania, które zadaję. Rozumiem, że nie ma pan zbyt wiele sympatii dla władz, ale jest pan uczciwym człowiekiem i z tego, co wiem, nigdy nie zrobił pan nic złego. Niech tak pozostanie. –

Nagle odwrócił się do dozorczy. – Niech mi pan pomoże. Bardzo pana proszę.

- Od lutego – mruknął Karlsen. – Od lutego.
- Czy Ståle mówił, dlaczego chce ukryć komputer?
- Nie.
- Pomagał mu pan zrobić tę ściankę?
- Tak.

Ole Monrad Karlsen wpatrywał się w niego ze złością, ale znacznie słabszą. Wyglądał teraz raczej jak bezradny staruszek.

– No dobrze. – Karl Sommarøy z powrotem usiadł. – Wie pan coś więcej o tym komputerze?

Karlsen pokręcił głową.

– Czy w ogóle wie pan coś więcej? Coś, co pomoże nam zrozumieć, dlaczego Ståle odebrał sobie życie? Przecież pan z nim dużo rozmawiał, musiał chyba...

– Przecież już mówiłem. Stålemu nic już na tym świecie nie zostało. Wszystko mu przepadło, tak jak powiedziałem.

– To znaczy, że pan wiedział o jego planowanym samobójstwie?

Dolna warga Karlse na drgnęła, a wkrótce drżenie przeniosło się na całą twarz. Nierówny zarost mógł wskazywać, że Karlsen miał kłopoty ze wzrokiem. Sommarøy nigdy nie widział go w okularach.

– O niczym nie wiedziałem – powiedział tak cicho, że Sommarøy musiał się do niego nachylić. – Nic nie rozumiałem, kiedy pan przyszedł pierwszy raz. Pomyślałem tylko, że Ståle gdzieś wyjechał bez uprzedzenia. Ale potem... – Teraz drżały mu też ręce. Palcem wskazującym wytarł oczy. – Ale pewnie powinienem był zrozumieć, kiedy dał mi tamtą paczkę.

– Paczkę?

– Tak, taką brązową paczkę z adresem. Znaczki też już nakleił. Powiedział, że wystarczy ją wrzucić do skrzynki, gdyby coś mu się stało. Miałem odczekać jakieś dwa, trzy tygodnie. To znaczy od chwili, kiedy go zobaczę ostatni raz. Spytałem, czy się dokądś wybiera. Powiedział, że nie, a potem już gadaliśmy o czymś innym. W ogóle wyszła mi z głowy ta

paczka i przypomniałem sobie dopiero, jak minęło trochę czasu. Pomyślałem wtedy, że ta paczka to takie pożegnanie. Stałe mi ufał.

Karl Sommarøy wpatrywał się w swoje dłonie zaciśnięte na brzegu biurka. Knykcie mu pobielały.

– I co? Wysłał pan tę paczkę?

– No tak, przecież musiałem.

– Do kogo była?

– Adresu za nic sobie nie przypomnę, ale nazwisko... – Ole Monrad Karlsen podniósł głowę i popatrzył na policjanta. Z kącika ust ciekła mu brunatna strużka, a w miejscu, gdzie zaczynał się zarost, tuż koło nosa, zatrzymała się łza. – To była paczka dla Evalda Bromo. Przynajmniej tyle nie zapomniałem. To przecież ten facet, który leżał u mnie w piwnicy z odrąbaną głową.

– *You're under arrest!* – zaskrzeczała kukułka. Tym razem osiem razy.

Rodzice Margaret Kleiven nie żyli już od dawna, a innych bliskich krewnych nie miała. Istniała co prawda o cztery lata młodsza siostra, ale nigdy nie łączyły ich bliskie stosunki. Już jako dzieci bardzo różniły się od siebie. Margaret była zamknięta w sobie, wstydliva i ostrożna, siostra – otwarta i czarująca. Kiedy siostra wyszła za mąż za Anglika i przeprowadziła się do Manchesteru, wszelki kontakt między nimi się urwał. Nawet kartki świąteczne, które początkowo z obowiązku wysyłały do siebie co roku pod koniec listopada, przez ostatnich sześć lat już się nie pojawiły.

Życiem Margaret Kleiven był Evald. Evald i praca nauczycielki historii i francuskiego w liceum. Dobrze wiedziała, że uczniowie niezbyt ją lubili. Była najprawdopodobniej zbyt nudna i zbyt sztywno trzymała się programu. Ale z pewnością ją doceniali, a nawet w pewien sposób szanowali jej tradycyjny sposób nauczania, bo wiedzieli, że może się opłacać. W zeszłym roku dwoje uczniów zmieniło klasę tylko po to, żeby profesor Kleiven uczyła ich francuskiego. Oboje dostali szóstki na egzaminie, a kiedy rozdano świadectwa, w pokoju nauczycielskim pojawił się bukiet groszków w pomarańczowym celofanie. Takie przeżycia budziły w niej delikatną radość na myśl o następnym roku szkolnym.

Margaret Kleiven nie rozpieszczano wielkimi uczuciami. Kiedy wychodziła za mąż za Evalda, miała już dostatecznie dużo lat, aby zbyt wiele po małżeństwie sobie nie obiecywać. Z czasem osiągnęła pewne zadowolenie z życia. Z Evaldem żyło się spokojnie. Z upływem lat coraz bardziej się izolowali, ale Margaret uważała, że się kochają i jest im ze sobą dobrze, mimo że nigdy nie mieli dziecka.

A teraz Evald odszedł.

Pierwszy szok w ciągu dwudziestu czterech godzin przeszedł w paraliżującą rozpacz. W tej chwili minęły już cztery doby od momentu, gdy policjantka, która nie potrafiła spojrzeć jej w oczy, poinformowała ją, że Evald nie żyje i prawdopodobnie został zamordowany. Teraz zaś, w czwartkowy rano dziewiątego kwietnia 1999 roku, Margaret Kleiven była wściekła.

Dochodziła już szósta, a ona nie spała ani minuty.

Nie interesowało jej, kto mógł zabić Evalda.

Przy półce na buty w przedpokoju leżały „Dagsavisen” i „Aftenposten” z czterech dni, a ona nawet ich nie otworzyła. W poniedziałek „Aftenposten” na pierwszej stronie opublikowała fotografię Evalda. Stare zdjęcie biegnącego zaślinionego mężczyzny, którego ledwie rozpoznała. Codziennie rano zabierała gazety z wycieraczki, układała je na podłodze i wracała do łóżka. Evald nie żył i akurat tego nic nie mogło zmienić.

Tajemnicze okoliczności zabójstwa, do którego według policjantki z lekką nadwagą miało dojść gdzieś na Torshov, przypomniały Margaret o pewnej ciemnej stronie życia Evalda, do której mąż nigdy jej nie dopuścił. Oczywiście wiedziała, że coś takiego istnieje. Że mąż nosił w sobie jakąś tajemnicę, której nigdy nie zdradził. Przez pierwsze lata małżeństwa dużo się zastanawiała i parokrotnie próbowała nawet o tym z nim rozmawiać, ale doprowadzała jedynie do tego, że biegał jeszcze więcej, a mówił mniej. W końcu postanowiła już do tego nie wracać.

Margaret Kleiven była zła na swojego zmarłego męża. Biegał w nocy mimo stale powtarzanych przez nią ostrzeżeń. Wiedziała, że nigdy mu nie wybaczy.

Wstała i niepewnym krokiem przeszła przez pokój. Przy drzwiach łazienki stał niewielki kufer malowany w różę, będący właściwie niedużą skrzynką. Kiedy z domu opieki zadzwoniono z wiadomością, że Olga nie żyje, Margaret nie poczuła nic. Zresztą nigdy nic nie czuła do staruszki. Prawdę mówiąc, nie widziała jej już od dwóch lat. Odkąd teściowa zapadła

się w totalną sklerozę, Margaret uznała obłudne wizyty za bezcelowe, skoro Evald i tak zaglądał do niej prawie codziennie.

Ale dom opieki nie miał się do kogo zwrócić. Zatelefonowano więc do Margaret, a ona przyszła. Olga Bromo nie posiadała nic oprócz tego kredensu, w którym trzymała bieliznę, i kilku srebrnych łyżeczek. Oraz niedużego kufra z imieniem wypisanym na wieku. Pielęgniarski patrzył w podłogę, kiedy – chrząkając – wyjaśniał, że potrzebują tego pokoju natychmiast, bo starzy i chorzy czekają w kolejce. Miał nadzieję, że Margaret nie wzięła mu za złe pytania, co ma zrobić z osobistymi rzeczami zmarłej. Margaret Kleiven zabrała kufer, a z pozostałym dobytkiem kazała im zrobić, co uważają.

Teraz kuciała w różowym szlafroku i w porannym świetle, które zakradało się do pokoju przez szparę w zasłonkach, wsuwała żelazny klucz do zamka.

Zakłuło ją w sercu, kiedy uniosła wieko. Poczowała się tak, jakby trafił ją wybuch potwierdzający to, co wiedziała od zawsze. W rzeczywistości wcale nie знаła Evalda. Ostrożnie przełożyła dwa stare dzienniczki ze szkoły. W różowym pudełku leżała kamea, której nigdy nie widziała. Czerwoną książeczkę Pocztowego Banku Oszczędnościowego, sztywną i poplamioną, wystawiono na jego nazwisko, mimo że wpłat dokonywano w czasie, kiedy był małym dzieckiem i jeszcze nie wiedział, co to znaczy oszczędzać.

Kiedy Margaret Kleiven skończyła przeglądać zawartość drewnianego kufra z niebieskimi literami na wieku, wstała i poczuła, że łydki jej zdrętwiały. Potrząsnęła nogami, powoli zeszła na parter i rozpałała ogień w żeliwnym piecyku. Nie zajęło jej to dużo czasu, bo drewno było suche, a gazety w ilości więcej niż dostatecznej znalazła przy półce na buty w przedpokoju. Potem wróciła do sypialni i zabrała z niej kufer teściowej. Wyjmowała z niego przedmioty po jednym i rzucała w płomień. Niektóre, tak jak dzienniczki czy tekturowe pudełko ze starym kosmykiem włosów, paliły się dobrze, inne długo leżały w płomieniach, jak kamea i szeroka złota

obrączka. Z czasem również metalowe przedmioty poczerniały, a Margaret wiedziała, że jeśli pozwoli im leżeć w piecyku dostatecznie długo, również one znikną.

Na samym spodzie kufra zostało pudełko z płytą CD. Margaret zdziwiła się, bo wszystkie rzeczy w skrzynce były stare, bardzo stare, natomiast płyta wyglądała na nowiusienką. Przez chwilę miała ochotę otworzyć okładkę, ale coś jej powiedziało, że lepiej z tego zrezygnować.

Wrzuciła płytę w ogień. Rozległ się syk i z plastiku buchnął przezroczysty niebieski płomień. Okładka zaczęła się marszczyć w gorącu, a zapach palonego plastiku zakręcił w nosie. Kiedy pękła pokrywka, na chwilę ukazał się kawałek papieru, ale trwało to zaledwie moment, bo kartkę również zaraz pochłonął ogień.

Margaret Kleiven zamknęła drzwiczki piecyka.

Wciąż była wściekła na Evalda i zanim poszła się położyć, połknęła trzy tabletki nasenne.

Evaldzie Bromo!

Na pewno już mnie nie pamiętasz. W pogoni za nowymi ofiarami prawdopodobnie nie masz czasu, żeby się zatrzymać i pomyśleć o tym, jak krzywdzisz ludzi, których prześladujesz. Ale jeśli zajrzysz do własnego archiwum, znajdziesz w nim moje nazwisko. Będzie się powtarzało wielokrotnie. Musisz się co prawda dość daleko cofnąć w czasie. W ostatnich latach zdecydowanie nie pisała o mnie żadna gazeta. Już prawie nikt nie wie, kim jestem.

Prowadziłem spółkę, która nazywała się Aurora Data. To była obiecująca firma. Nie będę cię męczyć opowieścią o tym, w jaki sposób stworzyłem odnoszącą sukcesy firmę komputerową, mając początkowo do dyspozycji tylko dwie puste ręce. Sam znasz tę opowieść. Musisz tylko odpowiednio głęboko pogrzebać w pamięci.

Koniec lat osiemdziesiątych to były trudne czasy. Kiedy zaczęły się lata dziewięćdziesiąte, wielu ludzi mojego kalibru poszło na dno. Firmy takie jak Aurora Data padały jak kostki domina. Ale nie my. Dopóki Økokrim nie otrzymał zawiadomienia o popełnieniu przestępstwa, złożonego przez jednego z naszych byłych pracowników, niewiernego sługę, któremu wyświadczyłem wielką przysługę, jedynie wyrzucając go z pracy. Sam powinienem był podać go na policję, bo zdefraudował ponad dwieście tysięcy koron.

Ja nic złego nie zrobiłem. Wtedy jeszcze nie.

Twierdzono, że mój syn kupił akcje w spółce, w której zarządzie zasiadałem, krótko przed ujawnieniem przez tę spółkę zawarcia wielkiego kontraktu, dzięki czemu wartość akcji podwoiła się w mgnieniu oka. Økokrim zwietrzył inside trading i poświęcił wiele czasu na skonstatowanie

tego, co przez cały czas było do udowodnienia: że w chwili, kiedy mój syn kupował akcje, umowa z Amerykanami była jeszcze bardzo niepewna. Ale policjanci z Økokrim wzięli się do roboty. Przeorali Aurora Data wzdłuż i wszerz. Mnie też. Mój wróg, były pracownik, wysmażył tyle dziwnych opowieści, wymieszał tyle faktów i tak przekonująco kłamał, że upłynęło kilka lat, zanim sprawę umorzono. Tymczasem oczywiście wypłynęły jakieś drobiazgi. Jeśli taką firmę jak Aurora Data przeorze się wzdłuż i wszerz, zawsze coś się znajdzie. Same paprochy, nic, co kwalifikowałoby się na karę surowszą niż upomnienie, a w najgorszym razie niewielką grzywnę. Ale śledczy znajdowali akurat tyle, by dalej móc w tym grzebać.

To ty opisywałaś tę sprawę. Inne media papugowały po tobie. Ty i twoja gazeta „prowadziliście”. To, co napisałaś, cytowali inni. To ty byłaś ważny.

Wytrzymałem śledztwo. Nawet dzisiaj, po tym wszystkim, co się wydarzyło, będę twierdził, że prokuratura musiała podjąć działania w związku z ciężkimi oskarżeniami, które wobec mnie wysunęto. Nie mogłem natomiast znieść tego, że zostałem skazany z góry: ty skazałaś mnie, pisząc, Halvorsrud skazał mnie, tak chętnie udzielając ci informacji.

CZTERY RAZY dzwoniłem do ciebie, żeby wyjaśnić, jak to wszystko naprawdę wygląda. Słuchałaś, udając, że moja opowieść cię interesuje. Mimo to w artykułach powoływałaś się na przypuszczenia i domysły policji, na oszczerstwa i nieuzasadnione twierdzenia.

Do Sigurda Halvorsruda wysłałem SZEŚĆ LISTÓW. Na żaden nie odpowiedział. Prosiłem go o spotkanie, ale zamiast tego siedziałem na ciągnących się przesłuchaniach prowadzonych przez ludzi, którzy dla niego pracowali. Nigdy nie spotkałem się z człowiekiem, którego tak chętnie cytowałaś i który uważał, że tak dużo wie o mnie i o moim życiu.

Osiągnęliście to, co chcieliście. Mimo że aktu oskarżenia nie wniesiono, ja straciłem wszystko. Aurorze przepadły ważne kontrakty i z czasem firma zbankrutowała. Osobiście coraz częściej doświadczałem the silent treatment ze strony dawnych znajomych, z którymi prowadziłem interesy, wcześniej

darzących wielkim zaufaniem zarówno mnie, jak i Aurora Data. Pracowałem dwadzieścia pięć godzin na dobę, byle tylko powstrzymać katastrofę, ale to nie pomogło. Żona mnie opuściła, syn zniknął z mojego życia, gardząc ojcem, który nie był już godny podziwu. Zostałem z niczym. Kiedy moją sprawę umorzono, uznałeś, że ten fakt zasłużył na krótką notkę.

No cóż, nie zostałem zupełnie bez środków. Kiedy świat wokół mnie zaczął się walić, miałem dość rozumu, żeby ukryć kilka setek tysięcy w gotówce. Już i tak zostałem napiętnowany i rzucony na pożarcie wilkom. Pieniądzy nie zamierzałem wydać na siebie. Nie mogłem.

Przez wiele lat usiłowałem się zrehabilitować. W latach osiemdziesiątych stworzyłem giełdową legendę i wszyscy wiedzieli, jaki jestem świetny. Natomiast do nikogo tak naprawdę nie dotarło, że zarzuty przeciwko mnie w rzeczywistości były bezpodstawne. Nikt nie chciał mieć ze mną nic wspólnego. W końcu się poddałem.

Właśnie wtedy postanowiłem, że zniszczę i ciebie, i Sigurda Halvorsruda. Niewierny sługa, przez którego zaczęto mnie prześladować, miał to szczęście, że zginął w wypadku samochodowym w roku 1995. Wy takiego szczęścia nie macie. Śledziłem was przez trzy lata. Zawsze z daleka, mimo to byłem bliżej, niż ktokolwiek mógłby uwierzyć. Poruszałem się wśród cieni i przeszukiwałem to życie, które nazywacie własnym. Przez trzy lata nie robiłem w zasadzie nic innego poza obserwowaniem was dwóch.

Twoją słabość, Evaldzie Bromo, łatwo było odkryć. Z Halvorsrudem było gorzej. Dlatego potraktuję was inaczej.

Do listu dołączam CD-ROM. Nie znasz się na informatyce, więc wyjaśnię ci krótko, co oznacza skrót „ROM”. Read only memory. To znaczy, że nie możesz manipulować płytą, nie możesz nic zredagować ani zmienić. A jest na niej nagranie wideo, na którym mówię, co zrobiłem. Między innymi jasno stwierdzam, że Halvorsrud nie jest winny zabójstwa żony.

Mam bowiem zamiar zabić ją osobiście. Nie tylko zabić, ale odebrać jej życie w jak najbardziej spektakularny sposób. Halvorsrud musi poczuć

na własnej skórze, jak działają media. Odcinając Doris Flo Halvorsrud głowę, zadbam o to, żeby nagłówki były miażdżące. Prasa go zniszczy, tak jak kiedyś zniszczyła mnie.

Jeśli wszystko pójdzie dobrze – a skoro to czytasz, to znaczy, że poszło – znajdzie się tyle poszlak przeciwko Halvorsrudowi, że do końca życia będą na nim ciążyć przynajmniej podejrzania. W taki właśnie sposób obrócono w ruinę moje życie i pragnę, aby podzielił mój los.

Chyba że ty zechcesz go uratować. Przypuszczam, że już miał okazję zajrzeć do piekła stworzonego przez fałszywe oskarżenia, i to, co zobaczył, skłoni go do myślenia i być może naznaczy na resztę życia.

Jego pobyt w piekle potrwa tylko kilka tygodni pod warunkiem, że ty się poświęcisz.

Pomysł podsunięcia ci takiego moralnego dylematu ogromnie mnie bawi. Czy człowiek, który pod osłoną szanowanego stanowiska molestuje dzieci, w ogóle ma jakąś moralność? Nie pamiętasz tego, ale kiedy dzwoniłem do ciebie czwarty raz, mówiłeś o obowiązku. Twierdziłeś, że masz obowiązek pisać o śledztwie. Twierdziłeś, że masz obowiązek przekazywać, co myśli, czuje, przypuszcza i zakłada policja. Obowiązek!

Na płycie opowiadam nie tylko o niszczącym terrorze, jaki zastosowałem wobec rodziny Halvorsrudów, o kluczach, które ukradłem najmłodszemu synowi, kiedy trenował, o tym, jak w ciągu jednej nocy wymieniłem twardy dysk w komputerze żony prokuratora tylko po to, żeby wywołać nastrój przerażenia, o pieniądzach, które wpłaciłem na jego nazwisko, i tak dalej, i tak dalej... Ujawniam tam również prawdę o tobie. Mówię o przestępstwach, których się dopuściłeś w ciągu ostatnich lat. Będziesz zdumiony, ile wiem. Każdemu przytomnemu policjantowi wystarczy krótkie śledztwo, żeby cię wsadzić do więzienia. Wybór należy do ciebie.

Podjmując decyzję, powinieneś mieć z tyłu głowy zapowiedź Twarzy Pokerzysty o tym, że pierwszego września twoja naczelna dostanie przesyłkę. Być może Twarz Pokerzysty kłamie, być może nie. Ponieważ to ja nią jestem,

to ja znam prawdę. Ty natomiast możesz się jej tylko domyślać.

Zabraliście mi wszystko. Skazaliście mnie na śmierć, w której szukam teraz ucieczki. W zamian posłałem was obu do piekła.

Ståle Salvesen

Erik Henriksen skończył pierwszy. Odłożył wydruk, lekko kręcąc głową.

– Ósme przykazanie – powiedział z mroczną miną. – Nie mów fałszywego świadectwa przeciw bliźniemu swemu. Bo to cię może cholernie drogo kosztować!

Szelest kartek przeszedł we wzburzony i coraz głośniejszy gwar rozmów. Hanne Wilhelmsen siedziała u szczytu stołu w dusznym centrum dowodzenia, mając po jednej stronie naczelnika wydziału, a po drugiej komendanta okręgowego Myklanda.

– Karianne – powiedziała krótko, gestem prosząc o ciszę.

– No więc tak – zaczęła Karianne Holbeck. – To był jedyny dokument, jaki dało się wyciągnąć z twardego dysku. Został skasowany, mimo wszystko łatwo go było znaleźć. Do przygotowania tej płyty, o której Salvesen mówi w liście, musiał korzystać z innego komputera.

– Czy to oznacza, że nie mamy pojęcia, co ona zawiera?

Billy T. usiłował pochwycić spojrzenie Hanne, ale musiał się poddać. Zamiast tego popatrzył więc na Karianne, która siedziała przy laptopie i miała na policzkach ciemnoczerwone róże.

– Została dość dokładnie opisana w liście, ale jeśli nie znajdziemy więcej sprzętu Salvesena... Nie... Wtedy... No cóż, może będziemy mieć szczęście i znajdziemy samą płytę. Albo jej kopię. Chłopcy przewracają teraz do góry nogami cały dom przy Vogts gate czternaście. Zajmowali się tym przez całą noc, ale nic ciekawego się nie pojawiło, więc to raczej wątpliwe.

– Cholera! – zaklął Billy T. i uderzył pięściami o siebie.

– Nie jest nam potrzebna – zauważyła Hanne cierpko.

– No tak, ale pomyśl tylko. Cholernie ciekawie byłoby poznać więcej szczegółów! W życiu nie słyszałem o takim montażu. Facet poświęcił całe

lata na przygotowanie zemsty.

Billy T. znów spojrział na Hanne. Chciał wyrazić jej swoje uznanie, okazać szacunek. Bo Hanne Wilhelmsen wierzyła w niewinność Halvorsruda od pierwszej chwili. Nie ulegając uporczywym twierdzeniom innych, przedstawiała argumenty swojej teorii w sposób logiczny każdemu, kto tylko miał ochotę jej słuchać. Billy T. poczuł fizyczny ból w piersi. Patrzył na Hanne, która stała przed nimi z bladą, nieumalowaną twarzą i wyglądała starzej niż kiedykolwiek. Jej chude dłonie bawiły się flamastrem, a spojrzeniem nigdy nie zawadzała o jego oczy, chociaż za wszelką cenę starał się do tego doprowadzić. Tak bardzo chciał ją odzyskać. Pragnął jej wybaczenia. Tak jak on wybaczył jej. Dzień później po tamtej nocy nie mógł zasnąć do drugiej. Słuchał niemowlęcych odgłosów Jenny, od których po twarzy śpiącej Tone-Marit przebiegały lekkie skurcze. Kiedy poczuł jej dłoń wsuwającą się przez sen w jego rękę, wybaczył i Hanne, i sobie. Wiedział, że wszystko może być takie jak dawniej, gdyby tylko ona mogła zrobić to samo. Ale Hanne nie chciała spojrzeć mu w oczy.

– Jogurt w lodówce – powiedziała nagle, odwracając się w stronę tablicy.
– Dlaczego Ståle Salvesen miałby zadawać sobie tyle trudu, tak starannie czyszcząc mieszkanie, a potem zapomnieć o datowanych produktach spożywczych w lodówce?

Naszkirowała kubeczek jogurtu i karton mleka. Rysunek nie był zbyt udany. Plastikowy kubek przypominał zniszczone wiadro, a karton z mlekiem – duński domek kempingowy.

– Ponieważ chciał wzmocnić najslabsze ogniwo swojego planu – odpowiedziała sama sobie. – Salvesen nie odebrał sobie życia w poniedziałek pierwszego marca. Był jednak przy moście Staure. Zaparkował swój samochód, wszedł na most i czekał tam, dopóki ktoś nie zbliżył się na tyle, by go widzieć, jednocześnie będąc dostatecznie daleko, by nie zauważyć, że Salvesen nie zniknął w morzu. Udał, że skacze. Schował się pod mostem i jakimś sposobem wrócił do miasta.

– Tak jak przypuszczałaś – wtrącił Billy T., natychmiast żałując swoich słów. Czuł się jak szczeniak, który merdając ogonem, liże kącik pyska starej aroganckiej suki.

– Jak, tego się pewnie nigdy nie dowiemy – ciągnęła Hanne, nie zwracając uwagi na idiotyczną pochwałę, i narysowała samochód. –

Natomiast rzeczą, o której nigdy nie pomyślałam – sięgnęła po plastikowy kubek i napiła się wody – było to, że Ståle Salvesen wcale nie uciekł za granicę. Nie zwiął do Ameryki Południowej ani do żadnego innego miejsca, gdzie procedury rejestracyjne nie są zbyt rygorystycznie przestrzegane i nie ma przyjaznych umów ekstradycyjnych z Norwegią.

– Ostatecznie odebrał sobie życie, ale dopiero potem, po zabiciu Doris – powiedział Erik z namysłem i splunął tuszem. Długopis, który gryzł, paskudnie się rozlał. – Genialne. Halvorsrud miał wyjść na szaleńca, kiedy twierdził, że jego żonę zabił ktoś, kto nie żyje.

– No właśnie.

Hanne dorysowała niebieskiemu samochodzikowi kółka.

– W niedzielę siódmego marca na parkingu przy moście Staure znaleziono skradzione volvo. Właścicielowi zginęło w czwartek, czwartego, po południu. Tamtej nocy, kiedy zamordowano Doris. Właściciel volvo mieszka na Grünerløkka.

– Pięć minut piechotą od Vogts gate – podsumował Karl Sommarøy. – Cholera, Salvesen zabił Doris, pojechał do Staure kradzionym samochodem i w końcu skoczył do morza. Jasny gwint!

– Niewiarygodnie dużo ryzykował – zauważył Erik. – Gdyby znaleziono go któregoś z pierwszych dni, łatwo dałoby się stwierdzić, że nie leżał w wodzie od poniedziałku pierwszego marca. I gdzie się wtedy ukrywał? Między poniedziałkiem a czwartkiem wieczorem? I co by było, gdyby go złapano podczas jazdy tym kradzionym samochodem...? A jeśli ktoś go zauważył w nocy z czwartku na piątek, kiedy naprawdę skoczył z mostu?

– Ryzykowna gra, owszem. Zdecydowanie. I obawiam się, że na wiele

pytań nigdy nie poznamy odpowiedzi. – Hanne Wilhelmsen nadęła policzki i powoli wypuściła powietrze przez zaciśnięte zęby. – Ale co ten człowiek miał do stracenia? Salvesen nie miał już po co żyć. Jego życie straciło sens. Kilka dni temu poznałam dziwnego mężczyznę, który mi powiedział, że kiedy ludziom wali się świat, są zdolni do wszystkiego.

Umilkła. Wydawało jej się, że to było tak dawno temu. Rewelacje Eivinda Torsvika nie były w tej chwili interesujące. Okazały się jedynie określną drogą do celu. Na kilka sekund przymknęła oczy, zastanawiając się, czy cała jego postać nie jest jedynie wytworem jej wyobraźni.

– Wszelkie granice prawdopodobnie jeszcze łatwiej przekraczać, kiedy człowiek straci i siebie – powiedziała spokojnie. – Salvesen przez długi czas żył wyłącznie myślą o zemście. Myślą o tym, że Evald Bromo i Sigurd Halvorsrud poznają przynajmniej fragment tego piekła, w którym on sam musiał żyć. Oczywiście nie mógł wiedzieć, kiedy znalezione zostaną jego zwłoki, ale zakładał, że trochę czasu minie. Im więcej, tym trudniej będzie określić dokładnie czas zgonu. No i tym mniej powodów dla policji, by podawać w wątpliwość obserwacje świadka z poniedziałku, pierwszego marca. Jogurt i karton z mlekiem były jedynie maleńkimi fragmentami układanki. Kulisami, można powiedzieć. Finezyjnym drobiazgiem, na który w zasadzie nie zwróciliśmy uwagi, a który stymulował naszą podświadomość, zmuszając nas do zobaczenia takiego obrazu, jaki Ståle Salvesen nam podsunął.

– W zasadzie genialny pomysł z tymi opóźnionymi e-mailami – stwierdziła Karianne, wstukując jakąś komendę do swojego komputera. – Sam stworzył mały poręczny programik, który wysyłał e-maile do Bromo jeszcze długo po jego śmierci. W folderze „Elementy wysłane” było pełno wiadomości. Wysyłanych mniej więcej w odstępach dwudziestoczworgodzinnych. Dwie dostała też redaktor naczelna „Aftenposten”.

– Masz niebieskie usta, Erik. – Hanne przeciągnęła palcem po własnych

wargach. – Idź to zmyj, zanim przeniknie głębiej.

– Ale... – Erik stanął za krzesłem, usiłując wytrzeć tusz rękawem koszuli. – Pomyślcie tylko o tych pieniądzach. Sto tysięcy w piwnicy, dwieście tysięcy w szwedzkim banku! Czy on naprawdę wydał niezły majątek tylko po to, żeby rzucić podejrzenie na Halvorsruda?

Hanne Wilhelmsen wzruszyła ramionami, próbując jednocześnie zmusić włosy do ułożenia się za uchem.

– A na co Salvesenowi były pieniądze? Przecież i tak nie było mowy o dostatecznie dużej fortunie, która pozwoliłaby przenieść się gdzieś za granicę, uciec od wszystkiego i zacząć od nowa. Wystarczyło ich akurat na stworzenie zamieszania wokół Halvorsruda. Oczywiście wybrał Szwecję, to równie jasne jak to, że podłożył pieniądze w piwnicy. Mieliśmy je znaleźć. Gdyby umieścił je w Szwajcarii, nigdy nie natrafilibyśmy nawet na jedną koronę.

– I w tym miejscu dochodzimy do czegoś bardzo ważnego, co ja nie bardzo rozumiem. – Przejęty Karl Sommarøy obracał w palcach termos, który ktoś zapomniał stąd zabrać poprzedniego dnia. Nagle korek się poluzował i chlusnęła stara kwaśna kawa. – Halvorsrud wcale nie został skazany – ciągnął, nie zwracając uwagi na mokre w kroku spodnie. –

Przecież cały czas to powtarzałaś, Hanne. Mieliśmy za mało, żeby go skazać.

– To prawda. – Komendant Mykland uśmiechnął się lekko. – Co oczywiście tłumaczy, dlaczego Salvesen był skłonny spuścić Halvorsruda z haczyka, gdyby Evald Bromo zechciał się poświęcić. Salvesenowi wcale nie chodziło o skazanie Halvorsruda. Weź na przykład te znalezione przez nas dyskietki. Karianne cały czas podkreślała, że nie są za bardzo „policyjne”. – Mykland narysował cudzysłów w powietrzu. –

Prawdopodobnie Salvesen po prostu poskładał do kupy materiały, który znalazł w gazetach. Wszystkie te sprawy dość obszernie opisywała prasa. Musiał zrozumieć, że z czasem zaczniemy mieć wątpliwości co do całego

tego łańcucha poszlak. Ale to nie było istotne. Chodziło o to, by Halvorsrud poczuł, jak to jest, kiedy jest się niewinnie podejrzanym. I z góry skazanym przez media. Salvesen nie był głupi.

– Idź, zmyj z siebie ten atrament, Erik – powiedziała Hanne Wilhelmsen lekko poirytowana. – Wyglądasz jak klaun. Jeszcze dostaniesz jakiegoś zakażenia.

– Dobrze, dobrze, mamusiu – odparł ze złością. – Ale najpierw jeszcze sobie coś wyjaśnijmy. Czy to znaczy, że cała ta sprawa pedofilii to jakiś wymysł, a Thea Halvorsrud po prostu jest córeczką tatusia?

– Tak. Według wszelkiego prawdopodobieństwa tak.

– Tak? Wobec tego co z Evaldem Bromo? Czy on był pedofilem, czy to też tylko jakiś wymysł? I kto... kto, do jasnej cholery, go zabił?

Nikt się nie odezwał. Zapadła taka cisza, że Hanne słyszała, jak z głodu burczy w brzuchu Hassemu Fredriksenowi, technikowi, który siedział po drugiej stronie stołu i zażenowany wstrzymywał oddech, jakby to w czymś miało pomóc. W duchocie podłużnego, ciasnego pomieszczenia ledwie dawało się wytrzymać. Hanne czuła, że palą ją policzki, a lepka błona znów zaczyna przesłaniać oczy.

Evald Bromo jej nie obchodził. Jego los w zasadzie nawet jej nie poruszył.

Czasami tak się zdarzało. Teraz nawet częściej niż zaledwie przed rokiem. Wcześniej, kiedy była młodsza, silniejsza, możliwe też, że bardziej naiwna, czuła, że każde zabójstwo, każdy brutalny gwałt, każdy przypadek okrutnej przemocy poniżał ją, dotykał jej osobiście. Zabójstwa były jej sprawą, gwałty głęboko ją raniły, bójkki z użyciem noża prowokowały. Właśnie dlatego poświęciła blisko dwadzieścia lat życia zadaniu, które, co w głębi ducha wiedziała, było beznadziejne: zahamowaniu przestępczości w Oslo.

Nagła świadomość ścisnęła jej gardło jak żelazna pięść i przyprawiła o mdłości: zaczęła różnicować ludzi.

Hanne Wilhelmsen była opętana myślą o wykryciu zabójcy Doris Flo Halvorsrud. Doris była osobą szanowaną, dobrą matką i żoną. Jej mąż cenionym prawnikiem. Hanne miała powinność, chciała i musiała rozwiązać tę sprawę. Natomiast zabójstwo Evalda Bromo uznała jedynie za obowiązek. Bromo sam był przestępcą wykorzystującym nieszczęśliwe dzieci.

– Zaczęłam olewać – szepnęła do siebie, głęboko wciągając powietrze i usiadła.

– Wszystko w porządku? – spytał Mykland cicho, nakrywając ręką jej dłoń. – Dobrze się czujesz?

Hanne nie odpowiedziała. Całym wysiłkiem woli usiłowała się opanować, zamknęła oczy, szukając w sobie resztek sił. Musiała zakończyć to zebranie. Uporać się z tym, postawić kropkę w sprawie Halvorsruda i zepchnąć odpowiedzialność za zabójstwo Bromo na kogoś, kto się do tego nadawał. Jeśli tylko przetrwa to spotkanie, będzie mogła wziąć wolne. Bezpłatny urlop. Zostanie w domu z Cecilie na całe dni i noce, dopóki będzie to konieczne. Dopóki będą miały siebie. Dopóki Cecilie będzie żyła.

Byle tylko przetrwała to zebranie.

Znów wstała i lekko pochylona oparła się rękami o stół. Zebrała się w sobie.

– Śmierć Evalda Bromo raczej w ogóle nie ma nic wspólnego z Halvorsrudem – oświadczyła niepotrzebnie głośno. – Wciąż jestem w pełni przekonana, że był pedofilem. Możliwe, że istnieje jakiś związek między jego seksualnymi perwersjami i zabójstwem. Ale jeśli chodzi o naszą właściwą sprawę, o zabójstwo Doris Flo Halvorsrud, to Evald Bromo jedynie okrężną drogą doprowadził nas do celu. Oczywiście trzeba jeszcze wyjaśnić wiele wątków, na przykład to, dlaczego w piwnicy na Vogts gate znalazły się odciski palców Halvorsruda. Moja osobista teoria mówi, że Halvorsrud w przypływie desperacji usiłował znaleźć jakiś dowód swojej niewinności. Oczywiście zachował się niezdarnie i głupio, ale...

– Pomyślcie tylko, jak on się musiał czuć! – przerwała jej Annmari Skar,

która przez całe zebranie siedziała milcząca i przeglądała książkę wyglądającą na powieść. – Przez cały czas mówił prawdę, a nikt mu do końca nie wierzył. Nawet ty, Hanne. – Popatrzyła na nią wyzywająco. –

Gdybyś naprawdę uwierzyła w jego opowieść, bardziej byś się zaangażowała. Oczywiście nie mam na myśli czasu, jaki poświęciłaś tej sprawie. Wszyscy wiedzą, że się nie oszczędzałaś.

– Co widać aż nadto – mruknął Erik.

Po wizycie w toalecie wargi miał teraz jaśniejsze, ale wciąż niebieskie. Zerknął na Karianne, która zasłoniła uśmiech ręką.

– Ale argumentowałabyś ostrzej, bardziej byś napierała. Nie pozwoliłabyś, żeby siedział przez kolejne tygodnie, gdybyś naprawdę mu wierzyła. On oczywiście to rozumiał. Został całkiem sam. Pętla wokół niego coraz mocniej się zaciskała. Sytuacja musiała mu się wydawać coraz bardziej absurdalna, jakby...

– Poza tym na pewno dręczyło go poczucie straszliwej winy wobec żony – zauważył Hans Christian Mykland. – Wśród tych fałszywych oskarżeń prawdopodobnie sam był dla siebie najsurowszym sędzią. Pozwolił ją zabić. Nie bronił jej.

– Kończymy – oświadczyła Hanne nagle.

Miała wrażenie, że ściany zaczynają się na nią walić. Znów podniosła do ust plastikowy kubek, ale okazał się pusty.

– Hanne! – oburzył się Erik. – Przecież nie możemy z całą pewnością stwierdzić, że Halvorsrud nie zabił Bromo. Salvesen bierze na siebie coś w rodzaju pośmiertnej odpowiedzialności za zabójstwo Doris, owszem, ale faktem jest, że odciski palców prokuratora były w tej piwnicy przy zwłokach, że nie miał alibi, nie stawił się na policji, chociaż miał taki obowiązek...

– Annmari ma rację – oświadczyła Hanne ostro i wbiła wzrok w młodszego kolegę ze śmiesznie niebieskimi ustami odcinającymi się od białej jak kreda skóry pod jaskraworudymi włosami. – Nie upierałam się

dostatecznie przy niewinności Halvorsruda. Zrobię to więc teraz. On jest niewinny. Wszyscy o tym wiemy. Zabójstwo Evalda Bromo to żalosna próba naśladownictwa. To przecież historia jak z podręcznika! – Rozłożyła ręce, potem sama się objęła, jakby nagle zmarzła w przegrzanym pokoju. –

Zabójstwo seryjne nie tak trudno rozpoznać. Widoczny jest wspólny mianownik ofiar. Może być trudny do odkrycia, ale istnieje. A jak zobaczyć, że ktoś próbuje ukryć zabójstwo, podszywając się pod seryjnego zabójcę? Ofiara się nie zgadza! Evalda Bromo i Doris Halvorsrud przypuszczalnie nie łączyło nic poza tym, że oboje mieli obywatelstwo Norwegii.

Zaczęła pakować leżące przed nią rzeczy. Schowała do czarnego plecaka dwa segregatory i stary skórzany piórnik. Pozostali śledzili jej ruchy.

– À propos Norwegii – powiedziała bez uśmiechu, pokazując palcem na Erika. – Sam wyglądasz jak flaga. Czerwono-biało-niebieska.

Nikt się nie roześmiał. Krzesła zaszurały o podłogę. Ludzie zaczęli rozmawiać ściszymi głosami, zlewającymi się w jednostajny szum, który w końcu zniknął za drzwiami. Billy T. stanął na progu i przez kilka sekund czekał w nadziei, że Hanne też wyjdzie, ale kiedy zobaczył, że komendant kładzie jej rękę na ramieniu, zrezygnował.

– Co chcesz teraz zrobić? – spytał Hanne cicho Hans Christian Mykland.
– Powiedz mi, co byś chciała.

– Podziękować.

– Słucham?

– Dziękuję, że ostatnio mnie osłaniałeś. Przypuszczam, że wpłynęły jakieś skargi.

Mykland uśmiechnął się szeroko i odgarnął włosy do tyłu.

– Trzy – szepnął. – Leżą na samym dnie mojej szuflady. I tam zostaną, dopóki będę miał tu cokolwiek do powiedzenia.

Hanne oparła się o nylonowy plecak stojący przed nią na stole. Nagle nachyliła się do komendanta i mocno go objęła.

– Bardzo dziękuję – szepnęła mu w ramię. – Nie pojmuję, dlaczego

jesteś dla mnie taki dobry. Taki cierpliwy. Obiecuję, że kiedy to wszystko się skończy, a Cecilie...

– Cicho, cicho... – Poglądził ją po plecach.

Nie chciał jej puścić. Poczula to, kiedy próbowała się odsunąć. Nie pozwolił jej na to. O dziwo, stwierdziła, że to nawet przyjemne.

– Niech ktoś inny zajmie się sprawą Bromo – zdecydował komendant. – Weź teraz wolne, Hanne. Naprawdę na to zasłużyłaś.

– Wezmę. Muszę jeszcze tylko załatwić parę rzeczy.

– Byle nie za dużo – odparł i wreszcie ją puścił.

– Nie. – Zarzuciła plecak na ramię. – Tylko kilka drobiazgów.

– Słuchaj, Hanne.

Dotarła już do drugiego końca stołu, ale się odwróciła.

– Tak?

– Kto powinien przejąć odpowiedzialność za śledztwo w sprawie Evalda Bromo?

Hanne wzruszyła ramionami.

– Przypuszczam, że któryś z komisarzy.

– Myślałem o tym, żeby mianować Billy'ego T. na pełniącego obowiązki.

Hanne poprawiła plecak.

– Wszystko mi jedno – powiedziała beznamiętnym tonem już obrócona do komendanta plecami. – Jest mi absolutnie obojętne, co zrobisz z Billym T.

Popielniczka, którą podarował jej Billy T., nie pasowała do wnętrza. Ale z całą pewnością dużo kosztowała. Wyglądała na produkt firmy Alessi. Proste czarne naczynie ze stalową miseczką, którą dawało się obrócić i opróżnić po każdym zgaszeniu papierosa. Jej nowy pokój był za bardzo pozbawiony charakteru na coś takiego. Hanne nigdy się tu nie zadomowiła. Nigdy nie zawracała sobie głowy jego oswojeniem. Nie miała na to czasu. Dawniej się starała nie tylko ze względu na siebie, lecz również dlatego że na świadków i podejrzanych uspokajająco działało przesłuchiwanie w pomieszczeniu nieprzypominającym celi, co w zasadzie było dolegliwością wszystkich pokoi w tym budynku.

Siedziała, bawiąc się popielniczką. Obracała ruchomą miseczkę. Ponieważ rzuciła palenie, popielniczka nie była jej potrzebna. Włożyła ją do kosza na śmieci z nadzieją, że sprzątaczką ją zauważy i może weźmie sobie do domu.

Ktoś uprzejmie zapukał do drzwi.

– Proszę – powiedziała.

Z progu uśmiechnął się do niej sierżant Karsten Hansen. Dawno już stuknęła mu pięćdziesiątka i wiedział, że nigdy nie doczeka się belek komisarza. Okrągły jak beczka, ciężko sapiąc, skierował się w stronę krzesła dla gości. Hanne Wilhelmsen zawsze miała trudności z wyobrazeniem sobie, że Hansen kiedyś musiał być szczupły i w miarę sprawny. Przecież tak jak wszyscy inni zdawał egzaminy do szkoły policyjnej. Pracował w Wydziale Ruchu Drogowego i Środowiska, lata mijały, a on świetnie się tam czuł.

– Jak się masz? – odezwał się pogodnie i wytarł pot z czoła.

– W porządku. A ty?

– Znakomicie. Ale wiesz, godzinę temu coś mi wpadło w oko.

Hanne nic a nic nie obchodziło, na co mógł się natknąć policjant z drogówki. Chciała iść do domu.

– Wiesz, te nasze radary – ciągnął Hansen niezrażony. – Te, co mierzą prędkość.

– Mhm.

– Chciałem pomóc naszemu personelowi biurowemu w przeglądaniu zdjęć, żeby wysłać mandaty i tak dalej. No i wiesz, co znalazłem?

– Skąd mogę wiedzieć?

– Zrozum, że to nie jest zbyt przyjemne, kiedy na tych zdjęciach pojawiają się koledzy.

Mówiąc, wiercił się, bo próbował umeścić swoje wielkie ciało na wąskim krześle, tak żeby mu było możliwie najwygodniej. Hanne poczuła rumieniec rozlewający się na twarzy i rozpaczliwie usiłowała sobie przypomnieć, kiedy była na tyle nieostrożna, żeby za szybko przejechać obok któregoś z radarów. Znała lokalizację wszystkich i zazwyczaj zwalniała, zbliżając się do nich. Musi chodzić o tamten powrót z Sandefjord, pomyślała nagle. Jechała do Szpitala Ullevål szybko jak diabli.

– Bardzo przepraszam, Hansen – wyjąkała, próbując zapanować nad rumieńcem. – Oczywiście nie mam żadnego wytłumaczenia... Jak szybko jechałam?

– Ty? – zdumiał się, a potem zaczął się śmiać. – Ależ skąd, daj spokój. Przecież ja nie o tobie mówię. Spójrz tutaj!

Z szarej koperty wyciągnął zdjęcie i położył je przed nią. Hanne wciąż miała przyspieszony puls. Przyłapanie komisarza policji na przekraczaniu prędkości mogło się okazać sprawą poważną. Zwłaszcza tak znaczne, jak musiało być tamtego wieczoru, kiedy pobiła osobisty rekord na odcinku Sandefjord-Oslo.

– Przekroczył obowiązującą prędkość zaledwie o cztery kilometry na godzinę – wyjaśnił Hansen. – Sześćdziesiąt cztery w strefie, gdzie obowiązuje sześćdziesiąt. Tuż przed skrzyżowaniem Tåsen. Na jezdni

prowadzącej na zachód. Ale tym, co mnie zdziwiło...

Grubym palcem dotknął twarzy kierowcy na zdjęciu. Fotografia była ziarnista i niewyraźna, ale dostatecznie dobra, by dało się zidentyfikować osobę.

– To jest Iver Feirand, prawda? W każdym razie to jego samochód. Tyle już zdążyłem sprawdzić.

Hanne Wilhelmsen nie odpowiedziała. Hansen miał rację. To było interesujące. To było wręcz sensacyjne. Hanne już rozpoznała pasażera.

– Kiedy zrobiono to zdjęcie? – spytała i zaraz jej wzrok pobiegł za palcem Hansena do punktu wskazującego datę.

Wtorek, 30 marca 1999, godzina 17.24.

Hanne wzięła zdjęcie do ręki i podniosła do oczu. Nie mogła się pomylić. Nie mogła.

– No i widzisz, strasznie się zdziwiłem, kiedy zobaczyłem, że ten człowiek tutaj, to ten Evald Bromo, którego niedawno zamordowano. W gazecie było mnóstwo jego zdjęć. Coś mi się zaczęło nie zgadzać w tym, że facet jedzie z policjantem we wtorek, a w sobotę ucinają mu głowę. No ale pomyślałem sobie, że przecież mogę nie wiedzieć mnóstwa rzeczy o tej sprawie. I że wszystko może być w jak największym porządku. Ale że jestem trochę staroświecki – uśmiechnął się z lekkim zażenowaniem – i uważam, że lepiej się wygłupić, niepotrzebnie pytając, niż przegapić coś ważnego...

– Jesteś fantastyczny. – Hanne pomachała fotografią i mocno ucisnęła Hansenowi rękę. – Jesteś wręcz niewiarygodnie wspaniały – powiedziała i przygryzła wargę. – Muszę zadzwonić. Siedź, siedź, nie wychodź.

Wyjęła żółtą karteczkę, którą wcześniej schowała pod podkładkę do pisania, i wybrała numer zanotowany zaledwie kilka dni wcześniej.

– Eivind Torsvik – usłyszała wreszcie w słuchawce po chwili, która wydała jej się wiecznością.

– Cześć, mówi Hanne Wilhelmsen. Dziękuję za ostatnie spotkanie.

– I ja dziękuję.

Nie zdążyła nawet przygotować żadnej strategii. Zdjęcie Evalda Bromo u boku człowieka, który zapewniał, że nigdy wcześniej go nie widział, kazało jej rzucić się na trop, który przy nieostrożnym postępowaniu mógł zostać zniszczony.

– Jestem w strasznie trudnej sytuacji – zaczęła po kłopotliwej pauzie. –

Nie chcesz wydać zebranych przez was materiałów, więc mnie nie pozostaje nic innego, jak to uszanować, ale mimo wszystko musisz mi odpowiedzieć na jedno pytanie. Na jedno jedyne pytanie. Możesz?

– To zależy. Obiecałem, że dostarczę ci całość, kiedy zakończymy pracę. Kiedy będziemy mieli dostateczne dowody, nie wcześniej.

– Musisz mi to powiedzieć. – Zajrzała do kosza na śmieci, w którym leżała nowiuteńka popielniczka i napoczęta paczka marlboro light. Nachyliła się, wyciągnęła jedno i drugie, a Hansen, który siedział zdziwiony, przysłuchując się rozmowie, nic z niej nie rozumiejąc, podał jej ogień.

– Czy masz na swojej liście policjanta? – spytała, zatrzymując pierwszą porcję dymu w płucach tak długo, jak mogła.

– Zdziwiłabyś się, gdybyś wiedziała, w jakich warstwach społeczeństwa kryją się przestępcy na tle seksualnym. Wiedziałaś o tym, że pedofile są nadreprezentowani w zawodach związanych z opieką albo wymagających wielu kontaktów z dziećmi? Lekarze, wolontariusze organizacji charytatywnych w krajach Trzeciego Świata, pracownicy przedszkoli, szefowie organizacji młodzieżowych, księża przygotowujący do konfirmacji, trenerzy piłki ręcznej...

– Ja to wszystko wiem, Eivind.

Nigdy wcześniej nie zwracała się do niego po imieniu. W ogóle nigdy wcześniej tak bezpośrednio się do niego nie zwracała. Zamilkł zdziwiony.

– Nie mogę nic powiedzieć – oświadczył w końcu. Wydawało się, że się porusza, bo oddychał krótko i urywanie. – Na razie jeszcze nie. Ale już niedługo. Tyle mogę obiecać.

– Eivind, posłuchaj...

Hanne słyszała własny głos tak, jakby mówiła jakaś inna osoba. W tej chwili zdecydowała, że jeśli Eivind Torsvik jej nie odpowie, napuści na niego wszystkich ekspertów informatyków, jakimi dysponuje policja. Sama będzie dowodziła akcją, zrobią nalot na domek nad Hamburgkilen i przewrócą do góry nogami wszystko, co się tam znajduje. Jeżeli Eivind nie odpowie.

– Musisz mi odpowiedzieć. To sprawa życia i śmierci.

Hansen popatrzył na nią zaniepokojony, nakryła więc słuchawkę ręką i szepnęła:

– Oporny informator, muszę trochę przesadzać.

– Tak.

– Co? Co powiedziałaś?

– Tak. Mamy na liście policjanta. A także dwóch nauczycieli, dentystę, dwóch księży, którzy na domiar wszystkiego są przybranymi ojcami...

– Czy on się nazywa Iver Feirand?

Zapadła absolutna cisza. Hanne zamknęła oczy, żeby lepiej słyszeć. Miała wrażenie, że Eivind Torsvik zabrał bezprzewodowy telefon poza domek. Wydawało jej się, że słyszy krzyki mew i daleki warkot silnika łodzi.

– Tak – odparł słabym głosem. – On się nazywa Iver Kai Feirand. To on potrzebował aż trzech lat na śledztwo w sprawie przeciwko mojemu przybranemu ojcu. To Iver Kai Feirand sabotował moją sprawę.

– Iver Kai Feirand – powtórzyła Hanne Wilhelmsen powoli. – Dziękuję. Eivind Torsvik już się rozłączył.

40

Mężczyzna z paszportem, z którego wynikało, że nazywa się teraz Peder Kalvø, siedział w samolocie Lufthansy. Właśnie wystartował z lotniska Kastrup. Za mniej więcej godzinę miał wylądować we Frankfurcie. Stamtąd poleci dalej do Madrytu, gdzie zamierzał zatrzymać się na kilka dni, ale nie więcej niż cztery.

Zawsze brał pod uwagę, że to się może wydarzyć.

Fałszywy paszport i zagraniczne konto w banku załatwił już przed laty. Trasa podróży w ciągu ostatnich dwóch lat trochę się zmieniała, ale nie znacząco. Iver K. Feirand był znakomicie wyszkolonym policjantem i wiedział, jak należy działać.

Czuł pociąg do młodych chłopców już od czasu, kiedy sam zaczął dojrzewać płciowo. Nie do mężczyzn, nigdy do mężczyzn. Kiedy już musiał uprawiać seks z dorosłymi, wybierał kobiety. Nigdy dziewczynki. Jeśli potrzebował seksu z dzieckiem, a taka potrzeba odzywała się regularnie, to tylko z chłopcami. Sam miał dwie córki. Nigdy ich nie tknął. Nie w ten sposób.

Oczywiście, że był znakomitym śledczym w sprawach przestępstw na tle seksualnym. Wiedział, czego szukać. Widział to w oczach podejrzanych. Potrzebował zaledwie kilku sekund na stwierdzenie, czy ktoś jest winny, czy nie. Metodycznie i uparcie dążył do stanowiska, które obecnie zajmował. Odkąd na początku lat osiemdziesiątych pojawiła się taka możliwość, wiedział, co będzie robił.

To mu dawało władzę. To go podniecało. Stwarzało również wyjątkową możliwość zdobywania wiedzy, gdzie znajdzie to, czego potrzebował.

Siedem lat temu patrol policyjny zgarnął z pigalaka dwie dwunastolatki wymalowane z bezradną przesadą. Jedna tak strasznie płakała, że

funkcjonariuszka postanowiła zabrać ją do lekarza. Druga została w pokoju Ivera Feiranda. Siedziała z bezczelną miną i żuła gumę w oczekiwaniu na osobę dyżurną z pogotowia opiekuńczego.

Zatrzymanych dzieci nie wolno przesłuchiwać bez obecności opiekuna prawnego. Ale nikt nie mógł odmówić Iverowi Feirandowi pogawędki. Być może dziewczynka była już do tego stopnia zepsuta, że jej wyzywające zachowanie wynikało samo z siebie. W każdym razie uparcie podejmowała próby targowania się o wolność. Powiedziała, że nie będzie protestować, jeśli on zechce pójść z nią do pewnego mieszkania, w którym, jak wiedziała, nikt teraz nie mieszka. Kiedy zjawiła się kobieta z pogotowia i ją zabrała, Iver Feirand zauważył wizytówkę na krześle. Przed chwilą siedziała na nim pupa, którą dziewczynka wyzywająco kręciła, wychodząc od niego z pokoju. Była to wizytówka Evalda Bromo. Iver Feirand postanowił się dowiedzieć, co może łączyć dziennikarza z dwunastoletnią prostytutką, i wezwał go na rozmowę.

Bromo kompletnie się załamał. Nie mógł pojąć, skąd dziewczynka miała jego wizytówkę. Iver Feirand przypuszczał, że ten idiota po prostu zgubił ją, podniecony widokiem smukłych dziewczęcych ud. Ogromnie go to zdziwiło, bo wszystko, co Evald Bromo mówił, świadczyło o tym, że jest niesamowicie ostrożny i daje sobie radę od bardzo wielu lat. Feirand jednak docisnął śrubę. Bo Iver Feirand potrafił zmusić większość ludzi do mówienia w ciągu pół godziny.

Evald Bromo powiedział za dużo. Evald Bromo zdradził pewien kontakt, o którym Iver Feirand nie chciał słyszeć. Powiedział o Latynosie rozszerzającym swoją działalność na Kopenhagę. To była prywatna znajomość Ivera Feiranda, a Evald Bromo znał jego prywatny seksualny schron.

Iver Feirand posiadał wyjątkową wiedzę na temat psychiki pedofila. Przede wszystkim był świetnym policjantem z rozwiniętym instynktem i bystrym umysłem. Poza tym w ciągu ostatnich piętnastu lat przeszedł w tej

dziedzinie najlepsze przeszkolenie, jakie mogły zaoferować policja amerykańska i europejska. Wiedział wszystko, co warto było wiedzieć, o organizacjach pedofilskich, o siatkach, klubach i poszczególnych osobach. Ujawnienie nigdy mu nie groziło.

Nigdy, dopóki Evald Bromo nie uświadomił mu, że więcej osób zna Pedra Dieza i jego piwniczkę w Królewskim Mieście.

Przesłuchanie przyjęło zupełnie inny obrót. Bromo był słabeuszem, jednym z tych, którzy żyli w ciągłym napięciu między paralizującym lękiem przed ujawnieniem a potrzebą powstrzymania samych siebie przed tym, co, jak sami twierdzili, jest złem. Kiedy już przyszedł na komendę, jak grochem z worka sypanął nazwiskami, adresami i datami. Gdyby Iver Feirand kontynuował śledztwo przeciwko Evaldowi Bromo, nazwisko Pedra Dieza wypłynęłoby nie tylko dla niego, lecz również dla innych. Bromo miał do opowiedzenia tyle, że zapewniłby zajęcie czterem śledczym na długi czas. Piwnica w Kopenhadze przestałaby działać. Pal sześć. Iver Feirand miał inne kontakty, inne nazwiska, inne adresy. Jeszcze bardziej odległe i bardziej bezpieczne. Ale groźne było to, że Evald Bromo wyłożył wszystkie karty na stół. I mógł dać policji ślad, który doprowadziłby do samego Ivera Feiranda. Oczywiście nikt nie wymieniłby go z nazwiska, bo przecież zawsze jeździł tam bez dokumentów, ale kto wie, jakie rysopisy by podano. Dwa metry wzrostu, atletyczna budowa ciała i jasne, prawie białe włosy mogły naprawdę stanowić problem. Lepiej było niczego nie ruszać.

Pozwolił więc Evaldowi Bromo odejść. Nie tylko puścił go wolno, ale jeszcze później trzymał na krótkiej smyczy. Stale wiedział, co się z nim dzieje.

Teraz, siedząc z koniakiem w plastikowym kieliszku w dłoni i patrząc na ogromne pola Unii Europejskiej w dole, przed oczami wciąż miał Evalda Bromo. Dziennikarz stał przy jego biurku, kompletnie wycieńczony i zdumiony tym, że Iver Feirand mimo wątpliwości pozwolił mu się

wywinąć. Może w głębi ducha zrozumiał dlaczego. Był przecież człowiekiem inteligentnym, a na dodatek dziennikarzem. Oczywiście musiało go zdziwić, że policjant puścił go po tym wszystkim, co mu powiedział. Ale Iver Feirand znał psychikę pedofilów. Już w chwili, gdy wyjdzie z komendy policji jako wolny człowiek z czystą kartoteką, Evald Bromo zacznie wszystko bagatelizować. Racjonalizować. Odpychać od siebie.

„Nie zrozumiałem” – wyjąkał, ściskając rękę Ivera Feiranda, kiedy mu dziękował. – „Nie zrozumiałem nazwiska”. „Kai. Możesz mnie nazywać Kai. Jeśli coś się będzie działo, zadzwoń do mnie pod ten numer. Prawie nigdy nie ma mnie w biurze. Ale komórka zawsze jest włączona”. Evald Bromo wziął kartkę i wyszedł.

Zabicie go było ogromnym błędem. Ale co innego mógł zrobić? Kiedy parkowali nad Sognsvann, osłonięci przez samochód dostawczy, zrozumiał, że nie nakłoni Evalda do zmiany decyzji. Od dziennikarza bił pełen zdecydowania spokój. Zachowywał się zupełnie inaczej niż tamten zrozpaczony, rozchwiany wrak człowieka, który siedział u niego w biurze siedem lat temu.

Nie mógł pozwolić, by Evald zgłosił się na policję. Wprawdzie niebezpieczeństwo powiązania go z piwnicą Dieza nie było już tak duże – Feirand od tamtego czasu zmienił pastwisko – ale Evald mógł ujawnić, że Feirand puścił go wtedy, za pierwszym razem. Nie zrobiłby tego ze złości ani żeby donieść. Prawdopodobnie wciąż wierzył, że tamta decyzja przyznania pierwszeństwa łasce przed prawem była słuszna. Evald Bromo powiedziałby o tym incydencie, ponieważ chciałby się wypowiedzieć. Ujawniłby wszystko. Wszystkie szczegóły, wszystkie fakty.

Być może Feirand zdołałby się jakoś wykręcić. Ale może nie. W każdym razie czuł, że ziemia zaczyna mu się palić pod stopami. Lata pracy w policji nauczyły go przynajmniej tego, że jeśli coś zaczyna się pruć, to pruje się już na całego. Kiedy więc Hanne Wilhelmsen przedstawiła mu posiadane przez

siebie informacje, poczuł się tak, jakby porwała go lawina. Nie mógł oddychać, miał wrażenie, że spada i nie ma się czego złapać. Zdołał co prawda zachować maskę, ale pomogło mu wyłącznie to, że samej Hanne daleko było do równowagi.

Śledztwo w sprawie zabójstwa Evalda Bromo wcale nie kierowało się w stronę Halvorsruda, chociaż taki był zamiar Ivera Feiranda. Kiedy Feirand szedł za Halvorsrudem i zobaczył, jak prokurator w środku nocy wchodzi do domu przy Vogts gate 14, triumfalnie zacisnął dłonie w pięści. Pół godziny stał w bramie i czekał, aż w końcu Halvorsrud wypadł z domu, goniony przez jakiegoś staruszka. Dzień później Feirand odwiedził dozorcę. Musiał się dowiedzieć, w której części domu przebywał prokurator. Kiedy później usłyszał o znalezieniu w piwnicy odcisków palców Halvorsruda, nie mógł uwierzyć we własne szczęście. Cieszył się, dopóki Hanne Wilhelmsen nie powiedziała mu, co wie.

Samolot musiał już być nad Niemcami. Iver Feirand spojrzął na zegarek i poprosił stewardesę o dolewkę.

Śledztwo zaczęło skupiać się na fakcie, że mężczyzna był pedofilem. Iver Feirand nie mógł już dłużej ryzykować, licząc na to, że jakoś się z tego wywinie. Dwie noce nie spał, rozważając wszystkie za i przeciw. W końcu żona zaczęła protestować, bo wiercił się tak, że i jej trudno było zasnąć. Resztę nocy przesiedział więc w kuchni przy stole. Uciekając się do chłodnej logiki, potrafił sobie wmówić, że nie ma się czego bać. W każdym razie nie bardzo. Evald Bromo, mimo tamtego idiotycznego błędu z wizytówką sprzed siedmiu lat, zachowywał wyjątkową ostrożność. Możliwe, że policja, idąc śladem zabójstwa z motywów pedofilskich, natrafi na mur. Ale Bromo nie zachował jednak dostatecznej ostrożności. Ktoś wiedział. Ktoś przekazał Hanne Wilhelmsen informacje, które mu podała. Mówiła o jakimś informatorze, o źródle.

To musiało być dobre źródło. Bóg jeden wie, jakimi materiałami dysponowało. I świadomość jego istnienia kazała mu podjąć decyzję

o szóstej rano ostatniego dnia, jaki spędził w domu z żoną i dziećmi.

Musiał iść za głosem instynktu i uciekać.

I nawet mu się to udało.

Było późne popołudnie w czwartek dziewiątego kwietnia i nikt nie mógł znaleźć Ivera Kaia Feiranda. Żona powiedziała, że i mąż, i samochód zniknęli i że najwyraźniej Feirand wyjechał gdzieś z jedną walizką.

Hanne Wilhelmsen czuła, że jej to nie obchodzi. Śmierć Evalda Bromo nie była już jej sprawą. Zamierzała wziąć wolne na czas nieokreślony i iść do domu. Pozostawało jej tylko jedno zadanie i nie wiedziała, czy się go boi, czy się cieszy.

– Porozmawiam z nim sama – oświadczyła krótko strażnikowi, który otworzył celę. – Możesz odejść. Nie zamykaj drzwi na klucz.

Weszła do środka. Aresztant siedział na pryczy i mamrotał coś w rodzaju mantry, kołysząc się na boki. Hanne przykucnęła przy nim. Delikatnie położyła dłoń na jego ręce. Czuła, jak bardzo jest spięty. Ściągnęła na grzbiecie dłoni wydawały się ostrymi kantami.

– Już po wszystkim, panie Halvorsrud. Wszystko wyjaśniliśmy.

Odrobinę uniósł twarz.

– Co pani mówi?

Hanne lekko się uśmiechnęła i powtórzyła:

– Wszystko wyjaśniliśmy. Miał pan rację. To Salvesen zabił pańską żonę. A śmierć Evalda Bromo nie ma żadnego związku z panem.

Przez chwilę myślała, że Sigurd Halvorsrud umiera. Twarz mu pociemniała, posiniała wokół oczu i ust. Zacisnął powieki, ale nagle uwolnił dłoń i wstał. Poprawił szelki i bezradnie wygładził koszulę na piersi.

Hanne widziała wewnątrz tej celi nieskończenie wiele razy. Nie lubiła tego widoku, ale nigdy nie czuła takiego obrzydzenia, jakie ją teraz ogarnęło. Zauważyła spojrzenie Halvorsruda rzucone na otwarte drzwi, jakby oceniał możliwość ucieczki. Widziała, jak maleńkimi kroczkami bokiem kieruje się

do wyjścia. Nagle zatrzymał się i zakrył twarz dłońmi.

– Co myśmy panu zrobili – szepnęła Hanne Wilhelmsen i spróbowała go dotknąć w bezsensownym, mającym nieść pociechę geście.

Halvorsrud się odchylił i przyciskając ręce do ciała, ze spuszczoną głową wybuchnął płaczem tak gwałtownym, że cały się zatrzęsł.

Co myśmy zrobili panu i pańskiej rodzinie – powtórzyła Hanne, tym razem w duchu.

Epilog

Hanne Wilhelmsen była na urlopie bezpłatnym od dwóch miesięcy. Nie wiedziała, czy kiedykolwiek wróci do policji. Na razie komendant mówił, że zawsze będą na nią czekać, ale domyślała się, że nawet jego władza w jakimś momencie się skończy. Wkrótce powinna podjąć decyzję.

Ivera Kaia Feiranda jeszcze nie zatrzymano. Niewiele czasu zajęło stwierdzenie, że posługując się fałszywym paszportem, wyjechał przez Frankfurt do Madrytu. W Hiszpanii wszelki ślad po nim się urywał. Był poszukiwany listem gończym w przeważającej części świata i Hanne była przekonana, że go dopadną. Jeśli nie prędzej, to na pewno później.

W tym czasie jedynie raz była w pracy. Pięć tygodni temu. Zgodziła się tylko dlatego, że Eivind Torsvik zadzwonił do niej do domu i nakłonił do spotkania. Nie akceptował żadnego innego śledczego. A ponieważ sam zaproponował przyjazd do Oslo, musiało chodzić o coś ważnego.

Materiały, które jej przekazał, pozwoliły policji odnieść triumf wszech czasów w zwalczaniu seksualnego wykorzystywania dzieci. Operację „Anioł” wszczęto zaledwie tydzień po tym, jak Eivind Torsvik rzucił na stół w komendzie pięć segregatorów i dwadzieścia dyskietek. Materiał był tak szczegółowy, tak dokładny i tak rzetelny, że policja potrzebowała zaledwie dwóch dni na jego sprawdzenie. Erik Henriksen, który pełnił obowiązki komisarza odpowiedzialnego za przestępstwa seksualne, urósł wraz z tym zadaniem. Pojawił się w nim jakiś nowy rys; spoważniał. Był za młody na takie stanowisko, miał zaledwie trzydzieści trzy lata, ale Hanne zawsze uważała go za zdolnego chłopaka. Sama nie było o wiele starsza, kiedy została komisarzem.

Prasa zachłystywała się operacją „Anioł”. Miała czym. Akcja doprowadziła do aresztowania dziewięciu osób w samej Norwegii. Wśród

zatrzymanych byli znany polityk, a także dwóch cieszących się uznaniem lekarzy. Sprawa nie schodziła z pierwszych stron gazet przez kilka tygodni. Potem jednak przyszły Zielone Świątki i przyniosły potrójne krwawe zabójstwo w Sørum, kilkadziesiąt kilometrów na północny wschód od stolicy i Okręg Policyjny Oslo mógł wreszcie zasłużyć odpocząć od ostrych i niekiedy bardzo męczących reflektorów mediów.

Wojna w Kosowie również przeszła do historii.

Była środa, dziewiąty czerwca 1999 roku. Zbliżała się północ. Odkąd Hanne wzięła urlop bezpłatny, Cecilie wychodziła ze szpitala i znów do niego wracała. Przez kilka dni czuła się dobrze i nagle wszystko się załamywało tak, że Hanne miała pewność, że to już koniec. Ale Cecilie, o dziwo, dochodziła jakoś do siebie i znów wracała do domu na tydzień lub trochę dłużej.

Przez cały czas były razem. Przyjaciele często odwiedzali Cecilie i w szpitalu, i w domu. Hanne w zasadzie się z nimi nie widywała, witała się tylko w przelocie i wychodziła. Cecilie się z tym pogodziła. Być może nawet o tym z nimi rozmawiała, bo nikt już nie próbował jej zatrzymać. Nawet Billy T.

Mżyło. Hanne wybrała się na długi spacer wokół całego terenu szpitala. Poszła w stronę Tåsen i przecięła skrzyżowanie, na którym radar odkrył winę Ivera Kaia Feiranda, wspięła się na Nordberg i dotarła aż nad Sognsvann. Nie było jej przez dwie godziny i poczuła niepokój.

– Jesteś pewna, że mam po nikogo nie dzwonić? – spytała pulchna pielęgniarka, kiedy Hanne wróciła.

Miała na imię Berit i oprócz Cecilie była jedyną osobą, z którą Hanne normalnie rozmawiała.

– Nie masz nikogo, kto mógłby pobyć z tobą dziś w nocy?

Hanne pokręciła głową.

Cecilie była nieprzytomna. Hanne zrozumiała to w chwili, gdy siadała przy jej łóżku. Cecilie ważyła teraz zaledwie czterdzieści pięć kilo i nie

miała już z czego chudnąć. Hanne mówiła do niej przez całą noc. Delikatnie gładziła ją po włosach i opowiadała o tym, o czym nigdy wcześniej nie miała odwagi mówić. Ani Cecilie, ani nikomu innemu.

Kiedy przyszedł ranek, Cecilie Vibe umarła. Nastąpiło to bez żadnego dźwięku, jedynie lekkie drgnienie powiek i już.

Hanne Wilhelmsen jeszcze przez godzinę siedziała, trzymając ukochaną za rękę. Potem przyszła Berit, rozluźniła jej uścisk i spróbowała skłonić Hanne do wstania.

– Już po wszystkim – powiedziała cicho, z matczyną serdecznością. – Chodź, Hanne, pora odejść.

Kiedy Hanne sztywno wyszła na korytarz, zobaczyła siedzących na krzesłach rodziców Cecilie. Trzymali się za ręce i cicho płakali.

– Dziękuję – wyszeptała Hanne i przez chwilę patrzyła na matkę Cecilie.

Starsza pani była bardzo podobna do córki. Miała takie same oczy, lekko skośne, z szerokimi brwiami, taki sam kształt czoła, taki sam frywolny łuk Amora, który zawsze utrudniał Cecilie pomalowanie ust szminką.

– Dziękuję, że mogłam być z nią sama.

Hanne Wilhelmsen wyszła ze szpitala, nie wiedząc, co ze sobą zrobi.